Luty — 1856.

O DZIENNIKARSTWIE

W STOSUNKU DO KOŚCIOŁA.

Czy istnieje stosunek Dziennikarstwa do Kościoła i jaki? Kościół działa w sferze duchowéj — Dziennikarstwo ma swój zakres w codziennych stosunkach społecznych. Jaki tu związek? Już sam ten wyraz *Dziennikarstwo* czyż niewypowiada idei czasowości, pojęcia czegoś, co *dzienną* żyje tylko strawą i *dzienne* ma tylko istnienie? Czyż nie dla tego *Dziennik*, że się w pewnym dniu poczyna, przez dzienne zdarzenia i czasowe wywołany potrzeby; że w pewnych dniach wychodzi, dzienne kwestye bada, rozbiera, dyskutuje; że jest wyrazem dziennéj opinii — objawem bieżącéj myśli społecznéj? Z drugiéj strony — Dziennikarstwo jest dyskussyą — jest walką opinii, jest ścieraniem się zdań, a jako takie, ma swój zakres w umiejętnościach czysto ludzkich, w naukach społecznych, w polityce, ale jakież mogłoby mieć miejsce w religii, w rzeczach dogmatu, moralności, teologii,

gdzie dyskussya nic nie stanowi, gdzie stanowi tylko twierdzenie, ustawa, wyrok, gdzie ostatecznie stanowi nieomylność?

Tego rodzaju wątpliwości, lub nawet wcale zarzuty spotkać mogą niniejszą rozprawę na wstępie z powodu samego tytułu. Wątpliwości te, a choćby nawet zarzuty, jakkolwiek nie mają żadnéj zasady rzeczywistéj, mogą jednakże mieć za sobą *fakt*, a przed niejakim czasem mogły mieć nawet pewne znaczenie, kiedy *fakt* przywłaszczał sobie siłę *zasady* i występował jako zasada; kiedy z pewnym pozorem ścisłości mówiono o społeczeństwie jako o społeczeństwie a o Kościele jako o Kościele, czyli jako o dwóch rzeczach różniących się *w istocie* a zostających z sobą w pewnych stosunkach tylko przypadkowo lub konwencyonalnie.

Dziś jednak, kiedy się *faktycznie* pokazało, że *fakt* nie jest zasadą, a nie będąc zasadą, nic téż *zasadniczo* stanowić nie może, kiedy dla każdego głębiéj myślącego, *zasadnicze rozróżnienie* społeczeństwa od Kościoła już jest nonsensem, dziś kiedy sama społeczność zaczyna uznawać prawa Kościoła i wyznawać, że o tyle jest i być może społeczeństwem, w ścisłém znaczeniu tego wyrazu, o ile jest w Kościele i przez Kościół, dziś mówię, jakkolwiek fakt byłby jeszcze istniejący, nic jednakże nie dowodzi, nic nie popiera a przeto i wątpliwości i zarzuty na nim oparte, żadnéj nie mogą mieć siły.

A przecież nie można ich zostawić bez bliższego i dokładniejszego ocenienia; zarzucających bowiem jest wielu, wątpiących jeszcze więcéj, a gdy pierwsi wychodzą z fałszywego pojmowania społeczeństwa i Kościoła, drudzy zaś z braku pojmowania, więc nim przystąpimy do przedstawienia stosunków Dziennikarstwa do Kościoła, zobaczmy wprzód jakie są stosunki Kościoła do Społeczeństwa czyli właściwie mówiąc: *Czém jest Społeczeństwo?*

Społeczeństwo, to istota zbiorowa, żyjąca. Społeczeństwo, ani jest sztucznem zespoleniem ludzi dokonaném, jak się wyraża Hobbes, dla położenia tamy złości i chytrości indywiduów; ani jest mechanicznem nagromadzeniem indywiduów stojących obok siebie, jak naprzykład w składzie cegieł jedne leżą obok drugich; ani nakoniec instynktowem zjednoczeniem ku osiągnieniu wspólnego dobra, jak naprzykład społeczność pszczół lub bobrów [1], ale jest czemś bez porównania nad to wszystko wyższém, doskonalszém. Społeczeństwo ludzkie wyszedłszy całe z jednego pnia, w milionowych częściach swoich, jest zawsze jakoby jednym człowiekiem a ściśle mówiąc jest istotném, żywém zespoleniem wszystkich, tą samą dokonaném i ustawicznie dokonywaném siłą, przez którą wszystko zostało stworzone. Społeczeństwo czy całe w *ogólności*, czy w szczególności, tą lub ową objęte epoką, czy jeszcze bardziéj wyszczególnione, to jest temi lub owemi oznaczone granicami bądź miejsca, bądź mowy, zwyczajów i ustaw, żyje zawsze życiem wszystkich, myśli myślą wszystkich, działa działaniem wszystkich. W tych myślach, w tych namiętnościach, w tych sądach, w tych działaniach zbiorowych znachodzimy ustawicznie rozmaitość a często nawet sprzeczność, co się nie da wytłumaczyć ani *naturą myśli*, ani *naturą władzy sądzenia*, ani *naturą władzy działania*, bo w tych może być pewne stopniowanie, wszakże rozmaitości a tém bardziéj sprzeczności nie ma; ale się to łatwo tłumaczy *naturą namiętności*, które opanowawszy serce człowieka po jego oderwaniu się od Boga, następnie rozerwały myśli, uczucia i sądy a działanie przeciwstawiły działaniu. Co więc w społeczeństwie jest jedném i zgodném przez naturę swoją, to się stało różném i sprzeczném przez namiętności. Namiętności będąc w człowieku skut-

[1]) Leibnitz. Nouveaux Essais sur l'Entendement humain. p, 232.

kiem upadku stanowią w nim przecie pewien objaw życia, ztąd i w społeczeństwie są one siłą żywotną, ale *ujemną*. Jak jedność pochodzenia, jedność natury jest w społeczeństwie siłą *attrakcyjną*, tak rozmaitość i sprzeczność namiętności jest w społeczeństwie siłą *repulsyjną*. Ta siła attrakcyi i repulsyi czy w społeczeństwie ludzkiém w ogóle, czy w społeczeństwie daném w szczególe o tyle się równoważą, o tyle są w zgodzie i harmonii, o tyle stanowią *życie* społeczeństwa, o ile przyjmują jednoczące, godzące, harmonizujące działanie Boga.

Działanie to widzimy w społecznościach przed chrześcijańskich nie zawsze prawdziwie zrozumiane, ale zawsze mniéj lub więcéj przyjmowane. Zrozumienie i przyjęcie działania Bożego stanowi o doskonałości względnéj owych społeczeństw, — zupełne zaniepoznanie i zanegowanie tego działania było jakby wyrokiem ich śmierci, było zanegowaniem ich bytu. Wszystkie plemiona, wszystkie narodowości stoją i żyją o tyle, o ile podstawą ich bytu, ich zwyczajów, ich ustaw, ich czynów jest jakowaś *myśl z góry* — skoro zaś tylko na jéj miejsce stawia się *myśl ludzka* — a raczéj *ludzka namiętność*, państwo, czy naród, choćby najpotężniejsze rozsypuje się i ginie. W narodzie Żydowskim działanie to Boskie objawia się jak najdotykalniéj w formach teokratycznych, to jest w rządach Boga nie tylko we względzie duchownym ale i w porządku doczesnym. Cały szereg czynności będących przedmiotem władzy doczesnéj i w swym początku i w swojéj sankcyi i w swoich następstwach jest bezpośrednio boski. Bóg prowadzi lud Izraelski przez Mojżesza, Bóg nakazuje wojny, Bóg dzieli naród na pokolenia, pokoleniom wyznacza territoria, Bóg stanowi urzędy, Bóg jest prawodawcą a prawa jego zagwarantowane boską obietnicą albo boską groźbą; jednem słowem Bóg sam prowadzi całą tę wybraną społeczność, do wytkniętego jéj przeznaczenia, — gdy zaś przezna-

czenie już osiągnione a lud Izraelski zaślepiony namiętnością pychy skrzywił pojęcia tego boskiego działania — pojęcie to jakkolwiek skrzywione, opaczne, fałszywe, jest przecież węzłem jednoczącym po całym świecie rozsypane indywidua. Społeczność Żydow, bez ziemi, bez rządu, bez prawa dziwnie uderza swą jednolitością a wśród rozsypujących się pseudospołeczeństw antikatolickich nie raz straszliwe wzbudzała i wzbudza obawy.

Jako zaś mądrość boska w doprowadzeniu społeczności żydowskiéj do wytkniętego jéj celu, działała w téj społeczności widocznie, materyalnie, bezpośrednio, tak w społeczności nowych, duchowych Synów Abrahama działać nie przestała, ale już działa duchownie. Téj społeczności już Bóg nie pisze praw na kamiennych tablicach, własnym swoim palcem, ale odnowiwszy w sercach prawo miłości chce, ażeby to prawo samo się rozpowszechniło w świecie zewnętrznym, rozpisywane palcem człowieka ubóstwionego przez łaskę. W téj społeczności odrodzonéj przez Tego, który sam w sobie jak najdoskonaléj ludzką i Boską zespolił naturę, to jest przez Słowo wcielone, już wprawdzie Bóg nie stanowi praw doczesnych, politycznych, ekonomicznych, już się bezpośrednio nie wdaje w taktykę lub w działanie władz wykonawczych — ale działa zawsze, ale stanowi prawa dogmatyczne i moralne, obowiązujące już nie ten albo ów naród, ale obowiązujące wszystkich; prawa, do których stósować się winny nie tylko te lub owe warstwy społeczeństwa, ci lub owi ludzie, ale wszystkie stany, wszyscy rządzący i wszyscy rządzeni, wszyscy sądzący i wszyscy sądzeni a zatém wszystkie prawa, ustawy, zwyczaje i czynności. Otóż to społeczeństwo tak odrodzone i tak urządzone, gdzie jedność działania Bożego niewidomego tak obejmuje rozmaitość wszystkich zewnętrznych kombinacyj społecznych — i wszystkich najodleglejszych społeczeństw szczegółowych — to powsze-

chne zespolenie indywiduów jedną myślą boską i utrzymywanie ich w jedności jedném, niewidomém, duchowém działaniem Boga, zowiemy *Spółeczeństwem powszechném*, katolickiém, czyli co zupełnie na jedno wychodzi *Katolickim Kościołem*. Tak więc Kościół, to spółeczeństwo powszechne — spółeczeństwo w najwyższém i najściślejszém znaczeniu tego wyrazu i nawzajem Spółeczeństwo prawdziwe — to Kościół.

Wszakże dla lepszego wyrozumienia téj rzeczy, przypuśćmy na chwilę spółeczeństwo istniejące po za wpływem Bożym — niby materyał na wytworzenie rzeczywistego spółeczeństwa.

Spółeczeństwo to, jest więc istotą zbiorową, złożoną z wszystkich namiętności ludzkich, które w jéj łonie walczą jak walczą w sercu każdego człowieka i które według danego i przyjętego kierunku mogą ją pogrążyć w przepaść wszelakich błędów i występków, albo podnieść do wszelkiego rodzaju prawd i pobudzić do wielkich pomysłów i do wielkich dzieł.

Spółeczeństwo to pokierowane ku dobremu w duchu jednoczącym i podnoszącym, już przez to samo, że jest istotą zbiorową, a tém samém w pewném znaczeniu nieśmiertelną, zdolniejszém byłoby bez porównania, niż każdy pojedynczy i śmiertelny człowiek choćby téż z największemi zasobami, spełnić na wielką skalę i utrzymać to dobro ku któremu skierowaném zostało. Przeciwnie Spółeczeństwo to popchnięte ku złemu, złe to zdolne jest doprowadzić do najstraszliwszych i nieobrachowanych ostateczności, bo ono w ówczas działa, a raczéj rozwięzuje, rozprzęga, burzy i szaleje nie jedną, ani dziesiątkiem różnych namiętności, ale całą wściekłością namiętności wszystkich — namiętności sprzecznych i na śmierć walczących z sobą.

Któż ten burzliwy materyał pokieruje ku dobremu? Kto ku zdobyciu tego dobra zespoli wole czyli chcenie

wszystkich podżegane najsprzeczniejszemi namiętnościami? Ażeby odpowiedzieć na to zapytanie przypomnijmy sobie społeczeństwo Europejskie jakiém było niezbyt jeszcze dawno — i jakiém jest, gdzie jest po za Kościołem. Dla czegóż w tém społeczeństwie niejedność, rozpadanie się — odpychanie — walka — zagrożenie śmierci? Dla czego społeczeństwo takie mimo mnóstwa doktryn i systemów godzących rozdarte? Dla czego mimo głośno wypowiedzianego hasła równości i braterstwa zbroi się, tchnie wzgardą lub zazdrością i walczy? Dla tego, że nie przyjmuje wpływu Bożego przez Kościół, dla tego, że już przez samo zanegowanie tego wpływu jedynie godzącego, jednoczącego, samo się neguje, rozsypuje i przestaje być społeczeństwem. Dla tego, że godzi, jednoczy i równa namiętność, która z natury swojéj jest rozrywającą, odpychającą, antagonistyczną. Dla czego przeciwnie Kościół w swéj organizacyi mimo całéj nierówności zewnętrznéj, mimo całéj rozmaitości, mimo jak najściśléj przestrzeganéj hierarchiczności jest zawsze społecznością jedną, zgodną, harmonijną? dla tego że w nim działa ustawicznie Ten, który jest w sobie *jednością, zgodą, harmonią!* Dla czego pierwotne społeczeństwo chrześcijańskie przy zachowaniu różnic towarzyskich było i żyło jakby jedném sercem i jedną duszą? Dla tego, że było jedno z Kościołem i przyjmowało działanie Boga przez Kościół, dla tego, że było i żyło istnieniem i życiem Kościoła.

A zatém ostatecznie, siłą zespalającą indywidua i społecznie rodzaj ludzki kierującą ku dobremu, czyli siłą tworzącą rzeczywiste społeczeństwo jest Kościół.

To co do społeczeństwa powszechnego — przejdzimy teraz do społeczeństwa szczegółowego jakiém jest nasze. Społeczeństwo to złożone z trzech warstw, to jest z ludzi początkujących opinią, czyli z intelligencyi, z ludzi żyjących cudzém zdaniem i z powziętych zdań wytwa-

rzających opinią, oraz z ludzi żyjących po za sferą opinii, czyli z prostego ludu żyjącego wiarą, niedawno jeszcze, zaledwie w ostatniéj warstwie istniało pod zbawiennym wpływem Kościoła. Intelligencyę przedstawiali ludzie żadnéj, albo bardzo lichéj wiary; część bierna społeczeństwa takich mniéj więcéj była pojęć, takich dążności, jakiemi były zdania narzucone jéj z góry. Część ta pod względem rozumu prawdziwe dziecko, dziecko swawolne, nierozważne, łatwowierne, kapryśne, skwapliwe, egoistyczne, część ta, mówię karmiona złudzeniami, łechtana w swoich zachceniach, podburzana w swoich namiętnościach, a z drugiéj strony zaniedbana lub wcale gorszona, straszliwie szybko poczęła się emancypować z pod wpływu Kościoła i tylko dziwnemi zrządzeniami Opatrzności wstrzymaną została na drodze do tego złego, które gdzieindziéj tyle łez, tyle krwi, tyle życia kosztowało. Skutkiem tejże cudownéj interwencyi boskiéj ludzie przedstawiający intelligencyę umilkli także i zeszli bez odgłosu i bez sławy z pola. Któż dzisiaj słyszy u nas odzywających się w imie racyonalizmu, socyalizmu lub im podobnych antysocyalnych doktryn? Ktoby śmiał wystąpić z Czasopismem jakiém był: Tygodnik Poznański—Orędownik albo Rok? A gdy na polu początkowania opinii głuche zaległo milczenie, cóż się dzieje w téj części społeczeństwa, która przyjmując cudze, a namiętnościom schlebiające zdania wytwarzała z nich opinią?

Ta część jest znowu dzisiaj jak dziecko namiętne, bawiące się cackiem i nagle spostrzegające, że mu cacko z rąk znikło. Ta część obałamucona w swéj wierze w jedynie spajający i zbawiący kierunek Kościoła, z drugiéj strony straciła wiarę w to, co przed chwilą tak namiętnie uwierzyła, czem ją łudzili, exaltowali nieprzyjaciele Kościoła.

Ale ta część jakkolwiek z jednéj strony obałamucona, z drugiéj rozczarowana niestraciła przecie swego żywio-

łu. Co w niéj było pod kierunkiem Kościoła a potem pod kierunkiem nieprzyjacioł Kościoła w działaniu (*in actu*) jest w niéj obecnie w mocy, w możności (*in potentia*). O cóż więc idzie obecnie? O to, żeby co dzisiaj jest w mocy ku dobremu równie jak ku złemu, pokierować do działania (ad actum) ku dobremu. Czyli wyrozumialéj mówiąc, idzie o to, aby przez odnowienie katolickich zasad i wpajanie katolickich zdań wytwarzać w łonie spółeczeństwa zdrowe, ożywiające, zbawienne opinie, idzie jednem słowem o to, aby jednoczącą siłą kościoła schwycić i skierować o ile można żywioł namiętności wszystkich—ku wspólnemu dobru a tym sposobem ścieśnić wszystkie żywotne stosunki i węzły społeczne. Któż to podejmie? Jaką drogą, jakiemi sposobami osiągnąć ten cel? Podjąć go mogą ludzie zasad ściśle katolickich a osiągnąć na drodze katolickiego dziennikarstwa.

Dziennikarstwo jest dzisiaj jedną z sił poruszających wielką machinę spółeczną. Dziennikarstwo katolickie jest warunkiem do wytwarzania zdrowych zdań i zbawiennych opinii w łonie spółeczeństwa — jest ono pewnym rodzajem apostolstwa.

Cóż jest bowiem przedmiotem dziennikarstwa w ogóle? Oto rozpowszechnienie idei—idea rozpowszechniona przez dziennik staje się popularną—idea popularna—to opinia publiczna, a opinia publiczna to siła poruszająca światem. Cóż znowu jest przedmiotem dziennikarstwa katolickiego? Oto rozpowszechnienie idei katolickiej, a tym sposobem uczynienie jéj ruchem, życiem, czynem spółeczeństwa. Że Kościół do działania w téj mierze obejść się może bez dziennikarstwa, jak się obchodził a posłannictwa swojego dopełni jak dopełniał sposobami wskazanymi raz na zawsze przez Tego, który jest jego życiem, siłą, pewnością—to rzecz niezawodna; ale, że to

lub owo dane społeczeństwo potrafi osiągnąć dobro i utrzymać się w jego posiadaniu zaniedbując środków, jakie mu w czasach dzisiejszych Opatrzność zdarza, to rzecz zupełnie inna. Kościół bowiem ma boską obietnicę nieomylności i trwania, a społeczeństwo jéj niema tylko o tyle o ile z Kościołem jest jedno; a że dziennikarstwo katolickie właśnie sprawę tego zjednoczenia z wielką korzyścią podnieść dzisiaj może i jest niezawodnie jednym z czynników danych ku naprawieniu tego co namiętności popsuły——więc dziennikarstwo to w obec potrzeb społecznych—i w obec Kościoła, działającego w celu natchnienia społeczeństwa swem życiem, ma swoje wielkie znaczenie i swe wielkie posłannictwo.

Sam Kościół cóż upatruje dzisiaj w dziennikarstwie? Nic innego jak tylko formę, w któréj się objawia myśl ludzka. Dziennikarstwo więc jako forma myśli lub dążności może być dobrém albo złém według téj myśli lub dążności. Form przedstawiania i rozpowszechniania myśli Kościół nigdy niepotępiał, nigdy się o nią nietroszczył—ale jeżli skutecznie służyła ku rozpowszechnieniu dobréj myśli, w ówczas i myśli i formie błogosławił.

Bo i czemże w saméj rzeczy jest dziennik? Jest to pismo publiczne, od innych tem się różniące, iż czytelnikom nieprzedstawia się w tomach ale w peryodycznych zeszytach. Z téj strony zdawałoby się iż dziennik ubliża powadze rzeczy kościelnych, powadze kwestyj mających pewien stosunek z wiecznością, wszakże gdy zważymy, iż dziennika niepodejmuje Kościół, ale dobrzy katolicy dla przysłużenia się jako można dobrej sprawie, podobna obawa już tem samem nie może mieć miejsca. To prawda, że niemożność, albo nieudolność przyjmowania prawdy w formach doskonalszych, poważniejszych, całkowitszych i wykończonych jest dowodem chorobliwego usposobienia społeczeństwa, ale kiedy właśnie stan ów

chorobliwy wymaga tego, aby spółeczeństwu podawano pokarm prawdy w odrobinkach po cząsteczce, możnaż brać za złe chęci stósowania się do téj smutnéj konieczności?

Co do Kościoła, powtarzamy, on sądzi rzeczy według ich wewnętrznéj wartości, a zatem i dzienniki sądzi według zasad, z których one wychodzą, według nauk, które wyznają, rozpowszechniają i bronią. Jeżeli zasady i nauki są zdrowe, dobre, natenczas i dziennik w oczach Kościoła jest dobry; jeżeli są złe, z zasadami wiary niezgodne lub moralności przeciwne, natenczas czy to kilkotomowe dzieło, czy to jest dziennik, Kościół go odrzuca, nagania, lub całkiem potępia.

Idzie więc tylko o to, czem powinno być dziennikarstwo w stosunku do Kościoła, czyli, o ile dziennikarstwo może brać udział w sprawach Kościoła.

Tutaj, dość będzie zbadać jak dalece w téj mierze Kościół iść pozwala. Ponieważ redaktorowie dzienników choćby nawet czysto-religijnych, czy to są ludzie świeccy, czy duchowni, występują zawsze jako prości pisarze bez żadnéj na to wyłącznéj od Kościoła missyi i działają jak inni w moc własnego przekonania i własnego popędu a niezaś w moc kapłaństwa, zatem przedewszystkiem wypada nam się zapytać, czy ludzie świeccy mogą się mieszać do kwestyj publicznych—religijnych i do spraw Kościoła, czy mogą takowe w dziennikach przedstawiać, badać, rozbierać, dyskutować i o ile mogą?

W przedmiotach dotyczących bądź dogmatu, bądź moralności, bądź prawa albo karności kościelnéj, jeżeli takowe niezostały jeszcze ostatecznie rozstrzygnięte przez Kościół nauczający, mający *ad hoc* wyłączne, boskie posłannictwo ludzie świeccy o tyle tylko mogliby brać udział, o ileby to niewchodziło w zakres władzy kościelnéj, nic nie stanowiąc, nic niewyrokując, ale traktując je zawsze z pewną oględnością, z pewną, że tak

powiem, bojaźliwością bez téj niebezpiecznéj pretensyi, jakoby sposób ich widzenia był jedynie możebném rozwiązaniem kwestyi. To bowiem kompromitowałoby prawdę w obec czytelników a wiernym łatwo stać by się mogło powodem zgorszenia.

Ale jeżeli Kościół już wyrok swój, lub swój sposób widzenia wypowiedział, albo jeżeli tylko idzie o przedmiot dyscyplinarny, w którym biskupi zdanie swe wypowiedzieli, kiedy droga prawdy i obowiązku już jest wytknięta, w ówczas współpracownicy dziennika mają obszerne pole do przedstawienia różnostronnie orzeczonéj prawdy, wykazania jéj stosunków z prawdami znanemi bądź w zakresie filozofii, bądź umiejętności ścisłych, bądź nauk i potrzeb społecznych, a wreszcie, o co głównie idzie, mają obszerne pole do rozpowszechnienia owéj prawdy z rzeczywistemi jéj następstwami i do ścieśnienia tym sposobem żywotnych węzłów między Kościołem a między wiernymi.

Czy tu powie kto, że jak redaktorowie dziennika współpracujący niewzięli żadnego posłannictwa do orzekania prawdy, tak równie niemają żadnego posłannictwa do jéj przestawienia i rozpowszechnienia? Odpowiedź łatwa. Posłannictwa wyraźnego i wyłącznego niewzięli do działania w téj mierze, ani go sobie mogą przyswajać, to prawda. Jakkolwiek byliby ludźmi wielkiéj nauki, wielkich zdolności, ludźmi posiadającymi głęboką znajomość rzeczy kościelnych, zawsze się czuć powinni w Kościele prostymi uczniami. Wszakze jeżli niemają missyi apostolskiéj, mają przecież missyą każdemu katolikowi właściwą do pracowania według odebranéj łaski nad rozszerzeniem królestwa Bożego, w obronie drogiego skarbu wiary, dla zbudowania współwiernych, *bo każdemu*, według Apostoła *bywa dane okazanie ducha ku pożytkowi wszystkich* (1 Kor. XII 7).

I cóż bowiem ztąd, że do działania tego niewzięli

osobnéj, szczególniejszéj missyi, kiedy takowéj Kościół niewymaga, kiedy występującym bez niéj błogosławi? Kiedy na początku II wieku, ś. Justyn, człowiek świecki, filozof platonik, otwarł swoim przepysznym traktatem szereg ojców apologetycznych i kiedy przez pismo swoje wyjednał u Cesarza Antonina edykt kładący tamę prześladowaniu, czyliż który z ówczesnych biskupów zaprzeczył mu prawa użycia swojéj nauki i swoich talentów w obronie Kościoła? Kiedy Atanagoras napisał apologią Chrystyanizmu i takową przesłał do Cesarza Marka Aureliusza i jego syna Kommoda; kiedy Klemens Aleksandryjski ogłosił swoje *Wezwanie do Pogan*, kiedy Arnobiusz, jeszcze jako prosty katechumen rozpowszechnił swą *księgę przeciwko pogaństwu*, kiedy Tertulian, Laktancyusz, Tacyan stanęli w obronie chrześciańskiéj prawdy i gnietli potęgą swego geniuszu miotający się poganizm bądź to przez swoich Cezarów, bądź Prokonsulów, bądź filozofów, czyż w ówczas Kościół zamykał im usta tém zapytaniem: „Od kogo wzięliście na to missyę?“ Czy się nieodzywał owszem temi cudnemi słowy Tertuliana, *iż przeciw publicznym nieprzyjaciołom prawdy*, *każdy człowiek winien być żołnierzem* (Apol. ad Gent. cap. 2)? To w pierwszych wiekach Kościoła. A za naszych czasów inaczejże mają się rzeczy? Kiedy de Maistre, Bonald, Châteaubriand pracowali nad podniesieniem sprawy wiary i kościoła; kiedy Montalambert, Nicolas, Ozanam, Louis Veuillot, Donozo-Cortez pracują nad wprowadzeniem zasad katolickich w zakres polityki, filozofii, umiejętności i sztuki, czyliż ich czyste świeckie stanowisko w Kościele ujęło lub ujmuje zasługi i blasku tym szlachetnym usiłowaniom, czy owszem nieobudza dla nich w sercach prawych katolików tem żywszéj wdzięczności, im mniéj mieli obowiązku podejmowania téj pracy?

A zatem rzecz jest możebną? Jest. Czy jest pożyteczną? Kto wie, ile podobni ludzie, jak wyżéj wzmian-

kowani wpłynęli na rozpowszechnienie zasad katolickich, jak się potężnie przyczynili do wprowadzenia tych zasad w życie społeczne, ten o użyteczności podobnych usiłowań wątpić niemoże. Szczupła ich liczba, to prawda, ale wielka miłość prawdy, ale niezmienność w przyjętych zasadach, ale odwaga w obec groźnych nieprzyjacielskich obozów, ale nakoniec ustawiczność i ciągłość działania w jednym zawsze celu, z tymże samym zapałem, z temże samem szlachetnem poświęceniem się, działaniu ich zapewnia dobry skutek, zapasom tryumf, dobréj sprawie wygraną. Kiedy przed jedynastu laty hr. Montalambert, jeden z najgorliwszych reprezentantów idei katolickiéj we Francyi zapytał biskupa de Langre czy udział ludzi świeckich w sprawach publicznych kościelnych może być godziwym i pożytecznym, czcigodny ten Pasterz odpowiedział mu listem prawdziwie mądrością bożą nacechowanym, potwierdzając i pochwalając uczciwe w tych sprawach współdziałanie świeckich. „Czy wiesz hrabio, pisze on w tym liście, co sprawiło „iż namiętne i zawistne działanie bezwiarstwa tak szybko „i tak straszliwie rozszerzyło zniszczenie w naszém spó„łeczeństwie? Oto że ludzie wierzący, że dobrzy katolicy „niemieli dosyć odwagi do wyznania i bronienia otwar„cie świętych i pełnych życia zasad katolicyzmu prze„ciw ustawicznym miotaniom się fałszu. Smutna ta pra„wda nigdy niebyła dotykalniejszą jak za dni naszych „i dla tego też z łaski téj fatalnéj roztropności, nigdy „złe niebyło do tego stopnia rozzuchwalone jak dzisiaj.“

„Ilekroć razy katolik widzący niebezpieczeństwo, któ„re grozi prawdzie w społeczeństwie i mogący swoją „nauką, swojem działaniem, swym wpływem, niebez„pieczeństwu temu stawić jakąś tamę, nieczynny stoi „na uboczu i milczeniem swojem ułatwia postęp złego, „tylekroć nietylko, że zaniepoznaje przysłużającego mu „prawa, ale co większa zadniedbuje świętego obowiązku

„mówienia, pisania lub działania. Milcząc zatem staje „się przestępcą a bardzo łatwo przez to milczenie stać „się może i wspólnikiem złego. Kiedy zaś idzie o sprawę najświętszą, o sprawę Bożą, takie przestępstwo i „takie w złem wspólnictwo, pociąga za sobą odpowiedzialność przed Bogiem i ludźmi.“

„Trwaj więc mości hrabio na téj drodze, na którą „tak odważnie wszedłeś. Wierny czystości zasad za których sprawę już tyle walczyłeś, staraj się sprzymierzyć „z ludźmi zdolnymi pojmować rzeczy w duchu katolickim— bądź z nimi razem ogniskiem ruchu katolickiego — ani się daj zwyciężyć mnożącym się przeciwnościom [2]).“

Jeżeliby zaś szło komuś o to, czy ta rzecz jest ściśle konieczną— to znowu co innego. Kościół jest dziełem Boga, a Bóg niepotrzebuje ludzi, by dzieła swego dokonać. Wszakże i to niezawodna, że ta moc Boska będąca sama przez się pierwszym motorem i pierwszym obrońcą prawdy na téj ziemi, posługuje się też i narzędziami w osiągnieniu swoich wielkich celow. Na téj zwykłéj drodze Opatrzości i dziennikarstwo ma dziś swoje przeznaczenie.

Dziennikarstwo w duchu katolickim stanowi dzisiaj jedną z owych pobożnych fundacyj, któremi się sprawa Pańska posługuje. Niegdyś pobożność chrześciańska miała wielkie pole w zakładaniu kościołów,— dzisiaj — to nie dla wielu możebne; na cele tak wielkie niewielu mogłoby coś znaczniejszego poświęcić przy najszczerszych chęciach; ale też dzisiaj, gdy dziennikarstwo stało się

---

[2]) *Lettre de Mgr. Evèque de Langres à Mr le Comte de Monalembert, sur la part, que doivent prendre aujourd'hui les laïques dans les questions relatives aux libertés de l'Eglise.*

jedną z najpotężniejszych sprężyn poruszających społeczeństwem, dziś Kościół nietylko pochwala, ale nawet zachęca do czynienia w tym kierunku ofiar, na jakie stać kogo. Możniejsze a po katolicku oświecone warstwy społeczeństwa, ludzie bogatsi a przytem dobrzy Chrześcianie ubolewający nad smutnym stanem powszechnego rozprężenia, psucia się obyczajów i niewiadomości pod względem życia wyższego, życia wiary— oraz łatwo przewidujący do czego stan podobny doprowadzić może, jakże piękne mają pole niezbyt wielką rzeczą do wielkiego przyczynić się dzieła i zakląć wszystkie obecne, wszystkie możebne klęski przez wpływ katolickiego, czystego w zasadach i przystępnego dziennika.

Oto znaczenie Dziennikarstwa w obec Kościoła.

Wszakże, żeby dziennikarstwo mogło być odpowiadające wysokości takich przedmiotów, jakiemi są kwestye Kościoła; ażeby z drugiéj strony mogło wpływać z należną siłą i korzyścią na obudzenie współeczeństwie życia katolickiego a przez to na restauracyą społeczeństwa— nieodzowną jest rzeczą, aby ludzie stanowiący redakcyą byli najsamprzód sami gruntownymi katolikami, ludźmi w duchu Kościoła, a zatem, żeby dobrze pojęli trudne i wysokie swoje stanowisko— czyli, ażeby zrozumieli i obowiązki i prawa publicysty.

Pierwszym tedy obowiązkiem katolickiego publicysty jest niezachwiane uznanie władzy, praw i powagi Kościoła ugruntowanego na kapłaństwie, głównie zaś na *Tym* którego Apostoł zowie fundamentem. (Do Efez. II, XIX, 20), a którego widomie przedstawia Papież. Winien on zawsze pamiętać, że Kościół ten złożony z dwóch części, to jest nauczającéj i uczącéj się — że obie te części stanowią jedno żywe ciało— żywą społeczność, w któréj jedni czuwają, uczą, drudzy słuchają, przyjmują. Takie wyznanie już wiedzie prosto do tego wnio-

sku, iż dziennikarstwo redagowane przez ludzi niemających żadnego wyłącznego posłannictwa od Kościoła, a przeto należących do części uczących się niezaś nauczających w Kościele — niemoże się wdzierać w zakres nauczycielstwa, ani się odzywać w imię Kościoła nauczającego.

To samo wyznanie wiedzie do innego równie ważnego wniosku, nieuwzględnienie którego sprawiło i sprawia, że dziennikarstwo zwłaszcza na Zachodzie stało się jedną z najcięższych plag społeczeństwa. Skoro albowiem prawo nauczycielstwa, a głównie prawo wyrokowania, twierdzenia absolutnego jest wyłącznie prawem Kościoła nauczającego, przeto nikomu z części uczącéj się ani pojedynczo, ani zbiorowo w rzeczach niezatwierdzonych przez Kościoł, ani absolutnie wyrokować ani absolutnie twierdzić niewolno. Odkąd społeczeństwo zapomniawszy o prawach kościoła i wzgardziwszy jego decyzyami zwróciło się ku trybunom i dziennikom z tem zapytaniem: co jest prawdą, a co jest błędem, od téj chwili datuje się straszna zamieszka prawdy z błędem a społeczeństwo popada w krainę ciemności złudzeń, niewiadomości, niepewności i zwątpienia. Czując ono z jednéj strony niezbytą, niczem niedającą się zastąpić konieczność poddania się pod kierunek prawdy, a z drugiéj strony widząc niepodobieństwo sprawdzenia, gdzie jest błąd a gdzie jest prawda, wedle narzuconego sobie wyroku przez dziennik, utworzyło jakby katalog prawd dowolnych, konwencyonalnych i katalog takichże błędów. To zaś do czego doprowadziło? Oto do tego, że społeczeństwo czcząc z jednéj strony wystosowane przez się prawdy, a potępiając wykluczone przez się błędy samo siebie uczciło i samo siebie potępiło.

Drugim obowiązkiem katolickiego dziennikarstwa jest bezinteresowność. Redaktorowie niepowinniby nigdy zapominać, że celem ich ma być sprawa powszechna, spó-

łeczna, niezaś interess osobisty. Dziennikarstwo rozpoczęte i prowadzone w interesie osobistym, to plaga społeczeństwa; — dziennikarz zapominający dobrowolnie przyjętéj missyi i spełniający ją w odniesieniu do samego siebie, do swych osobistych wyłącznych widoków— to przestępca społeczny.

Czy to jednakże zabrania dziennikarzowi dbać o stronę materyalną dziennika, albo nawet, gdyby tego potrzebował, utrzymywać się z dziennika? Bynajmniéj. Wszakże nawet kapłan służący u Ołtarza żyć może z Ołtarza (1 Kor. IX. 13). To zabrania tylko, aby dziennikarstwo mając być pewnego rodzaju apostolstwem niewyrodziło się w spekulacyą. Dziennikarstwo katolickie mniéj więcéj winno być poświęceniem się z gotowością podjęcia raczéj wszelkich strat materyalnych, niż ubliżenia sprawie którą podejmuje. Przy zbytecznem wytężeniu uwagi na stronę materyalną, nigdyby dziennik niezdołał utrzymać przynależnéj godności wyrażenia, wzniosłości uczucia, czystości zasad i niezależności, bez czego w żaden sposób dobrego wpływu wywierać by niemógł. Wszakże o to niema u nas wielkiéj obawy. Przedsiębiorca dziennika poważnego może z góry obrachować wszystkie straty na jakie się naraża.

Nakoniec, trzecim obowiązkiem sumiennego publicysty jest poświęcenie miłości własnéj na rzecz interesu publicznego. Wchodząc w szranki dziennikarstwa, wiedzieć powinien, iż spotykanie się z licznemi przeciwnościami i z niesprawiedliwością czasem zbyt dotkliwą i oburzającą, jest warunkiem wystąpienia publicznego. Naturalnie, to wszystko trudno, żeby niedotknęło, nieirrytowało tem więcéj, im więcéj z obozu przeciwnego wypada strzał, raniącéj, zjadliwéj osobistości. Wszakże, jeżliby w takim razie publicysta nieumiał jak się wyraża Pismo ś. „w ręku swojem trzymać duszę swoją (Ps. 118)“ w tenczas dziennik zamiast być trybuną ku obronie sprawiedli-

wości i prawdy, ku rozszerzeniu i upowszechnieniu dobrych zasad, ku umoralnieniu społeczeństwa, stałby się raczéj ciasnemi szrankami, namiętnego pojedynku i zamiast dobrze wpływać, gorszyłby publiczność: stałby się czemś podobnem do rzymskiego Forum w czasach upadku, na którem namiętności żarły się z namiętnościami i wywoływały albo namiętny poklask, albo namiętne przekleństwa!

A jeżeli bronić się trzeba? — Jeżeli napaść odeprzeć wypada? Przeciw gorzkiéj lub słonéj sarkastyczności, przeciw potwarzom i kłamstwom, najlepszą bronią byłoby milczenie. Nic bardziéj niezwycięża i niegniecie przeciwnika jak małeważenie lub niezwracanie uwagi na tego rodzaju nikczemne wyzwania. Z drugiéj strony, publiczność umie rozróżnić obronę słuszną i poważną, odpowiednią powadze przedmiotu, jakim zajmuje się dziennik, od złośliwego wet za wet i nienasyconéj zemsty. Względem niezdolnych rozróżnienia, polemika taka byłaby tem szkodliwszą, albowiem sączyłaby w ich serca swój jad bądź w wyrażeniach gorzkich, grubych, nieoszczędzających, bądź pod zasłoną jak najdokładniéj wykończonych i blichtrem wyrachowanéj grzeczności powleczonych frazesów. A cóż mówić o stojących na uboczu, zimnych, wyrachowanych, czychających przeciwnikach, pocieszających się każdem podobnem wystąpieniem *reprezentantów katolickiéj idei?*

Nie, — nigdy nic podobnie szwarliwéj i osobistéj polemiki niezdoła usprawiedliwić. Nigdy walka niemoże być godziwą, kiedy bodźcem do niéj jest osobistość, a wyrażeniem nienawiść. Walka dziennikarska będąc publiczną, ażeby mogła być godziwą, powinna mieć na celu jakieś *większe dobro prawdy*, oświecenie, zbudowanie czytających, a to się nadzwyczaj rzadko zdarza.

Na podobnéj wymianie pocisków jakkolwiek sama prawda na swéj wewnętrznéj wartości nietraci, traci

przecież niezmiernie wiele jéj obrona. Słabi się chwieją, złośliwi tryumfują. Jak w pierwszych wiekach niewierni czuli się pokonywani samym widokiem Chrześcijan, a mówiąc między sobą z zdumieniem i uczuciem swéj niższości: Patrzcie jak się oni wzajemnie miłują! już tem wyznaniem usposabiali swe serca pod nasienie prawdy, tak dzisiaj ludzie niechętni dla sprawy katolicyzmu, nienawistni względem Kościoła, zwykle tak wymagający we wszystkiem co się dotyczy życia katolików, widząc jak ci katolicy poniewierają się wzajem, jak się gryzą po dziennikach, tem bardziéj odskoczyliby od bronionéj przez nich sprawy, mówiąc pomiędzy sobą z pewną wyższością i wzgardą: Patrzcie! „jak się nienawidzą!“

Czy to znowu zabrania wydawcom lub współpracownikom dziennika bronić dobréj sprawy przeciw niesłusznéj i ubliżającéj napaści? Czy to wytrąca im z ręki broń poważnéj repliki albo nawet siłę uczciwego dowcipu, którąby chcieli wychłostać miotającą się zuchwale niewiadomość, lub złośliwość fałszu? Wcale nie. To co się powiedziało, dotyczy tylko namiętnéj walki osób z osobami, dziennika z dziennikiem, a niezaś zacnéj i koniecznéj walki w obronie zasad. Tu głównie idzie o to, aby działała i walczyła miłość prawdy a nie zaś miłość własna, która wystąpieniem swojem, choćby najwymowniejszém, najdowcipniejszém, najświetniejszem, dobréj sprawie szkodzi zawsze, — niepomaga nigdy.

To co do obowiązków dziennikarstwa katolickiego; teraz jeszcze słowo o jego prawach.

O pozytywnych prawach dziennikarstwa jużeśmy mówili odpowiadając na zapytanie, czy i o ile dziennik katolicki może brać udział w sprawach Kościoła. Wątpliwości żadnéj nieulega, iż dziennikowi godzi się wszystko, co tylko posłużyć może do rzeczywistego obznajmienia społeczeństwa z kwestyami stanowiącemi jakby żywotny węzeł między Kościołem a społeczeń-

stwem, co tylko pomaga do wprowadzenia społeczeństwa w powszechny ruch Kościoła.

Co do praw negatywnych, to jest co do stanowiska dziennika w obec nauk lub faktów nieprzyjaznych religii lub Kościołowi — ma on pewne i niezaprzeczone prawo wglądania we wszystkie publikacye i ostrzegania publiczności, ilebykroć razy w publikacyach tych znalazł coś uwłaczającego wierze lub moralności chrześciańskiéj, albo jakoweś antyspołeczne dążności. Przez publikacye rozumiemy tutaj nietylko słowo publicznie ogłoszone drukiem, ale też i wszelką doktrynę z publicznego wykładaną miejsca. Tutaj dziennik może oddać wielkie usługi władzy biskupiéj, któréj w moc konkordatu przysłużać będzie prawo wglądania w dzieła i wykłady szkolne. Jeżliby się naprzykład zdarzyło, iżby młodzież szkolna zagrożoną była w czystości i prostocie swéj wiary wykładem antykatolickim, dziennik wówczas miałby nietylko prawo, ale nawet obowiązek wystąpienia przeciw podobnemu wykładowi. Toż samo tak co do dzieł ściśle umiejętnych, jak co do dzieł popularnych.

Tym sposobem każdy pisarz, któryby sobie pozwalał z jakiejkolwiek strony zaczepiać prawdy religijne lub katolickie społeczne zasady, rzucać podejrzenia na kościelne instytucye i praktyki, okrywać takowe śmiesznością, wdzierać się publikacyami czysto świeckiemi w zakres Kościoła nauczającego, każdy pisarz, któryby z umysłu lub nawet mimowolnie dotykał powyższych kwestyj w sposób im ubliżający, lub osłabiający przekonanie wiernych, podpada tem samem pod cenzurę dziennika katolickiego. Naturalnie, ażeby dziennik mógł się utrzymać w tem prawie, rzeczą jest nieodzowną, aby obronę prawdy podejmował z należytą znajomością przedmiotu, ażeby współpracownicy unikali jak najusilniéj bądź to w rozprawach, bądź w krytykach wszelkiej powierz-

chowności, a tem więcéj wszelkich krętych i z powagą przedmiotu niezgodnych ściészek. Prawda, szlachetna szczerość i powaga to nieodzowne warunki dziennikarstwa i w obec Kościoła i w obec nieprzyjacielskich obozów. Wolno być przytem zręcznym, ale niewolno nigdy posługiwać się kłamstwem lub strzelaniem na chybił, trafił. Są także kwestye, których niemożna dotykać, jak tylko z pewną oględnością, roztropnie i na czasie. Złe jednak czy to otwarte czy przyczajone czy umyślne i wyrachowane czy rzucone mimochodem, walczyć można otwarcie i walczyć należy czy to pod względem rzeczy, czy pod względem formy, jak kto może, aby tylko w czytelnikach obudzić wstręt przeciw książkom i doktrynom złe takowe traktującym. Takie bowiem książki to najwięksi nieprzyjaciele tak domowi jak społeczni, to wilki w owczarni mogące zrządzić nieobrachowane szkody — to rozbójniki, tem niebezpieczniejsi im zręczniéj sączą w nieświadome lub nieostrożne serca truciznę powątpiewania lub niemoralności pod zasłoną pięknego stylu, poetycznych opisów lub pozornéj uczoności.

Z tegoż samego tytułu współpracownicy dziennika mogą się zajmować dziełami katolickiemi, oceniać je, kommentować, przedstawiać a to wszystko w celu uczynienia przystępnemi przedmiotów w nich traktowanych. Prawo to żadną miarą poważnemu dziennikowi niemoże być zaprzeczane, byle się tylko dziennik utrzymał w należnych granicach, byle się umiał wystrzegać wszelkich niepotrzebnych lub drażliwych alluzyj. Występując w obronie zasad katolickich, lub też w zamiarze ich rozjaśnienia, rozpowszechnienia, wykazania ich stosunków z potrzebami społecznemi, nadzwyczaj wypada być ostrożnymi, aby zamiast pozyskania dobréj sprawie umysłów i serc, niedrażnić i niewywoływać nowych nieprzyjaciół.

Niewiadomość pod względem rzeczy religijnych, wlokące się za nią obojętność i uprzedzenie, to najcięższe

choroby naszéj epoki. Dobry dziennik dziwnie może przybyć w pomoc usiłowaniom duchowieństwa w leczeniu tych chorób. Dobre czasopismo sprawia, że mnóstwo kwestyj żywotnych, katolickich, które inaczéj aniby były tknięte, stają się żywiołem zajęcia umysłowego, dźwignią moralności społecznéj. Najsamprzód są one przedmiotem badań redaktorskich. Redaktorowie bowiem traktując je w dziennikach, starają się o ile można, rzecz dobrze i wszechstronnie poznać, ażeby ją stósownie Publiczności przedstawić. Potem stają się one przedmiotem badań czytających, którzy powiększéj części, jako ludzie świeckich stanowisk niemieliby czasu, ani odwagi zajmować się dziełmi ściśle teologicznemi, a którzy przecież chętnie przyjmą jakąś rozprawę religijną przedstawioną z pewnem zastósowaniem do obecnego sposobu pojmowania i obecnych potrzeb. Nakoniec i sami przeciwnicy chcąc wystąpić przeciw zasadom albo rozprawom dziennika redagowanego w duchu katolickim, zmuszeni będą do głębszego zbadania przedmiotu mało im znanego, albo wcale nieznanego, jeżeli się niebędą chcieli wystawić na niedokładności dyskredytujące pismo a upokarzające pisarzy.

Tym sposobem dziennik katolicki pociąga i zniewala do jakiegoś zajmowania się rzeczami religii, sprawami Kościoła, — wprowadza publiczność w zakres życia religijnego, w ruch działalności katolickiéj. Jakiż to ogromny rezultat! Bo zważywszy, iż właśnie brak podobnego zajęcia, niesmak do tego rodzaju badań pogrąża ludzi w ciemną i znikczemniającą krainę materyalizmu, a z drugiéj strony zważywszy, że religia i Kościół w swéj zasadzie, w swéj działalności niepotrzebują nic więcéj jak tylko być dobrze znanemi, aby być odpowiednio cenionemi — zważywszy nareszcie, że znajomość wiedzie do miłości, miłość do jedności, to jest do przyjęcia zbawiennego wpływu, który godzi, harmonizuje, jednoczy

ludzi pomiędzy sobą, a tak ich zespoliwszy w żywe społeczeństwo, to społeczeństwo godzi i jednoczy z Bogiem— zważywszy to wszystko—któż z nami nieuzna, że dziennikarstwo w duchu katolickim jest dzisiaj w saméj istocie wielką siłą zdarzoną przez Boską Opatrzność ku religijnemu i moralnemu podniesieniu umysłów,—a tem samem ku rzeczywistéj restauracyi społeczeństwa?

X. Zygmunt Golian.

ROZMOWA

o protekcyi i wolnym handlu.

Quod tu dicis, pro nihilo computabitur.
(de Imit. L. III. 49.).

Tuż u Krakowa gdzie jest rzeczka Prądnik, niedaleko szczątków Biskupiego zamku wsławionego rozmową o Dworzaninie, zeszli się byli jednego wieczora pan Piotr i pan Wacław. Ci więc dwaj obywatele myśląc jak niegdy X. Biskup Samuel Maciejowski, *azaby się nie mogła naleść iaka insza krotochwila*, *nie ta ustawiczna karty* [1])— rozmawiać poczęli o taryffie cłowéj, aż nakoniec toczyć poczęła się rzecz o saméj zasadzie protekcyjnéj. Zatém powiedział pierwszy:

Pan Piotr. Żadnéj zasady niemożna nazywać absolutnie dobrą, bo się żadna nie daje w praktyce ściśle zastósować: żadnéj téż zasady niemożna absolutnie potępić. Chociażby więc było dowiedziono że system prohibicyjny jest złym, wszelako nie dla tego system pro-

[1]) Wyrażenie Łukasza Górnickiego.

tekcyjny musi koniecznie być nic nie wart, i zalet nie mieć żadnych.

Pan Wacław. O zaletach pomówiemy zaraz: ale naprzód raczcie uważyć iż system protekcyjny w bardzo wielu przypadkach stanie się prohibicyjnym. Przypomnę wam sławną skalę ruchomą w Anglii, w skutek któréj protekcya stawała się wyraźną prohibicyą jaktylko kwarter pszenicy spadał na 51 szyllingów, bo wtenczas cło 20 szyllingów wynosiło. Nie trwało to długo a słyszałem sam jak Robert Peel wyrzekł się z szlachetną otwartością téj skali, dążąc do zniesienia wszelkiéj protekcyi.

Pan Piotr. Były tam różne widoki uboczne; dajmy pokój z historyą zagraniczną, a jeżli tego potrzeba mówmy o protekcyi *ab ovo*. Pytam się was czy przyznajecie iż cały kraj ten nasz polski żyje z rolnictwa?

Pan Wacław. Otóż przepraszam: naród nie żyje z rolnictwa lecz z chleba: i głodu cierpieć nie będzie jak długo zboże zkądkolwiek pochodzące, będzie zapełniać targi konsumpcyjne.

Pan Piotr. Chciałem powiedzieć iż dobry byt narodu zawisł głównie od powodzenia rolnictwa.

Pan Wacław. A ja powtórzę że narodom zależy daleko więcéj na tém żeby chléb był tani, aniżeli na tém żeby rolnictwo było doskonałe. Niezawodnie rolnictwo zasługuje na wszelką opiekę co do działań i robót: zasługuje też na wielkie poważanie jako środek dostarczania żywności, jednak nie jest środkiem wyłącznym, a nigdy nie będziecie mogli dowieść aby rolnictwo było zadaniem i celem ludzkości! Przeto, będziemy zawsze przeciwnikami ustaw, w skutek których człowiek zostawałby zmuszony opłacać robotą cztérodniową te przedmioty potrzeb, które dostanie pracą dwudniową kiedy tych ustaw niéma.

Pan Piotr. Ależ te ustawy utrudzając dowóz np.

zboża obcego, będą właśnie mieć za skutek polepszoną uprawę i większą obfitość produkcyi.

Pan Wacław. Znamy to twierdzenie, i znamy jego mylność. Chcecie pokrywać wielkie nakłady produkcyi za pomocą sztucznego podniesienia cen targowych: w istocie pod zasłoną energicznéj protekcyi, potrafilibyście nawet w około Sukiennic krakowskich produkować sandomirkę. Czemuż więc nie zamknąć rogatek, ograniczając mieszkańców na żywności *wewnętrznéj*? Intrata właścicieli miejskich podniosłaby się niezmiernie: a wy powiadacie że zbogacenie właścicieli pociągnie za sobą bogactwo robotników. My zaś utrzymujemy iż drożyzna jest znakiem niedostatku: a niedostatek chleba być nie może pierwiastkiem bogactwa powszechnego.

Pan Piotr. A przecież za podrożeniem chleba idzie zawsze podniesienie ceny zarobkowéj.

Pan Wacław. Nie koniecznie, bo to jednoczesne zjawisko skutkiem być może powszechnego zniżenia wartości pieniędzy przez wielki napływ gotowizny albo przez deteryoracyą waluty; — ale gdzie te okoliczności nie miały miejsca, i lud roztropnym został, tam robota bywa najdroższą kiedy chléb najtańszy a najtańszą kiedy chléb najdroższy. To jest bardzo oczywista. Gdyby chléb był darmo rozdawany przez Rząd, czy małemi pieniędzmi nakłonilibyście ludzi do pracy? Cóż naturalniejszego od téj prawdy, że ceny wypływają z porównania pomiędzy żądaniem a zapasem targowym?

Pan Piotr. Bądź jak bądź: rzeczą jest najpierwszą zapewnić dobre ceny tym którzy mają zaopatrywać targi zbożem.

Pan Wacław. Za tém ja jestem tak dobrze jak wy: ale, jeżeli zaprowadzić chcecie prawo zapewniające zyski tym, którzy zboże sprzedawają, wtenczas my żądać będziemy praw zapewniających dobre zarobki tym którzy zboże muszą kupować. Wnet za taryffą protekcyjną

dla zboża, musi nastąpić taryffa protekcyjna dla roboty. Czyż tego żądacie?

Pan Piotr. Nie widzę żadnéj potrzeby zatrudnienia się kwestyą zarobków, ponieważ wiadomo jest dobrze, iż podniesienie ceny chleba pociągnie za sobą koniecznie podniesienie ceny zarobków. Bo jak chléb podrożeje, robotnik nie mogąc wyżyć dawną zapłatą, będzie musiał wymagać zapłaty wyższéj.

Pan Wacław. Że będzie wymagać, o tém nie wątpię — ale czy otrzyma? Ja temu nie dam wiary jak długo Rząd ustanowiwszy protekcyą dla producentów zboża, nie obmyśliłby zarazem protekcyi dla robotników. Możnaby argument przeciwko wam obrócić, mówiąc iż podwyższenie ceny zarobków pociągnie za sobą bardzo naturalnie podwyższenie cen zbożowych.

Pan Piotr. Przez słowa wasze przebija się socyalizm: chcecie by Rząd wszystko regulował.

Pan Wacław. My broń Boże tego nie chcemy: Wyście to powołali Rząd do regulowania cen zbożowych, my zaś stawiamy alternatywę. Albo niech Rząd reguluje wszystkie stosunki handlowe, albo niechaj nie będzie protekcyi dla nikogo a sprawiedliwość dla wszystkich. Powiadacie o socyalizmie, ale czyż socyalizm jest czém inném jak loicznym wypadkiem nieloicznych założeń? Socyalizm przemysłowy jest „reakcyą chciwości robo„tnika przeciw chciwości fabrykanta, jak socyalizm umy„słowy reakcyą bezbożności ludu przeciw ateizmowi bo„gatych“. Miejcie wszyscy wiarę w duszy a sprawiedliwość w czynach, a socyalizm zniknie, który inaczéj was wytępi, jak ogień Sodomę.

Pan Piotr. Zostawmy więc na boku rzecz zbożową, a nawet unikajmy stosunków krajowych. Pójdzie spokojniéj dysputa. Ot mówmy o fabryce żelaza we Francyi. Jest bezwątpienia największéj wagi dla Francyi, żeby miała fabryki żelaza.

Pan Wacław. Niestety muszę znowu sprzeciwić się temu założeniu. Francya potrzebuje koniecznie *miec* żelaza obficie, lecz niepotrzebuje koniecznie *robić* przy żelazie. Tak co do sukna. Niechodzi o to żeby Francuzi fabrykowali dużo sukna, lecz o to żeby się można we Francyi ubierać wygodnie i tanio.

Pan Piotr. Podług tego, żaden więc naród niepowinien nic robić?

Pan Wacław. Bardzo przepraszam: każdy naród powinien produkować jak najwięcéj tych przedmiotów którym sprzyjają najbardziéj natura kraju i usposobienie mieszkańców. Powinien produkta odbytu sprzedawać jak najdrożéj, a produkta potrzeby dostawać jak najtaniéj.

Pan Piotr. Nieuznajecie więc pracy krajowéj jako bogactwo które....

Pan Wacław. Darujcie że przerywam, ale niemogę przepuścić grubego błędu. Praca sama przez się nie jest bogactwem, chociaż jest koniecznym pierwiastkiem bogactwa: a źle przystósowana żadnego niema znaczenia ekonomicznego. Niechby n. p. spodobało się komu użyć dwudziestu robotników do kopania studni tuż obok źródła, a dziesięciu murarzy do zamurowania tegoż źródła: czyliż ztąd pomnożyło się jakimkolwiek bądź sposobem bogactwo krajowe? Bynajmniéj: tylko źle użyto wielkiéj pracy. Wolelibyście darować pieniądze robotnikom a niezabierać im czasu. Czyż zmarnowanie godzin i sił, zużycie narzędzi i ubrania i t. p. znalazło wynagrodzenie przezto że można będzie ciągnąć wiadrem wodę, po którą przedtem trzeba się tylko było schylić? Za waszém zdaniem, musielibyśmy opłakiwać wszelkie postępy mechaniki. Bo każdego skutkiem jest umniejszenie potrzeby siły czynnéj, to jest pracy. Czyliż dobrze zrobili flisy na *Oisie* w r. 1848, gdy zniszczyli zakłady i dworce kolei żelaznéj paryskiéj, dla tego że towary już na rzece nie

bywały halowane? Przecież z protekcyonistów nikt nieśmiał za niemi przemówić.

Pan Piotr. Ale bo flisy nie czynią żadnych wkładów, a zatem niemogą żądać protekcyi. Przeciwnie wielki fabrykant wkłada swój majątek będący częścią bogactwa narodowego, a zatem słusznie może żądać protekcyi od narodowego rządu. Weźmy jeden przykład na okazanie całéj ważności fabryk krajowych. Oto weźmy industryą świecową: czyliż może się kraj bez świéc obchodzić? a fabryki świéc czyliż nie upadną jakby tylko wszyscy mogli bezpłatnie domy swoje oświetlać?

Pan Wacław. Najprzód co do wkładu flisów, niemogę zdania waszego podzielić. Oni stawiają wszystko co mają, a większego wkładu nikt uczynić nie może. Przecież o tém inną razą, a teraz pomówmy o stracie wynikać mającéj dla narodu z upadku fabrykantów świéc. Myślę sobie nieraz jakabyto radość powstała pomiędzy temi panami gdyby słońce zaszło na wieczny spoczynek! Jaka to radość między fabrykantami sukna, gdyby chmura molów obsypywała peryodycznie i często nas wszystkich. Ale żeby naród był uszczęśliwiony ciągłem życiem przy świecach i nieustannem przebieraniem się — tego żaden protekcyonista nieraczył dotąd dowieść. Niema więc tak bardzo koniecznego związku między powodzeniem fabryki którejkolwiek pojedynczo wziętéj, a narodowém bogactwem. W tym przypadku fabrykacyi świéc, prawda że fabrykanci straciliby wiele na zmniejszeniu się odbytu, ale nieucierpieliby na tém konsumenci, i nie koniecznie podupadłby w ogóle przemysł narodowy. Upadną fabryki świéc przez sprowadzoną taniość oświetlenia, to natychmiast wynikająca oszczędność może dać początek formowaniu się nowych kapitałów, może też sprawić większy pokup innych wyrobów i obfitsze wynagrodzenie innych robót. Proszę widzieć co w Anglii stało się w skutek taniości chleba....

Pan Piotr. Wychodzicie po za wasze położenie, a nawet po za praktyczne stosunki. Zostawmy na boku ideologiczne szermierstwa z postaciami własnego utworu. My bierzemy rzeczy praktycznie. Powiadamy więc iż kraj obcy może wyrabiać produkta taniéj daleko od nas, bądź w skutek obfitości materyi surowych, bądź w skutek obfitości pieniędzy, albo przez inne przyczyny. Wtenczas produkt zagraniczny sprowadzony do sklepów naszych zniszczyłby do szczętu fabryki krajowe.

Pan Wacław. Muszę odpowiedzieć na zarzut niepraktyczności który zwykliście czynić jak tylko nadmienimy o zmianie jakiejkolwiek. Wszystko to zdaje się wam niepodobne, co dla was jest nowe: macie za niepraktyczne co dotąd niewidzieliście praktykowane. Czyż należy potępić rzecz niepoznawszy jéj dokładnie? Niepraktycznemi zwano lokomotywy w r. 1829, w téj saméj chwili, w któréj Stephenson wysyłał na próbę lokomotywę Rockets po kolei Liverpool-Manchester. Niedowiarka zgruchotała mściwa maszyna. Symboliczne to zdarzenie powinno być przestrogą dla *praktycznych* mędrców. Nietrzeba wyśmiewać i nazywać niepraktycznemi tych rzeczy których nierobiliście dotąd, i tych których dobrze nie znacie. Jest w człowieku duch niezmordowanego postępu objawiający się tylko w działaniu i któremu granice niełatwo przepisać. Rzecz jest możebną każda, jak tylko złą niejest — a rzecz możebna zostanie praktyczną przez oswojenie. Przebaczcie żem to zboczenie uczynił, dotknięty nieustannemi zarzutami niepraktyczności. — O czemże była mowa? Ah — fabryki świéc upadały a naród miał tracić na tém, że fabrykacya zmniejszoną a handel przywozowy powiększonym, zostały. Otóż uczynię te uwagi że konsumenci nietracą na tém iż światło będzie ich mniéj kosztować, a oni przecie nieposlednią część narodu tworzą. Kupcy trudniący się dowozem i handlem, także liczą się do narodu, a przynaj-

mniej liczyć się powinni. Jeźli zaś naród tak nieszczęśliwie jest usposobiony że ani handlu swojego niepotrafi utrzymać, ani prowadzić fabrykacyi na równi z narodami obcemi, jeżeli mówię, niema w narodzie ani kapitałów, ani nauki, ani pracowitości, czyliż prawa protekcyjne potrafią w tak martwą masę wlać życie? Los narodów jest wypadkiem ich własnego usposobienia: nieda się ustawami kierować. Dla czegoż fabrykant angielski niedba o protekcyą? Dla czego modli się o nią do ministerstwa fabrykant austryacki albo francuski? Bo Anglik pracuje, kiedy na kontynencie potrzeba protekcyi jednemu żeby miał czas politykować, drugiemu żeby przy kuflu piwa mógł fajkę tytoniu wypalić, trzeciemu.... ale mniejsza o to—Właściciele ziemscy angielscy którzy chcą protekcyi sami niesą gospodarzami. Dzierżawcy zaś o protekcyą nie stoją.....

Pan Piotr. A co do tego, dajecie się za daleko uwodzić zapałowi waszemu. Dzierżawców angielskich wielka liczba jest za protekcyą.

Pan Wacław. Zdanie wasze z mojem da się łatwo pogodzić..... Rzecz albowiem ma się w ten sposób. Czynsze zostały powszechnie wyrachowane na podstawie cen dawnych, zaś dzierżawcy zawsze dla zysku własnego starać się będą o zniżenie czynszów. Ale zysk dzierżawcy wypływa z różnicy pomiędzy jego dochodem ryczałtowym a rentą którą w czynszu płaci właścicielowi. Kiedy więc właściciele poczęli narzekać na upadek renty ziemnéj w skutek wolnego dowozu zboża, a to w celu obalenia ministrów, wnet skorzystali z tego narzekania, dzierżawcy. Oni powiadają bardzo słusznie: „albo żądajcie mniejszéj renty ponieważ uznajecie iż „ona upadła, albo przywróćcie protekcyą w któréj upa- „trujecie ratunek od takowego upadku". Wiedzą zaś bardzo dobrze że przywrócenie praw zbożowych jest wcale niemożebne. Żądanie dzierżawców angielskich jest

istotnie o zniżenie czynszów, a może najbardziéj o ustanowienie trwalszych stosunków dzierżawnych. Widzicie więc, iż obaj mamy prawdę za sobą. Słusznie mówicie, że wielu dzierżawców woła za protekcyą, ale przyczynę wam tłómaczę okazując w tém żądaniu sposób zniżenia czynszów a nic więcéj.

Pan Piotr. Gdyby Rządy nasze miały takie jak wy zasady, to granice stałyby otworem dla ziarna, bydła, i wyrobów z całego świata, a my umieralibyśmy z niedostatku.

Pan Wacław. Przeciwnie,—niebrakowałoby nam na niczém.

Pan Piotr. Zkądże pieniądze na zapłacenie tego napływu?

Pan Wacław. O to, proszę was, turbować się nie trzeba. Jakby niebyło pieniędzy, to niebędzie i dowozu. Mnie przecie zdaje się, że w handlu większym, niewszystko płacić się zwykło gotówką. Między jednym a drugim krajem następuje zamiana produktów, użyteczności i posług, a różnice wartości wypłacane bywają pieniędzmi. Jakby nasz kraj nic nieprodukował, a kopalni złota niemiał, toby nic w zamian niemógł otrzymać za nic. Hiszpania pomimo tego, że posiadała massy złota wydobytego niewolniczą robotą, nieprodukując nic pracą własną, została wkrótce z rzędu narodów bogatych wykreślona. Bo lenistwo jest samobójstwem narodów, a lenistwa piastunką protekcya. Takto wygodnie i miło robić bez natężenia pod zasłoną prawodawczego parawanu, którym protekcya otacza przemysł ospały, przeciw ożywiającym prądom współzawodnictwa! Ale gdzie nie leje się pot z czoła, tam postępu niebędzie, i niema błogosławieństwa.

Leon Rzewuski.

CHŁOPICKI W HISZPANII.

(*Ustęp z rękopismu* Romana hr. Załuskiego *pod napisem:* „Żywot jenerała Józefa Chłopickiego“.)

I.

.....Legia polsko-włoska zostawszy uzupełnioną i zreorganizowaną (r. 1807—1808) w Wrocławiu, otrzymała rozkaz udania się do Westfalii, a z tamtąd do Hiszpanii. Legia ta składala się pierwotnie z trzech pułków piechoty, z których każdy obejmując po dwa bataliony, nosił nazwę liczby porządkowéj (1szy 2gi i 3ci) i z pułku ułanów również zreorganizowanego w Wrocławiu, a znanego w szeregach armii francuskiéj pod nazwą 7go pułku. Pułk ten ułanów, który się w poprzednich walkach odznaczył w Niemczech pod dowództwem pułkownika Konopki, przeszedł późniéj pod rozkazy światłego i walecznego pułkownika Klickiego. Pod jego to wodzą pozyskał sobie 7my pułk ułanów tę świetną sławę, któréj pamięć przechowali wszyscy w wojnie téj mający udział Francuzi, Hiszpanie i Anglicy.

Pułkownik Chłopicki objął dowództwo 1go pułku legii, którą dowodził naczelnie jenerał brygady Grabiński. Lecz gdy jenerał ten za przybyciem legii do *Bajonny* wziął dymisyą, zamianował cesarz Napoleon dekretem w d. 7 czerwca 1808 z tegoż miasta datowanym, pułkownika Chłopickiego, jako najdzielniejszego z trzech pułkowników, dowódzcą legii, przemieniając zarazem jéj nazwę z „włosko-polskiéj“ na „nadwiślańską“ która jéj pozostała aż do upadku pierwszego cesarstwa.

Cesarz odbył przy téj sposobności przegląd legii nadwiślańskiej w *Bajonnie* i ujęty wzorowym porządkiem i wojskową postawą pięknego tego oddziału, wyraził pułkownikowi Chłopickiemu swoje zadowolenie. W krótce potem otrzymała legia rozkaz przejścia Pireneów i wkroczenia do Hiszpanii, w celu połączenia się z korpusem jenerała dywizyi Lefebvre Denouettes, przeznaczonym do zajęcia Aragonii. Jakkolwiek pułkownik Chłopicki mianowany był dowódzcą legii, od chwili jednak wcielenia jéj do powyższego korpusu, trzy owe pułki które ją składały rozrzucone pomiędzy dywizye francuskie, rzadko już miały sposobność działania razem.

Jeżeli Włochy były kolebką wojennéj sławy Chłopickiego, to Hiszpania stała się widownią znakomitych jego czynów, które nań zwróciły uwagę nietylko współziomków i wyższych oficerów, lecz samego nawet Napoleona. Wkrótce też liczono go do rzędu najznakomitszych jenerałów 3go korpusu. Ważny udział jaki Chłopicki miał w téj wyprawie, wkłada na nas obowiązek skreślenia obszerniéj jéj wypadków. [1])

---

[1]) W téj części pracy naszéj, odnoszącéj się do wojen na półwyspie, przyszły nam wpomoc objaśnienia dwóch zasłużonych oficerów, którzy walczyli w Hiszpanii pod rozkazami jenerała Chłopickiego. Jeden z nich: jen. por. Brandt zajmuje dziś wysoki stopień w armii pruskiéj, i słusznie pod względem znakomitych zdolności i światła do jéj ozdób należy; drugi: pułkownik Soczyński,

Stósownie do rozkazów Cesarza, opuściły trzy owe pułki legii nadwiślańskiéj *Bajonnę* udając się w pochód każdy oddzielnie, w przerwach parodniowych jeden po drugim, w celu połączenia się z korpusem ekspedycyjnym, mającym działać w Aragonii.

Pułk 1szy którym dowodził pułkownik Chłopicki, wyruszywszy naprzód, naprzód też zdążył do *Tudelli* w Nawarze, gdzie jenerał Lefebvre Denouettes tymczasowo miał główną kwaterę, a gdzie się już znajdował 7my pułk ułanów, który inne w pochodzie wyprzedził. Korpus ekspedycyjny składał się oprócz tych dwóch pułków świeżo przybyłych z 1go batalionu 70 pułku lekkiego, z 2 batalionów 15 pułku liniowego, oraz z 1go pułku pochodowego [2]) obejmującego dwa bataliony, nadto z 6 dział polowych i 1go moździerza. Bataliony niebyły jednak kompletne i korpus ekspedycyjny zgromadzony w *Tudelli* nieprzenosił 5,000 ludzi.

Siły te zbyt były słabe do zajęcia Aragonii, lecz niecierpliwy jen. Lefebvre niechcąc czekać, aż nadciągnie reszta wojska mającego wzmocnić jego korpus, puścił się 13 czerwca do *Mallan* w Aragonii, gdzie korpus hiszpański złożony z 10,000 ludzi, 400 jazdy z pułku *del Rey* i 18 dział zajmował pod rozkazami jenerała Palafoxa silne stanowisko.

Korpus ekspedycyjny wyruszywszy przededniem, ujrzał po kilku zaledwo milach pochodu, o godzinie 11téj

---

dawny adjutant i najbliższy świadek wszelkich zdarzeń dotyczących tego jenerała, znany jest ogólnie w kraju z zasług swych i niemniéjszéj od nich skromności. Obydwom oświadczamy tu wdzięczność naszą za niejeden szczegół wyjaśniający ten ustęp wojennego życia jenerała, które dzięki téj pomocy zestawiliśmy w całość i osnuli w jeden tok słyszane przez nas z własnych ust jenerała opowiadania.

[2]) Pułkami pochodowemi (de marche) nazywały się oddziały rozmaitych pułków i korpusów pozostałe w tyle, ktore formowano w pułki dla doprowadzenia ich do właściwych korpusów.

zrana, rozłożonego przed miastem nieprzyjaciela, którego prawe skrzydło opierało się o kanał królewski (real) i o rzekę Ebro, lewe zaś o góry wznoszące się niedaleko miasta.

Rozpoznawszy stanowisko nieprzyjaciela postanowił jen. Lefevre rzucić się na prawe jego skrzydło, aby mu przeciąć odwrot ku Saragosie, i rozkazał równocześnie pułkownikowi Chłopickiemu z 1szym pułkiem legii nadwiślańskiéj, z ułanami 7go pułku i dwoma działami obejść nieprzyjaciela od lewego skrzydła. Cztery bataliony zformowane w kolumny uderzyć miały w środek pozycyi nieprzyjacielskiéj.

Gdy kolumny te pomimo silnego ognia karabinowego i grzmiącéj ze wszystkich dział artyleryi hiszpańskiéj, śmiało postępowały naprzód, pułkownik Chłopicki natarł stanąwszy na czele ułanów polskich, wsparty nadto 1szym pułkiem legii nadwiślańskiéj i dwoma działami, tak dzielnie na lewe skrzydło Hiszpanów, iż zdjęci podziwem i trwogą nagłego tego uderzenia wytrzymać niemogli i w okamgnieniu stanowisko swoje opuścili.

Ruch ten wykonanym został tak spiesznie, że ani jeden strzał niepadł przy natarciu na prawe skrzydło i środek, a ścigający nieprzyjaciela ułani zaledwo tylko kilkudziesięciu mogli wziąść jeńców, lecz natomiast 500 przeszło ludzi szukając ocalenia rzuciło się w Ebro i tam zgon znalazło. Strata zwycięzców była tak nieznaczną, że się ograniczała na kilku żołnierzach; jeden tylko oficer od ułanów polskich w pogoni za uciekającymi utonął w nurtach rzeki.

Nazajutrz po téj utarczce korpus ekspedycyjny w dalszy udając się pochód tak ciągle napierał na nieprzyjaciela, iż ten napróżno usiłował nowe pod *Allagou* nad rzeczką Xalon zająć stanowisko, które za ukazaniem się tyralierów legii nadwiślańskiéj natychmiast opuścił, zdążając w szybkim odwrocie ku Saragosie.

W dniu trzecim t. j. 15 czerwca, korpus ekspedycyjny

puścił się znowu w pogoń za nieprzyjacielem. Dopadła go wreszcie przednia straż jego, złożona z 1 pułku legii nadwiślańskiéj i szwadronu ułanów polskich pod dowództwem pułkownika Chłopickiego, o pół mili [3]) od Saragosy wpośród wzgórzy zacienionych u stóp plantacyami gajów oliwnych i ogrodami, okrążającemi miasto. Pomimo że siły nieprzyjacielskie korzystnie rozłożone i zakryte łańcuchem tyralierów wynosić mogły do 5000 ludzi; niewahał się jednakże uderzyć na nie pułkownik Chłopicki. Za pierwszym zaraz strzałem przypadł jen. Lefebvre na miejsce i rozkazał pułkownikowi Chłopickiemu silny przypuścić atak. Na czele 1 pułku legii nadwiślańskiéj rzucił się tenże na nieprzyjaciela, opanował zajmowane przezeń wzgórza i zabrawszy mu dwa działa zmusił go do odwrotu. W dalszéj pogoni za wyparowanym ze wzgórzy nieprzyjacielem, zboczył pułkownik Chłopicki dla ominięcia gęstwiny oliwnych gajów i ogrodów, tamującéj mu pochód, w prawo na szeroki gościniec, i tam sformował w kolumnę pułk swój, który z powodu przepaścistości gruntu maszerować musiał bokiem. Lecz w chwili kiedy kapitan 1 plutonu tworzącego czoło kolumny zakomenderował zwrót „na prawo“ Hiszpanie dali ognia kartaczami z dwóch dział znajdujących się w bateryi pod bramą karmelitańską, o 60 sążni najdaléj odległą od miejsca gdzie zwrót wykonany został, a w skutku tego poległ pominiony kapitan, dwóch oficerów i 20 blizko grenadyerów. Wtedy Chłopicki donośnym swym głosem zakomenderował „ścisnąć szeregi“ i sam najpierwszy tak gwałtownie uderzył na owe działa, że Hiszpanie niezdążywszy ich nabić, opuścili je i sami w ucieczce szukali ratunku. Przednia straż pod dowództwem pułkownika Chłopickiego

---

[3]) Wszędzie gdzie w tym opisie mowa jest o milach rozumieć się mają mile francuzkie (lieu).

zmuszona jednak była pomimo téj odniesionéj korzyści wstrzymać się przy bramie miasta; morderczy bowiem ogień zionął ze wszystkich okien domów przyległych bramie, a szeregi w okamgnieniu tak się przerzedzać zaczęły, że Chłopicki dla uchronienia oddziału swego od większéj i bezowocnéj straty, rozstąpić mu się kazał na lewo i na prawo. Jenerał Lefebvre przybywszy na miejsce wysłał batalion francuzki, z którym tył oddziału zajmował, na odsiecz przedniéj straży. Lecz widząc niemożność opanowania bramy, przednią straż przy niéj zostawił, a batalionowi kazał zwrócić się w prawo i w innem miejscu wtargnąć do miasta. Jakoż rzeczywiście batalion francuzki trzymając się muru obwodowego, doszedł do bramy, od któréj straż trzymający chłopi na widok wojska uciekli i wolne mu wnijscie do miasta zostawili. Lecz pızebiegłszy kilka ulic musiała kolumna, rażona ze wszystkich okien strzałami, tem niezwłoczniéj opuścić miasto, że żadnéj znikąd niespodziewała się pomocy. Szczęściem w téj chwili batalion znajdował się w ulicy bardzo szerokiéj wiodącéj do źle strzeżonéj bramy, którą mógł się wycofać z miasta, ale mieszkańcy Saragosy na widok tego odwrotu i mnóstwa wśród miasta poległych żołnierzy francuzkich do tego stopnia nabrali odwagi, iż zbrojną uczyniwszy wycieczkę opanowywać zaczęli osobno stojące przedmiejskie domy, i z nich gradem kul razili Francuzów. Jenerał Lefebvre widząc się tak niepokojonym i bez sił dostatecznych do obrony, dał całemu swemu wojsku rozkaz odwrotu, który nastąpił w porządku.

Nagły ten atak na Saragosę wykonany w chwili kiedy Palafox z całém swém wojskiem uchodząc przed pogonią zaledwo się tamże schronił, pomimo nieuorganizowanéj jeszcze obrony téj fortecy; mógłby był może ze znaczniejszemi siłami ubiedz Saragosę, i oszczędzić w ten sposób długiego i zmudnego oblężenia, któremu

miasto to, dużo późniéj, w skutku na wieki pamiętnych wysileń równie ze strony heroicznego ataku jak mężnéj obrony, ostatecznie uległo.

Tym razem widział się jenerał Lefebvre znaglonym opuścić część miasta już przez wojsko swe zajętą i obrać stanowisko po za obrębem Saragosy w celu doczekania się na posiłki i środki potrzebne do przedsięwzięcia formalnego oblężenia.

Straty jakie 1szy pułk legii nadwiślańskiéj od początku w różnych utarczkach poniósł były znaczne, lecz nabrał on zato zaufania w waleczną nieustraszoność swego wodza, zaufania które podwajając męztwo każdego żołnierza najlepszą jest wróżbą wygranéj.

Korpus ekspedycyjny zajął stanowisko po drugiéj stronie kanału królewskiego (real) oparłszy prawe swe skrzydło o kanał, lewe o gościniec wiodący do *Maryi.* Wkrótce potem (23 czerwca 1808) dywizya *Grandjean* nadciągła z 2im pułkiem legii nadwiślańskiéj. Gdyby jen. Lefebvre zamiast spieszyć się i zaczynać ruch swój zaczepny od *Tudelli*, był czekał na owe posiłki, atak jego na Saragosę byłby pomyślniejszym uwieńczony skutkiem. W tym samym dniu, w którym ta dywizya nadeszła, polecił jenerał Lefebvre pułkownikowi Chłopickiemu wyprawę przeciw Epili małemu miasteczku w Aragonii, na drodze do Madrytu.

Epila położona w kraju górzystym przy gościńcu wiodącym do stolicy, będąc często odwiedzaną przez gerylasów i inne oddziały powstańcze, stała na przeszkodzie armii francuskiéj. Pułkownik Chłopicki zbadać miał na miejscu właściwy stan rzeczy i zażądać od miejskich i okolicznych mieszkańców dostawy żywności dla wojsk obozujących pod Saragosą. Miał on ich zarazem zawezwać do spokojności i pod tym warunkiem zapewnić im opiekę wodzów francuzkich. Kolumna oddana przy téj sposobności pod rozkazy pułkownika Chłopickiego

składała się z 560 ludzi z 1 pułku legii, ze słabego batalionu 15 pułku liniowego, liczącego zaledwo 400 ludzi, z oddziału jazdy obejmującego 50 ułanów polskich 7 pułku i z dwóch dział polowych, razem przeto nieco więcéj jak z 1000 ludzi.

Lecz zdaje się że jenerał Lefebvre mylnie był objaśnionym co do liczby nieprzyjaciela zajmującego w téj chwili Epilę, a nawet co do jéj odległości od obozu; odległość ta bowiem oznaczona na mil 5 wynosiła 7½ mili. Nieprzepomniawszy o żadnéj z ostrożności wojskowych, wyszedł Chłopicki o godz. 2éj po południu z obozu, i około godz. 10téj wieczorem stanął w półmilowym odstępie od Epili. Gdy się ku wieczorowi zapuścił w góry, chłopi ukryci wśród niedostępnych wiszarów i gerylasy z gęstwiny krzaków pokrywających te góry kilka wystrzałów dali do jego oddziału. Z podwójną czujnością i zastósowaniem wszelkich środków ostrożności dla zabezpieczenia sobie pochodu, udał się osobiście pułkownik Chłopicki do swojéj przedniéj straży składającéj się z 15go batalionu pod rozkazami szefa batalionowego, i rozkazał reszcie oddziału któremu chłop przewodniczył, w umówionéj za sobą postępować odległości. Lecz zaledwo dotarł do przedniéj straży, dał się słyszeć głos czaty hiszpańskiéj „Quieu vive“ (kto idzie) a powtórzywszy hasło, czata dała ognia. Pułkownik puścił się galopem na miejsce strzału, lecz już nie było nikogo, wbiegłszy jednak na wyżynę ujrzał pomimo ciemności nocy w dolinie miasteczko Epilę, oświetlone ogniem obozowém i mnóstwem krzyżujących się świateł, co mu niedozwalało wątpić że miasteczko przez znaczne siły było zajęte. W téj chwili mocny ogień dał się słyszeć w równoległéj od niego lecz nieco naprzód wysuniętéj linii. Rozkazał więc przedniéj straży nie ruszać się z miejsca a sam udał się spiesznie wraz z kilku ułanami ku miejscu gdzie ciągle słychać było strzały. Przybywszy

tam spotkał całą swoją kolumnę która zamiast iść wskazaną sobie drogą za przednią strażą, zboczyła na inną drogę również prowadzącą do miasta lecz nieco dalszą, i tam zderzywszy się z czatami Hiszpanów kilka z niemi zamieniła strzałów karabinowych. Po cofnięciu się czat kazał Chłopicki zaprzestać ogień i zabrawszy z sobą kolumnę do miejsca gdzie swą przednią straż zostawił, porozstawiać kazał placówki i widety i tak postanowił dnia oczekiwać. Przez całą noc widety niepokojone były przez Hiszpanów a w mieście i jego okolicach szerzył się zgiełk niezwykły świadczący widocznie o obecności znacznego korpusu w Epili.

Położenie pułkownika Chłopickiego było jak najkrytyczniejsze. Oddalony o $7^1/_2$ mili od obozu, bez nadziei posiłków znajdował on się w obec nieprzyjaciela przewyższającego liczbą widocznie jego siły. W takim stanie rzeczy wątpić nie można było że za pierwszym krokiem odwrotu silną znajdzie za sobą pogoń. Rozpocząć więc odwrót w kraju nieprzyjacielskim, najeżonym górami zajętemi przez bandy uzbrojonych chłopów, byłoby to narazić się na niechybną porażkę a może na zupełną stratę swego oddziału. Lecz Chłopicki posiadał w wysokim stopniu znakomity przymiot wodza: powzięcia na miejscu szybkiego i trafnego sądu; umiał nastręczające się trudności usuwać nagłém postanowieniem, które wykonywał natychmiast z rzadką energią doświadczonego żołnierza. W obecnym wypadku odwaga była jedyną drogą zbawienia, a tę nietylko honor wojskowy lecz i roztropność wodza obierać kazały. Przed świtem wszystko już było gotowe, zwiedził on sam wszystkie posterunki dając potrzebne i najszczegółowsze instrukcye oficerom i żołnierzom i przygotowując swój oddział do krwawych scen dnia który dla nich miał zajaśnieć. Przekonany z rozłożenia obozu nieprzyjacielskiego i z ostrożności jakiemi się tenże otaczał, że ma do czynienia z wojskiem

regularném i liczniejszém co do siły od swego, postanowił jednakże walkę z niém rozpocząć.

Za nadejściem dnia dokładniéj mógł rozpoznać stanowisko nieprzyjaciela i przekonać się że domysł go nie mylił. Rzeczywiście korpus armii hiszpańskiéj dowodzony przez brata Palafoxa Don Francisca i barona de Versage silną zajmował pozycyą przed miastem Epila, w celu przecięcia Francuzom komunikacyi z Madrytem. Prawe skrzydło nieprzyjacielskie oparte było o rzekę *Xalon* a lewe o miasto; z drugiéj strony miasta widać było obóz hiszpański między lasem oliwnym i górami *Sierra del Muel*. Co do sił liczyć można było nieprzyjaciela na 8000 piechoty, pułk jazdy i 4 działa. Prócz tego mnóstwo po większéj części uzbrojonego chłopstwa zalegało wyżyny otaczające Epilę. Piechota hiszpańska sformowana we dwie linie miała rezerwę swoją w tyle środka, a 4 działa przed frontem, nieco jednakże na lewo w miejscu górującém nad pozycyą. Przestrzeń między lasem oliwnym i górami *Sierra del Muel* zajmował rozwinięty pułk kawaleryi wraz z różnemi oddziałami piechoty. Szyk ten bojowy imponujący siłą jednę miał jednakowoż niedogodność, t. j. iż był za nadto rozciągłym. Niedogodność ta wzrosła jeszcze więcéj, gdy w początku utarczki Hiszpanie sformowawszy wielkie oddziały tyralierów bardziéj jeszcze front swój rozszerzyli w celu otoczenia francuzkiego oddziału.

Niezmieszany przewyższającą siłą przeciwnika odgadł natychmiast Chłopicki punkt jego najsłabszy, i korzystając z ruchu którym Hiszpanie zbytecznie szyk swój bojowy rozwlekli, rzucił się na ich środek z bagnetem w ręku i przełamał ich linię. Ku temu celowi sformował on swój oddział w trzy kolumny, z których pierwsza otrzymała rozkaz uderzyć na lewe skrzydło linii nieprzyjacielskiéj; druga najsilniejsza, natrzyć równocześnie na środek i bateryę, a trzecia wspierać atak kolumny

środkowéj. Utworzył prócz tego oddział rezerwowy złożony z dwóch kompanij pierwszego pułku legii nadwiślańskiéj, z 50ciu ułanów polskich i z dwóch dział. Oddział ten postawiony na krańcu lewego skrzydła drugiéj kolumny t. j. téj która uderzyć miała na środek nieprzyjacielski, winien był nietylko czuwać nad nieprzyjacielem który prawém swém skrzydłem zajmował las oliwny, lecz nadto w razie nieudania się ataku zasłaniać odwrót kolumny aż do miejsca przeznaczonego w takim przypadku na zebranie. Za drugim strzałem działowym miał się rozpocząć atak kolumny.

Utarczka wszczęła się silnym i dobrze prowadzonym ogniem, bez żadnego jednak skutku równie dla jednéj jak dla drugiéj strony. Tymczasem Hiszpanie usiłowali zajmując wielką liczbą swoich tyralierów coraz więcéj miejsca, prawém i lewém skrzydłem otoczyć przeciwnika. Chłopicki chwilę tę uznał za stósowną do rozpoczęcia ataku. Poprzedzony blisko 50 tyralierami stanął on na czele drugiéj kolumny mającéj uderzyć na środek nieprzyjaciela. Za drugim strzałem działowym jako umówionym znakiem na komendę „krok podwójny! naprzód, marsz“ kolumny jego ruch rozpoczęły. W miarę posuwania się kolumny którą pułkownik dowodził, ogień nieprzyjacielski równie z muszkietów jak z czterech jego dział coraz większéj nabierał siły. Pomimo tego kolumna nie zwalniając kroku bardzo blisko podeszła pod pozycyą Hiszpanów, a pułkownik kazawszy tyralierom swoim wstąpić w szeregi, dobył szpady i grzmiącym głosem zakomenderował „naprzód“!. Sam na czele mając tuż za sobą swoje wojsko z jednogłośnym okrzykiem „hura“ rzucił się na nieprzyjacielskie szeregi. W okamgnieniu dzielny ten oddział z pułkownikiem swoim na czele wpadł na bateryę, położył trupem niechcących się poddać Hiszpanów i zabrał cztéry działa hiszpańskie. Natychmiast potém natarłszy na linią środkową Hiszpa-

nów, złamał ją i nieprzyjaciela począł z taką zaciekłością ścigać, iż ten w zupełną poszedł rozsypkę. Atak pierwszéj kolumny na lewe skrzydło nieprzyjacielskie powierzony równocześnie szefowi francuzkiego batalionu niemniéj pomyślny uwieńczył skutek. Linia hiszpańska złamana w środku i na lewém skrzydle zmuszoną była opuścić pozycyę, którą uważała za niezdobytą. Wtedy to 50 ułanów odkomenderowanych do ścigania uciekających straszną zadali klęskę szczątkom nieprzyjaciela. Dla wyjaśnienia tego niesłychanego zwycięstwa, nadmienić wypada, że Hiszpanie po raz pierwszy narażeni byli na atak ułanów, broni dotąd im nieznanéj, a która użyta zręcznie i z odwagą jest jedną z najstraszniejszych. Ztąd uważano że ilekroć ułani polscy ukazali się w Hiszpanii na polu bitwy, szerzyli zawsze przestrach i trwogę. Co do band chłopstwa zajmujących wyżyny w okolicy Epili, te na początku zaraz porażki opuściły swe stanowisko i w okamgnieniu się rozpierzchły.

W dniu tym Hiszpanie prócz jeńców zostawili 600 poległych i rannych na placu boju i 4 ich działa wpadły w ręce zwycięzców. Gdyby jazda była liczniejszą, więcéjby można było wziąść jeńców, lecz i tak liczba ich dochodziła do kilkuset a pomiędzy nimi znajdował się oficer angielski wzięty w niewolę przez najmłodszego z oficerów polskich. Wtedy to dowiedziano się w obozie francuskim pod Saragosą że Anglicy biorą czynny udział w walce. Strata zwycięzców, dzięki dokładności ataku i szybkości jego wykonania, była mało znaczącą, ograniczała się bowiem na kilku żołnierzach poległych i kilkunastu rannych, w których liczbie znajdował się jeden niższy oficer.

Z początku téj rozprawy była chwila w któréj Hiszpanie brać zaczęli górę na skrzydłach, tak iż wśród wahającéj się szali zwycięstwa uważać można było bitwę za przegraną. Lecz przytomność pułkownika Chłopickiego

i jego wpływ nadały wkrótce ducha młodym żołnierzom z których każdy bił się przeciwko dziesięciu. Dzień ten przynosi największy zaszczyt Chłopickiemu nietylko z powodu danych dowodów jego waleczności, lecz nadto z powodu zręcznego i stósownego wyboru pozycyi, w saméj chwili kiedy bitwa zdawała się być przegraną. Ztąd imie jego nabrało takiego uroku i taki szerzyło postrach między Hiszpanami, że ilekroć późniéj kolumny ruchome miały czynić wycieczkę przeciwko powstańcom, starały się wprzód puścić pogłoskę że niemi Chłopicki dowodzi. Wróciwszy z wojskiem swojém w dniu 24 czerwca do obozu pod Saragosę, największe Chłopicki otrzymał pochwały od jenerała Lefebvre Desnouettes, który rozkazem dziennym w tym celu wydanym oświadczył zadowolenie swoje dowódcom i wojsku które miało udział w świetnéj rozprawie pod Epilą. Zwycięstwo to tém większą obudziło radość że w téj chwili rzeczy pod Saragosą nie najlepiéj stały. Cesarz otrzymawszy raport o wypadkach zaszłych 15 czerwca pod Saragosą, nie mógł z nich być zadowolonym. Wysłał on tam natychmiast posiłki, nakazując jenerałowi dywizyi Verdier objąć komendę korpusu mającego prowadzić dalsze oblężenie Saragosy. Jenerał ten przybywszy w kilka dni po bitwie pod Epilą wydał rozkaz wojsku zbliżenia się do miasta, z powodu jednak niedostateczności sił któremi rozporządzał, do przedsięwzięcia zupełnego obsaczenia twierdzy, zajął on na chwilę pozycyą bliższą opierając prawe swoje skrzydło o Monte Torrero a lewe o rzekę Ebro. Lecz aby się utrzymać w tym nowym systemie blokady należało wprzód stać się panem pozycyi Monte Torrero, położonéj zewnątrz obwodu miasta dobrze obwarowanego i bronionego przez załogę regularnego wojska liczącą 1200 ludzi. Z tego powodu naczelny wódz rozkazał jenerałowi brygady Habert uderzyć z brygadą swoją na lewe skrzydło pozycyi w chwili, kiedy pułko-

wnik Chłopicki miał z swoim pułkiem rzucić się na lewe skrzydło pod Monte Torrero.

Pomimo korzyści jakie jenerał Habert odniósł z początku nad Hiszpanami, wkrótce wstrzymanym on został w dalszym swym ruchu przy przejściu kanału królewskiego, na którym most zdjęli cofający się Hiszpanie. Chłopicki nie spotkawszy żadnych na drodze swéj przeszkód uskutecznił atak, któremu nieprzyjaciel wyparty z pozycyi na prawém skrzydle nie długo mógł się opierać, trwoga albowiem ogarnąwszy resztę załogi spowodowała rozsypkę a następnie zdobycie Monte Torrero. Tak więc ważny ten szaniec źle broniony, wpadł w ręce francuzkie po oporze mało czyniącym zaszczytu odwadze obrońców. Ci sami jednakże Hiszpanie jakto zobaczemy, późniéj zaczepieni w mieście bronili się jak lwy. Lud Saragosy przypatrujący się naocznie wzięciu Monte Torrero, rozjątrzony stratą, głośno domagał się głowy komendanta téj pozycyi, który téż rzeczywiście w dniu tym samym był osądzony, skazany i rozstrzelany.

Dnia 30 czerwca przybył do obozu pułkownik Piré z brygadą świeżego wojska któréj część tworzył trzeci pułk legii nadwiślańskiéj, prowadząc z sobą niecierpliwie przez jenerała oczekiwany wielki park artyleryi nieodzownie do działań oblężniczych potrzebny. Nowe te posiłki dozwoliły jenerałowi Verdier nietylko na większą skalę urządzić obsaczenie twierdzy, lecz nawet atak do samego miasta przypuścić. W tym celu uczynił on w dniu 2 lipca potrzebne rozporządzenia; lecz ażeby atak skuteczniejszym uczynić postanowił opanować wprzód klasztór Św. Józefa, który położeniem swojém ruchowi jego przeciwko miastu samemu znaczne mógłby stawiać przeszkody. Przewidując silną na tym punkcie obronę zamierzył zrobić dobry wybór wojska i polecił pułkownikowi Chłopickiemu z pierwszym pułkiem legii nadwiślańskiéj dodając mu w pomoc 15ty pułk liniowy,

wykonanie tego przedsięwzięcia. Jenerał nieomylił się co do rozpaczliwéj na tym punkcie obrony. Najstraszliwsze uderzenie wojska tak silnie było w istocie odparte, iż jenerał przez chwilę odstąpić chciał od swego zamiaru. Lecz Chłopicki stanąwszy na czele 2ch kompanij pierwszego pułku legii nadwiślańskiéj natarł ponownie na klasztór i postrzegłszy furtkę prowadzącą do klasztornego ogrodu kazał drzwi kolbami wysadzić i wtargnął nią sam najpierwszy idąc na czele swego oddziału. Tym sposobem utorował drogę reszcie swojego wojska i silnie rzuciwszy się na Hiszpanów broniących się zacięcie opanował w końcu klasztór. Pomyślność ta okupioną jednak została znacznemi stratami, w pierwszym bowiem pułku legii nadwiślańskiéj padło w tym dniu 75 ludzi, a pomiędzy nimi dwóch oficerów, i do 100 blizko było rannych, w których liczbie znajdował się jeden kapitan.

Jak tylko Francuzi zostali panami klasztoru Św. Józefa, kazał jenerał Verdier natychmiast otworzyć przekopy. Działanie to pomimo silnych i częstych wycieczek oblężonych wykonywaném zostało bez przerwy aż do trzeciéj paralleli na któréj następnie ustawiono bateryę przeznaczone do robienia wyłomów w murach miasta. W tym czasie nowe posiłki nadciągły do obozu składające się z najpiękniejszych i najdawniejszych pułków armii francuskiéj, t. j. z 14go i 44go pułku liniowego, i wskutku tego postanowiono szturm przypuścić. Armia oblężnicza wynosiła 15,000 ludzi i duch jéj był wyborny.

D. 3 sierpnia w nocy wyrąbano drzewa zasłaniające bateryę wyłomowe, a 4go o świcie bateryę te rozpoczęły w trzech różnych punktach ogień do murów miasta. W krótce trzy wyłomy zostały otwarte, jeden w murach miasta naprzeciwko zamku, dwa inne jeden z lewéj drugi z prawéj strony bramy *Santa Engracia.* Jenerał Verdier uważając wyłomy za dostateczne do przejścia,

zformował trzy kolumny chcąc przez nie siłą wtargnąć po za mury. Ku południowi wojsko przeznaczone do szturmu rozpoczęło szybki ruch ku wyłomom.

70ty pułk liniowy i 1szy pułk legii nadwiślańskiéj zajęły wyłom rzuciwszy się nań z prawéj strony *Santa Engracia* a Chłopicki któremu pod rozkazami jenerała Haberta polecony był ten atak, wypędził Hiszpanów z samego klasztoru *Santa Engracia*. Punkt ten był ogniskiem niepokonanych niebezpieczeństw. Blanki murów zionęły ogniem na całéj linii, wyłomy pozatykano worami napełnionemi ziemią, a z po za tego schronienia bronili się Hiszpanie z bohaterską odwagą. Lecz kolumna prowadzona przez Chłopickiego usuwa wszelkie zawady i po niesłychanych wysileniach wkracza nakoniec w miasto. Nie mogąc się tam inaczéj dostać jak przez na pół zburzone mury, dające jedyne przejście do klasztoru *Santa Engracia* i rozpaczliwie przez oblężonych bronione, kazał pułkownik Chłopicki kapitanowi z pułku woltyżerów Mühlbergowi [4]) rzucić się na nie na czele swojéj kompanii. W chwili wykonania tego rozkazu Chłopicki ujrzawszy miejsce na murze obwodowym ogołocone w téj chwili z obrońców, którzy rzucili się na inny punkt zagrożony, dostał się po barkach czterech grenadyerów, którym iść za sobą rozkazał, na mur a następnie wewnątrz twierdzy. Kapitan Mühlberg złamawszy na czele swoich żołnierzy opór oblężonych i wtargnąwszy na mury niepomału był zdziwionym gdy sądząc się być pierwszym znalazł tam już swego pułkownika, który z szpadą w prawéj i z kapeluszem w lewéj ręce resztę swojego wojska wzywał za sobą.

Zostawiwszy w zdobytym klasztorze *Santa Engracia* 70ty pułk liniowy, zapuścił się Chłopicki z swym puł-

---

[4]) Późniéj dostąpił rzeczony kapitan stopnia generała w armii polskiéj.

kiem głębiéj w miasto ulicą tejże saméj nazwy aż do klasztoru Św. Franciszka położonego na rogu ulicy *Santa Engracia*, wychodzącéj na *Cosso* najrozleglejszą ulicę Saragosy, liczącą 40 metrów szerokości i dzielącą to miasto na dwie równe części. Lecz przybywszy pod gradem wszelkiego rodzaju pocisków aż do placu Św. Magdaleny, tak zacięty znalazł opór, że mu niepodobném było zapuszczać się daléj. Żołnierze hiszpańscy z pomocą całéj ludności Saragosy nie wyłączając nawet kobiet i dzieci na wszystkich punktach silną stawiali obronę. Wciskali się oni i rozpraszali wszędzie, tak w ulice jak w domy które zdobyto, i zajmowali wszystkie przyległe ulice zagrażając w ten sposób z boku nieprzyjacielowi. Wojsko otoczone ze wszech stron, brane na cel w chwili gdy z dachów rzucano kamienie lub z okien i otworów piwnicznych strzelano, w własnéj odwadze nadaremnie szukało zbawienia. Zbyt nierówną była walka przeciwko całéj ludności miasta szerzącéj morderczy ogień, i przeciwko gradowi kartaczy sypanemu z dział które się udało powstańcom zatoczyć w poprzek ulicy *Cosso*. Nieład wtargnął pomiędzy oblegających, zaczęli się rozpraszać, każdy bił się pojedynczo lub nacierał na nieprzyjaciela. „Traf tylko rozstrzygał w tém zamieszaniu“ mówi urzędowy raport. Wśród téj strasznéj wrzawy starał się pułkownik Chłopicki utrzymać o ile można między wojskiem swojém porządek; widziano go wszędzie gdzie największe groziło niebezpieczeństwo, uderzał na nieprzyjaciela na czele swych żołnierzy, zdobywał barykady i opanowywał domy, z których Hiszpanie strzelali na wojsko. W najgorętszéj chwili téj krwawéj łaźni staje obok niego jenerał Lefebvre Desnouettes i pyta dla czego nie idzie naprzód? Chłopicki nieodrzekłszy ani słowa, dobywa szpady i „naprzód“ zawołał zwracając się ku swoim żołnierzom. Żołnierze idący za jego głosem padają trupem lub wszyscy odnoszą rany. Lecz pułkownik niewstrzy-

muje swego pochodu na drodze zasłanéj trupami, i wzywa za sobą swoich oficerów i żołnierzy. Na ten głos nieustraszonego swego wodza w niebezpieczeństwie, kilku oficerów i 30 blisko żołnierzy, po niesłychanych wysileniach zdołało w końcu przedrzeć się do niego. Na czele téj garstki walecznych, rozprasza on wszystko cokolwiek przed sobą napotyka i stara się dostać do uliczki l'*Arco de Ceneja* postanowiwszy zabarykadować się w którym z domów i bronić się coraz rosnącéj liczbie napastników, a w każdym razie drogo sprzedać życie. Lecz zaledwo w tym kierunku kilka postąpił kroków, kartacz trafia go poniżéj kolana w lewą nogę i powala o ziemię zbroczonego we krwi. Chirurg, major z jego pułku p. Kiss (imie jego zasługuje na wzmiankę) znajdując się tuż obok niego, spieszy obejrzyć jego ranę, lecz w chwili operacyi trafiony kulą działową która mu obie nogi urwała, pada i wkrótce oddaje ducha. Wtedy to otaczają pułkownika grenadiery z jego pułku i tworząc barykadę z własnych swych piersi unoszą go na barkach. Byli oni tyle szczęśliwi, że go donieśli do miejsca w którém mógł być opatrzonym, lecz kilku jeszcze z nich rażonych było od kul nieprzyjacielskich.

Atak dwóch innych kolumn które poszły do szturmu, tego samego doznał losu co kolumna Chłopickiego. Strata Francuzów w krwawym tym dniu wynosiła 500 ludzi w zabitych, a 1500 w rannych. W liczbie ostatnich znajdowali się sam jenerał Verdier, jenerał Lefebvre Desnouettes i mnóstwo oficerów wszelkich stopni. Wojsko oblężnicze pozostało jeszcze przez dni 8 częścią w mieście z którego dotąd niezostało wypartém, częścią w obozie rozłożonym pod murami miasta. Dnia 13 korpus oblężniczy odebrał rozkaz odstąpić od oblężenia i udać się do Melagno, Caporosa, Villa-franca w tyle Aragonii, dla zasłonienia lewego skrzydła armii francuskiéj, która w téj epoce zmuszoną była cofnąć się nad Ebro. Jene-

rał Verdier zdając raporta o oblężeniu Saragosy nieszczędził pochwał słusznie należących się wojsku francuzkiemu, lecz mniéj słusznie sobie postąpił pomijając milczeniem Polaków i nieczyniąc najmniejszéj wzmianki o ich nieustraszonym wodzu, którego waleczność była przecież podziwem całéj armii.

Stan w jakim wojsko znajdowało się, przybywszy na miejsce swego nowego przeznaczenia, niebył zadawalający. Straty od kul nieprzyjacielskich i chorób, były znaczne; wyżsi oficerowie po większéj części ranni; niektóremi pułkami dowodzili kapitanowie, a kompaniami sierżanci. Lecz zwolna zapełniły się łuki, wojsko odzyskało zaufanie, a duch jego cierpieniami zachwiany podniósł się nanowo.

Co do pułków legii nadwiślańskiéj, wyborny duch przez Chłopickiego w nich zaszczepiony, objawiał się nawet w czasie jego nieobeności przedłużonéj do trzech miesięcy, z powodu jego rany. Kilka tygodni wystarczyło do przywrócenia im téj męskiéj wiary w siebie i téj ścisłéj karności, jaka odznaczała wyborowe to wojsko.

Klęski jakich w ówczas armia francuska na wszystkich punktach w Hiszpanii doznała, a które zmusiły króla Józefa opuścić Madryt, skłoniły cesarza po szczęśliwém ukończeniu konferencyi w Erfurcie, udać się osobiście do Hiszpanii i objąć dowództwo swoich armii. Dnia 6 listopada 1808 r. złączył on się z bratem swoim Józefem, który po odwrocie swym z Madrytu znajdował się nad Ebro. Przybycie jego zmieniło postać rzeczy. Operacye z większą kombinowane przezornością i wykonane z energią nosiły tę cechę, która oznacza wielkiego mistrza sztuki wojennéj. Zreorganizował on na nowo swoją armię, w skutku czego marszałek Lannes objął komendę połączonych korpusów przeznaczonych do działania w Aragonii przeciwko armiom jenerałów Castanos i Palafoxa, wynoszącym do 60 tysięcy ludzi, które zbli-

żały się właśnie ku Tudelli. Ci dwaj jenerałowie hiszpańscy, których wojska upojone były świeżemi zwycięstwami pod Baylen i świetną obroną Saragosy nie marzyli ni mniéj ni więcéj jak o całkowitem zniesieniu armii francuskiéj.

Marszałek Lannes zgromadził 7 listopada wszystkie wojska 3go korpusu w Ludosie pod rozkazami marszałka Moncey. Sam udał się do Lograno, a ztamtąd daléj w pochód z dywizyą Lagrangea z 6go korpusu i z brygadami Colberta i Dejeana. W tym samym dniu napotkał on dwie nieprzyjacielskie armie na wyżynach Tudelli, rozdzielone od siebie przeszło dwumilową przestrzenią. Bez straty czasu rzucił się marszałek na armią Palafoxa, która mu była bliższą. Armia ta złożona z Aragończyków waleczniejszych, dzielniejszych i więcéj nadto przez świeże zwycięstwa od innych Hiszpanów owionionych zapałem, z wielkiem walczyła męstwem. Niemogli oni jednakowoż odeprzyć silnego tego napadu, i do nagłego zmuszeni byli odwrotu, w chwili kiedy jazda francuska obtoczyła prawe ich skrzydło i dokonała porażki armii Palafoxa. Po tém zwycięstwie zwraca się marszałek Lannes ku Castanosowi i uderza na jego armią, chcącą zająć tył Francuzom w celu otoczenia ich i odcięcia im odwrotu. Brygada jenerała Haberta rzuciła się w tejże saméj chwili pierwsza z bagnetem w ręku na nieprzyjaciela, złamała jego szyki i przygotowała zwycięstwo, które w krótce stanowczo odniesionem zostało. Brygada ta złożona była z 14go pułku liniowego francuskiego i z pierwszego pułku legii nadwiślańskiéj, dowodzonego przez pułkownika Kąsienowskiego z przyczyny rany, która trzymała Chłopickiego zdala od placu boju. W Tudelli zostawił nieprzyjaciel w rękach zwycięzcy wielki park artyleryi, 30 dział, mnóstwo pakunków i jeńców, nielicząc w to straty 4000 ludzi, którzy w ucieczce utonęli w Ebro. Kiedy późniéj po powrocie swym

z Elby cesarz Napoleon, wysiadając na ląd w Canne pierwszy swój rozkaz dzienny wydał do armii, nieprzepomniał on o bitwie pod Tudellą w pośród 14stu najznakomitszych zwycięstw które uwieczniły sławę armii francuskiéj. Pierwszy pułk legii nadwiślańskiéj mógł być więc dumnym że się przyczynił do zapewnienia tego zwycięstwa.

Marszałek Lannes puściwszy się osobiście w pogoń za Castanosem rozkazał marszałkowi Moncey ścigać Palafoxa, który po swéj porażce pod Tudellą cofał się ku Saragosie.

Moncey nieczując się na siłach aby mógł dotrzeć aż do tego miasta, wstrzymał się na brzegach Xalonu w celu czekania na wojsko, które się z nim miało połączyć i rozkazał równocześnie swéj inżynieryi i artyleryi, przygotować wszystko do ponownego oblężenia Saragosy.

Na dniu 19 grudnia przybył 5ty korpus składający się z dwóch dywizyj Gazana i Sucheta pod rozkazami marszałka Mortier i liczący 18000 ludzi. Trzeci korpus składał się z trzech dywizyj, z których pierwszą dowodził jenerał Grandjean, drugą jenerał Mounier, a trzecią jenerał Morlot. Lecz korpus ten, który jakeśmy widzieli narażony był od początku wojny na znaczne straty, liczył w szeregach swoich obecnie zaledwo 14000 ludzi. Należało prócz tego do niego jeszcze 6 kompanij artyleryi, 8 kompanij saperów, 3 kompanie minierow i 40 oficerów od inżynieryi. W korpusie tym 3 pułki legii nadwiślańskiéj w następujący sposób były rozdzielone: pierwszy pułk legii nadwiślańskiéj w pierwszéj brygadzie (pod jenerałem Brun) drugiéj dywizyi (pod jen. Mounier); drugi pułk legii nadwiślańskiéj, w pierwszéj brygadzie (pod jenerałem Habert) pierwszéj dywizyi (pod jenerałem Grand-Jean); trzeci pułk legii nadwiślańskiéj w drugiéj brygadzie (pod jenerałem Laval) téjże saméj dywizyi.

W dniu 26 grudnia oba połączone korpusy 5ty i 6ty udały się ku Saragosie, 3ci korpus prawym brzegiem rzeki Ebro, t. j. po téj stronie, na któréj to miasto leży, 5ty lewym brzegiem tejże rzeki. Marszałek Mortier dowodzący tym ostatnim korpusem, złożonym z starych i wybornych pułków, świeżo sprowadzonych na linią bojową, trzymał się opodal, poprzestając na roli pomocnika tak iż w początku cały ciężar tego oblężenia spoczywał na trzecim korpusie, który będąc liczebnie najsłabszym tyle już był ucierpiał.

Przy tém drugiem oblężeniu Saragosy równie jak przy pierwszém pułkownik Chłopicki miał znów sposobność odznaczenia się całym zasobem swoich talentów wojskowych. W opowiadaniu tem przebiegniemy wypadki oblężenia odnoszące się szczególniéj do czynów przez niego dokonanych.

Gdy się marszałek Moncey zbliżył do Saragosy, za pierwszą uznał potrzebę wyprzeć nieprzyjaciela z silniejszéj zajmowanéj przez niego pozycyi pod miastem w Monte-Torrero, i znów pułkownik Chłopicki odebrał rozkaz opanowania tego stanowiska, które jak sobie przypomnieć można z przeszłego oblężenia raz już był zdobył. Na czele pierwszego pułku legii nadwiślańskiéj, uderzył on z bagnetem w ręku tak silnie na nieprzyjaciela, iż rozproszywszy go stał się panem pozycyi. Takim był krok pierwszy jego przy tém drugiem oblężeniu. Marszałek Moncey będąc naocznym świadkiem tego świetnego zwycięztwa oświadczył pułkownikowi Chłopickiemu najżywsze swoje zadowolenie. Przypominamy sobie przy téj sposobności co Chłopicki opowiadał o smutném jednem zdarzeniu jakie tylko wśród okropnéj wojny zajść może, a którego był świadkiem wraz z wojskiem swojem obecném przy wzięciu Monte-Torrero. Pewien młody żołnierz 14go pułku liniowego poznawszy swojego brata z którym się od chwili opuszczenia ro-

dzinnéj strzechy niewidział, w szeregach innego świeżo nadeszłego pułku, przybiega doń i rzuca się w jego objęcia, a kiedy wpośród tego uścisku pełnego braterskiéj miłości zapominają o niebezpieczeństwie, pada kula działowa, ostatnia jaką cofający się Hiszpanie przesłali i kładzie trupem obydwóch nieszczęśliwych braci.

Po wzięciu Monte-Torrero kilka dni upłynęło bez żadnego ważniejszego wypadku. Tymczasem jenerał inżynieryi Lacoste układał plan uderzenia na miasto i proponował wykonać go na trzech różnych punktach. Pierwszy atak miał być wymierzony przeciw zamkowi *Aljaferia* czyli inkwizycyi, dla przecięcia komunikacyi między tym zamkiem i resztą miasta. Drugi atak miał na celu wyprzeć nieprzyjaciela z zajmowanéj przezeń pozycyi przy ujściu Huerba, rzeki wpadającéj do Ebro. Trzeci nakoniec miał być skierowanym przeciw klasztorowi ś. Józefa, będącemu punktem najsilniejszym i najlepiéj bronionym przez trzechtysięczną załogę najodważniejszego wojska aragońskiego.

Po przyjęciu tego planu przez marszałka Moncey zajęto się natychmiast w nocy z d. 29 na 30 grudnia otwarciem przekopów.

Równocześnie usypano bateryе uzbrojone w działa wielkiego kalibru dla robienia wyłomów w punktach ataku powyżéj oznaczonych. Zanim wydanym został rozkaz do ataku przesłał marszałek Moncey przez parlamentarza dość korzystne propozycye kapitulacyi, zabezpieczające poszanowanie dla religii, pewność osobistą i nienaruszenie własności. Palafox odpowiedział na to wezwanie że mury miasta dotąd są nietknięte, i że gdyby nawet w gruzy już były zamienione, mieszkańcy Saragosy wolą wraz z swoją dzielną załogą raczéj grób swój w nich znaleźć aniżeli się poddać. W pomoc temu postanowieniu nazajutrz oblężeni uczynili ogólną wy-

cieczkę, wspartą ogniem wszystkich ich dział wałowych, lecz silnie ze znaczną stratą równie w zabitych jak w rannych odparci, zostawiwszy blisko do 100 jeńców w rękach nieprzyjaciela cofnąć się musieli do miasta. Porażka ta jednak niezniechęciła ich od czynienia częstych i silnych wycieczek dla stawiania zapory pracom oblegających. Ogień ich dzień i noc prawie nie ustawał i grad bomb i granatów padał bez przerwy prawie na ich przekopy.

Z rana d. 9 stycznia 1809 r. cztery bataryе francuskie złożone z 32 dział wielkiego kalibru, pomiędzy któremi znajdowało się 8 moździerzy zaczęły robić wyłom w murze klasztoru św. Iózefa. Przez cały dzień Hiszpanie zacięty stawiali opór, lecz ku wieczorowi bateryе ich zamilkły gdyż mur klasztoru silnie uszkodzony zagrażał ruiną i przywaleniem oblężonych. Następującéj nocy 200 ochotników hiszpańskich oczyściwszy wyłom z naniesionych gruzów uczynili wycieczkę drogą ukrytą i rzucili się z rozpaczliwą odwagą niespodziewanie na bateryе francuzkie. Lecz przyjęci silnym ogniem kartaczowym zmuszeni byli do odwrotu utraciwszy prawie połowę ludzi. Nazajutrz bateryе francuzkie rozpoczęły straszny ogień, i gdy już wyłom zdawał się być dostatecznym, wieczorem dnia tego przypuszczono szturm i klasztor św. Józefa został zdobyty. Pułkownika i więcéj niż 100 ludzi wzięto w niewolę, reszta zaś załogi zdołała się cofnąć do miasta.

Atak na zamek Aljaferia udał się podobnież: nie z takim jednakże skutkiem powiodło się uderzenie na nieprzyjaciela przy ujściu Huebry do Ebro, w trzy dni dopiero bowiem zdołali Francuzi wyparować go z pozycyi, do czego się pułkownik Chłopicki na czele swego pułku dzielnie przyczynił.

Pomimo jednak częściowo odniesionych korzyści, smutném było w ogóle położenie armii francuskiéj przy o-

blężeniu Saragosy. Cała Aragonia powtórnie wywiesiła sztandar powstania; ze wszech stron oblegający otoczeni byli niezliczonemi bandami Gerilasów, przecinających im komunikacyą; od dwóch już tygodni wojsko ograniczone było na pół racyi chleba, a pozbawione zupełnie mięsa. Z drugiéj strony chociaż kilka dni byłoby wystarczyło do zamienienia w gruzy murów miasta, należało się przygotować wewnątrz niego na obronę podobną do téj, jakiéj Francuzi doświadczyli w czasie pierwszego oblężenia, gdzie każdy dom stawał się twierdzą, którą trzeba było kosztem krwi zdobywać. Sam jeden 3ci korpus nie mógł temu zadaniu podołać. Na szczęście przybycie marszałka Lannes w d. 22 stycznia wybawiło armią francuską z tego smutnego położenia. Lannes objął naczelne dowództwo 5go i 3go korpusu armii a jenerał Junot książe d'Abrantès zastąpił marszałka Moncey w dowództwie 3go korpusu.

Marszałek Lannes połączył w chwili swego przybycia obydwa korpusy armii w celu dalszego oblegania, i wydał natychmiast rozkaz marszałkowi Mortier znajdującemu się na lewym brzegu Ebro w Catalajud, nadciągnąć z 5tym korpusem do obozu pod Saragosę. Dywizya jenerała Sucheta wydzielona była z tego korpusu dla rozpraszania licznych band Gerilasów, krążących po kraju i odcinających komunikacyę i dowóz żywności, któréj brak czuć się już dawał w obozie. Jenerał Suchet wywiązał się szybko i ze zwykłą sobie zręcznością z tego zadania. Szczęśliwa ta zmiana rzeczy wpłynęła korzystnie na dalsze działania armii francuskiéj zgromadzonéj pod murami Saragosy. Rozpoczęto silniéj i dokładniéj oblężenie, wzniesiono 8 nowych bateryj wyłomowych, a w d. 26 stycznia 50 dział rozpoczęło od rana straszny ogień przeciwko murom miasta. Nazajutrz o świcie ogień ten groźniejsze jeszcze przybrał rozmiary, a

wpołudnie dnia tegoż wojsko przęznaczone do szturmu, stanęło pod bronią.

Marszałek Lannes zważywszy, że klasztor Santa Engracia ważny punkt stanowi, i że atak nań nietylko znacznych sił wymaga, lecz nadto zręcznego i odważnego dowódzcy, powierzył pułkownikowi Chłopickiemu wykonanie tego najtrudniejszego epizodu ze strasznego odegrać się mającego dramatu. Lecz ponieważ Hiszpanie zwykli byli podsadzać miny w miejscach w których się lękali ataku, jenerał inżynieryi Lacoste kierujący robotami oblężniczemi, kazał dla uniknienia niebezpieczeństwa grożącego kolumnie dowodzonéj przez pułkownika Chłopickiego, poprzedzić ją dwoma kompaniami i 30 saperami, mającymi zbadać miejscowość. Na dany znak przebiegł kapitan Nagrodzki na czele dwóch kompanij legii nadwiślańskiéj i saperów francuskich 12sto sążniową przestrzeń dzielącą brzegi Huerby od stóp murów klasztoru. Stanął on pierwszy na wyłomie pod ogniem muszkietowym skierowanym ze wszech stron przeciw jego wojsku, lecz zaledwo pierwszy krok postawił na murze, dwie kule przeszyły mu piersi i położyły go trupem. Kompanie jego niemniéj jednak szły daléj i nie bez wielkich trudów wtargnęły i osadowiły się na wyłomie. Jenerał Lacoste czekając z zegarkiem w ręku aby minął czas oznaczony do wybuchu miny przez niego podsadzonéj, trzymał za rękę pułkownika Chłopickiego drżącego z niecierpliwości aby nieść pomoc dzielnym swoim żołnierzom, którzy poprzedzili kolumnę idącą do ataku. Nakoniec uczuwszy rękę swą wolną, rzucił się Chłopicki krokiem szturmowym na czele reszty swego pułku na wyłom w towarzystwie swoich żołnierzy, równie jak ich pułkownik niecierpliwych, pójścia w pomoc swoim współbraciom i z straszliwym okrzykiem „hura! trzymajcie się, idziemy do was“, w jednéj chwili wpadli na wyłom, wyparli Hiszpanów i opanowali klasztor. Krok ten zwy-

cięski niezatrzymał Chłopickiego w pochodzie, który zdobywszy jeszcze inny klasztor zwany Encalzas, zajął wszystkie domy położone na placu Santa Engracia. Lecz widząc się narażonym na ogień kartaczowy miotany z małéj uliczki wychodzącéj na plac, puścił się w tym kierunku i zabrał dwa działa zionące kartaczami na jego wojsko. Jakkolwiek pewnym był, że na tym punkcie nic mu się już daléj oprzeć nie będzie mogło, dla większego jednak bespieczeństwa założył plac broni na rynku Santa Engracia chcąc mieć punkt oparcia w pośrodku miasta.

Przy wzięciu klasztoru Santa Engracia poległo 200 ludzi ze strony Hiszpanów i kilkuset jeńców zostało w rękach zwycięzców. Pierwszy pułk legii nadwiślańskiéj opłakiwał stratę 30tu ludzi zabitych, nie licząc w to wielu rannych. Jenerał Brun w raporcie swoim tak się wyraził o téj rozprawie: „Pułkownik Chłopicki przyczynił się na czele swego 1go pułku legii nadwiślańskiéj zimną krwią, nieustraszonością i przytomnością umysłu szczególniéj do pomyślnego skutku téj potyczki. Za jego przykładem wszyscy oficerowie, podoficerowie i żołnierze dali dowód najdzielniejszego męztwa. Pułkownik zasłużył sobie ze wszech miar na względy J. C. M. Cesarza i Króla“. Inna pochwała wojsku polskiemu oddana w tém zdarzeniu niemniejszą zapewne ma cenę, wyszła ona z ust prostego grenadyera francuskiego, który będąc świadkiem świetnych czynów, jakiemi się 1szy pułk legii nadwiślańskiéj w dniu tym odznaczył, zbliżył się do jednego z oficerów tego pułku i rzekł doń te słowa: „Jakże z takimi ludźmi kraj wasz mógł utracić istnienie?“

Marszałek Lannes przybywszy na miejsce dla przekonania się o wszystkiém co zostało dokonaném tak był uradowany, że w słowach pełnych zapału wyraził zadowolenie swoje Chłopickiemu i chcąc mu dać dowód jak

go wysoko ceni, powierzył mu honorowy posterunek naczelnego dowódcy przy szturmie na środek miasta. Pomimo bowiem wielkich odniesionych już korzyści najtrudniejsza część dzieła pozostała jeszcze do spełnienia.

Plac broni, który pułkownik Chłopicki jakeśmy wyżéj wspomnieli założył na placu Santa Engracia, stał się wielką w trudném zdobyciu reszty miasta pomocą. Chłopicki przewidywał że Hiszpanie uczuwszy żywo poniesione straty, a szczególniéj stratę domów położonych po prawéj stronie klasztoru, zapewniających komunikacyą ze środkiem miasta, użyją wszelkich sił do odebrania tego tak ważnego punktu w obronie miasta. Przygotował on się przeto do odparcia wszelkiego z ich strony napadu. Przewidywanie jego spełniło się, gdyż za nadejściem nocy Hiszpanie dla zamaskowania prawdziwego swego zamiaru na kilku punktach odrazu fałszywy przypuścili atak. Nie wiedzieli oni jednakże z jakim mają przeciwnikiem do czynienia. Za pierwszym strzałem zdał Chłopicki obronę atakowanych punktów na swych podwładnych a sam wraz z swoją rezerwą udał się w miejsce które według jego zdania miało być celem napadu nieprzyjacielskiego, i zaledwo zbliżył się na czele swéj rezerwy na ten punkt który stanowił komunikacyą ze środkiem miasta, Hiszpanie w wielkiéj sile stawili mu czoło.

Chłopicki chcąc wbłąd wprowadzić nieprzyjaciela jakoby się niespodziewał nieprzewidzianego tego ataku, udał że niema dość siły do odparcia nieprzyjaciela i w pierwszéj chwili cofać się zaczął; wiedział on bowiem z doświadczenia że każde niewyćwiczone wojsko im daléj zapuszcza się w natarciu, tém mniéj w szeregach swoich zachować zdoła porządku. Oczekiwanie niezawiodło go, i kiedy Hiszpanie w szale pogoni złamali swoje szeregi, on korzystając z chwili nagle zmienił front i uderzył na nacierających. Okropna rzeź nastąpiła; Hiszpanie stracili w tém spotkaniu więcéj niż 200

zabitych i rannych i do 50 jeńców. Nadto taka ich ogarnęła trwoga że wojsko Chłopickiego pędząc za nimi trop w trop, opanowało ulicę Santa Engracia, i tym sposobem utorowało drogę wojsku francuzkiemu do ulicy Cosso głównéj arteryi miasta Saragosy. Lecz w miarę posuwania się kolumny Chłopickiego ku środkowi miasta, każdy krok jéj drogo był okupionym stratą, jaką ponosić musiano. O każdéj godzinie dnia i nocy odpierać trzeba było rozpaczliwe napady bez ustanku nacierających Hiszpanów; brać szturmem jeden po drugim każdy dom z osobna broniony przez dzielną załogę i ludność do najwyższego stopnia zfanatyzowaną. W pośród tych przejść okropnych dotknął Chłopickiego cios patrzenia własnemi oczyma na zgon jenerała Lacoste, który kierując z tak odznaczającą zręcznością robotami oblężniczemi, padł przy jego boku trafiony kulą w głowę i w kilka godzin ducha wyzionął. Ścisła przyjaźń łączyła dwóch tych ludzi jakby stworzonych dla siebie, którzy w zakresie powierzonych sobie działań tak świetny brali udział w pamiętném tém oblężeniu. Wrażenia doznane w wojnie tkwią tak głęboko, że aż do ostatnich chwil życia niemógł Chłopicki wspomnieć o jenerale Lacoste bez najżywszego wzruszenia.

Marszałek Lannes przekonawszy się że kolumny przeznaczone do ataku dotkliwych wewnątrz miasta strat doznawały, uciekł się w celu oszczędzenia o ile można życia żołnierzy do systemu min, niezbędnego szczególniéj w opanowywaniu gmachów wielkich rozmiarów jak klasztory, kościoły i pałace, których pełna była Saragosa. Pierwsze próby tego rodzaju nieprzyniosły pożądanego skutku z powodu silnéj budowy gmachów i dla braku potrzebnéj ilości prochu. Lecz gdy znaczne zapasy prochu nadciągły z Pampelony, z większym skutkiem użycie min zaprowadzone zostało. Największą z nich obejmującą 3000 funtów prochu założono pod

murami klasztoru św. Franciszka. Z zapałem wzięto się do dzieła lecz zaledwo minę doprowadzono do połowy, gdy jeden z minierów zapuściwszy się głębiéj od innych usłyszał w kierunku w którym pracował, podziemny odgłos kopania. Natychmiast zawiadomił o tém oficera, który zbadawszy jak mógł najlepiéj rzecz na miejscu, przekonał się że nieprzyjaciel rzeczywiście ze swéj strony zakłada przeciw-minę. Nie było chwili do stracenia, oficer natychmiast znieść kazał wszystek proch przeznaczony do explozyi swojéj miny i uczyniwszy wszelkie przygotowania zdał o tem raport dowodzącemu w tém miejscu pułkownikowi Chłopickiemu, oczekując z podłożeniem ognia na jego rozkazy. Chłopicki udawszy się na miejsce, zanim dał rozkaz do zapalenia ukończonéj już przeciw-miny, przeznaczył batalion 15go pułku liniowego do wykonania ataku przeciw klasztorowi św. Franciszka, ażeby nieprzyjaciela sprowadzić w miejsce, w którém przeciw-mina była założoną. W istocie batalion wykonaniem tego manewru zwabił za sobą na punkt zagrożony wielką siłę Hiszpanów i udając iż się cofa przed przewyższającą liczbą, uderzył w bębny do odwrotu i wtedy się dopiero zatrzymał, gdy ścigający go Hiszpanie znaleźli się na miejscu, w którém przeciw-mina była urządzoną. Jak tylko minier mający podłożyć ogień ujrzał batalion 15go pułku w bezpieczeństwie, zapalił minę. Wybuch był okropny, powalił on mury klasztoru, którego gruzy rozlatujące się w powietrzu, spadając kładły trupem lub zasypywały żołnierzy hiszpańskich, broniących tego punktu. Reszta trwogą przejęta ratując się ucieczką opuściła zupełnie klasztór. Wtedy pułkownik 15go pułku liniowego na czele swego pułku i podpułkownik od inżynieryi rzuciwszy się w też tropy za uciekającymi, opanowali wielki klasztór z kościołem i obszernemi zabudowaniami. Nie tylko klasztór ale i cała okolica jego okropny przedstawiała widok. Wszędzie widać było

gruzy i zniszczenie, wszędzie ziemia zbroczona była krwią i pokryta trupami i rozszarpanemi członkami ludzkiemi. Taki to okropny skutek wojny, któréj widok drżeniem napełnia nieustraszone serce, a którego umysł najbardziéj do scen wojennych przywykły, nie może znieść bez wzruszenia.

Obustronnie toczono jednak walkę z niepojętą zaciętością. Dowodem tego będzie następujący wypadek. Gdy zdobyty kościół i klasztór św. Franciszka zajął 15 pułk liniowy, 50 żołnierzy hiszpańskich pod dowództwem pułkownika rodem Szwajcara, czepiając się po dachach sąsiednich klasztorowi domów, dostali się w nocy do wieży kościoła i ztamtąd rozpraszając się wzdłuż wązkiéj galeryi otaczającéj u szczytu kościół, strzelać zaczęli z góry do żołnierzy 15go pułku liniowego. Położywszy tym sposobem wielu trupem, nietylko wyprzeć ich zdołali z kościoła lecz nawet z części klasztoru. Nazajutrz z rana pułkownik Chłopicki na czele swéj rezerwy z pierwszego pułku legii nadwiślańskiéj uderzył znów na Hiszpanów i zmusił ich do opuszczenia kościoła i klasztoru. Blizko jednak 10 Hiszpanów ukryło się aż na szczycie wieży gdzie ich pułkownik Chłopicki tym czasem pozostawił w spokoju, niechcąc tracić drogich chwil ani narażać swoich żołnierzy dla tak małéj rzeczy, a to tém bardziéj że ludzie ci będąc ze wszech stron otoczonemi i niemając żadnego wyjścia prędzéj czy późniéj poddać się musieli.

Po wzięciu dopiero klasztoru św. Franciszka mogła kolumna środkowa dowodzona przez Chłopickiego uderzyć po drugiéj stronie ulicy *Cosso*. Lecz marszałek rozkazał pozostać nadal przy systemie min. Przedsięwzięto środki do pracowania dzień i noc na różnych punktach, które opanować trzeba było i 6 min założono. Tymczasem prócz klasztoru św. Franciszka i wielkiéj liczby domów, szpitał obłąkanych, klasztor panien

Jerozolimskich, miejsca których zacięcie broniono, zajęte zostały dzięki waleczności i przytomności umysłu dzielnego dowódzcy kolumny środkowéj. Inne kolumny z równym skutkiem wspierały główne działanie na środek miasta. Hiszpanie heroiczny wszędzie stawiając opór, tracili jednakże codziennie i co godzina prawie piędź za piędzią ziemi, a Saragosa widziała rzedniejące szeregi swoich obrońców, równie w skutku ciągłych walk jak w skutku zarazy, która tamże gwałtownie wybuchła. Wytrwały zapał i waleczność oblegających, wspartych sztuką i długiem doświadczeniem wojny musiał nakoniec wziąść górę nad niepokonanem męstwem załogi i mieszkańców miasta. Jenerał Palafox przyprowadzony do ostateczności i bez nadziei jakichkolwiek posiłków, znaglony był posłać jednego z swoich adjutantów jako parlamentarza z propozycyą kapitulacyi, pod temi samemi jednakże warunkami, jakie mu na początku oblężenia stawiano. Marszałek Lannes odrzucając to żądanie przez wzgląd na zaszłe od téj chwili zmiany i na pozycyą swego wojska, zostającego w samym środku miasta, kazał jednak Palafoxowi odpowiedzieć, że jeżeli Saragosa chce się zdać na łaskę, w takim razie zapewnia ze swéj strony poszanowanie dla religii, bezpieczeństwo osobiste i nienaruszoność własności, zostawiając jéj 24 godzin do namysłu. Tego samego dnia jenerał Palafox tknięty zarazą, któréj ofiarą była połowa mieszkańców Saragosy, złożył dowództwo i wyniósł się z miasta.

Nazajutrz 21 lutego 1809 r. deputacya junty stawiła się w głównéj kwaterze marszałka przedstawiając gotowość swoją do kapitulacyi. Marszałek zimno przyjął deputacyą oświadczając jéj, że w obecnym stanie rzeczy miastu nic innego nie pozostaje uczynić jak się zdać na łaskę i to nie późniéj jak za parę godzin, w razie bowiem przeciwnym każe podpalić miny i wysadzić w po-

wietrze główne gmachy miasta. Lecz zwolna ochłódłszy z uniesienia przystał na zapewnienie losu mieszkańców i załogi, podpisując artykuły które sam dyktował, a z których główne następującéj są treści:

1. W żadnym akcie nie będzie wzmianki o Ferdynandzie.

2. Załoga wyjdzie z miasta z honorami wojskowemi i złoży broń, a stanowiący ją żołnierze wszelkiego stopnia udadzą się jako jeńcy do Francyi.

3. Oficerowie rzeczonéj załogi zatrzymają szpady, konie i pakunki.

4. Chłopstwo tworzące milicyą natychmiast do domów swoich rozesłane zostanie.

5. Zresztą zaręcza się uszanowanie dla religii, bezpieczeństwo i własność osób.

Stósownie do umowy załoga hiszpańska wyszła w d. 22 lutego z miasta, złożyła broń i udała się do Francyi. Tego samego dnia junta wykonała przysięgę wierności w obec marszałka Lannes. Naczelnik junty Marino Dominiquez starzec pełen energii, do przysięgi dorzucił te słowa: „Zrobiliśmy powinność naszą broniąc się przeciw wam aż do ostateczności, z taką samą wytrwałością wywięzywać się będziemy względem was z naszych zobowiązań“. Szlachetna ta mowa powiada marszałek Suchet w swoich pamiętnikach znalazła potwierdzenie w szczerości postępowania. Jeden tylko pułk francuski wszedł do miasta dla zaciągnienia warty i przywrócenia porządku, reszta zaś wojska wróciła do swych właściwych obozów. W 52gim dniu oblężenia od chwili otwarcia przekopów z których 29 użyto do opanowania obwodu miasta, 23 zaś aby dostać się wewnątrz niego i dom po domie zdobywać, otworzyła Saragosa, która pierwsze oblężenie odparła, bramy swoje zwycięzcom umiejącym oceniać wiekopomnéj sławy godny jéj opór. We dwa dni potém, d. 29 lutego w skutku téj nagłéj zmiany poło-

żenia, którą tak często spotykać można w tegoczesnych rocznikach Hiszpanii, biskup z *Huesca* w zastępstwie arcybiskupa Saragosy zaintonował *Te Deum* w kościele S. Pilar na podziękowanie za odniesione przez Francuzów zwycięztwo.

Chwała wzięcia Saragosy podwyższona jeszcze świetnością heroicznéj jéj obrony, jest jedném z najpiękniejszych trofeów zdobiących oręż francuski. W czasie drugiego oblężenia dowodzący niém nieustrąszony marszałek Lannes silną znajdował pomoc w niepokonanéj odwadze swoich żołnierzy, w dzielności jenerałów i oficerów, pomiędzy któremi w pierwszym rzędzie stawiał naczelnika inżynieryi Lacosta poległego w czasie oblężenia i dowódcę artyleryi oblężniczéj Rognat. Po czém słusznie dodać należy, że pułkownik Chłopicki nie przestawał w ciągu obydwóch następujących po sobie oblężeń odznaczać się dziełami, które się silnie przyczyniły do szczęśliwego skutku oblężenia. Dowodzi to że nawet w stopniu podrzędnym uświetnić można swe imie i zdobyć część owéj sławy w pomyślnym rozwoju przedsięwzięcia, którego zasługa zwykle przypada naczelnemu dowódcy, rzucając tym sposobem zasłonę na pojedyncze czyny. Dawny i znakomity żołnierz [5]) który służył pod Chłopickim w Hiszpanii, dostarczając nam objaśnień po większéj części użytych w tém opowiadaniu, następne dodaje słowa:

„Starzy żołnierze, którzy służyli z Chłopickim lub pod nim, nie znajdą w tém krótkiém opowiadaniu dokładnego obrazu działań które go uświetniły. Trzebaby napisać historyą samego oblężenia, chcąc zebrać wszystko czego mąż ten dokonał w czasie dwukrotnego oblężenia Saragosy. Lecz niezatarta pamięć wyrytą jest w sercach wszystkich jego towarzyszów broni, a ogólna cześć ja-

---

[5]) **Jenerał porucznik Brandt, dziś w służbie pruskiéj, dowódca fortecy w Poznaniu.**

kiéj Chłopicki od czasu tego oblężenia ze strony całéj armii doznawał, była bezwątpienia największą pochwałą świetnych jego czynów, większą nawet niżeli krzyż oficerski legii honorowéj, który mu Cesarz przy téj sposobności udzielił".

Nieco dłużéj rozpisaliśmy się nad tym epizodem wojskowego życia Chłopickiego, raz dla tego że istotne obudza zajęcie, powtóre, że pisarze francuscy skreślający oblężenie Saragosy, a pomiędzy innymi i jenerał Rognat, nie wiele o nim wspominają. Przy téj sposobności zrobić musimy uwagę, że pomienieni pisarze (z wyjątkiem jednakże marszałka Suchet w jego Pamiętnikach [6]) mówiąc o wielkich wojnach z czasów Rzeczypospolitéj i Cesarstwa, przemilczali zwykle lub uszczuplali udział jaki w nich wojsko polskie brało [7]). Prawda, że pułki polskie pełniące służbę w armii francuskiéj, z powodów trudnych do odgadnienia, zawsze jakżeby prawidłowo rozdzielone były pomiędzy różne korpusy, dywizye i brygady, dowodzone przez jenerałów francuskich, tak iż ich czyny wojenne mieszały się i że tak powiemy tonęły w ogólném działaniu korpusu francuskiego, którego część stanowiły. Z odrobiną jednak dobréj woli łatwo było je odszukać, gdyż potrzebne objaśnienia do tego

---

[6]) Pamiętniki marszałka obejmują tylko działania wojenne dokonane pod jego dowództwem w Hiszpanii i to od czasu wzięcia Saragosy, t. j. od chwili odjazdu marszałka Lannes, po którym objął dowództwo.

[7]) W tym przedmiocie odsyłamy czytelnika do Historyi Konsulatu i cesarstwa p. Thiers. Ażeby więcéj nie przytaczać przykładów, dosyć tam odczytać ustęp zbyt niedokładnego opisu o bitwie pod Somosiera, gdzie się okryli sławą ułani polscy z gwardyi cesarskiéj, zdobywając przejście uważane za niezdobyte, a którego zajęcie otworzyło armii francuskiéj drogę do Madrytu. Pułkownik Niegolewski, jeden z ostatnich żyjących jeszcze świadków sławnéj téj bitwy, sprostował w liście napisanym do pana Thiersa i drukowanym w Paryżu niedokładność tego opisu.

celu znajdują się w szczegółowych ówczesnych raportach złożonych w archiwum ministerstwa wojny w Paryżu. Chwała którą się armie francuskie okryły w czasie téj bohaterskiéj epoki jéj dziejów tak jest wielką, że nie uwłaczając jéj można było śmiało, czerpiąc z tych źródeł, oddać cześć należną armii polskiéj, armii która, kiedy armią francuską w czasie ostatnich klęsk cesarstwa wszyscy sprzymierzeńcy opuścili, sama jedna pozostała jéj wierną w nieszczęściu, aż do stanowczéj chwili w Fontainebleau (1814 r.).

Nie zapomnieli tego starzy żołnierze francuscy, a szczególniéj ci, którzy obecnemi byli oblężeniu Saragosy, i nie dozwolą oni ażeby nie została dopełnioną miara przyznania słusznych zasług, jakie położył Chłopicki.

Wojskom francuskim wchodzącym do Saragosy okropny przedstawił się widok. Najpiękniejsze jéj gmachy zamienione były w gruzy, największa część jéj domów zawalona, ludność jéj znędzniała i wycieńczona głodem w ciągu długiego oblężenia i zdziesiątkowana zarazą, prawie do połowy się zmniejszyła; wszędzie gdzie spojrzeć, widać było zniszczenie i nędzę. Tysiące trupów zalegało ulice i place publiczne, kościoły i wnętrza domów prywatnych, szerząc zepsuty i zaraźliwy wyziew, który pomnażał jeszcze gwałtowność grasującego tyfusu. Marszałek Lannes użył najenergiczniejszych środków dla przywrócenia zdrowia miastu i zaprowadzenia porządku, w czém gorliwie wspieranym był przez juntę miejscową. Sprowadzono chłopów z okolic dla oczyszczenia miasta i pogrzebania umarłych, na co zaledwo wystarczyło 12 dni najczynniejszéj i najlepiéj kierowanéj pracy. W kilka jeszcze tygodni późniéj, nie zupełnie znikły wyziewy zgnilizny rozwijającéj się z ciał umarłych. Liczono bowiem do 40,000 ludzi w samém wnętrzu miasta, którzy w czasie oblężenia polegli.

Po poddaniu się Saragosy powołany został marszałek Lannes przez cesarza dla objęcia dowództwa w Niemczech, gdzie w r. 1809 miała się kampania przeciwko Austryi rozpocząć. Oddał on w skutku tego naczelne dowództwo armii aragońskiéj jenerałowi dywizyi Junot księciu d'Abrantes, lecz ostatni otrzymawszy w kilka dni później inne przeznaczenie, zdał z kolei z rozkazu cesarza dowództwo to jenerałowi dywizyi Suchet, świeżo wyniesionemu na godność marszałka cesarstwa, który je zatrzymał aż do zupełnego opuszczenia półwyspu przez armią francuską. Objęcie naczelnego dowództwa przez marszałka Suchet w owéj części Hiszpanii; tworzy epokę w tych wojnach, w wojnie bowiem w Aragonii i Katalonii rozwinął on całe bogactwo swoich talentów wojskowych i okazał się równie wielkim jenerałem jak zdatnym administratorem, umiejąc w okolicznościach nawet najkrytyczniejszych utrzymać stale przewagę armii francuskiéj. W téj to szkole położył pułkownik Chłopicki pierwszą podstawę swéj sławy. Początek atoli wojny w Aragonii lekką odznaczony został przegraną. Było to 25 maja 1809 r. w Alcaniz, gdzie nowy naczelny wódz natarł na armią hiszpańską pod rozkazami jenerała Black (Irlandczyka w służbie hiszpańskiéj) silną zajmującego pozycyą, obwarowaną z natury i mającą w tyle rzekę Guadalupę. Pomimo otrzymanych z początku korzyści przez atak ten przeciw środkowi nieprzyjaciela pod dowództwem Chłopickiego wymierzony, skutek niewyszedł na pożytek Francuzom. Chłopicki odparł Hiszpanów aż do mostu na rzece i sam most nawet opanował, lecz niemając pomocy, narażony na ogień całéj linii nieprzyjacielskiéj i widząc wojsko francuskie na prawém i lewém skrzydle złamane, musiał się cofnąć i odwrót w porządku wykonał.

Atak na całéj w prawdzie linii odnowionym został, nie z lepszym jednak skutkiem i nienaruszając pozycyi nie-

przyjacielskiéj. Cała rzecz skończyła się silną z obu stron kanonadą. Za nadejściem nocy naczelny wódz wydał rozkaz odwrotu; Hiszpanie niespodziewając się być równie szczęśliwymi w równinie nieodważyli się opuszczać swéj pozycyi i nieposzli w pogoń za cofającymi się Francuzami.

Wojsko jednak tak było znużone ciągłemi napadami i panującym w dniu tym upałem, iż po dwu milach pochodu marszałek widział się spowodowanym kazać się wstrzymać wojsku dla odpoczynku żołnierzy. W téj chwili niespodziewany wypadek świadczy, że w wojnie najlżejsze zdarzenie może zwichnąć porządek, a nawet sprowadzić katastrofę, jeżeli przytomność umysłu wodza zaradzić temu od razu nie umie.

Kolumny wstrzymawszy się złożyły broń w kozły, żołnierze pokładli się przy swéj broni i znużeni trudami wkrótce głęboko zasnęli. Zaledwo pół godziny upłynęło, przebudzeni zostali wrzawą i licznemi strzałami z ręcznéj broni. Natychmiast żołnierze pochwycili za broń i sądząc się być napadniętemi, strzelać zaczęli na traf, i to najzupełniejszy nadało rozwój zamieszaniu. Pułkownik Chłopicki który trzymając konia za cugle, również leżał na ziemi, przebudzony tym zgiełkiem wskakuje natychmiast wpośród świszczących zewsząd kul na konia, wpada w sam środek tłumu i grzmiącym swoim głosem woła „nie strzelajcie“. Na głos tak dobrze znany jego żołnierzom ustaje ogień, a z nim razem trwoga. Około niego porządek powraca, lecz reszta obozu w okropnym znajduje się bezładzie. Chłopicki sądząc, że to napad nieprzyjacielski, formuje wojsko swoje w kolumnę, nakazuje doboszom uderzyć do ataku i z bagnetem posuwa się naprzód w szyku bojowym. Lecz pomimo panującéj jeszcze ciemności, w krótce dostrzegł że wojsko które ma przed sobą i które jeszcze strzelać nie przestało, byli to Francuzi. Natychmiast kazał umilknąć doboszom i

z całego gardła zawołał „niestrzelajcie, to fałszywy atak, powrócie do szeregów“. W okamgnieniu ogień ustał i spokojność przywróconą została. Z brzaskiem wreszcie dnia, wszystko wróciło do dawnego ładu. Lecz czas już był, ażeby wrzawa i zamięszanie panujące w obozie ustało, strzelano bowiem nawzajem do siebie, a część żołnierzy rzuciwszy broń ku ucieczce się miała. Za przybyciem marszałka Suchet mającego kwaterę na folwarku niedalekim od miejsca gdzie korpus jego obozował, a który przybiegł był z eskortą galopem na miejsce, porządek już wszędzie panował pomiędzy wojskiem gotowém do wyruszenia w dalszą drogę. Marszałek rozkazał śledztwo dla zbadania przyczyny tego fałszywego ataku. Pokazało się że powodem do niego był muł obładowany pakunkami, którego siodło się przekręciło. Chcąc się pozbyć tego ciężaru odwiązał się muł, i rzucając się na kozły ułożone z broni obalał je, a strzelby padające na ziemię kolejnie strzelać zaczęły. Powiększyło to jeszcze wściekłość zwierza, który miotając się na wszystkie strony coraz większy powodował rozruch. Żołnierze nagle przebudzeni sądzili że to niespodziewany napad jazdy nieprzyjacielskiéj, a wielu z nich wołało, „celujcie w konie“. Dobosz jeden taką był zdjęty trwogą iż rzuciwszy bęben zaczął uciekać; na nieszczęście swoje puściwszy się drogą do wsi, w któréj miał kwaterę marszałek, zatrzymany został przez widetę i natychmiast zaprowadzony do marszałka. Z przerażeniem trwogi opowiedział on, że jazda hiszpańska wpadła na obóz i wszystko wojsko rozproszyła. Zanim się prawda wykryła, dobosz z rozkazu marszałka oddany został pod sąd wojenny i natychmiast był rozstrzelany.

Przykład ten surowości potrzebnym był, aby przywrócić karność w kopusie, w którym taż coraz więcéj słabnąć zaczęła, a nad którym marszałek świeże objął dowództwo. Okoliczność ta dała sposobność marszałko-

wi Suchet lepiéj poznać i ocenić wojskowe zasługi Chłopickiego. Powziął on dla niego szczególny szacunek i odtąd powierzał on mu wyłącznie najtrudniejsze wyprawy.

Po rozprawie pod Alcaniz zgromadził marszałek Suchet korpus swój w Saragosie. Korpus ten po ciężkich walkach i oblężeniu Saragosy liczył w szeregach swoich żaledwo 10,000 ludzi znużonych, a nawet nieco zwątlałych na duchu. Trzeba go więc było uzupełnić i zreorganizować, co też marszałek z największym skutkiem i w krótkim czasie w ciągu swego pobytu w Saragosie uczynił, w skutku czego 3ci korpus stał się w krótce jednym z najlepszych i najpiękniejszych w całéj armii francuskiéj.

Pułkownik Chłopicki miał również czuwać nad uzupełnieniem szeregów trzech pułków legii nadwiślańskiéj które część tego korpusu składały, pułki te bowiem od czasu wejścia swego do Hiszpanii ciągle narażone na ogień nieprzyjacielski, doznały znacznych strat równie w poległych jak rannych. Użyci zostali do tego celu żołnierze z zakładów wojskowych, którzy poprzednio służyli w szeregach armii polskiéj Księstwa Warszawskiego i ciągle zakłady te zasilali liczbą ludzi potrzebną do utrzymywania o ile można było, pułków tych w komplecie.

W czasie morderczych wojen w Hiszpanii potrzeba ludzi okazała się nadzwyczajnie wielka. Dla tego pułki legii nadwislańskiéj dwa miały zakłady we Francyi jeden w Sedanie, 2gi w Bajonnie, do których dosyłano żołnierzy i nowozaciężnych z Księstwa Warszawskiego.

Nie możemy pominąć, że oprócz pułków legii nadwiślańskiéj, armia Polska Księstwa Warszawskiego dostarczyła w wojnie hiszpańskiéj, 3 pułki piechoty oznaczone nazwą liczbową 4ty, 7my i 9ty [8]). Pułki te połączyły

---

[8]) Pułkami temi dowodzili ludzie znakomici zasługą i urodzeniem; 4tym pułkiem Felix hr. Potocki, 7mym hr. Sobolewski, a 9tym ks.

się z armią hiszpańską w połowie 1808 r. i wcielone zostały do dywizyi hr. Walencyi w 4tym korpusie armiii, znajdującego się na tenczas w Manche pod rozkazami jenerała hr. Sebastianiego. Zakłady tego pułku do których dostawiani byli nowozaciężni z Księstwa Warszawskiego, znajdowały się w Bordeaux, zresztą były w Hiszpanii jeszcze dwa pułki jazdy polskiéj które się chwałą okryły: ułani z gwardyi cesarskiéj i 7my pułk ułanów. Dodawszy do tego 3 pułki piechoty i jeden jazdy Księstwa Warszawskiego, wzmacniający pod rozkazami jenerała hr. Rapp załogę francuską w Gdańsku, dziwić się niemożna, że armia Księstwa Warszawskiego, nielicząc w to wojska przeznaczonego do obrony Zamościa, i Modlina, niewynosiła w téj epoce w księstwie więcéj nad 12,000 ludzi.

Krótki ten pogląd dowodzi ile cesarz Napoleon czerpał do działań swoich wojennych zasobów, z téj szczupłéj cząstki Polski odbudowanéj pod nazwą Wielkiego Księstwa Warszawskiego.

Lecz wracając do naszego przedmiotu wyborne środki jakich jenerał Suchet użył do zreorganizowania swojéj armii, łącznie z zręcznem prowadzeniem administracyi dozwalającéj mu zaopatrywać wojsko swoje w żywność i w wszelkie inne potrzeby, tem bardziéj były na czasie, że w r. 1809 wojna przeciw Austryi wybuchła. Wypadek ten silném oddziaływaniem swojém na Hiszpanów ożywił ich nadzieje. Anglia nieomieszkała z tego korzystać i ludność półwyspu do nowych wysileń w celu pozbycia się jarzma francuskiego i oswobodzenia od nieprzyjacioł ziemi ojczystéj zachęcać. W tym zamiarze do-

---

Antoni Sułkowski. Oficerowie ci pozyskali sobie na czele tych pułków w Hiszpanii świetną sławę, szczególniéj w Occani, Almenacid i t. d. W pierwszéj z tych rozpraw hr. Sobolewski poległ dokazawszy cudów waleczności; byłto oficer wielkich nadziei i pochodził ze szkoły politechnicznéj.

starczała ona Hiszpanom broni, amunicyi, armiją swoję posiłkową, skarby swoje i flotę. Niemoże zatem zadziwiać, że na wieść o wypowiedzeniu wojny, cały kraj się poruszył i cała prawie ludność zdolna do boju stanęła pod bronią. Nowe to poruszenie postawiło armię francuską w smutném położeniu, szczególniéj w Nawarze i w Aragonii, gdzie ruch ten rozleglejsze niż gdzieindziéj przybrał rozmiary.

Ażeby o ile można zapobiedz niebespieczeństwom na jakie trudne to położenie naraziło armią, winien był marszałek Suchet przedsięwziąść w Saragosie jak najskuteczniejsze środki. W skutku tego kazał on sypać szańce i reduty na Monte-Torrero oraz wzdłóż kanału, stawiać barykady na przedmieściach i fortyfikować zamek w zamiarze zatrzymania go nawet wtedy, gdyby przyszło opuścić miasto. Ażeby mieć ręce rozwiązane w razie czyto manewrów czy walki, kazał on przeprowadzić wszystkie szpitale, zakłady i magazyny z Saragosy do Tudelli i Pampelony.

Gdy się to działo, hiszpański jenerał Black zgromadziwszy i uorganizowawszy 33 tysięczny korpus armii, maszerował ku Saragosie w celu zmuszenia Francuzów do opuszczenia całéj Aragonii. O dwie mile od tego miasta zajął on stanowisko korzystne pod *Marią*.

Marszałek Suchet pomimo różnicy sił swoich (miał on bowiem prócz wojska strzeżącego Saragosy tylko 9,000 ludzi), niemógł opuścić Saragosy, niemógł bez wydania bitwy narażać odwrót swój na gwałtowną pogoń i w ten sposób wystawiać na niebespieczeństwo całéj armii francuskiéj w środku Hiszpanii. Postanowił on więc z 9,000 ludzi wyjść na spotkanie armii hiszpańskiéj. Opuściwszy bardzo rano Saragosę w d. 15 czerwca 1809 r. zderzył się wcześnie z nieprzyjacielem, zajmującym pod Marią bardzo silną pozycyę i po dokładnem rozpoznaniu pola walki, zamierzył natychmiast nań uderzyć opie-

rając lewe swoje skrzydło o rzekę Huerba, a prawe o wyżyny otaczające miasto. Utworzył on kilka kolumn po jednym pułku obejmujących, z których każda miała batalion w rezerwie. Kolumny te były przeznaczone do ataku na środek pozycyi nieprzyjacielskiéj. Jazda i kilka batalionów piechoty umieszczone zostały na lewém skrzydle szyku bojowego, pierwszy zaś pułk legii nadwiślańskiéj pod rozkazami pułkownika Chłopickiego mający w rezerwie 14sty pułk liniowy i 1 szwadron ułanów polskich dowodzonych przez pułkownika Chłopickiego, zajął miejsce na krańcu prawego skrzydła. Chłopicki korzystając z położenia okolicy zakrył siły swojego wojska.

Jak tylko kolumny dotarły do właściwych stanowisk, marszałek wydał rozkaz aby kolumny przeznaczone do ataku na środek nieprzyjaciela ruch rozpoczęły. Równocześnie kazał uprzedzić wojsko będące na prawem i lewem skrzydle aby natychmiast ruszyło naprzód, jak tylko kolumny środkowe dawszy poprzednio dwa razy batalionowego ognia, następnie (zformowawszy się) uderzą na nieprzyjaciela. Lecz w chwili kiedy kolumny puściły się w pochód, deszcz zaczął lać tak ulewny, że niepodobna było strzelać. Bez dania więc ognia ruszyły one wprost na nieprzyjaciela, lecz przyjęte przez Hiszpanów silnym ogniem jak z najbliższa, zaczęły się cofać prawie w nieładzie. Na ten widok marszałek przypuściwszy konia stanął na czele rezerwy i komenderując „na bagnety, naprzód, marsz, marsz“ poprowadził napowrót kolumny w ogień. W téj chwili jazda na lewém skrzydle puściła się naprzód. Chłopicki spostrzegłszy bowiem ruch zwrotny kolumn środkowych, postanowił bez straty czasu iść im na pomoc. Sądząc że ruch ten mógłby niepomyślnie los téj utarczki rozstrzygnąć, kazał natychmiast wystąpić naprzód tyralierom, a sam na czele swego pułku ruszył podwójnym krokiem prze-

ciw krańcowi lewego skrzydła nieprzyjacielskiego. Lecz zanim jeszcze mógł nań natrzeć pluton jego tyralierów dowodzony przez młodego oficera z tegoż pułku, opanował bateryą z 4ma działami, które nieprzyjaciel przed frontem swéj linii postawił. Po za tą bateryą znajdowały się muły obładowane amunicyą, które przestraszone atakiem zaczęły uciekać i rzuciwszy się na szeregi hiszpańskie sprawiły w nich zamieszanie. Ze zwykłą swoją przytomnością umysłu niezaniedbał Chłopicki korzystać z tego wypadku i silnym swoim głosem krzyknąwszy „hura“ powtórzone z zapałem przez wszystkie pułki, rzucił się na linie hiszpańskie tak gwałtownie że ci zaledwo mieli czas raz wystrzelić i natychmiast uciekać zaczęli. Chociaż ten atak niezostał wykonanym z przyczyn wyżéj nadmienionych, razem z atakiem na środek i lewe skrzydło lecz wyprzedzając je nieco, niemniéj jednak przyczynił on się do wygranéj, gdyż lewe skrzydło hiszpańskie idąc w rozsypkę zaraziło przykładem resztę liniinieprzyjacielskich, tak że środek i lewe skrzydło francuzkie o wiele łatwiéj wywiązać się mogły z swego zadania.

W dniu tym zostawili Hiszpanie w rękach zwycięzców 25 dział, 3 chorągwie i większe ponieśli straty w zabitych niż w jeńcach. W liczbie ostatnich znajdowali się jenerał Odonja dowódzca jazdy, pułkownik Muchaia inspektor piechoty i kilku znaczniejszych oficerów. Strata Francuzów wynosiła 700 zabitych i rannych a pomiędzy ostatnimi był jenerał Harispe, szef sztabu. Ku końcu bitwy marszałek Suchet wyraził Chłopickiemu swoje zadowolenie i kazał mu podać do krzyżów oficerów i żołnierzy, którzy się najbardziéj odznaczyli, przypominając mu szczególniéj młodego oficera, który z początku bitwy zabrał działa nieprzyjacielskie. Na przedstawienie marszałka nadał cesarz 6ciu oficerom i 8miu podoficerom i żołnierzom 1go pułku legii nadwiślańskiéj

krzyż legii honorowéj i zamianował Chłopickiego jenerałem brygady, naco waleczny ten wojownik oddawna był zasłużył. Nazajutrz po bitwie, Francuzi ścigali nieprzyjaciela, 3go dnia dopiero dognali go w Bachito i tam zatrzymali się nareszcie. Pomimo że wojsko hiszpańskie stawiało opór w téj dobrze wybranéj pozycyi, świeża porażka pod Marią i zapalczywa pogoń Francuzów tak ich zdemoralizowały, iż się długo bronić niemogli, zaledwo bowiem kolumny francuskie rozpoczęły atak, zmuszeni byli Hiszpanie przedsięwziąść odwrot i tylko jazda rzuciła się w pogoń za nimi. Przy téj sposobności jazda wzięła 2,000 jeńców i jeszcze 9 dział, ostatnich jakie armia Blacka posiadała, prócz tego 23 jaszczyki, wielką ilość broni, pakunków i chorągiew z pułku Walencyi.

Dwie te bitwy pod Marią i Bachitą (15go i 18 czerwca) wieńcząc najpiękniejszym skutkiem męstwo korpusu dowodzonego przez marszałka Suchet w Aragonii, przyczyniły się do umocnienia sytuacyi armii francuskich w reszcie półwyspu. Jenerał Black 3cią zaledwie część armii swojéj którą z taką pracą i trudami zformował, przyprowadził do Walencyi. Wielki ten jéj ubytek pochodził prócz straty całkowitéj artyleryi oraz w rannych i zabitych ztąd, że korpus jego złożony po większéj części z ludzi nowo zaciężnych będących rodem z różnych prowincyi, po dwóch przegranych bitwach całkiem upadłszy na duchu rozbiegł się do domów.

Naczelny wódz wszedłszy do Saragosy, powitanym był przez deputacyą z prezydentem municypalności na czele który miał doń mowę, winszując mu odniesionego zwycięstwa i wzywając go na bal oraz prosząc aby zezwolił na illuminacyą miasta. Marszałek wiedząc że przygotowania te tyczyły się armii hiszpańskiéj, któréj wnijścia do Saragosy z tryumfem spodziewano się co chwila, lecz z drugiéj strony wdzięczny mieszkańcom tego miasta,

że wczasie bitew zachowali się spokojnie odpowiedział: „Panie Prezydencie, z wdzięcznością przyjmuję wyrażone mi w imieniu miasta Saragosy przez ciebie uczucia, lecz jeżeli ci mam prawdę powiedzieć, zdaje mi się, że piękne to przyjęcie nie dla nas było przeznaczone.“ „Ekscelencyo, odpowiedział Prezydent, przygotowania te przeznaczone były dla zwycięzcy.“ Na to rzekł mu marszałek ściskając go, „zacnym jesteś człowiekiem, panie Prezydencie lecz pozwól mi odmówić twojéj ofiary równie dla oszczędzenia ci trudów, jak kosztow mieszkańcom, z których niepowiem wszyscy lecz jakaś część ponosiła by je mimowolnie.“ Ta odmowa marszałka niestanęła jednak na przeszkodzie odśpiewaniu *Te Deum*, w kościele St. Pilar i illuminacyi miasta.

(dokończenie nastąpi).

STUDENCI PARYZCY

w roku 1835 i 1856.

W kraju naszym nikt nie chce nazywać się studentem. A przecież dobry to polski dawny wyraz „student“, chociaż z łacińskiego wzięty ale przyswojony; przecież to do „Studenta“ a nie do „Słuchacza“ mówił król Batory: *Disce puer faciam te Mości panie*.... Lecz wspomnienia na nic się nie zdadzą: nowe nazwy brzmieć muszą jakoś lepiej w uszach naszéj młodzieży. Mamy też Audytorów Uniwersytetu, Akademików, Słuchaczy, Uczniów, nawet Gymnazyastów i Elewów—ale niemamy Studentów. Wyraz ten podobnie jak starszy jeszcze od niego „żak“ stał się ubliżeniem i nikomu, nawet uczniowi szkoły tecznicznéj dać go nie można aby się nie skrzywił.

We Francyi inaczéj. Rzeczy nazywają tam po imieniu. Pamiętają na Moliera, owego mistrza zdrowego rozsądku, który w jednéj z swoich komedyj napisał „że trzeba aby kot nazywał się kotem“. Tam ktokolwiek się uczy a czyni to publicznie, zowie się Studentem *(Etudiant)*, mniejsza o to, czy chodzi do Sorbony lub do *Collège de Fran-*

ce, czy uczęszcza na kursa Szkoły Prawa (*Ecole de Droit*) lub szkoły lekarskiéj (*Ecole de Médecine*), czy się zapisał na wydział filozoficzny lub też jaki inny. Francuz jedną tylko w téj mierze uznaje różnicę, którą mi pewien student wybornie określił. Spotkałem go raz na ulicy żegnającego się z drugim młodzieńcem.

— Czy to także student? spytałem.

— Nie, to elew, odpowiedział stanowczo.

— Jaki elew?

— Ze szkoły sztuk i rzemiosł (*Ecole des Arts et Métiers*).

— A więc zawsze student, odrzekłem.

— Nie, bo elewy czy to ze szkoły politechniczněj czy wojskowéj St. Cyr, czy ze szkoły sztuk i rzemiosł nie są studentami, podobnie jak niemi nie są uczniowie w liceach i kollegiach.

— A skądże ta różnica?

— Bardzo słuszna, bo ci nie uczą się, ale ich uczą lub wychowują, jak się podoba.

Wolność przeto stanowi we Francyi studenta. Cała młodzież uczęszczająca na rozliczne wydziały Uniwersytetu paryzkiego, nazywa się jednem mianem Studentów. I tak są studenci Prawa, studenci Medycyny. Cecha studenta zależy raczéj na wolności wybierania nauk i odczytów, wolności uczenia się według swego widzi mi się, aniżeli na wpisie. Wpisy dają tylko prawo nazywania się studentem zwyczajnym (*étudiant régulier*), bez nich w oczach wydziału jest się tylko słuchaczem dobrowolnym, ale wpisy nie robią jeszcze studentem. Kto nie prowadzi studenckiego życia, ten choćby był zapisany nie wiem wiele razy, może się nazywać studentem, ale go prawdziwi studenci paryzcy nigdy za takiego nie uznają. Gdy tymczasem, jeżeli kto z niemi żyje, mieszka w oddziale miasta studenckim (*quartier des étudiants*) ten chociażby się nie wpisał, będzie od nich za

kolegę uważany, byle tylko uczęszczał bądź do Sorbony bądź do Szkoły Prawa, zgoła do Uniwersytetu. Wybaczą mi więc młodzi czytelnicy, jeżeli pisząc o ich kolegach paryzkich, nie mogę ich nazywać Akademikami, bo tych jak wiadomo w Paryżu jest tylko czterdziestu i to nieśmiertelnych, ale nazywać ich muszę po prostu studentami.

To co powiedziałem kazałoby wnosić, że studenci paryzcy stanowią pewną korporacyą. Tak nie jest bynajmniéj. Nie wstydzą się oni téj nazwy, ale nie chełpią się z niéj wcale, ani też wielkiéj do niéj nie przykładają wagi. Daje im ona tylko prawo burmistrzowania po tych kawiarniach, restauracyach i balach, gdzie najwięcéj przebywają. Tam odgrywają role panów domu. Wiadomo że wojskowi w kawiarniach przez siebie uczęszczanych krzywem zwykle okiem patrzą na cywilnych i zowią ich *pékins*, studenci również w traktyerni *Flicotteaux* lub na balu w *Chaumière* ciemiężą niestudentów i zowią ich *bourgeois*. Mieszkając w dzielnicach Paryża na lewym brzegu Sekwany blisko gmachów uniwersyteckich, uczęszczając na te same prelekcye, znają się między sobą; ale nie ma między niemi téj spójni, niema téj jedności, tego studenckiego ducha jak po innych uniwersytetach, a zwłaszcza niemieckich. Nie używają też żadnéj wyłącznéj w ubiorze oznaki: i wprawnego trzeba oka, aby po rzutniejszym może nieco ruchu lub po głośniejszéj jego mowie, studenta od innego cywilnego na ulicy rozróżnić.

Zważając na wielką ich liczbę, dziwić by się można, że tak mało i rzadko o nich słychać. Nie pochodzi to ani z pracy ani ze skromnego życia. Studenci paryzcy nie żyją jak mnichy. Przeciwnie, prowadzą zwykle życie bardzo burzliwe a nawet bardzo niemoralne. Małe od tego wyjątki. Bilard, teatra i jeszcze co gorszego, a przytem zwyczaj trzymania gospodyń niby do prowadzenia

gospodarstwa domowego — są źródłem okropnego zgorszenia, o którém się każdy bliżéj z niemi żyjący przekonać mógł do woli. Rozpusta, marnotrawstwo, są na porządku dziennym; pełno długów i życie z dnia na dzień, to ogólna reguła. Niechcę i niemogę wdawać się w szczegóły, powiem tylko, że patrząc na studentów paryzkich pojąć nigdy nie mogłem kiedy oni pracują, i jak wady tak głęboko wkorzenione zniknąć mogą w późniejszym wieku, i to bardzo prędko. Zadawałem sobie pytanie: jak się to dzieje, że młodzież lekkomyślna i zepsuta, próżniackie wiodąca życie, tak znakomitych i uczonych wydaje mężów, i że ich tyle Francyi dostarczyć jest w stanie? Bo fakt ten zaprzeczyć się nie da.

Lekkość charakteru a przytem ogromne wrodzone zdolności i łatwość przyjęcia nauki, owe cechy narodu francuzkiego a przedewszystkiém pełnia życia publicznego, są tu niejaką odpowiedzią. Szybkie u nich zepsucie, ale też szybka poprawa. Student paryzki na zdanie egzaminu kilka tygodni zaledwie przysiąść fałdów potrzebuje. Ale lepiéj od wszystkiego coby się charakterem wytłómaczyć dało, oświecił mnie i w téj mierze mój znajomy o którym wyżéj wspomniałem. Zawiązawszy z nim bowiem rozmowę, a znając go jako studenta *czystéj krwi*, wynurzyłem mu moje zadziwienie co do owego braku koleżeństwa w studentach paryzkich.

— Jest u nas koleżeństwo ale nic więcéj, bo niejesteśmy kastą, odrzekł mi z dumą. Niechcemy nią być ani tego potrzebujemy. *L'etudiant c'est un citoyen français*, (student jest obywatelem francuzkim.)

Definicya ta objaśnia wiele okoliczności, w życiu studenckiém i w jego zwyczajach. Stosuje się do studentów całéj Francyi, lecz gdy Paryż przy centralizacyi jest dzisiaj Francyą, a młodzież ściąga do niego tak że więcéj może jest studentów w stolicy niżeli w reszcie kraju,

dość poznać studentów paryzkich, aby stanowisko studenta francuzkiego ocenić jak należy.

Student paryzki uważa się rzeczywiście za obywatela; rości sobie prawo do téj nazwy i do wypełniania obowiązkow do niéj przywiązanych. Nie chce on żadnego dla siebie wyjątku, żadnego przywileju. Nie ma w nim żadnego innego uczucia prócz francuzkiego. Uniwersytet to tylko sposób zajęcia miejsca w życiu narodowem. Zespola on się myślą z interesami kraju, dopóki w nich czynem nie będzie mógł wziąść udziału. Do tego się sposobi. Wychodzi przeto ze studenta wprost na czynnego członka narodu, a wtedy z łatwością porzuca przywary którym hołdował więcéj ze zwyczaju przyjętego w sferze w jakiéj przebywał, aniżeli ze skłonności lub z upodobania.

Dla tego też student paryzki całkiem do bursza niemieckiego niepodobny. Bursz odłącza się od narodu, chce być jakimś wyjątkiem, przybiera jakieś kostiumy, żąda przywilei i takowych chciwie używa, marzy o teoryach, spiskuje chętnie choćby niedorzecznie, bo żyje w utworzonym przez wyobraźnię świecie, uniwersytet dla niego sferą po za którą nie wychodzi chyba dla ludzkości—słowem jest filozofem i kosmopolitą. Student paryzki jest Francuzem, wszystkie sprawy ale tylko krajowe obchodzą go żywo, rozprawia o rządzie i o ministrach, a uniwersytet uważa praktycznie, jako narzędzie, rolę zaś studenta jako chwilowe przyjście.

Student paryzki trudni się wiele i zanadto polityką. Dzienniki czytuje zawsze i zbyt na nich polega; sądzi iż w przemianach rządu winien brać udział; młodość pcha go na drogę republikańską, bo mu się zdaje, że zawsze wolność po téj stronie. Rzuca się w każdą rewolucyę, bije się w każdéj *emeucie*, a jeżeli wtedy o studentach nie słychać, to dla tego, że występują zawsze jako cywilni nigdy zaś jako studenci. W chwili gdy

mniemają, że o naród chodzi, za nic w świecie nie powołaliby się na cechę studenta. Niema wtedy studenta jest tylko obywatel. Nie będąc zorganizowanymi w żadne ciało, w żadną instytucyę, biją się pojedynczo, tu i tam, gdy tym czasem elewy szkoły politechnicznéj występują razem, w mundurach, podobnie jak elewy z St. Cyr, odznaczają się w chwilach zaburzenia, i czytamy o nich po dziennikach wzmianki.

Są jednak wypadki lubo rzadkie, w których łączą się studenci paryzcy, a to, kiedy mniemają iż winni stanąć w obronie uniwersytetu. Wolność uniwersytetu według nich jest własnością narodu ich pieczy powierzoną. Ztąd przysądzają sobie głównie prawo wydawania sądu o profesorach nie co do ich zdolności, ale co do opinii politycznéj i postępowania. Oppozycya, wrodzona Francuzom wada, wybitnie się tu przedstawia. Młoda krew i zapalone głowy nie dozwalają trzymać się miary, a wynikające z tego zaburzenia przybierają zawsze barwę polityczną. O takiém zaburzeniu pisały dzienniki francuzkie w przeszłym miesiącu z powodu rozpoczęcia kursu p. Nisarda. Takiego zaburzenia byłem świadkiem przed dwudziestu laty. Oba te zdarzenia wielką co do studentów mające analogię, różnią się bardzo co do osób które je spowodowały, jak niemniéj co do środków użytych na ich uspokojenie i skutków jakie za sobą pociągnęły.

W każdym uniwersytecie, a więc i w paryzkim zdarza się, że jedne wydziały szczęśliwiéj od drugich są obsadzone. „Szkoła Prawa“ w r. 1834 nie miała ani jednéj świetnéj katedry. Figurowały wprawdzie na programacie drukowanym bardzo piękne imiona, pomiędzy innemi nawet i p. Royer-Collard, ów szef szkoły doktrynerskiéj która była przy rządzie, tak jak w Sorbonie i w *Collège de France* można było czytać panów Guizota, Villemain i inne znakomitości jako profesorów zwyczajnych. Lecz cóż z tego, kiedy polityka zagarnęła ich pod błyszczące

swoje berło, kiedy ci panowie mieli zastępców którzy nie byli profesorami nadzwyczajnymi, ale tylko zastępcami, a studenci nazywali ich po prostu kulisowym językiem „podszewkami“ *(doublures)*. Prawda że i pomiędzy temi *doublures* znajdowały się talenta; pana Guizota naówczas ministra, zastępował p. Michelet i wykładał historyę reformacyi; krzesło pana Villemain zajmował p. St. Marc Girardin wykwintny literat; ale właśnie „Szkoła Prawa“ która mnie więcéj obchodziła, żadném głośniejszém imieniem ani ustaloną reputacyą poszczycić się nie mogła. Byli w niéj zdolni prawnicy, professorów znakomitych nie było. Nawet p. Lerminier, który po kilkutygodniowym pobycie w Berlinie i po kilkunastu prelekcyach Gansa, wydał zaraz dzieło „Za Renem“ (*Au delà du Rhin*), i uchodził za głębokiego ze szkoły niemieckiéj filozofa-prawnika, usuniętym został chwilowo od wykładu po zbyt gwałtownem wystąpieniu *ex catedra* w obronie Lamenego, a raczéj jego dzieła: *les Paroles d' un Croyant.*

Z przyjemnością zatém wyczytałem ogłoszenie, że w kursie zimowym po nowym roku (1835) katedrę prawa konstytucyjnego francuzkiego (*Droit constitutionnel français*) świeżo utworzoną obejmie p. Rossi, i rozpocznie odczyty, które na przyszłość obowiązującemi będą dla studentów prawa zwyczajnych.

Rossi znanym był oddawna w uczonym świecie jako prawnik i ekonomista, wydane dzieła zjednały mu wielką sławę. Lecz nie każdy autor może być professorem: nie dość posiadać naukę, trzeba ją umieć udzielić. Właśnie też tym przymiotem odznaczał się p. Rossi w najwyższym stopniu. Przekonać się o tém było można w Genewie, gdzie jako zwyczajny professor wykładał prawo kryminalne i rzymskie, a kursa te były prawdziwą nie tylko akademii ale nawet samego miasta ozdobą. Oschłość przedmiotu znikała w zajęciu jakie obudzał.

Cóż dopiero powiedzieć o odczytach jego od czasu do czasu dla większéj jak dziś nazywają publiczności, na których obrany przedmiot bądź historyczny bądź ekonomiczny rozbierał w kilkunastu prelekcyach, trwających czasem po dwie godziny bez żadnego znużenia, ani professora który zawsze mówił z natchnienia bez najmniejszéj przed sobą notatki, ani słuchaczów, którzy znów tak byli zajęci że notat robić nie mogli. Przeważniéj atoli od wszystkiego cobym na pochwałę tych prelekcyi mógł napisać, przemówi ów prozaiczny argument, że w Genewie gdzie nie panuje rozrzutność, nie było dość obszernéj sali w akademickim gmachu i docisnąć się nie można było, pomimo że bilet wnijścia na kurs p. Rossego kosztował sto franków. Powtarzam sto franków! kto zna Genewę i jéj mieszkańców, to miasto jedno z najbogatszych w Europie, gdzie najpierwsze damy pod parasolem, w galoszach i z latarką przez służącą w czepeczku niesioną przybywają na bale nawet najodleglejsze, łatwo oceni ten fenomen wywołany nauczycielskim professora talentem....

Lecz p. Rossi nie był tylko uczonym i professorem, ale oraz znakomitym człowiekiem publicznym. Wielkie jego zdolności polityczne, czyniły uszczerbek uczącéj się w Genewie młodzieży. Skoro bowiem w r. 1821 jeżeli się nie mylę opuścił Bolonię swoją ojczyznę i przybył do Genewy, kilka lat zaledwie mógł nauce i akademii wyłącznie poświęcić. Jako naturalizowanego Szwajcara, używał go bezprzestannie kanton czyli Rzeczpospolita Genewska w sprawach politycznych to jest związkowych. Reprezentował ją kilkakrotnie na Zgromadzeniach w Bernie, a w r. 1833, kurs jego prawa rzymskiego przerwany został nominacyą na Prezydenta *Vorortu*. Była to największa godność w Szwajcaryi, największy zaszczyt jakiego dostąpić można. Nie cenił go sobie jednak wysoko p. Rossi. Szwajcarya za małą była dla

niego sferą: sprawy Vorortu najważniejsze i posiedzenia najburzliwsze wydawały mu się „burzą w szklance wody.“ Czuł się powołanym nierównie wyżéj. Nie wahał się też ani chwili złożyć godności przezydenta, i podać się do dymisyi, skoro w r. 1834 pp. Guizot i książe de Broglie naczelnicy gabinetu Ludwika Filipa, ofiarowali mu naturalizacyę francuzką, urząd w wydziale spraw zagranicznych i professorską togę w Paryżu, która w owym czasie wraz z togą adwokata prowadziła do najwyższych we Francyi dostojeństw.

Nie pojmowano w Genewie téj ambicyi, która tak chętnie zamieniała pewne na niepewne, a nadto w całéj Szwajcaryi postępowanie to uchodziło za czarną niewdzięczność. Zapominano że p. Rossi był Włochem, że się nigdy za Szwajcara nie uważał. Godność jaką mu przyznano, i którą z odznaczeniem piastował, była tylko następstwem wpływu wysokich zdolności. Poświęcenia dla kraju któremu służył nie można było brać za oznakę przywiązania. Przeciwnie p. Rossi nie miał w cale sympatyi dla Szwajcaryi ani dla Genewy. Powtarzał nieraz dowcipne a złośliwe słowa Weissa: „gdy widzisz że Szwajcar wyskakuje przez okno, rzuć się zanim co prędzéj, bo pewno jest jakiś zysk na dole.“ Spytał go ktoś na balu właśnie przed odjazdem do Paryża:

— Porzucasz nas więc pan stanowczo?

— Tak jest, porzucam tę jaskinię uczciwych ludzi (*cette caverne d'honnètes gens*), odpowiedział z szyderczym uśmiechem. Tak Genewę nazywał lord Byron, dodał powoli.

Powoli bowiem zawsze mówił p. Rossi, wyraźnie i z pewnym przyciskiem. Językiem francuzkiem władał doskonale i wymownie, pomimo bardzo wybitnego włoskiego akcentu. Podobnie jak Mićkiewiczowi na prelekcyach francuzkich niebrakowało mu nigdy stósownego wyrażenia. W chwilach zapału, a pamiętam tylko jednę

taką chwilę, gdy mówił o Grzegorzu VII Hildebrandzie, słowa płynęły szybko, frazesy lubo zawsze krótkie wiązały się z sobą najpiękniejszym łańcuchem z myśli więcéj niż z obrazów złożonym. Wtedy także czarne oko iskrzyło się niezwykłym ogniem, bo zwyczajnie proste i wydatne rysy rzymskiéj twarzy profesora, były spokojne i obojętne, tak jak ruchy i chód powolny i prawie flegmatyczny. Zawsze jednak w całym układzie p. Rossego, który był średniego wzrostu i szczupłéj tuszy, odgadnąć można było tlejący żar silną tłumiony wolą, zdradzany często wyrazem pogardy i sarkazmu, rzadko bardzo uniesieniem lub namiętnością. Głębokie rozczarowanie, w młodości zapewne doznane, w skutek którego jak się zdaje ojczyznę opuścił, odbijało się smutnem i ironicznem piętnem na bladem obliczu; nieskierowało wszakże wzniosłego umysłu na drogę zwątpienia lub fatalizmu, przeniknęło go tylko pewnem zimnem i pogardliwem uczuciem dla wszystkich ludzkich usiłowań. Rossi nie rachował nigdy na ludzi, mało ufał systematom, ale oceniał bystro, przewidywał i z nieugiętą loiką wyprowadzał następstwa. W tem znaczeniu był on tem co nazywano doktrynerem politycznym i zbliżał się do pana Guizota.

Za doktrynera też powszechnie uchodził, zwłaszcza u ludzi z pozoru sądzących, powołanie go zaś do Paryża przez ministra i oddanie katedry prawa konstytucyjnego, potwierdziło jeszcze to mniemanie. Dzienniki oppozycyjne a było ich wiele, wystąpiły z całą wolnością jakiéj używały, tak przeciw osobie p. Rossi, jakotéż przeciw nowo utworzonéj dla niego katedrze. Upatrywano w tym fakcie wyraźne zgwałcenie konstytucyi, ukrócenie wolności sumienia, wolności opinij politycznych, wolności osobistéj, i nie wiem jakiéj jeszcze, a to przez narzucenie gwałtowne młodzieży systematu gabinetowego, i tłómaczenie jéj konstytucyi według widoków

p. Guizota; nowego bowiem professora za kreaturę tego ministra głoszono.

Wszystkie te argumenta i wiele innych, krążyły w dolnéj sali gmachu „Szkoły Prawa“, kiedy w dzień zapowiedziany otwarcia kursu udałem się tam o godzinie pierwszéj z południa. Poznałem do razu, że studenci prawa zawezwali pomocy kolegów swych z innych wydziałów zwłaszcza z lekarskiego. Sala była studentami przepełniona; osób całkiem obcych których ciekawość sprowadziła, nie wiele. Wyrzekania i pogróżki szły żwawo, to na doktrynerów, to na Włoskiego Szwajcara, bo tak Rossego nazywano, to na Ludwika Filipa. Nie szczędzono nagan i krytyk dla rządu; oppozycya zaszczepiona przez dzienniki rosła z całą siłą i energią młodego wieku; odgadnąć nie było trudno że wpadnie w ostateczność.

— To niegodziwość, gwałt publiczny, narodowy, wołano, kurs taki ogłaszać za obowiązkowy!... jakto? więc na egzaminie mielibyśmy zadawać fałsz naszym opiniom, rzeczy najświętszéj!... musielibyśmy odpowiadać tak jak chce seid Guizota! My republikanie, wołali niektórzy, mielibyśmy się udawać za *juste-milieu?* Nie, to być nie może—nie będzie!....

— Cóż więc zrobicie? pytałem.

— Co? to, co się zawsze robi, kiedy czego nie chcemy. Zagłuszymy Szwajcara! wygwizdamy Włocha!

— A jeżeli się nie da, i przetrzyma hałasy?...

— Zapominasz pan o jabłkach pieczonych które mamy w kieszeniach, to nasza artylerya—to *ultima ratio*....

Widziałem że to nie przelewki, że bez krwi rozlewu, może przyjść do bardzo przykrego z władzą zajścia. O zaletach professora ani mówić, wspomniał tylko ktoś że rząd może użyć siły.

— Tém lepiéj, zawołano, tém lepiéj, lud się dowié, że bronimy praw jakie służą obywatelom francuzkim.

Niech żyje lud! Niech żyje konstytucya! Niech żyje wolność!....

Wśród tych wiwatów wszedł pedel do sali i oznajmił że otwarcie kursu p. professora Rossego z powodu słabości dziekana wydziału który go miał wprowadzić, odłożone zostało do przyszłego tygodnia.

Z okrzykami tryumfu opuścili salę studenci. Nie wierzyli chorobie ale pewni byli że opozycya ich pomyślnym skutkiem uwieńczona. Po części mieli słuszność. Nazajutrz wyczytałem w sieni gmachu za kratką:

„PP. Studenci wpisani do „Szkoły Prawa“ którzy mają „uczęszczać na kurs prawa konstytucyjnego pana pro„fessora Rossego, zechcą się zaopatrzyć w kartę wpisu, „za okazaniem któréj wpuszczeni będą do sali odczytów. „Słuchacze dobrowolni i osoby obce mogą otrzymać bi„lety wnijścia, w mieszkaniu samego professora. Nikt „bez biletu wpuszczonym nie będzie“.

Środek obmyślony nie wydawał się trafny i skuteczny. Co gorsza nie był polityczny. Drażnił a nie przekonywał. Wywoływał większą jeszcze opozycyę, a nie uspokajał ani też dowodem był siły. Ale rząd jak się zdaje uprzedzony o usposobieniu studentów i ich zamiarach, sądził że skoro usunie studentów z obcych wydziałów, którzy przez burdę nic nie ryzykowali, bo nie mieli nigdy widoku składania przed panem Rossim egzaminów, usunie się tém samém główna oppozycyi studenckiéj podpora i siła.

Nie mając kartki wpisowéj udałem się po bilet do p. Rossego. Po powitaniu i przedstawieniu mego życzenia, zapytał mnie co mówią studenci? Powiedziałem bez ogródki, że uważają w kursie prawa konstytucyjnego zgwałcenie właśnie konstytucyi.

— A! rozumiem, *la Charte est une vérité* (konstytucya jest prawdą) przecedził zwolna, a z ironicznym nie do opisania akcentem dodał: Stara piosenka!

Po chwili pytał daléj:

— I prawdę tę, wolno każdemu tłómaczyć, stosować, naciągać, jak się podoba, nawet studentom?

— Zdaje się że takie ich przekonanie, odrzekłem.

— Wolno wszystkim wyjąwszy rządowi, który ją sam jeden zaprzysiągł?....

W odpowiedzi na tę nader słuszną uwagę, starałem się wskazać co głównie oburza studentów w zapowiedzianym kursie, a mianowicie że jest obowięzujący.

— A! rozumiem, rzekł wysłuchawszy profesor, myślą więc że ja paragrafy konstytucyi wykładać im będę, że ich będę uczył ducha konstytucyi lipcowéj? Biedne chłopcy! Zresztą nie byłem za tém aby kurs był przymusowy, równie jak jestem przeciwny biletom wnijścia, i nie mogę służyć panu takowym.

— Bez niego wszakże pedel nie wpuści, a pan professor nie zechcesz pozbawić prelekcyj swego dawnego ucznia z Genewy.

— Nie dam panu biletu, naprzód że go nie mam, powtóre że się na nic nie przyda. Tak rzeczy nie pójdą; bo jeżeli wolność ma swoje granice, to znów jéj następstwa mają swoją konieczną loikę. Jeżeli się mylę, jeżeli odczyt rozpocznę, a wpuściéby pana niechcieli, poślij mi tylko przez pedela swą kartę wizytową.

Przekonałem się wkrótce, że się nie omylił. W dzień naznaczony udałem się nieco wcześniéj do „Szkoły Prawa“, ale wnijść nie mogłem. Przed bramą stał pluton piechoty liniowéj dowodzony przez podoficera. Obok niego jeden z pedeli sprawdzał karty wpisu, i dopiero za jego pozwoleniem otwierał się szereg i wpuszczano wskazane osoby. Kilkuset studentów rozprawiało o podal na placu, co czynić wypada. Decyzyą szybko powzięto. Z uderzeniem pierwszéj godziny na St. Sulpice, rozległ się krzyk: *Vive la ligne!* (niech żyje wojsko!) i

cała zgraja przystąpiła masą do żołnierzy stojących we dwa szeregi z bronią do nogi.

Wojsko liniowe za Ludwika Filipa nie lubiło aby je do takowych używano posług: uważało to za rzecz policyi i gwardyi narodowéj. Ze śmiechem przeto rozpoczęła się nibyto kłótnia z nacierającemi studentami, a skończyła się na tem, że studenci rzucili się nagle na żółnierzy, przerwali szereg i krzycząc zawsze: niech żyje wojsko! hurmą wpadli do bramy.

Porwany prądem sam niewiem jak się dostałem na dziedziniec, a co większa jak się znalazłem w sali. Wrzucono mnie dosłownie przez okno wraz z innemi, bo studenci będący już w sali, widząc że drzwi pedelami obsadzone, tę drogę wskazali kolegom i wciągali jednego po drugim. Wszystko było ukartowane i trwało krócéj niż opowiedzieć można. Zręczność i zwinność, a w końcu wprawa Francuzów w podobnego rodzaju ekspedycyach jest nieporównana. Wnet sala była pełna studentów i obcych którzy tego samego co ja doznali losu, zamknięto okna i nastąpiła cisza....

Trwała niedługo, bo niebawem otworzyły się drzwi, Dziekan Wydziału i p. Rossi obaj w togach i biretach weszli do sali. Profesor wstąpił na katedrę, dziekan stanął przed ławkami.

— Panowie studenci, rzekł dziekan, pan profesor Rossi.....

Ogromny świst i tupanie przerwało mu mowę. Była to protestacya przeciw osobie. Zwykle przyjmują studenci nowego profesora oklaskami, jeżeli mu są przychylni. Klaskanie i wołanie: brawo! są zwyczajne na prelekcyach w Paryżu, nawet słowo szczęśliwe, frazes co się podoba, wywołuje takowe. Zgoła oznaki zadowolenia te same co w teatrze.

Hałas trwał kilka sekund, poczem uciszył się, a Dziekan przetrwawszy pierwszą burzę, mówił daléj:

— Nie pojmuję co ma znaczyć to postępowanie....-
Tu nowe gwizdanie i suwanie nogami ale pojedyncze, które mówić nie przeszkadzało:

— ...Albowiem imie męża tak zasłużonego w dziedzinie nauk, którym się poświęcacie i zapomocą których będziecie kiedyś chlubą Francyi i podporą magistratury sławnéj przez tyle wieków, nie mogło być do tego powodem. Pan profesor Rossi więc, mówił daléj Dziekan, wśród ciągłych pogwizdów, ma sobie powierzoną przez rząd nową katedrę prawa konstytucyjnego.....

Teraz dopiero powstał hałas na prawdę. Wrzawa, zgiełk, krzyki: *A bas! A bas! Vive la Charte!* (precz! precz! niech żyje konstytucya)! wzmagały się coraz bardziéj. Mówić było niepodobna. Po pewnym przeciągu czasu, gdy krzyki nieustawały a świst był coraz przenikliwszy, Dziekan zbliżył się do pana Rossego, którego nieruchomość, zimna krew i pogardliwy wyraz twarzy świadczyły iż był należycie na tę scenę przygotowany, i powiedział mu kilka słów na które profesor przyzwalać się zdawał.

Studenci czy się obawiali aby im tchu nie zabrakło, czy też osądzili że to chwila stanowcza, powiększyli jeszcze wrzawę i zaczęli ciskać jabłkami. Owoce na szczęście chybiały profesorów, ale p. Albert Grzymała tuż pod katedrą stojący, a panu Rossemu dobrze znany, trafiony został w samą twarz. Lekki uśmiech przesunął się mimowolnie po ustach profesora na widok téj katastrofy, bo *ultima ratio* studencka pokryła marmeladą oblicze mego rodaka, lecz niebawem zasłoniwszy twarze rękami opuścili salę tak Dziekan jak i profesor....

Znowu więc została wygrana przy studentach, którzy się oddalić nie chcieli dopóki im znać nie dano, że Dziekan i p. Rossi nie znajdują się więcéj w akademickim gmachu.

Nieudanie się obmyślanego środka przypisywano miękkości wojska i studentom obcych wydziałów. Odłożono więc nową próbę do tygodnia i nowe wzięto ostrożności. Pół batalionu gwardyi narodowéj stało tego dnia przed bramą; ale też i studenci zgromadzili się nierównie liczniéj niż pierwszym razem. Zalegali prawie połowę placu przed Panteonem. Z rady walnéj i krzykliwéj wypadło, że gdy rezultat niepewny, bo wiedzieli z doświadczenia, iż gwardyę narodową nie tak łatwo ująć jak wojsko, a gdyby do bójki przyszło to linia głęboka bo z kilku szeregów złożona przedrzeć się nieda jednym zamachem, przeto nietrzeba dopuszczać aby pewna liczba studentów okazawszy karty legitymacyjne weszła do sali. W razie niepowodzenia w tem przynajmniéj będzie protestacya, że profesor nikogo w sali nie zastanie. Zresztą taktyka miała być ta sama, z tą różnicą strategiczną, że armia studentów podzieliła się na dwa oddziały: korpus czynny i korpus rezerwowy, a ten ostatni miał się rzucić tam gdzie się okaże tego potrzeba.

Z uderzeniem zegaru posunął się pierwszy korpus z krzykiem: *Vive la garde nationale! Vive la Charte!* (Niech żyje gwardya narodowa! niech żyje konstytucya!). Widząc ten ruch, dowodzący *episjer* zakomenderował donośnym głosem: *Garde à Vous! serrez vos rangs! Portez armes!* (Baczność! szlusuj! na ramię broń!).

Zła wróżba!...... Poczem komendant postąpił naprzód z pedelem i rzekł do zbliżających się studentów:

— Nie ma żartów panowie studenci, pokażcie bilety lub oddalcie się.....

Odpowiedziano mu tym samym krzykiem, z dodaniem tylko: *Vive la liberté!* (niech żyje wolność!).... i cała massa szła naprzód.

Powtórzył wezwanie raz drugi i trzeci, a gdy to nie pomogło, cofnął się do szeregu i w chwili gdy studenci

już tylko na parę kroków byli od szeregów oddaleni zawołał: *Soldats! croisez les bayonnettes!*

Łysnęły krzyżując się bagnety — zatrzymali się studenci.....

Podczas gdy korpus czynny rachuje się z siłami lżąc zdaleka gwardyę, która nic nie odpowiada, rezerwa usiłuje zrobić dywersyą przez zaburzenie publiczne. Zatrzymuje przechodniów, robotników, omnibusy.... Studenci stawają na kamieniach przed bramami domów, i ztamtąd jakby z trybuny palą mowy rewolucyjne, krzyczą na całe gardło, że rząd chce obalić konstytucyę tak jak Karol Xty, że wolność jest zagrożona, że p. Guizot jest tyranem i tym podobne brednie.....

Kupią się ludzie niewiedząc o co chodzi, ale przeczuwając *emeutę* która w owych czasach wielki jeszcze miała urok dla ludu paryzkiego — studenci zagrzewają do oporu — wskazują gwardyę narodową przypominając niedawne krwawe wypadki przez nią dokonane w ulicy Transnonain — na całym placu nic nie słychać jak okrzyki: *à bas Guizot! a bas la garde nationale! Vive la Charte!* (Precz z Guizotem! precz z gwardyą! niech żyje konstytucya!) a nawet: *Vive la république!* (niech żyje rzeczpospolita).....

W tym głos cienki i chrapliwy: *marchand de coco!* przebija się wśród krzyków. Sprzedawacz ten chłodnika będącego niby rodzajem limonady dostarcza mimowolnie sztandaru pod którym się tłum gromadzi. *Marchand de coco* nosi na plecach puszkę cynową z tym obrzydliwym napojem, a ponad puszką wznosi się trójkolorowa chorągiewka niby latarnia morska, ku któréj śród fal ulicznego tłumu dąży spragniony wyrobnik paryzki. Student spostrzega to godło wolności, porywa je, zatyka na laskę, powiewa improwizowanym sztandarem i uderza w pieśń:

Allons enfans de la patrie i t. d. i t. d.

Chór wtoruje Marselliezę — śpiew ten zawsze elektryzuje w Paryżu... tłum cały ciągnie ku gwardyi narodowéj w pomoc studentom, którzy widząc co się dzieje zaczynali już laskami trącać o sterczące bagnety.... Bitwa była niechybną — gdyby się w téj chwili nie ukazał nowy *Deus ex machina*...

Bożkiem tym był szwadron gwardyi municypalnéj. Wysunął się z po za Panteonu gdzie stał dotąd w ukryciu, i bez dobycia szabli lecz w tęgim galopie przebiegł plac cały i zatrzymał się obok gwardyi narodowéj.

Kto nie widział szarży kawaleryi po bruku paryzkim, nie ma wyobrażenia jak kilkaset ludzi może nagle zniknąć, tak jakby się ziemia pod niemi rozstąpiła. W mgnieniu oka, nie było prócz wojska nikogo na placu. Studenci i ci których za sobą pociągnęli, rzucili się do domów, w przyległe ulice, gdzie kto mógł, słowem rozpierzchli się — przepadli. Wojsko po niejakim czasie widząc że studenci nie wracają, że porządek na chwilę przerwany znowu w normalnym stanie, odeszło. Bramę od gmachu zamknięto — ale prelekcyi nie było. Dowiedziałem się późniéj, że p. Rossi tak był pewny że jéj nie będzie, iż nawet z domu się nie ruszył.

Studenci rozproszeni na chwilę, zebrali się w inném miejscu, a podzieliwszy się na oddziały, poszli natychmiast do deputowanych znanych z oppozycyi, do pp. Odillon Barrot, Isambert, nawet do p. Berrier, w celu zaprotestowania przeciw gwałtom jak mówili i uproszenia ich o interpelacye w Izbie. Droga ta była w każdym razie stósowniejsza, bo aczkolwiek nieprzyzwoita dla studentów, systemat rządu we Francyi przynajmniéj na nią zezwalał.

Nie było na rękę deputowanym podnosić ten wypadek w Izbie, obeszło się przeto bez interpellacyi, lecz zażądano prywatnie od ministra wyjaśnień. Gabinet wytłómaczył swe chęci, zawieszono otwarcie kursu na parę

miesięcy, poczém gdy się umysły uspokoiły i pierwszy szał ominął, p. Rossi bardzo spokojnie prowadził odczyty nie tylko prawa ale i ekonomii politycznéj. Mały na pozór wypadek zjednał mu nawet studentów. Na pierwszéj zaraz prelekcyi profesor dopuścił się tego co Francuzi nazywają *un cuir*, to jest połączenia dwóch wyrazów niestósownie głoską *s*. Zaczęto sykać, a nawet gwizdać...

— *Messieurs*, rzekł z największą flegmą, *zé ne souis pas vénu ici pour vous apprendre lé français, mais pour enseigner le droit* (nie przyszedłem tu uczyć was moi panowie po francuzku, ale wykładać naukę prawa).... Ogólném i głośném *brawo!* przyjęto ów dowód zimnéj krwi profesora.

Zresztą p. Rossi znał wybornie Francuzów, których późniéj reprezentował jako ambasador w Rzymie, gdzie w końcu jako minister Piusa IX śmierć znalazł z ręki fanatyka. Znał także Francuzów i Ludwik Filip; ale prowadzić ich bez użycia forteli, utrzymać na wodzy i rządzić niemi, tę sztukę zdaje się posiadać Ludwik Napoleon. Nie ustępuje on nawet pozornie jak to czynił pierwszy aby dojść do celu: dokonywa od razu co zamierzył.

Doznali tego i studenci paryzcy w tym roku w styczniu, z powodu prelekcyj p. Nisard. Znany ten krytyk, słusznie z talentu swego ceniony, pisywał dawniéj w dzienniku *Débats*, a lubo monarchiczne wyrażał opinie, zawsze jednak należał do dawnego liberalnego stronnictwa. Późniéj przeszedł do *Nationala*, a chociaż dziennik ten w ówczas był jeszcze niby konserwatywnym, a p. Nisard pisywał tylko w literackiéj jego części, zawsze jednak, przeważała w nim liberalna barwa, tak iż w r. 1848 szanowny krytyk już za republikanina u młodzieży uchodził. W ostatnich latach wystąpił w duchu zasad

obecnego rządu, z opiniami całkiem bonapartystowskiemi. Został téż niebawem członkiem Akademii paryzkiéj.

Zwrot ten nieco nagły w sposobie myślenia, a przynajmniéj pisania, przypisywali studenci paryzcy jak się zdaje, nie saméj tylko zmianie przekonania ale raczéj pozycyi przez p. Nisard nabytéj. Skoro więc kurs wymowy w Sorbonie rozpoczął, sądzili iż winni naganę swą wyrazić, a to tradycyonalnym obyczajem swoim. Nie uważali że opozycya przeciw panu Nisard była więcéj polityczną niż studencką; nieporachowali się nadto z epoką, zapomnieli że gdy czasy się zmieniają zwyczaje przynajmniéj jeżeli nie osoby zmieniać się z niemi muszą.

Lubo dzienniki nie podały bliższych szczegółów zaburzenia na prelekcyi p. Nisard, wnosić jednak można że było bardzo znaczne, i nosiło cechę wybitnie polityczną, skoro rząd tak energicznie w rzecz tę się wmieszał. Wygwizdanie dzisiaj p. Nisard było istotnie protestacyą przeciw obecnemu systematowi rządowemu; było tem niebezpieczniejsze, że następstwa tego systematu są nierównie gwałtowniejsze niż za czasów konstytucyjnych. Jakoż żandarmi weszli do sali, przyaresztowali jak piszą, do pięćdziesięciu studentów, a trzydziestu z nich odesłać miano nawet do więzienia w Mazas. Zdaje się że opór stawiany musiał przekroczyć granice zwykłéj opozycyi studenckiéj.

Środek tak ostry zatrzyma zapewnie na przyszłość wszelki nieporządek; prawda że ochłodzi zapewne także wszelki entuzyazm. Gdzie nie wolno gwizdać; tam klaskać zapewne z własnego popędu zaniechają. Rezultat ten byłby zresztą pożądanym. Klaskanie jak i gwizdanie na publicznych odczytach uniwersyteckich jest nieprzyzwoite. Powołaniem studenta jest uczyć się; wyrażanie sądu o profesorze na fałszywéj częstokroć opiera się podstawie. Pana Rossego mieli studenci za guizotowskie-

go doktrynera; Pana Nisarda za republikanina. Wypadki dowiodły czy się mylili. Sąd o profesorach winien student dla siebie zachować a nie objawiać go publiczności. Profesora zaś staraniem aby sąd był dla niego jak najprzyjaźniejszy.

Tegoroczne styczniowe zaburzenia inne wszakże jeszcze będą miały dla studentów paryzkich skutki. *Monitor* ogłosił dekret z d. 19 stycznia w moc którego nikt odtąd bez karty wpisu na prelekcye uczęszczać nie może. Słuchacze dobrowolni również zaopatrywać się będą musieli we właściwe bilety wnijścia. Nadaremne więc usiłowania z r. 1835 jednym dekretem w *Monitorze* w r. 1856 dokonane zostały.

Co większa, takową kartę wpisu winien zawsze student nosić przy sobie i okazać ją na żądanie jakiéjkolwiek władzy. Skoro mu karta wpisu na jeden kurs lub odczyt wydziału odebraną zostanie w skutku nagannego postępowania, wszystkie inne karty wpisu na inne wydziały są tem samem unieważnione, czyli że student wykluczony zostaje z uniwersytetu, a rodzina jego odbiera polecenie aby go do siebie przywołała.

Jest to więc głęboka zmiana w warunkach życia studenckiego. Obok silnéj centralizacyjnéj władzy i systematu Cesarskiego we Francyi, student paryzki nie mógł pozostać na dawném stanowisku swobody studenckiéj. Sam sobie po części winien, jeżeli to już nastąpiło; tem tylko pociesza się zapewne, że zmiany w warunkach wolności doznał już od dawna obywatel francuski — a student paryzki niechce się różnić od niego. Dekret więc w *Monitorze* odpowiedział jego życzeniom.

Maurycy Mann.

HARMONIE RZYMU.

List do księdza Jana Ostapowicza.

....Sta sepulto
Alli occhi di ciascuno, il cui ingegno
Nella fiamma d'amor non è adulto.
Dante. *Parad.* c. VII.

Po straszliwém zburzeniu Rzymu przez Alaryka w 410 r., ś. Augustyn jak nowy Jeremiasz zasiadł na zgliszczach Romy, na dymiących zwaliskach miasta ludzkiego.... Już bogowie opuścili spustoszałe świątynie; wygnaniec Jowisz uszedł z Olimpu równie jak z Kapitolu; rozprzęgły się gołąbki złocistéj Afrodyty, i obłędnie kołują w koło ołtarzy, na których jeszcze gdzie niegdzie — przy łunie tlejącego zgorzeliska, — dogorywają całopalenia. Wyrąbano las kolumn, które Rzym ze wszystkich lądów przesadzał, by bogi swe utaić w marmurowych gajach; akant obleciał z kapitelów, i suchą marmuru warstwą ściele się po kolumn porębie. Roma jak pokutnica oblekła się szarym spopielałego zgliszcza worem, i leżąc nad mętnym Tybrem, liczy w milczeniu i zgryzocie nagromadzone w koło siebie kości ludów, prochy bogów i popioły Cezarów, tak jak gracz wszystko utraciwszy przebiéra oniemiały kostki swoje; wkrótce bluszcz paso-

żytny zaciągnie swe zielone sieci, i ułowi w nie jak podziśdzień wszystkie te szczątki pozostałe z rozbicia się starożytnego świata. Augustyn, istny śpiewak zwalisk, jeden się przemyka wśród téj spustoszenia ciszy, i wpatrując się głęboko w posiniałe oblicze córki ludu swego a pani wszech ludów, owdowiałéj i upośledzonéj Romy, nieśmiertelną jéj piękność wypatruje z pod cieniów śmierci, idealizuje onę, porywa zidealizowany obraz, ożywia, rozświeża, podnosi i wysoko na niebie zawiesza. Pojrzysz, alić miasto ludzkie już pogrzebane pod własnemi gruzami; Roma miniona jak nachylony cień wieczorny, przemija po tych gruzach i grobach, i już do przeobrażonéj zachowała tylko podobieństwo cienia do rzeczywistości: *cui per umbram simile* [1]); a w górze, w jaśni powietrznéj, roztoczyło się widzenie pokoju, nowa Jeruzalem i nowa Roma razem, odbita na obłokach od piersi Augustyna: to miasto Boże rodzące się w przyszłości z bratniego uścisku ludzi i ludów wszystkich w jedności wiary i w jednoczącéj miłości; to Rzym katolicki wzniesiony wysoko na pograniczu ducha i materyi, na opoce Piotrowéj. Imie staréj Romy z Piotrem nowym Romulusem do krzyża przybite, i z nim końcem do góry obrócone, odwrotnie już się czytać daje: *Amor*. Imie to po staremu siłę znaczące, przesiliło się w nowe miłości znaczenie; nowa Roma stała się wieczną miłości stolicą, miłości ogniskiem, z którego wszystek się świat objaśnia prawdą i pięknością, a zagrzewa jednością i umiłowaniem.

Dziś ziszczona ta cudna Afrykanina utopja: nowa wprawdzie Roma pochłonęła starą; ale dwoistość Romy, w mieście Bożém i w mieście ludzkiém od niego wyrażona, istnieje dotąd i co krok przychodniowi czuć się tutaj daje. Rzym starożytny i nowy, pogański i chrze-

---

[1]) S. August. *de Civit. Dei.*

ściański, doczesny i wieczny, miasto ludzkie i miasto Boże, wzajemnie się przenikają, różnią lub harmonizują, sprawiając tysiączne zgodliwe sprzeczności, i nieskończoną przeciwstawień zgodność, ustawiczną grę światła i cienia, walkę dwu światów i pojednanie się obu, oraz przysposobienie, że tak powiem, i uściśnienie starożytnego świata, miasta ludzkiego, od prawdy Bożéj, we wszystkiém co ten świat, to miasto ludzkie, miało w sobie bożego, katolickiego: promienie bowiem przed wschodem widoczne, winny spłynąć do słonecznego kręgu za pokazaniem się słońca, Sybilla winna z prorokami się zgodzić, *teste David cum sibilla*, Platon przeczuć Zbawiciela w obrazie cierpień sprawiedliwego, Orfeusz stać się godłem Chrystusa w malowidłach katakumb, Wirgiliusz witać Dziecię od Sybilli powitane, Dante obrać Wirgiliusza przewodnikiem do chrześciańskiego piekła i czyśca, Panteon, symbol powszechności rzymskiéj, przejść cudotwornym jeniuszem Michała-Anioła *na skronie katolicyzmu*, stać się kopułą ś. Piotra! Światło bowiem Objawienia i światło oświecające każdego człowieka przychodzącego na świat, do jednego należą słońca; ze wszystkich szczytów bliżéj do tego słońca, bliżéj do nieba: wszystko co się szczytami ofiary zrywa z po nad samolubstwa nizin, wszystko co boleścią i ukochaniem ku niebiosom jęczy, wszystko co klęka i płacze do piękności, wszystko co się dymi kadzidłem natchnienia nawet przed ołtarzem bogów, wszystko co prawdziwie natchnione, proste, piękne i kochające, jest już poniekąd lub może się stać katolickiém. Jedno zwątpienie i jeden protestantyzm są ostateczną zagładą życia i zamrożeniem na śmierć ducha ludzkiego; są one tém lodowatém Alighierego piekłem, kędy próżno szukać katolickiéj Beatrixy, to jest uszczęśliwiającéj miłości, ubłogosławiającéj już na ziemi piękności! — Katolicyzm nic nie odrzuca; wszystko jak ziemia przyciąga do siebie; ciężkość ta

dośrodkowa usymbolizowana w portykach ś. Piotra, tych ramionach, które farny świata kościół wyciąga ku powszechnemu ściskających się ludów uściśnieniu, w tém niezamkniętém objęciu miasta Bożego, którém pierwszy otulon nawrócony z Egiptu obelisk, niemy z ziemi sfinksów przychodzień, zaprzężony od nowéj Romy do tryumfu krzyża i krzyżem u szczytu ochrzczony, aby hieroglifami swemi modlił się pod krzyżem, a świat widział jak katolicyzm i Roma piszą filozofią historyi. — Kto więc tutaj nie rozpowszechni rozumu i czucia, a serca nie otworzy *urbi et orbi*, ten nie pojmie ołtarza w Panteonie, krzyża w amfiteatrze, nie pojmie zakatolickiéj dlań tajemnicy Apostoła, jak wszelkie stworzenie jęczy przysposobienia synów Bożych wyglądając, i jak Rzym wyzwala ze służebności zepsucia na wolność chwały synów Bożych, i przyspasabia wszelkie stworzenie; i bluźnierczym temu się wyda on wiersz największego ludzkości wieszcza:

O sommo Giove
Che fosti'n terra per noi crucifisso [2]).

Rzekłem, iż oba miasta leżą obok siebie zestawione, przeplatające się, pomieszane w tysiącznych odcienionych od siebie lub ścieniowanych z sobą stycznościach. Z téj nieskończonéj jedności, a oraz nieskończonéj rozmaitości, płyną dziwne, samorodne harmonie, wytryskujące z téj ziemi liczniéj niż rzymskie niezliczone fontanny; harmonia bowiem jest to tylko jedność rozmaitością przetykana. Możnaby księgę napisać o harmoniach Rzymu, nie mniéj zajmującą i nauczającą od wielu dzieł tegoczesnych, a na los — po ptasiemu uzbieraną wzdłuż siedmiu pagórków, wszędzie gdzie słońce promień posiało, gdzie osypuje się ruina, gdzie krzyż na wysokości wy-

---

[2]) Dante, *Purg.* c. VII.

łuszcza się z Włoch błękitu; księgę zdybywanéj po gościńcu treści, bez początku i końca jak ułamek mozaiki z łaźni Karakalli, bez porządku jak kwiecia wiązanka. Dosyć tutaj spojrzéć: Rzym arcymalarz wzoruje ideę którą wyraża; ma on właściwą sobie symbolikę, obrazową i wzorzystą jak przyrodzenie. Prawda bowiem katolicka, zupełność podmiotowa i przedmiotowa, nie jest połowiczną, odmrożoną od formy jak transcendentalizm czystego rozumu; będąc żywotem i światłością oddycha przez znaki i podobieństwa, świeci w przezroczystém uwielbioném ciele. Dosyć nadstawić ucha: Rzym włoski improwizator cochwilowe antytezy składa ci do wiecznego rymu. Patrz — oto na Kapitol wczwałował jeździec z metalu: to żelazna potęga rzymska, wola rzymska co świat skuła, — to Cezar! Lecz dzieło Rzymu spełnione, świat zlany w miasto jak spiż w ten posąg ku chrześciańskiéj jedności, a miasto jak forma po odlaniu świata wskazane już na próżnią świątyń i na pustynię siedmiu pagórków. Więc Ten, który rzekł morzu: Nie pójdziesz daléj! woła do jeźdzca chcącego roztratować przestrzeń: Stój! i stanął wryty Cezar, i z ubieżanego Kapitolu szczytu świata, zkąd konia spina jeszcze wyżéj — ku apoteozie, znieruchomioném skinieniem jeszcze za sobą woła swoję Romę, która się tłoczy za Cezarem swoim ciżbą świątyń, tłumem amfiteatrów, bazylik i tryumfalnych łuków, i w tém nagle porażona chwieje się i obala szeregami kolumn, które oto obalone spostrzegasz, i dźwiga się by upaść znowu przerywanemi wodociągi, któremi się teraz wlecze, i poprzebijana wyłomami, porąbana szczelinami, oto już się gruzem posłała, nie zdążywszy za wodzem, którego potęga i wola ścięła się na zawsze w to skinienie: bowiem za dotknięciem się drzewa, które życie rodzi, życie wnet ustąpiło z kamiennéj Romy; drzewo z rozłożonemi ramiony zabiegło drogę żelaznemu Cezarowi, i stanęło mu od razu narożnym kopcem pędu,

woli i potęgi; miasto ludzkie walcząc z miastem Bożém, jak biodro Izraela w zapasach z aniołem, uschło na ruinę.—Kędyż życie?—Owożci na przeciwległym kapitolowi pagórku wiecznie żyjące skinienie starca w potrójnéj koronie, który błogosławi narodom z krużganku ś. Piotra. Szerzéj panuje nad miastem i światem rozpostartemi rozpowszechnionemi ramiony, niźli Cezar na Kapitolu wyciągnioną prawicą. Skinął, i ludy tysiąckroć liczniejsze od rzymskich legionów od razu upadają na kolana; a on jako powszechny zastępca i orędownik za ukorzoném miastem i światem, podnosi prosto w niebo— jak Mojżesz podczas bitwy—błagające próżne dłonie, i zanurza je w błękicie;—i znowu jako namiestnik Boży zniża je powoli już pełne nieba, i potężniejszy na Watykanie od Cezara na Kapitolu, jednem skinieniem ściąga błogosławieństwo Boga żywego na całą ziemską kulę: i na to ożywne skinienie życie powszechne rozstrzelając się po ziemi, jak krew po ciele od uderzenia jednego serca, staje się katolicyzmem, tu się rozpala miłością i poświęceniem, owdzie płonie ofiarą i męczeństwem, daléj promieni się wiedzą i sztuką.

Obok śpiżowego Cezara, na zwaliskach świątyni Jowisza kapitolskiego, jądra rzymskiego świata, którą wzniósł Tarkwiniusz stary a Sylla odbudował, gdzie tryumfatorowie zawieszali przedniejszą ze wszech lądów zdobycz, *spolia opima*, łupy ze służebnych królów i ludów dla ludu-króla zwożone, zapanował żebrak Boży Franciszek, ów odnowiciel ubóstwa i poezji italskiéj, na którego skroniach promień z laurem się splata, w którym dwie największe ducha ludzkiego potęgi—świętość i natchnienie, dorosły podobieństwa Boskiego, blizn Chrystusowych. Jowisz spoglądając niegdyś z górnéj stolicy dwurogiego Kapitolu, nic w całym świecie nie widział coby rzymskiém nie było:

Jupiter quum excelsa prospiciat ab arce
Nil nisi Romanum toto in orbe vidit [3])

Dziś mocarz Zeus złożon z onéj stolicy, a pokorny Franciszek podwyższon na kapitolski wierzchołek, puścizna bożka dana człowiekowi, który świat objął najszérszą, najpowszechniejszą miłością, i nic w całym świecie nie widział, czegoby bratem lub siostrą nie nazywał. Wyzuci z wiana i miana synowie jego wracają z zamorza—jak konsulowie—na Kapitol, zniewolniwszy Chrystusowi w dalekiéj bosonogiéj wyprawie, jedno czego Rzym zniewalać nie umiał, dusze braci niewolników i barbarzyńców. W kościele *Ara-Coeli* widać dotąd przy kaplicy żłobu Pańskiego kolumnę z napisem *A cubiculo Augustorum;* przeniesiona z łożnicy Augustów, cesarska kolumna stoi z trzema królami nad kolebką, w któréj niemowlę zwycięzca Rzymu leży; a mdłe dziatki, w farnéj świątyni mocy rzymskiéj i mądrości pogańskiéj, gdyby Daniele wzbudzeni na zasromanie Zeusa i jego córy Minerwy, miewają kazania na Boże Narodzenie, wedle starodawnego zwyczaju. Najdoskonalszy przedstawiciel potęgi w nowéj Romie uosobionéj, który tak gorąco miłował, iż duch jego na ciało wystąpił, [4]) równie jak po Jowiszu zabrał po założycielu staréj Romy świątynię Romulusową na forum zamienioną w kościół franciszkański i podbił aż do gruzów *Złotego Domu* Nerona na Palatynie. Tam w kościele ś. Bonawentury, cudotworny włóczęga ma ołtarze sobie wzniesione na miejscu dawnego *Septizonium* Septyma Sewera, gdzie sprawiano obrzędy apoteozy Cezarów, i trupy ich wystawiano na pozłocistém łożu ku pogardzającéj czołobi-

---

[3]) Ovid.

[4]) Amor ideo mentem Francisci absorbuit, quot mens in carne patuit. S. Bonav *Itiner. Mentis in Deum.*

tności żywych. Zakonnicy Franciszka, którzy załogą pokoju opanowali Palatyn tych zbóstwionych Cezarów, odnawiają ztamtąd po dwakroć na tydzień ich tryumfalne pochody w processyi postępującéj z krzyżem przez łuk Tytusowi dla krzyża mimowiednie wystawiony, i ciągnącéj dawną rzymską drogą do kolizeum na stacyje. Jest to sławna *Via Sacra*, droga tryumfatorów świętą zwana od przymierza, które na niéj Romulus i Tatius zawarli. Inne na świecie miasta rade do siebie przystęp utrudniają i szczelnie się obwarowują, lecz miasto świat obejmujące wyciągało na wszystkie strony te wiekopomne drogi, które były tak długo drogami Opatrzności równie jak gościńcami rodzaju ludzkiego, budowało te niezliczone bramy tryumfalne, mnożąc niejako koryta i ujścia, któremi powszechne żywioły miały spłynąć w jednego Rzymu powszechność, i cały świat zlać się w miasto na świat cały wylane. Inne ludy ciasną spętane narodowością, wznosiły piramidy i obeliski, stawiały pagody, akropole, cyklopejskie mury: Rzym jeden kamien ne żyły w łono ziemi wprawiał, i do saméj otworzystéj przestrzeni bramy otwierał. Porozstawiane po rzymskich drogach by uwiecznić pamiątkę powrotu pogromicieli świata, dziś jeszcze w zgrzybiałości swojéj pilnują one drogi, po któréj drzewo niewolników, świat także ujarzmiwszy, przechadza się po podbitéj Romie. Bramy te, szczególny wymysł rzymskiéj potęgi dla tego tak wielkiéj, iż nią jakieś posłannicze kierowało przeczucie, — bramy te bez mostów i podwoi, stojące wiecznie otworem nad otwartym gościńcem, nie iżby go zamknąć, lecz aby go wstępniejszym, pochodzistszym uczynić, nieprzyłączone do ścian żadnego miasta, do kopców żadnego państwa, ale odosobnione, samotne, odmykające przestrzeń i z obszaru przeprowadzające na obszar, czyliż nie są najwymowniejszém godłem téj Romy, która wiecznie jak brama stała otworem najróżnorodniejszym żywiołom, aby w jéj

powszechną spływały jednią,—przyszłości na katolicyzm? Na rozpoczęcie krzyżowéj drogi, franciszkanin bosy, grubą kapicą odziany, twarzy śniadéj, ognistych oczu, ognisty też w wymowie, a wymowny, w ruchach, braciszek żywcem ze średnich wieków przeniesiony, wstępuje na drewnianą kazalnicę. Kazalnica ta stoi na miejscu gdzie Cezar zasiadał na *podium*, najniższéj amfiteatru galeryi, dla przyglądania się igrzyskom i przytyka do siedzeń westalek. Lud niezliczony zebrany na arenie, powstaje przed nim jak przed Cezarem, i w korném milczeniu słów jego oczekuje. Nigdzie może wykład tajemnicy zaparcia się i wyzucia chrześciańskiego tak nie uderza jak w cyrku, pod krzyżem wyzuwającym się z ostatnich dnia promieni; nigdzie może nauka o królewskiéj krzyża drodze, że ją orzeknę wedle *Naśladowania*, tak się dziwną nie wydaje. Ta pielgrzymka po życia przestrzeni, te czyny krzyżowców opiewane przez nieznajomego poetę w kapturze, niepojęte ich przygody w wyprawie, na niebo, dziwy i cuda zakrzyżowéj niebieskiéj krainy, szalone obietnice czynione przez żebraka stawiającego za przykład Cezara naśladowcom krzyżowego szaleństwa, który wszystkim w obec i każdemu z osobna ośmiela się przyrzekać to, czego się jeden mógł podjąć Cezar — zhołdowanie świata, i to czego nawet najwyuzdańszą niedosięgnął żądzą, zhołdowanie własnego ciała: *subjicientur ditioni eorum mundus et caro. (Imit.* l. II, c. XII); wszystkie te słowem ustępy z krzyżowéj pielgrzymki, nigdzie tak w serce nie wnikają jak na krzyżowéj drodze arenę okrążającéj, na polu męczeństwa, pod miedzą krzyża odgraniczającą czas od wieczności, krainę słuchaczów od krainy, którą kaznodzieja opiewa. Drewniany rozpięty Zbawiciel, w zapale od niego wzniesiony, rozciąga swe ręce nad walącym się amfiteatrem; roztrącone arkady, rozchwiane kilkopiętrowe krużganki, obite wytartemi mchu aksami-

tami, przez które świeci nagość opoki, ściany połatane bluszczem, wypełnione lazurem niebieskim, i zwiesiste u nich pasorzytów wstęgi, służą za tło krzyżowi. Bóg umierający za wszystkich zastąpił Cezara dla którego wszyscy umierali; lud pobożny modli się do umarłego, tam gdzie szermierze wołali do żywego: Mający umrzéć witają cię Cezarze! Błogosławieństwo krzyża po ośmnastu wiekach na ten krzyk odpowiada; błogosławieństwo konającego na życie udzielone, zstępuje z miejsca, zkąd zstępował wyrok śmierci w skinieniu westalek; lud pobożny upada przed Chrystusem upadającym pod brzemieniem krzyża, tam gdzie gladiatorowie padali przed panami świata; klęka on na obalonych posągach tych panów, na ich wbitych w ziemię bez głów i czci tułowach, a klękając sprawdza mimowiednie proroctwo Psalmisty: Położę nieprzyjacioły twoje podnóżkiem nóg twoich.— O! nieopisanym jest ten widok rozklęczonego po arenie ludu, bractwa zakapturzonego w szarych kapicach, które obchodowi przewodniczy, pochylonych zewsząd postaci o złomy kolumn, o bryły marmuru opartych, zamierzchłych w ciemni arkad, lub owianych na słońcu ruchomym bluszczu cieniem; długiéj processyi co zwolna przesuwa się pośród gruzów, przechodząc od boleści do boleści, od upadku do upadku, a powtarzając za każdą stacją: Chwalimy Cię Panie i błogosławimy Tobie!— I te niezliczone mężów, niewiast, młodzianów, i starców, i dzieci głosy, zrywające się jednocześnie jak stado ptaków, z głębi krużganków, z dali kurytarzów, z pod łuków i sklepień, ze wszystkich kątów odgłośnego olbrzyma, ze wszystkich części piaskowni, by odkrzyknąć razem: Iżeś przez krzyż Twój święty świat odkupić raczył! — I w przestankach głosistego hymnu, śpiew ptastwa gnieżdżącego się niewidomemi chóry za firankami bluszczu i krzewów pomurnych, i nad odkupionym przez krzyż ludem, co się w pro-

chu korzy — wysoko w powietrzu tchnącém jakąś miodową niby palm męczeńskich wonią — nieruchome rozpostarte ramiona krzyża stojącego na środku areny, skrwawionego u szczytu ostatniemi jakoby męczeńskiemi ślady zachodzącego słońca, które okna i wyłomy amfiteatru z jednéj strony w pałające ogniska zamienia, a przez nię na drugą murów stronę ciska szafranowe a wkrótce purpurowe wzory.— Po odbytéj krzyżowéj drodze processia odchodząc śpiewa tę ciągłą zwótkę: *Evviva la croce!* niech żyje krzyż! tam gdzie lud inny wykrzykiwał: Niech żyje Cezar! I hasło to stokrotnie powtórzone rozlega się po cyrku, odbija się o pałac Cezarów, krąży nad forum, rozegrywa się po kolumnach niedobitkach świątyń, i nareszcie kona pod dalekim Kapitolem. A drzewo hańby i niewoli przez *Via Sacra* niesione dawnych tryumfów drogą, która się przez nie prawdziwie *świętą* staje, spotyka się w łuku Tytusowym z Jerozolimskim świecznikiem od innéj kamiennéj processyi na płaskorzeźbie niesionym; a w téj chwili proroctwa i spełnienia onych, zakon stary, zakon nowy i wielobóstwo, Rzym, Jeruzalem i Chrystus, w jednéj zbiegają się bramie. Zbieg i połączenie dwóch znaków niebieskich nową porę roku tworzy i obiegi planet zamyka; spotkanie w bramie Tytusowéj krzyża Pańskiego z Jerozolimskim świecznikiem jest zamknięciem starożytnéj historyi, godłem spełnienia się wszystkich przepowiedni, najwymowniejszym komentarzem Zbawicielowego *Consumatum est*, przesileniem miasta Bożego z ludzkiém, porównaniem dnia nowego z nocą starego Przymierza: dzień odtąd rośnie, cienie się figur nachyliły, a ludzkość nadal niezamierzchła, wedle słów Apostoła, z jasności w jasność się przemienia. — Processya wchodzi do kościoła najświętszych serc Jezusa i Maryi, przytykającego do świątyni Romulusa. Z jéj to progu Bóg-Człowiek, nowéj Romy założyciel, błogosławi po raz ostatni ludo-

27

wi, a lud przed Bogiem swoim upada na wklęsłych płytach pomostu rzymskiego; a to błogosławieństwo i ten pokłon mają za tło i ramy nawrócone świątynie pogaństwa, bazyliki, kolumnady, łuki tryumfalne; Palatyn z jednéj strony, a z drugiéj Kapitol; za widownią forum i drogę świętą; za uwieńczenie obrazu niepokalane włoskie błękity za skałą Tarpejską zachodu purpurą zadymione, i w koło Kapitolu światłokrąg zachodu, stojący apoteozą z promieni pod stopami nowéj Romy posągu, który na wieży kapitolskiéj, gdyby na dziejów szczycie, utkwił krzyż Pański i wzbił go jak hymn tryumfu nad starą w prochu wywróconą Romą, i krzyżem, jak dziejów powszechnych wieńcem, koronuje Kapitol co wieńce rozdawał.

Ktoby zaś ze znaku tego wyrażonego na błękicie jak naczelny napis nad rumowiskiem wiecznego miasta, nie wyczytał od razu imienia potęgi, która krzyżową stopą ściéra Kapitol— głowę Romy i Romę— świata głowę, i na Kapitolu tryumfując wyciąga ramiona krzyża, by jedném miasto ludzkie obalić, drugiém wzbudzić miasto Boże, a obojgiem ogarnąć Boga; ktoby więc pytał jeszcze o téj potęgi imię,—niech zstąpi na forum romanum, gdzie z pod ziemi zewsząd przekopami poćwiertowanéj, jak z głębi zburzonéj kostnicy, zmartwychwstają trupiéj białości marmury i bezkształtnych obłamków stosy;— rozczłonkowany Romy szkielet, iloraz podzielonéj palcem Bożym jedności rzymskiéj; i gdzie się budzą codziennie pod motyką robotników— grabarzy, bogów posągi,— niezliczone Irydiony, które rozkrywając marmurowy całun co je przypruszał, przyglądają się w posągowém osłupieniu swojém znakowi niewolników zamieszczającemu do koła orły senatu i ludu, i poznają na swém miejscu, we własnych świątyniach, wczorajsze pomiotło amfiteatru, zbiegów z pod lwiego zęba, wychodniów z tygrysiéj paszczy, za to wpuszczonych o dziwy! na

ich ołtarze, iż przemogli, przekochali nienawiść Romy i Olimpu pieszczoty, oprawców i bogów. W nich zatem minąwszy forum i zbaczając z drogi świętéj, wstąpi do Romulusa świątyni, którą po bliźniętach od wilczycy przysposobionych wzięli prawem wiecznych harmonij Rzymu nierozjemni bracia Kuźma i Damian. Tam, za spiżowemi podwojami, przechowuje się w napisie imie tajemniczéj potęgi co Romę zdeptała; rozwiązana zagadka przemienienia Romy, i słowny przekład kapitolskiego znaku:

Charitas omnia vincit.
Fides potitur Deo.

Miłość wszystko zwycięża.— Wiara posiada Boga.

Widziałem miłości zwycięztwo aż w pałacu Cezarów. Zwaliska jego sterczą nad drogą świętą. Tam cały urok i cała opuściałość ruin: trawiste gruzy, omszałe złomy, szczątki porosłe zielskiem i pasorzytami; łuki chwiejące się i bluszczem uwieńczone: jak Rzymianie na biesiadzie; arkady, które rozpuściły zielone powojów kędziory, i ronią róże jako łzy kwieciste na obleciały akant kapitelów; a nad rozesłanemi gruzem ścianami, buczno jeszcze napiętrzone ściany, co je rozsilony bluszcz przerastając na wylot, porysował szerokiemi szczeliny, których jak z ran płynący wylew roślinnego życia, bucha zielenią i nagą cegłę mnóstwem kwitnących równianek umaja. Z głębi podwróconych komnat, z łożnic zasypanych rumem i perzyną, żałobny cyprys tu i owdzie wystrzela jak ostrosłup nagrobku, a wskróś cesarskich podwórzy gęsta trzcina coś szumi o żelaznéj potędze Romy. Na pałacowych sklepieniach, kędy jaskółka gliniankę swą przylepia, żółto kwitnące ziółka udają opadłych stropów pozłociny, a w wyplenionych z trawnika

przestworach, dostrzegłbyś ślady mozaikowéj podłogi, którą mak polny — miasto purpury Cezarów — rozwiewném uszkarłaca kwieciem. Usiadłszy w próżnéj framudze, zdobnéj może niegdyś arcydziełem Lizyppa, Fidjasza lub Praxitela, przed rozwalonem oknem, błądziłem długo źrenicą i myślą po sinych górach, po mieście szarem, po kamiennym kościotrupie staréj Romy, i wspomniałem, że na ośmnaście wieków przed memi odwiedzinami, pan i gospodarz teraźniejszych pustek, — przez to samo okno może — przyglądał się czytając pożar Ilionu, ogromnéj łunie pożaru przez siebie roznieconego, aby nudy na chwilę rozjaśnić. Byłem bowiem u Nerona. I tak wodząc wzrokiem do koła, i krzesząc w pamięci krzemienne okrésy Tacyta, zadrżałem znienacka, bom się był śniąc i marząc spotknął o rzeczywistość, — i już w rzeczywistości, przedmiotowo, na jawie, doczytywałem jakoby dalszy ciąg dziejopisarza. Nieukazał się atoli mym oczom ani Cezar podpalacz, woźnica i wierszokleta, z ufrefionym włosem, z cytrą w ręku, jak go Tacyt opisuje, nucący i pląsający składnie i udatnie, — we krwi, przy pożodze; ani nadobna postać przeniesionéj z łoża tyrana w poczet bogów Poppei; ani skalana w macierzyństwie, acz wielka w zgonie matka Agryppina; ani nareszcie ów blady kwiat dziejów Brytanikus, śpiewne wezbrane przeczuciem dziecię zawodzące pieśń Enniuszową nad zatrutym kubkiem..... nie: był to spadkobierca Cezarów dziedzic ich pałacu — Ukrzyżowany, który wyciągnął obie ręce — by ku owładnieniu Palatynu, — nad gmachem w prochu leżącym. Bóg zastępów, Bóg zwycięztw, utkwiwszy chorągiew krzyża w startéj na rum i gruzy wielkości Cezarów, obozował pod namiotem z bluszczu nad ubieżaném i zburzoném ich siedlisku. I było coś niewypowiedzianie uroczystego w tém panowaniu z drzewa [5]) nad

[5]) Regnabit a ligno. Psal.

tém państwem z popiołów; w téj milczącéj władzy rozpostartéj nad ciszą pamiątek; w tém nieruchomém podniesieniu przebitych dłoni, pod któremi rzymska potęga opadła jak fala, i gmachy rzymskie uklękły w gruzach. Naścienny pod krzyżem napis opiewał tajemnicze i cudowne własności, a rodzajność krzyżowego szczepu, i kończył się pozdrowieniem z hymnu kościelnego:

O crux ave, spes unica!

I zdało mi się, że wybiegłe z lat minionych i obecności pokolenia, i inne tłumnie z dalekiéj przyszłości bieżące, dworzanie królestwa niebieskiego zebrani na sejm walny w świętych obcowaniu, witali na pokojach cesarskich nowego ze wschodu gościa,— drzewo które nadzieję rodzi, które nie deszczem z nieba, ale krwią z ran męczenników podlewane, rozkrzewiło się, rozbujało od Golgoty do Kapitolu, kamienny Rzym podważyło drewnianemi korzeniami, i wdzierając się do samego wnętrza cesarskich komnat, zamieniło je w zarośla i w dzikich krzewów zagony. Wspomniałem jak Neron ścigany strasznemi widziadły, truchlał na tajemnicze głosy, co go zewsząd dolatywały.— Kto wie? może mu wiał do uszu przez wyszczerbione zbrodnią sumienie śpiew potomnéj ludzkości szumiący w głębi wieków: Witaj krzyżu, nadziejo jedyna! I może wówczas duch jego tym niepojętym gwarem wypłoszon ze zmysłów, a w ucieczce swojéj wirem tego co będzie z obecności zmiecion, oślep umykał w przyszłość, aż się napędził na nieznajomego z wieczności przychodnia, aż pęd swój roztrącił o drzewo niewolników co przychodzień dźwigał; i już jak morze spieniony burzył się nawstecz i cofał przed nieznajomym; a promienna zmora wciąż go parła ku Rzymowi, coraz mu się żywiéj uobecniając, w piersi i w czucie wpijając, rzeczywistością

go swoją do szpiku przejmując; i obcy przywłaściciel w niewidzianym na tryumfach wieńcu, coraz posuwiściéj, niewstrzymaniéj, zdążał ku wiecznemu grodowi, i już wstępował na Palatyn, i wchodził na cesarskie pokoje, i już się zbliżał do téj oto ściany, na któréj go jeszcze widać; i ten sam krzyż jego zolbrzymiały, niebotyczny, nastąpiwszy na gmach Cezarów, druzgotał go stopą, gdyby szklanną łątkę, i dawny świat porywając w ramiona obalał jak zapaśnika na posłanie z obalonych świątyń i cyrków, i w dawne niebo wierzchołkiem godząc, burzył sam Olimp, i rozsypywał spadającą jak gwiazdy gromadę przygasłych bogów.....

Obok zwycięzkiego krzyżowego pozdrowienia i hasła na zdobytych ścianach pałacu, szukałem napisu, z któregobym mógł wyczytać potęgę i chwałę dawnych jego panów; i ujrzałem w szczelinie rozsnutą pajęczynę, w któréj uwiązł był suchy kwiat wawrzynu: potęga i chwała obie się były podpisały zdając pałac Cezarów Ukrzyżowanemu.

Władysław Kulczycki.

ŚPIEW HYAWATY

(The Song of Hiawatha)

przez **Henryka Longfellow.**

Dzieło pod ręką naszą, a którego rozbiór tu dać zamierzamy, jest jedno z najnowszych; z ciekawością jest w Anglii czytane i podziwiane. Treść jego osnowana na historyi i podaniach z wieków przedchrześciańskich Ameryki Północnéj; a tytuł „***Hyawata***“ nadany ma od bohatyra, czyli raczéj półbożka a wielkiego dobroczyńcy Amerykańskich plemion, — czyli dzikich Indyan, jakto Europejscy zdobywcy zwykli ich nazywać. Czém był Odin dla Skandynawii, tém Hyawata był dla Indyan Amerykańskich: „Śpiew Hyawaty“ przeto możnaby nazwać Eddą Amerykańską. Hyawata u wszystkich plemion Ameryki był znany; lecz u wielu pod odmiennemi imionami, jako to: Michabu, Chiabo, Manabozo, Tarenyawagon.

Drugą osobą, a niemniéj ważną rolę odgrywającą w poemacie, jest: *Gicze Manito*, Wielki Duch, bóstwo

czczone przez plemiona Amerykańskie za pogańskich czasów. Wyobrażano go pod postacią *Jaja* z czterma wypukłościami, na oznaczenie czterech stron świata, wschodu, południa, zachodu i północy. Był Dawcą życia, a przez okrągłość jaja, oznaczał nieskończoność. Tak dalece i z tych względów, Wielki Duch był istotą dobroczynną. Lecz był on także Duchem Złego, a wtenczas wyobrażano go pod kształtem Węża Kenabeka, jako istotę chytrą, czołgającą się i szkodliwą. I tak Wielki Duch Manito był symbolem życia i oraz śmierci, dobroci i złości, szczęścia i nieszczęscia; słowem, był symbolem razem Złego i Dobrego. Istny, trafny obraz Bóstwa barbarzyńskich wieków! Przeciwnie Hyawata, dziecię cudu i jeszcze półbożek, jest obrazem oświaty i jéj narzędziem; przezeń pojęcia czystszéj religii i moralności przebijają się: zdaje się że światło religii chrześciańskiéj błysnęło na jego duszę, i on przechowuje u siebie Apostołów jéj pod imieniem *gości*. Hyawata jest amerykański Piast, bo jak gościnny Piast u nas przyjmował w Kruszwicy Aniołów, młodzieńców w bieli, tak on pierwszy przyjmował jako gości opowiadaczów nowéj wiary w Ameryce; obadwa też stali na pograniczu między nią a bałwochwalstwem. Wyjaśni się to późniéj dla czytelnika w wyjątkach z samego poematu.

Autorem *Śpiewu Hyawaty* jest Henryk Longfellow, Amerykanin, miany za najsławniejszego z pomiędzy żyjących poetów, piszących w języku angielskim. Znaczniejsze poezye jego dotąd ogłoszone drukiem są: *Złota Legenda* (The Golden Legend); *Głosy Nocy* (The Voices of the Night); *Student Hiszpański*, drama w 3ch aktach; *Evangeline*, czyli powieść z Akadyi, w któréj opisał miarowym wierszem wygnanie mieszkańców z ich siedzib przez Anglików. Powieść ta podobna jest do *Hermana i Dorothey* Gethego. Ostatnim płodem jego pióra jest *Śpiew Hyawaty*, w 22 częściach, a który poczytuje się

mu za największą zaletę, że zwróceniem jeniuszu swego od przedmiotów zwyczajnych, wielokrotnie opiewanych przez poetów, i ledwie już nie zużytych, — czyli z nowoczesności na przeszłość plemion Amerykańskich, — odkrył źródło nowe i obfite dla poezyi. Nie ma narodu ani plemienia ludzkiego, któreby nie miało dawnych dziejów, podań, legend; Sławiańskie ludy szczególnie w nie są bogate. Jak wielce przez nie literaturze można się przysłużyć i ją zbogacić, dowiódł tego poeta szwedzki Runenberg, sławny wydawca poematu *Kalevala* w finlandzkiém narzeczu, a utworzonego jedynie z dawnych podań, uzbieranych między ludem w Finlandyi. Poema to jako wprzódy ogłoszone, musiało być znane poecie amerykańskiemu, i mogło mu nawet nastręczyć myśl do podobnegoż utworu. I w rzeczy saméj Śpiew Hyawaty nosi na sobie wiele tych samych cech, a właściwych jedynie Kalevali Fińskiéj i nawet ten sam zachowany w nim rodzaj wiersza.

Wiersz ten tak w Kalevali jak w Hyawacie jest nierymowy, ośmiozgłoskowy, w trocheach — ᴗ. Użycie tak krótkiego wiersza bez rymu, miano za nowość w angielskiéj poezyi, i wielu mniemało że p. Longfellow go pierwszy zaprowadza. Lecz tak nie jest. Bezrymowy trochaiczny dimeter znajduje się w starożytnych zabytkach Islandskiéj i Anglo-Saskiéj poezyi, w romantycznych poezyach Hiszpańskich; używali go także Kalderon i Lopez Vega w swych utworach dramatycznych. Miara ta bezrymowego wiersza nie jest obcą także narodowéj poezyi różnych plemion Słowiańskich; napotyka się ona równie w nowszych utworach, jak i w najstarożytniejszych zabytkach. Świadkiem tego są zbiory Pieśni Serbskich i Morlackich, Ruska wyprawa Igora na Połowców, i mnogie przykłady starodawnéj poezyi czeskiéj, przechowanéj w rękopismach królodworskich, a wydanéj przez Hankę r. 1819. Jako przykład takiéj bezrymowéj a tylko mia-

rowéj poezyi, przytaczamy tu jednę zwrotkę z pieśni „Lubisa i Lubor“:

Znamenaite staŕy mladi,
O potkach i o siedàni
Biesse druhdy kniez Zalabský
Kniez slawný, bohatý, dobrý
Ten imiesse dceř jedinu.

I polskiéj mowie miara takowego wierszowania nie jest obcą. Nieposiadamy wprawdzie dawnych zabytków, bo zatracone zostały: lecz znajdujemy miarowe wiersze w pieśniach ludu; najczęściéj wszakże niedokładnym rymem przeplatane. Akcent jednakże górujący w mowie nad szczególnemi zgłoskami stanowi ich główną śpiewność, dobitność, i wdzięk harmonii, tak dalece że przy nich rym, do którego nasze ucho z czasem nawykło, iż bez niego wielu niepojmuje poezyi, zdaje się być zbytkowym i ledwo nie próżną słów igraszką. Czuł to Adam Mickiewicz (którego niestety zgon opłakujemy) kiedy w Wallenrodzie chcąc wydać dobitniéj „Powieść Waideloty“ aniżeliby może mu rym był dozwolił, wpadł jak z natchnienia na Grecko-Polski hexameter, i tak rytmicznie poczyna:

Żkąd Li|twini wra|cają | z nocnéj wra|cają wy|cieczki
Wiozą łupy bo|gate w zamkach i |cerkwiach zdo|byte i t.d.
Sama nie | widzi co | robi | wszyscy mi | to powia|dają.

Co tak nasz natchniony poeta zastósował do Polskiego hexametru, to samo da się równie zastósować do innego rodzaju i budowy wierszy. Daktyle — ◡ ◡, i trochee — ◡ są najwłaściwsze językowi Polskiemu, ostatnie z powodu przedłużenia przedostatniéj zgłoski w wyra-

zach polskich i spoczywającego na nich akcentu. Wyrazy zaś jednozgłoskowe, jako *wrzask*, *szczęk* i t. d. z pozycyi swéj mogą być długie lub krótkie; tudzież przedimki *pod*, *nad*, *za* i t. d.: a szczególnie łączniki *i*, *a*, *lub* dają się dłużéj i krócéj podług pozycyi, czyli podwyższenia lub zniżenia głosu, używać. Jedynie na te proste i jasne prawidła prozodyi uważaliśmy w tłumaczeniu naszych wyjątków z Hyawaty. Bez tego nie byłaby ani treść ani forma oryginału Angielskiego wiernie oddaną; życzymy przeto, aby jako w Angielskim tekseie trochee, tak i wiersze nasze ośmiozgłoskowe podług tych samych miar były czytane, albo raczéj skandowane. Język angielski choć z natury swéj mniéj jest śpiewny od polskiego, a przecie tak jest przez poetę używany. Należy nam poznać wyższą zaletę naszego, i z niéj korzystać.

Po takowym wstępie, przystępujemy do samego poematu P. L. amerykańskiego poety. Wyprowadza on Hyawatę, który obyczajem dawnych wieszczów tak skanduje, czyli śpiewa swą pieśń.

Jeżli pytasz, zkąd te wieści?
Skąd te pienia i legendy,
Co świeżością lasów pachną,
Co wonieją smugów rosą,
Co się dymem z nad chat wznoszą,
Co jak strużki po dolinach
Z dźwiękiem wdzięcznie z cicha dzwonią,
Lub z gór spadem jako rzeki
Płyną, szumią głosem gromu?

Na pytanie to powiadam:
Wiankiem one z puszczy, stepów,
Z ponad jeziór na północy,

Z ponad błoni Ożybwaju
Z ponad dolin Dakotahy;
Z wzgórzy, jarów i wrzosowisk,
Kędy Strusie Szugi gnieżdżą [1])
Pośród bagnisk i szuwarów;—
Wiankiem one Nawadahy—
On to śpiewak złotousty,
Ja powtarzam, co on nucił.

Tu opowiedziawszy, kto był ten dawny wieszcz Nawadaha, co jak z kwiatów splatał wianki śpiewów z podań plemion Ameryki — a opowiedziawszy to w jak najtkliwszych wyrazach, i ze czcią dla jego pamięci, tak dalej rzecz prowadzi:—

Wy przyrody miłośnicy,
Coście radzi kiedy słońce
Opromienia łąki, błonia;
Coście radzi cieniom lasów
I szumieniu wiatrów w drzewach
Pośród ulew i zawiei,—
Lub gdy toczą zię rzekami
Wody z gór przez skały, bory;
Coście radzi grzmotom, łyskom,
I gdy gromy biją w górach
Klepcąc jak skrzydłami orły.
Wy, słuchajcie dawnych podań
Wieści, pienia Hyawaty.

Wy ludzkości miłośnicy
Co lubicie przodków dzieje,
Wieści ludu, piosnki, dumy,—

[1]) W oryginale: *Shuh— shuh— gah,* Amerykański potężny ptak z rodzaju Strusia.

Co odgłosem zeszłych wieków
Brzmią nam w uszach, nam się miłą
Mową prostą i dziecięcą —
A rozeznać je niełacno,
Czy są mową, czyli śpiewem.
Wy, słuchajcie Indjan podań,
Wieści, pienia Hyawaty.

Wy, serc czystych, duszy wzniosłéj,
Z wiarą w Boga i przyrodę;
Z wiarą, że po wszystkie wieki
Serca ludzkie były dobre;
Z wiarą, iż i w dziczy łonach
Tleją iskry szlachetności,
I tęknota za dobrocią;
Z wiarą iż najsłabsza ręka,
Acz pomacku maca w ciemniach
Prawéj dotknie ręki Boga,
Co ją wzmocni i podniesie.
Wy, słuchajcie tych powieści,
Tego pienia Hyawaty.

Wy co czasem po ustroniach
Jary, wzgórza przebywacie,
Kędy głogi, ciernie kwitną —
Kędy mchem obrosłe głazy
Leżą wśród powoju, bluszczu,
Przy pomnikach tych stawajcie
W myśli jakby wykryć, zbadać
Rysy ręką czasu starte,
W serc prostocie tam wyryte,
Z myślą prostą, bez okrasy, —
Każda wszakże ciężka żalem
Każda z nich nadziei pełna —
Wzdychań ziemskich do niebieskich.

Po zbadaniu tych napisów
Na mogiłach, wróćcie do mnie,
Słuchać pienia Hyawaty.

Od podań zwracamy teraz uwagę na Wielkiego Ducha, czczonego pod imieniem *Gicze Manito*, a łączącego w sobie (jakto bydź zwykło u barbarzyńskich plemion) przymioty bóstwa i oraz rządzcy ziemskiego—atrybucye boskie wespół z człowieczemi. Ztądto poszło lmie; *półbożek* i takim jest Wielki Duch pierwotnych mieszkańców Ameryki czyli Indjan. Poeta w tych słowach wyprowadza go na scenę: —

Na szczyt góry wśród równiny
Wszedł Manito wielowładny,
Dawca życia, rządzca plemion;
I stanąwszy z całej piersi
W głos zawołał: „Starsi plemion;
I narody! spieszcie do mnie —
Do mnie pod Czerwoną Skałę.“

Poczém z pod stóp Manity wytrysła rzeka z blaskiem komety Iszkudy i dla spadającéj z góry Wielki Duch, schylając się ku ziemi, wskazał palcem krętości koryta i kierunek kędy ma płynąć, rzekłszy: „Tak i tam płyń!“ Następnie odłamawszy bryłę od Czerwonéj Skały, ugniotł z niéj *lulkę,* z figurami brzegów łożyska rzeki na niéj; wziął długą trzcinę na *cybuch*; napełnił lulkę korą czerwonéj wierzby: i podniosłszy ją do ust począł palić swą lulkę—„lulkę pokoju na cały świat.“ Dym z lulki „zwolna, zwolna“ się rozchodził, dopóki niezapełnił ziemi i niebios. Wieszcze i prorocy różnych narodow widzieli to, i poznali że to palenie „Lulki Pokoju“ przez Wielkiego Ducha było wydaniem „hasła do zebrania się narodów“. A zatém:

I rzekami i polami,
Wnet mężowie wszech pokoleń,
Tu na łodziach tam na wozach,
Na Manity głos ciągnęli.
Szli Delawry i Mohaki,
Szli Choktawy i Kamanchi,
Szli Szoszony, Czarnonogi,
Szli Pawnisy z Omawami,
Szli Mandany i Dakoty,
Szli Hurony i Ożybwy;
I te tłumy wojowników
U Czerwonéj Wielkiéj Skały
Rozłożyły się taborem.

I tam stojąc szeregami
W zbrojach, z bronią śmierć niosiącą —
Lśniące jako liść jesienny,
Lśniące jako zorze ranne, —
Poglądali na się dziko,
Z wzgardą w oczach, z gniewem w twarzy,
Z wieczną w piersiach nienawiścią,
Z zemstą z przodków na nich spadłą!

Na widok tego tłumu mężów z różnych narodów a zajadłych na siebie, Wielki Duch, dawca życia, przejęty jest litością, i wyciąga z politowaniem nad wszystkimi prawą rękę, na uśmierzenie zapalczywych ich passyj, gniewu i wściekłości „cieniem swéj prawicy“, i tak się do nich odzywa: —

Dzieci moje! biedny rodzie!
Chciejcie słuchać słów mądrości,
Chciejcie słuchać słów przestrogi:
Wielki Duch wam radę daje.
Wy, słuchajcie Dawcy życia.

Dałem pola wam na żniwa,
Dałem rzeki na łososie;
Dałem puszcze na niedźwiedzie.
Dałem wam bawoły, żubry;
Dałem wam jelenie, reny;
Ptastwa macie pełno w bagnach,
Pełno ptastwa na powietrzu;
Cóż wam jeszcze niedostawa?
Czy was samych łowić chcecie?
Jużem znudzon waszą zwadą,
Szczękiem broni, krwi przelewem;
Znudzon już wołaniem zemsty,
Waśnią, kłótnią, najazdami.
Wszak w jedności wasza siła:
A w niezgodzie wasza słabość.
Rzućcie przeto kłótnie, walki,
Żyjcie z sobą, jako bracia.

Dalej Wielki Duch przyrzeka im zesłać proroka i zbawcę na przewodnika i nauczyciela, polecając im aby we wszystkiém trzymali się go i szli za jego radą. Sam znów rozkazuje wszystkim kąpać się w rzece, — obmyć twarze z kolorów wojennych, a ręce z plam krwi — zagrzebać w ziemi broń, i z Czerwonej Skały porobiwszy sobie fajki, a z trzcin cybuchy, palić z sobą na znak zgody Lulkę Pokoju. Wojownicy zrobili też jak im Wielki Duch nakazał. Rozebrali się ze zbroi, odrzucili broń od siebie, i rzuciwszy się w rzekę, zbrudzili całą pręgami czerwonemi jakby krwią. Wyszedłszy oczyszczeni pogrzebali miecze i maczugi na brzegach rzeki, porobili sobie fajki Pokoju z Czerwonej Skały, i palili je. Wtedy Duch Wielki poglądając na swe „biedne dzieci“ z słodkim uśmiechem radości, „zniknął z przed ich oblicza za firanki obłoków i przez drzwi do nieba“.

Na tém kończy się śpiew pierwszy, a jest ich 22. W dalszym ich ciągu, podobnież wszystko jest dzikie, mistyczne, a wszelako ujmujące prostotą i pięknością wyobrażeń. W nim występuje Hyawata, pół-bożek i pół-mitologiczna osoba. Podług podań amerykańskich Indjan „on zesłany był do nich na oczyszczenie rzek, lasów, rybowisk, i uczenie ich sztuk pokoju“. Matką jego jest Wenona, dziewica cudnéj piękności, córka Nokomisy:

Matka nieraz jéj mawiała,
Swe przestrogi powtarzała:
„Strzeż się, córko Mudżekiewa!
Mudżekiewa od Zachodu.
Niewierz słodkim jego słowom
Do snu niekładź się na łące,
Ani kryj się w grzędach lilij,
By Zachodni wiatr niezawiał,
Twemu zdrowiu niezaszkodził.
Córka przestróg niesłuchała,
Niesłuchała słów mądrości.
Ażci wiatr zachodni nadszedł —
Nadszedł nad zachodem słońca.
Lekką stopą szedł przez niwy,
Zbierał kwiatki, wąchał ziółka,
Szeptał listkom, kłaniał trawkom,
I rzucając je po drodze.
Naszedł w końcu na Wenonę,
Na murawie pośród lilij;
Słodką miną jéj się milił,
I ujmował pieszczotami,
Aż mu syna porodziła —
Syna smutku i miłości.

A ten Syn był Hyawata,
Dziecie cudu mąż mądrości.

Ale córka Nokomisy,
Hyawaty droga matka,
Odumarła go ze smutku —
Pogardzona, opuszczona
Przez Zachodni wiatr zdradliwy,
Wiarołomcę Mudżekiewa.

Tak osierocony Hyawata, wychowany był przez Matkę Wenony, swą babkę. Od niéj, jak podrósł, dowiedział się

O nieszczęsnéj tajemnicy —
Jak nadobną była matka,
Jakim zdrajcą jego ojciec;
Serce ogniem się zajęło
I pałało żarem pomsty.

Jakim podtenczas był Hyawata, można widzieć z tego co następuje:

Hyawata skoronogi,
Gdy wypuści strzałę z łuku,
Prześcigł ją, wybiegłszy za nią,
Iż padała w tyle za nim.
By najwartszą była w locie.
Ramie jego było dzielne,
Dziesięć strzał do góry strzelał,
Tak wysoko i tak rączo,
Że nim pierwsza na dół padła
Grot dziesiąty warkł z cięciwy

Miał na ręku rękawice,
Minżekawun czarowane,
Z łosich skór misternie szyte;
Niemi, gdy je wdział na ręce,

Skały łupał najmocniejsze,
Kruszył w garści na proch miałki.
Miał sandały czarowane,
Z skór jelenich sztucznie szyte;
W nich, gdy włożył je na nogi,
I przypasał pod kolana,
Każdym krokiem milę zmierzył.

Postanowiwszy pomścić się zniewagi swéj Matki

Rzekł do staréj Nokomisy:
„Ja chcę pójść do Mudżekiewa;
Ujrzę jak mój Ojciec ma się
Tam u wrót Zachodnich Wiatrów,
U podwoi zajścia słońca“.

Babka jego Nokomisa chociaż niewiedząca o prawdziwym zamiarze jego, starała się go odwieść od tego przedsięwzięcia, mówiąc: „Nieidź tam, mój drogi wnuku, do Królestwa Zachodniego Wiatru, do krainy Mudżekiewa; tam chytrości, czarów pełno; on cię tam zabije“.

Lecz odważny Hyawata
Niedbał na niewiasty słowa;
Wprost się udał w głębie puszczy
I co krok, to milę zmierzał.

Przeprawiwszy się przez mnóstwo rzek, i przeszedłszy wiele krajów,

Przybył w końcu pod Gór szczyty
Do Zachodnich Wiatrów państwa,
Gdzie na słotnym burzy szczycie
Król Mudżekiew siedział siwy,
Władzca Wiatrów i burz Nieba.

Tam Hyawata był gościnnie przyjęty od Mudżekiewa. Ojciec przyjmował syna, i kilka dni naniczem zeszło — co poeta tak opisuje:

Tam siedzieli oba razem,
Ojciec z synem, a syn z ojcem;
Na pytaniach, odpowiedziach,
Na powiastkach, rozgoworze,
Dzień po dniu im rychło schodził;
Bo Mudżekiew gadatliwy
Prawił o swych czynach dawnych,
Jakie w życiu miał przygody,
Jak był dzielny i odważny,
Przez nikogo niezwalczony.

Hyawata był cierpliwy,
Słuchał Ojca przechwalanek,
Siedział, słuchał, a uśmiechem
Gniew i gorycz swą pokrywał;
Ani słowem, ani ruchem
Niedał zgadnąć swéj niechęci:
Ale serce ogniem wrzało
Ogniem węgla żarzystego.

W ciągu téj rozmowy Ojca dowiaduje się syn, że Mudżekiewa nic niemoże pokonać ani mu zaszkodzić, prócz ogromnéj Czarnéj Skały—fatalnéj Skały Wawbek: Hyawata znowu wprowadza Mudżekiewa w błąd jakoby jemu samemu nie niemogło zaszkodzić ani go pokonać oprócz trzciny Apukwy tam w pobliżu rosnącéj. Daléj więc poeta tak rzecz prowadzi:

Daléj mowa się toczyła
O rodzeństwie Hyawaty,
Co zacz byli jego bracia,—

O Wabunie, wietrze wschodnim,
O Szawądzie, południowym,
O północnym Kabinoku;
W końcu wszczęła się o matce,
O Wanonie uwiedzionéj,
Najpiękniejszéj z cór niewieścich,—
O zalotach jéj na łące,
Jak tam syna porodziła
I o zgonie opuszczonéj.

Tu się nagle Hyawata
Porwał z miejsca, krzyknął z bólem:
„Mudżekiewie! Tyś ją zabił,
Tyś ją z wdzięków, z życia odarł,
Złamał wdzięczną lilię dolin;—
Tyś ją zdeptał twemi stopy.
Wyznaj zdrajco! Czy nie prawda?
Król Mudżekiew umilkł na to;
Wicher włos mu rozwiał siwy,
Głowę zwiesił aż na piersi
I milczeniem winę wyznał.

Hyawata spojrzał z wzgardą,
Iskry w oczach, zemsta w ruchu—
Porwał ręką Skałę Czarną—
Skałę Wawbek, ciężką, rażną;
Rękawicą Minżekawun
Od opoki ją oderwał;
I skruszoną na kawałki
Rażno cisnął na rodzica,
Mudżekiewa, zwodziciela.
Serce bowiem ogniem wrzało,
Ogniem węgla żarzystego.

Lecz Zachodnich Wiatrów Władca
Precz od siebie dmuchnął skały;
Tchem od nozdrzy, burzą gniewu
Je oddmuchnął na napastcę.
Porwał za Apukwę, trzcinę,
Wyrwał całą wraz z korzenia
Z wielkiéj łąki jako rosła,
Na krawędzi trzęsawicy;—
Wyrwał tę olbrzymią trzcinę.—
Hyawata w głos się rozśmiał.

Walka wszczęła się na przebój,
Ojciec z synem szli w zapasy
Z gniazda w górach orzeł krakał—
Orzeł Kenu, zwiastun wojny.
Z skał na skały przelatywał,
Strząsał skrzydła swe nad nimi.

Jako kiedy w nawałnicy
Topol się ugina, szumi,
Tak Apukwa świszcząc, chłoszcząc,
W ręku ojca się zginała;
Gdy na odwrót z syna dłoni,
Lecąc bryły Wawbek-Skały
Łomotały, gruchotały.
Okrąg ziemi zadrżał, trząsł się,
Wrzask, jęk rozległ się w powietrzu;
Grzmoty w górach przebudzone
Rykły w gromach *Baym-wa-wa!* [2])
Wstecz Mudżekiew uciekając
Z góry na dół, z dołu w górę,
Choć porażon trzy dni bił się;

---

[2]) **Amerykański wyraz na oznaczenie bicia piorunów.**

Hyawata nań nacierał,
Gonił go do bram zachodu,
Do podwoi zajścia słońca—
Do ostatnich ziemi krańców
Gdzie zapada w otchłań pustą
Jasne słońce jak flamingo [3]);
Gdzie w bagnisku niedostępném
Spi od zmroku aż do rana.

„Stój!“ zawołał w krzyk Mudżekiew —
„Stój, mój synu Hyawato!
Próżno silisz się mnie zabić,
Nieśmiertelnych zabić trudno.
Jam cię chciał doświadczyć, synu,
Poznać ducha i twe męstwo;
Przyjm nagrodę za waleczność!
Wróć do kraju, twego ludu;
Żyj tam z nimi, pracuj dla nich;
Oczyść kraj z rozbojów, zbrodni;
Ryby łowić daj na rzekach,
Obróć je dla czółn na spławy;
Pozabijaj czarowniki,
Wyduś magów i potwory,
Zduś olbrzymy Wendygosy,
I gadziny Kenabeki.
Jakim potwór sam pokonał,
Misze-Mokwę, gór niedźwiedzia!

* * *

Taka bitwa się stoczyła
W wiekach dawnych, niepamiętnych,
Za dni dawno upłynionych,
W państwie Wiatru na Zachodzie;

---

*) Ptak amerykański czerwonopióry, wielkości bociana.

Widno przecie dotąd szczątki,
I po wzgórzach i po jarach;
Widno Apukawy trzciny
Podle stawów, wedle jezior;
Widno skał Wawbeku bryły
Rozrzucone po dolinach.

Poema przecudnie się kończy wybieraniem się Hyawaty w daleką podróż, do krain Kewaydyna, zachodnio-północnego wiatru. Pożegnał się więc z Nokomisą, babką swą, przez którą od niemowlęcia był pielęgnowany i wychowany; pożegnał się téż z wojownikami i młodzieżą swego ludu, dla którego za pobytu swego z nimi, był dobroczyńcą; niezapominając przytém polecić ich opiece tajemnicze obce osoby, *gości.* Po czém w te ostatnie słowa do nich przemawia:

„Idę, mój narodzie, idę
W drogę długą i daleką,
Do podwoi zajścia słońca,
Wiele lat i zim nadejdą,
Lecz jak przyjdą tak przeminą—
Nim powrócę, was znów ujrzę.
Lecz mych gości wam zostawiam,
Słów mądrości ich słuchajcie—
Prawdy co wam opowiedzą;
Dawca życia wam ich zesłał
Z krain światła, Wschodniéj zorzy.“

Rzekł tak do nich z brzegu morza;
Po czém wzrok na przestwor zwrócił,
Wiewnął ręką pożegnanie;
Z brzegu zsunął zwirowego
Łódkę na połyskne fale,—
Weń wstąpiwszy z cicha szepnął:

„Płyń na zachód, łódko moja!“
I na zachód łódź płynęła.

Słońce z nieba się zniżając
Nad poziomem rozpostarło
Szkarłat z ognia na obłokach,
By na stepie gorejącym;
Scieżkę we śród zostawując
Długą jasną, prostą, lśniącą.
Po niéj jakby z biegiem rzeki
Z Hyawatą łódź płynęła —
Daléj, daléj do Zachodu,
W wieczornego słońca blasku;
Zwolna nikła w mgle z purpury,—
W końcu znikła w ciemnym mroku.

Za nim patrzał lud na brzegu,
Jak odpływał, bujał, znikał;—
Jak się łódź wznosiła w górę
W przestrzeń blasku i promieni;
Jak się we mgle kryła ciemnéj —
Zwolna, jako księżyc w nowiu;
Aż i znikła w mrocznéj dali.

Za nim wołał lud z nad brzegu:
„Hyawato, dzielny, luby!
Żegnaj, żegnaj, nam na wieki!“
Góry, lasy zamroczone,
W kniejach, głębiach swych wzruszone,
Powtarzały: „Żegnaj żegnaj!“
Fale morza biciem w skały
I szemrzeniem ponad brzegi
Powtarzały: „Żegnaj żegnaj!“
Strusie-Szugi ze swych bagien

Żal swój krzykiem roznosiły:
„Żegnaj, żegnaj, Hyawato!“

Tak zszedł z świata Hyawata,
Hyawata ulubiony;
Zszedł w światłości zajścia słońca
I w wieczornéj mgły purpurze,—
Do Zachodnich Wiatrów kraju,
Zkąd Kewaydyn wiatr zawiewa—
Tam do wysp błogosławionych,
Do Ponamy błogich krain.

Czytelnicy Angielscy porównywają tok tych wierszy do strzępienia się fal na powierzchni wody i szeleszczenia liści drzew od wiatru. W myśli że sprawimy może równą przyjemność dla naszych czytelników, staraliśmy się w przekładzie polskim naśladować ten sam tok. Czy się nam to udało, znawcy poezyi najlepiéj ocenią, osądzą. Tu tylko dodajemy, że wyższego rzędu poezye zdają się koniecznie miarowego wiersza wymagać; a ten język musiałby odkryć wielkie swe ubóstwo, gdyby niemógł w nich obejść się bez rymu.

Niedość literaturze narodowéj mieć rymotworców, trzeba mieć poetów, którzyby niekoniecznie trzymając się przepisów obcych, nadawali swym utworom kształty najzgodniejsze z duchem własnéj ich mowy, a jakie ona obficie im nastręcza. Najważniejsze i najpiękniejsze utwory poezyi, jak starożytnéj tak nowoczesnéj, jako Homera, Wirgiliusza, Horacyusza, Szekspira, Miltona, Klopsztoka, Getego, pisane były niewiązaną rymem mową. Wielkość myśli i trafne użycie języka stanowiło istotę i formę ich poezyj.

K. Lach-Szyrma.

EXCELSIOR

z amerykańskiego poety ***Longfellow.***

Spadał cień nocy — ciągnął pielgrzym młody
Przez wieś alpejską, przez śniegi i lody,
W ręku miał sztandar, na nim dziwne godło
Które na górę olbrzymią go wiodło:
Excelsior!

Z smętnem szedł czołem, lecz wzrok który ciskał
Jakby dobyty z pochwy oręż błyskał,
Głos miał jak gdyby trąby dźwięk marsowy
Głos ten brzmiał słowem tajemniczéj mowy:
Excelsior!

Widział szczęśliwe przemijając chaty
Żarem ich ognisk błyszczące komnaty,
A przed nim groźne jakby nocne duchy
Sterczały lody — on jęk wydał głuchy:
Excelsior!

Zwróć się, zwróć przebóg! starzec nań zawoła
Słyszysz jak czarna burza grzmi dokoła

Jak wezbrał potok, z jakim hukiem spada—
A on rycerskim głosem odpowiada:
Excelsior!

Zostań! dziewica rzewnym głosem powie
Daj na mem łonie twojéj spocząć głowie;
Ale on z łzami zaćmionem spojrzeniem
Idzie i z cichem ozwie się westchnieniem:
Excelsior!

Strzeż się tych sosen—piorun je obala
Strzeż się lawiny co się z grzmotem zwala!
Tak raz ostatni starzec go ostrzega—
Lecz już wysoki z gór się głos rozlega:
Excelsior!

Nucą na odgłos porannego dzwonu
Zwykły hymn syny Bernarda zakonu,
Gdy w tém nad świętą murów swych zaciszą
Dziwiący echa, grzmiący głos ten słyszą:
Excelsior!

Z mrokiem pobożne odkryły kapłany
Pielgrzyma, co był w śniegach zagrzebany;
Trzymał on sztandar w skośniałéj prawicy
Sztandar z tem godłem dziwnéj tajemnicy:
Excelsior!

Zmarły—a jeszcze z rysy tak pięknemi.....
Lecz cóż to za głos spuszcza się ku ziemi,
Głos z głębi niebios!—głos tak czysto brzmiący—
Spada jak gwiazda—i woła lecący:
Excelsior!

F. Morawski.

WIERSZ

przy posłaniu listka z wieńca Tassa.

Gdy cię nieład w mym sonecie
Nieodstraszył rymem dzikim,
Liść posyłam ci w odwecie
Z ukleconym wraz wierszykiem.
Niż ja lepiéj znasz Torkwata;—
A jak żył, i zmarł nieboże!
Chciałem pytać nie u świata
Lecz na miejscu tu, w klasztorze.
Rozpalony żądzą ostrą
Ujrzeć izbę uświęconą
Jego zgonem — Sam Cagliostro —
(Z biedy rym ten umieszczono.
Choć z umysłu go używam,
Bo ten ton niecierpi innych,
Jak na strunie gminnéj grywam,
Tak i rymów szukąm gminnych) —
Sam Cagliostro, choć odwagi
Mu niebrakło nigdy prawie,
Niepokazał w śnie, na jawie
Takiéj dziwnéj fantazmagi,

Jaka mi stanęła wtedy
Przed wewnętrznėm mojem okiem.
Lecz przemilczę, bo do biedy
Niechcę paść cię tym obrokiem.
Z resztą nieporosłem jeszcze
W orle pierze; czy porosnę?
Och witałbym taką wiosnę
Co natchnienie da mi wieszcze,
Coby język rozwiązała
Połamany, bełkocący. —
Kroplą wody pęka skała —
Dojść wszystkiego można — chcący.
I ja kiedyś dojdę — może....
Lecz cóż miałem mówić? Ale!
Wszak cię nudzę doskonale —
Więc z braciszkiem po klasztorze
Chodzę sobie — a mój frater
Wprowadziwszy do komnaty,
Rzekł: „Tu umarł Tass przed laty!“
— Więc tu skończył ten bohater
Tu, on Godfred epopei....?
Na co frater rzekł z kolei
Przymieszując miedź do srébra:
„Tak jest — tu go sprzątła febra“,—
— Nie Lenora? nie kochanka?....
Rzekłem gniewny; on, ni słowa—
Więc urywam listek z wianka
I posyłam do Krakowa;
Myśląc, że ci rozkosz sprawię
Gdy podumasz w smutnéj porze
O miłości łzach i sławie
O Torkwacie i Lenorze. —

E. M. Pol.

SONET

na liść z wieńca Tassowego.

Uszczkniony w San—Onofrio liść z wieńca Torkwata
Przysyłasz mi. — To nie liść, a jedno cierń krwawy
Co się w wawrzyn przerzucił, skroń wieszcza oplata,
Gdy go całun powija pieluchami sławy.

Czyż nie cierniem mu była jego dworska szata?
Nie cierniem te *Canzony* na książęce sprawy?
Nie cierniem fawor pański, lub więzienna krata?
Nie cierniem Leonory uśmiech na pół łzawy?

Zaprawdę,—kogo Pan Bóg posłał tu na ziemię
By wiązał, i grzał serca, myśli kruszył pęta —
Biczowanie go czeka w świecie, jak w Eremie —

A dni jego jak burzą miotane okręta.
Ale cóż go obchodzi ostry cierń, lub brzemię?
Jego dusza w żywocie, a już w niebowzięta!....

L. Siemieński.

RZEŹ GACHOW.

(Odyssei pieśń XXII).

Odysseusz zbrojny łukiem wskakuje na wysoki próg, zabija strzałą Antinousa i odkrywa się przerażonym gachom. Eurymachus błaga go o przebaczenie obiecując imieniem towarzyszy wynagrodzić mu poniesione szkody w majątku. Odysseusz odrzuca i rozpoczyna walkę na nowo. Telemachos syn jego znosi mu z góry oręże i zbroje i wspólnie z wolarzem i pastuchem staje uzbrojon przy ojca boku. Tymczasem koziarz Melanthios zakrada się do otwartego skarbca i znosi zbroje dla gachów, co postrzegłszy wierny Odysseuszowi pastuch z wolarzem, łapią go na gorącym uczynku i wiążą. – Gdy się na gorętszy bój zanosi, jawi się Athene w postaci Mentora, dodaje ducha Odysseuszowi i przerzuciwszy się w jaskółkę usiada na gzymsie. Zwycięztwo przechyla się na stronę Odysseusza odkąd Athene podnosi egidę. Wszyscy gachowie zamordowani, krom pieśniarza Femio i Medona, których Odyss darowuje życiem. Poczem następuje oczyszczenie izby z krwi i trupów – ukaranie przeniewiernych dziewek oraz koziarza. Odysseusz wykadza dom i od wiernych niewiast serdecznie zostaje powitany. —

Odyss w mig zrzucił z siebie żebracze łachmany,
Wskoczył na próg wysoki z łukiem i kołczany
W których wiele strzał było nastrzępionych pióry,
Wysypawszy je u nóg, zagadł gachów z góry:

„A więc się już rozstrzygnął przecie bój stanowczy! [1])
Teraz cel mam jakiego niemiał żaden łowczy;
Zobaczę, czy weń trafię, Febowi na chwałę.“

Rzekł— i w Antinoja puścił gorzką strzałę;
Właśnie gdy ten po czaszę złocistą, dwóuszną,
Sięgał, i już ją ręką chwyciwszy posłuszną
Chciał do ust ponieść; umrzeć, ani mu się śniło. [2])
Któżby myślał przy godach, gdzie ich tylu było,
By się ktoś tam odważył, choćby jak waleczny
Zgotować mu los czarny i wtrącić w cień wieczny!
Lecz Odyss weń zmierzywszy trafił w samo gardło,
Że aż przez kark żeleźce na wskróś się przedarło,
Czasza z rąk się wyślizła, gdy padał ukosem,
I zaraz promień czarnéj krwi buchnął mu nosem.
Precz od siebie kopnęły stół drgające nogi,
Że się wywrócił; misy zasłały podłogi;
Chléb i mięsiwo w kurzu brudnym się zwalało.
Widząc gachy jak padał, krzykiem izbę całą
Napełnili, ze swoich zerwali się stołków
I przebiegając terem, od kołka do kołków
Szukali po wszech ścianach w zajadłym ukropie—
Lecz ani jednéj tarczy niebyło, ni kopie.
Więc grożąc, Odysseja karali słowami:

„Na złeć wyjdzie włóczęgo żeś śmiał zadrzéć z nami;
Ale sztuka do razu; pójdziesz wnet do ojców,
Za zabójstwo pierwszego z itackich mołojców;
Żywot twój policzony: sępy cię tu zjedzą!“

---

[1]) Odnosi się to do poprzedzającéj pieśni, w któréj Odysseusz celną strzałą swojego łuku przeszywa ucha dwónastu toporów.—

[2]) Ustęp ten miał dać początek greckiemu przysłowiu: *Πολλά μεταξύ πέλει κύλικος, καὶ χείλεος ἄνκρου* coby tak dało się powiedzieć: Między czarą a ustami miejsce na wiele zdarzeń.

Tak mu grozili w szale; bo iście niewiedzą
Czy zabił go umyślnie. Głupcy! ani marzą,
Że skrzydła blizkiéj śmierci nad niemi się ważą.

Na to Odyss — i przebił źrenicą ich swoją:
„Psy jakieś! myśleliście żem poległ pod Troją,
Że niewrócę; więc daléj rej wodzić po domu,
Z dworskiémi dziéwki płodzić rozpustę bez sromu,
I chociem żyw, małżonkę moją bałamucić; —
Jakby Bogi niemogły tych szaleństw ukrócić,
Jakby wam język ludzki mógł przepuścić płazem!
Lecz dosyć — wyrok śmierci padł na wszystkich razem!“

To rzekł; — a blady przestrach ogarnął zbytniki;
Ten i ów radby umknąć z téj zabijatyki.
Sam tylko Eurymachos zdobył się na słowo:

„Jeżliś itacki Odyss wracający zdrowo,
Słusznie karcisz za gwałty te nasze Achiwy
Za żywot ich tu w zamku i w kraju, tak krzywy;
Lecz sprawca tych bezzceństw przed tobą tu leży,
Antinoj, on nas ciągle kusił do grabieży.
Nietyle o żeniaczkę widać mu chodziło,
Jak o większe, co z wolą Kroniona niébyło.
Owóż chciał on sam królem zostać nad Itaką;
A syna twego sprzątnąć śmiercią ladajaką.
Ma już na co zarobił! A więc zlitujże się
Nad nami; każdy chętnie co porwał, odniesie;
Za to, cośmy najedli, napili z twych stołów,
Każdy ci przyprowadzi po dwadzieścia wołów,
A dla zgody dołożym co chcesz: miedzi, złota,
Póki cię niezjednamy — gniew twój niedziwota!“

Dziko spojrzawszy, mądry Odyssej mu nato:
„Nie Eurymachu,— nawet spuściznę bogatą
Po ojcach mi tu znieście, i więcéj w dodatku,
To i tak dłoń niespocznie, póki do ostatku
O każdą zbrodnię z każdym niesprawię się gachem.
Teraz macie wóz przewóz: bój na śmierć, lub z strachem
Ucieczka;— a czéj który śmierci się wychwyci?
Lecz żaden, myślę;— wszyscy będziecie zabici!“

Tak mówił; — a po ciele przeszło ich aż mrowie;
W tem jeszcze raz Eurymach do swych się ozowie:

„Bracia! u tego człeka niezmacha się ręka;
Póki panią kołczana i gładkiego łęka
Póty słać będzie strzały ze lśniącego proga,
Aż wszystkich wytnie. Nuże! weźmy się do wroga!
Dobyć mieczy, stołami pozastawiać piersi,
Od strzał jego — i hurmem wpadniemy najpierwsi.
Gdy go z progu i ze drzwi wypłoszyć się uda,
Wpadniem wtedy do miasta, skrzykniem dużo luda,
On tymczasem za nami poszle strzał pośledny.“

Tak rzekł — i zaraz dobył obosieczny, miedny
Koncerz, i z podniesionym na Odyssa bieżał,
Z srogim krzykiem; a Odyss właśnie co wymierzał
Łuk swój, i w same piersi célował pociskiem,
Że aż w głębi wątroby uwiązł mu zewszystkiem.
Ręka miecz wypuściła, — on sam, runął krwawy
Przez stół, i na podłogę pozrucał potrawy
Z dwóuszną czaszą; wił się, czołem tłukł po ziemi,
W bólach konania kopiąc nogami obiemi
Zwalił stołek, i oczy nocą się powlekły.

Wnet też i Amphinomos wyskoczył jak wściekły
Przeciwko Odyssowi z wzniesionym brzeszczotem,
By go z drzwi wyparować; lecz Telemach lotem
Zabiegł mu, w same plecy, pomiędzy ramiona
Wraził kopię, aż nawskróś pierś przedziurawiona.
Padł jak długi, o ziemię uderzył czerepem;
A Telemach uchodząc rozstał się z oszczepem
Zostawionym w kadłubie; szło mu aby który
Achiw, gdyby swój oszczep wydobywał, — z góry
Niepłatnął go, albo też nieprzeszył w natłoku; —
K'temu jednym poskokiem był przy ojca boku;
I, uskrzydlone słowa posłało mu chłopię:
„Ojcze! wnet ci dostawię pawęż i dwie kopie,
Toż szlem, coby do czoła szczelnie ci przystawał;
Siebie całkiem uzbroję, a i zbroi kawał
Zniosę dla Eumea i dla Filetiosa.
Daleko lepiéj bić się kiedy pierś niebosa“.

Na to mu rzecze Odyss ćwik szczwany jak mało:
„Bież, i przynoś, dopóki strzał jeszcze zostało;
Aby mię niewyparła z progów ta gromada.“ —

Jakoż Telemachowi przypadła ta rada
Bo pobiegł do skarbczyka [3]) gdzie stały oręże:
Tam wybrał osiem kopij i cztery pawęże;
Toż szlemów miednych cztery zdobnych w końskie kity,
I zniósł prędko do ojca chłopak wyśmienity.
Poczem w zbroję miedzianą sam oblekł się duchem,
A za jego przykładem wolarz wraz z pastuchem,
W pełnéj zbroi dokoła Odyssa stanęli.
Bohatyr zaś, dopóki strzał starczy, co strzeli

---

[3]) W greckim θάλαμος łoże, łożysko, skład — czemu najlepiéj nasz *Skarbiec* odpowiada.

To powali jednego, tak, że w całym gmachu
Gdzie spójrzałeś, to leżał kupą gach na gachu.
Lecz gdy gniewnemu panu strzał brakło w kołczanie,
Odstawił łuk i oparł o odrzwi przy ścianie,
Sam zaś nadział pawężę poczwórną na siebie
I szlem włożył na głowę, doświadczon w potrzebie,
Co groźnie ogonami powiewał końskiemi —
Ręce uzbroił dwiema dzidy okutemi.

Były tam w ścianie z boku jakieś drzwi wychodne,
Od których, jak to mają mieszkania wygodne,
Szedł korytarz z zabitém wyjściém na podwórze —
Tam więc Odyss wyprawił co rychléj na stróże
Pastucha—i niebyło którędy wyjść z domu.

Wtenczas to Agelaos do swoich rzekł: „Komu
Z was ku tym drzwiczkom przecisnąć się uda,
Niech pobieży do miasta, skrzyknie dużo luda,
Już on ostatnią strzałę wystrzeli tymczasem.“

Na to koziarz Melanthios bąknął mu nawiasem:
„O boski Agelaju! na nic ta robota:
Wychodzące na podwórz—zbyt blisko są wrota,
A i przejście do sieni ścieśnia się w czeluści;
Silny chłop niech tam stanie, nikogo niepuści.
Lepiéj pono gdy zniosę oręże i zbroje
Z górnego skarbca. Nigdzie—takie zdanie moje—
Tylko tam je przechował Odyss z Telemachem.“

Tak rzekł koziarz Melanthios i ruszył z zamachem
Do górnych izb królewskich, bocznemi wschodami,
Gdzie wziął tarczy dwanaście, z tyląż oszczepami,

Więc i szlemów dwanaście zdobnych końską grzywą,
Zniósł, i pomiędzy gachy rozdzielił co żywo.

Lecz Odyssowi serce zadrgało i łyty,
Widząc jak z gachów każdy stał zbroją okryty,
A kopią wstrząsał. Ciężka zda mu się robota!

Jakoż do syna szepnął: „Najpewniéj niecnota
Któraś-to z dziewek dworskich, czy fortel koziarza
Tak im pomógł, że bitwa sroga nam zagraża.“
Na to mu Telemachos, młodzieniec rostropny:
„Ojcze mój! jam popełnił ten to błąd okropny,
Niewinuj-że nikogo! jam drzwi od skarbczyka
Niezawarł, co snać tknęło jakiegoś psotnika.
Lecz Eumeju, spiesz się, zatrzaśnij na rygle,
I uważ, czy nie która z dziéwek płata figle,
Lub koziarz? bo do niego ta sprawka podobna“.

Kiedy tak między sobą gwarzyli z osobna,
Właśnie koziarz Melanthios drugim już nawrotem
Szedł po broń do komory.—Eumej wnet o tem
Wytropiwszy go, przybiegł do pana z nowiną:
„Cny Laertydzie! mądry Odyssie! patrz ino
Ten łotr, co posądzamy wszyscy go o zdradę
Znowu idzie do skarbca! panie dajże radę:
Mam-li go, jeśli złapię, na miejscu tam sprawić,
Czy téż po wymiar kary do ciebie dostawić
Aby za swe łotrostwa nałożył tu głową?—“

Na to mądry Odyssej takie rzucił słowo:
„Już ja tu z Telemachem te gachów czeredy
Choćby na nas jak biły, wstrzymamy od biedy.
Wy zaś dwaj, ręce do nóg zwiążcie mu na grzbiecie
A wtrąciwszy do skarbca drzwi za się zamkniecie,

Dopiéro zadzierżgnąwszy o te pęta sznury,
Ciągcie łotra po słupie pod belkę do góry,
Aby żył jeszcze długo, męczył się najsrożéj".

Rzekł im, a oba słudzy rozkaz pełnić skorzy
Poszli na górę; już on w skarbcu był przed nimi,
I w kącie grzebał między rynsztunki starymi.
Oni zaś, za odźwierki oba przyczajeni
Czatowali nań. — Gdy więc koziarz wszedł do sieni
W jednym ręku szlem pyszny niosąc, a tarcz w drugiéj,
Która, choć ją Laertes, jeszcze do posługi
Za lat młodych zażywał, dziś z gratami leży,
Rdza ją zjada, a rzemień szwem sprutym się jeży.
Więc nań oba skoczyli, porwali za włosy
Wlokąc po ziemi, chociaż krzyczał w niebogłosy,
A zawlokłszy, na ręce, nogi, kładli pęty,
W tył je łamiąc, bo rozkaz Odyssa im święty;
Robią, co im przykazał. Silny powróz potém
Uczepili do pętów, i po słupie lotem
Wyciągnęli koziarza pod belkę co w szczycie.
Eumej wiszącemu urągał sowicie:

„Przespijże całą nockę tu sobie mój zuchu!
Zasłużyłeś na takim wyciągnąć się puchu.
Pewnie złotopromiennéj Eos niezabaczysz
Kiedy z morza wypłynie — i gachów uraczysz
Jaką kózką na obiad — o! to ich posili".

I tak go wiszącego w mękach zostawili.
Sami się uzbroiwszy, drzwi zawarłszy za się,
Wrócili do mądrego Odyssa na czasie.

Bojem dyszących w progu czterech ich tam stało
Gdy w izbie zbrojnych chłopów wiło się nie mało.

Gdy w tém się ukazała Pallada na jawie:
Wykapany to Mentor w głosie i postawie.
Odyss poznał Boginię, i rad mówił do niéj:
„Mentorze! ulubieńca ratujże w złéj toni,
Co równolatek z tobą, a zawsze przychylny".

Że to była Atene szeptał głos niemylny.
Lecz w izbie straszną wrzawą zaszumieli gachy,
Agelajos największe miotał na nią strachy:

„Mentorze! niedaj zwieść się Odyssa mowami
Abyś w jego obronie miał toczyć bój z nami;
Klniemy się, a przysiędze, jak tuszę, dostoim,
Ojca z synem zabiwszy, to samo na twoim
Dokonamy kadłubie. Zacz się mieszasz butnie
W rzecz nieswoją? za karę, głowa ci się utnie.
A tak mieczem wywlokłszy duszę z twego ciała,
Własność twą, jaka w domu, lub gdzie tam została
Rozdzielim między siebie z Odyssa spuścizną,
Ni twe syny, ni córki, nam się niewyślizną
Ni się twoja małżonka w Itace osiedzi".

Skończył—Palladę gniéwa mowa téj gawiedzi;
Więc złajawszy Odyssa ostrém słowem, rzekła:

„Odyssie! siłaż, z męztwem, od ciebie uciekła?
Ty, coś gwoli Heleny z liliowém ramieniem
Lat dziewiątek się parał Troi oblężeniem,
Coś mężów pobił tylu, coś swemi namowy
Obalił ów baszciasty grodziec Priamowy,—
Teraz, wróciwszy do dom i dziedzicznéj właści
Miałżebyś nieodeprzéć téj gaszéj napaści?
Zbliżno-się przyjacielu, stań tu, patrz, co zrobię:

Czy Mentor, syn Alkima nieprzychylny tobie,
Czy przestanie cię wspiérać w walce z twymi wrogi?"

Rzekła — lecz mu nie zdjęła z serca całéj trwogi
O wątpliwy los bitwy. Zbadać chce Bogini
Czy Odyss i syn jego mężnie w boju czyni?
Jakoż znikła im z oczu, a kształtem jaskółka
Furkła, i nad kominem siadła u przyczółka.—
(d. n.)

L. Siemieński.

WYPRAWA NA JARMARK

DO SADOGÓRY.

Obrazek z nad Dniestru i Prutu.

Niewiemci ja dokładnie jak się to tam ś. p. kniaź Igor na Połowców wyprawiał; jednakowo jestem pewien, że nie tak uroczyście i z takiem wyrachowaniem jak ongi na woły ja i pan Ignacy. Kniaź Igor, wiodąc pułki w zbrojach z kopiami i łukami, dawał komendę buzdyganem, i pewno także prowadził rydwany i maszyny wojenne, a towarzyszyły mu sire wilki, białozory, lisy, orły i wieszcz „Jan". — My skromniéj wystąpili: u wózka niewielkiego, niby z węgierska górskiego zaprzężone były trzy rumaki, równie dzielne do rzemiennego dyszla jak do zawleczenia rozsutego w podoraną *na zagon* glebę, żywotnego ziarna: żyta i pszenicy. Ubrane były w gospodarskie chomąta z końskiéj skóry i na dziegciu kręcone surowcowe rzędy; dwa kasztany a jeden deresz. Wszystkie bez gany! czystéj broniaków krwi, 11—12 miary. Jeżeliby koniecznie wad chcieć wyszukiwać (bo któż na świecie bez wady?) toćby chyba to

można zarzucić: że naręczny już był trochę pedejrzany co do młodości; miał bowiem zęby dużawe a kły jak odyniec jaki. Zawsze jednak mógł ujść z braku dowodów: bo koń urodzony pod wpływem miesiąca września nawet w pierwszéj jeszcze młodości kły dostaje i zowie się: wrześniakiem!! Licowa zaś kobyła nielubiła zadnich nóg w górę podnosić, więc sobie kopytka o ziemię wycierała: ponieważ zaś była kutą więc jéj to wcale nieszkodziło; tylko zawiść podobny nałóg *szpatem* zowiąc, ją także o włogaciznę posądzała. Deresz zaś drążkowy młody, ładny konik z piasków, widać często pana swego po kuligach woził, i musiał się napatrzyć jakto szlachta hołubce wybija: bo czasami w zamyśleniu gdyby hołubca, bił kostka w kostkę zadniemi nóżkami, poczem zwykle wyciągał szyję, podnosił z ukosa ogon wraz z nogą jedną i biegł tak, nieprzymierzając jak chart podbity, o trzech tylko nogach.

Niemniéj nienagannym był wózek nasz, czyli raczéj: ulubiony stary wózek pana Ignacego. Był to sobie staruszek, wyjąwszy trzy koła i jedną oś, przytém orczyków, wagi, podelgi i podkułków. Niosł wyśmienicie t. j. skoro się potoczył to trząsł żywotem swoim jak gdyby od serdecznego śmiechu tych których wiózł. Wózki takie bardzo zdrowe na chorobę pochodzącą z sedentaryi i na zbytnią otyłość; dla tego dawniéj szlachta niemi jeżdżąc daleko zdrowszą bywała. Zresztą, stopniów do wsiadania niebyło, tylko drążek zakończony w wić, która go wiązała z zadnią osią podczas kiedy u drugiego końca za orczyk, deresz lotny czasami pociągał. Nam, cośmy na wózku siedzieli, także trudno co przymówić. Bo choćbym przez skromność o sobie zamilczał; toć pan Ignacy wyglądał jak Bóg przykazał: rumiano, śmiejąco, gdyby wesoła baryłka z podmuskanem wąsikiem z *antypką* i *stambułką* w dłoni a bursztynkiem w ustach; a Wojciech poczciwy, co nas obsługiwał i potrawkę albo *rost-*

bratla usmarzyć umiał: siedział sobie chudziuteńki na dészczułce skromnéj którą ludziom *kozłem* przezwać podobało się, obok woźnicy—gdyby kniaź Igor buzdyganem—batem wywijającego, mimo to że go zimnica trapiła. Miną nieborak nadrabiał, bo czegoz ciekawość polska nie przemoże, kiedy chodzi o z zwiedzenie obcych krajów?

Jechaliśmy tedy wytchnąwszy w stołecznym Lwowie, który widać na przemogę koniecznie wielkie miasto udaje: jak nasz woźnica z febrą, zdrowego chłopa—i wio! prosto na Bóbrkę, a potem w bok do Chodorowa!—

Człowiek na świecie, rodzi się! kocha! pracuje! i umiera! — Oto! cały żywot jego! — Ztąd miejsce gdzie mu błysło światło słońca, gdzie się wzniecił płomień szczęścia, gdzie mu wionął chłodek w upałach pracy i gdzie zgaśnie światło życia: te miejsca są mu najdroższemi i wieszczowie je opiewają przy dźwięku złotych lutni swoich. Jam, nie wieszcz! — jednakowo w głębi duszy czuję, że po owém miejscu urodzenia, po owych gaikach i krzewach: kędy błysło szczęście moje.

I najpierwsze niepokoje —
I najpierwsza łza!....

....po owéj, rzekę, krainie marzeń i rozkoszy i gorzkiéj męki i rozczarowania!... najmilszem dla mnie wspomnieniem Chodorów miasteczko 2½ mili od Rohatyna, a coś milkę podobno od Knihinicz! — Nie dla tego że za młodu jadąc tamtędy na wesele siostry mego przyjaciela, na samym rynku, bez mała konia nieutopiliśmy — nie dla tego, że tam gdzieś niedaleko na prażniku u wuja tegoż przyjaciela, prześliczną jego siostrzeniczkę może 15to letnią, za fanty całować mi rozkazano: a ja wtedy 16 dopiero lat liczył i jeszczem nigdy tak ładnéj czarnobrewki za fanty niecałował; — nie dla tego wszystkiego, ale dla tego: że w Chodorowie na jarmarku pan Ignacy wpajał mi pierwsze zasady gospodarstwa mianowicie od-

działu kupna wołów na wypas! — Wtedy myśl stateczna i stanowcza „pracuj nieboże Bóg ci dopomoże“— wyskoczyła z mózgu mojego (gdyby bogini mądrości z głowy Jowisza) i od téj dopiero chwili przylgnąłem do gospodarstwa! tam obrałem koléj życia mego usłaną: słomą, sianem, zbożem, kłakami, drobiem, bydłem i jeremiadą!!

Pamiętam gdyby dziś, słowa pana Ignacego: patrz Wpan! ta para ciołków, oto mi woły jakich pragnę i szukam. Bo to niezbyt wielkie a długie i głębokie; kość szeroka, żebra na cztery cale a skóra jak na sarnie! przytem nie podkasałe a włos na nich gdyby umuskany. To panie! taki wół, to się na braże tłuszczem obleje gdyby *dubelt!* a zaważy 10 cetnarów. Teraz liczmy cetnar po 40 fl, w. w. czyni 400 fl. w. w. czyli 160 fl. m. k., a można ich dostać za 70 do 75: — więc pół na pół! Takich wołów panie! z 60 par: tom wygrał terno!

Ot! tamten, to już kiepski, bo ostry grzbiet i sierść najeżona — a ten! to wcale zły: bo tył wąziutki jak u krowy i ogon krzywy; a musi pan wiedzieć: że wół, z krzywym ogonem nigdy się dobrze nie dopasie! — Tak panie, tak! pamiętaj że sobie Wasze to wszystko, bo w Sadogurze to mi musisz pomódz kupować. Napisz sobie te moje uwagi! to ci się w życiu daleko więcéj przyda; jak te wszystkie głupstwa miłosne i te nowe gramatyki co nas teraz niemi panowie literaci karmią! Żebym ja się z niemi znał, jabym im to wręcz powiedział. —

Chodziliśmy tedy od pary do pary oglądając i targując. Przy każdéj prawie parze wołów stał żyd, a kiedy się było spytać chłopa o woły: żyd brał od niego powróz i mówiąc że bydło jego, podawał cenę, namawiał do kupna, zachwalał towar, gdyby swój własny; aby za to obie strony kupującego i sprzedającego okpić, bo w tym fortelu cały jego zarobek. Komedye więc

odpłacaliśmy drugą, podając takie niskie ceny, że żydzi rychło się spostrzegli iż nieszczerze kupujemy. Tak nam zeszło kilka godzin, poczem jechaliśmy daléj podziwiając po drodze śliczny widok Żurowa od romantycznéj sąsiedniéj wioski, a na noc zdążyliśmy do Bukaczowiec, miasteczka przez samych żydów zamieszkałego: bo mieszczanie ruskiego i łacińskiego obrządku na przedmieścia wyparci.

Pytamy o zajazd— wskazują nam dużą karczmę murowaną na rogu i zmierzamy ku niéj. W bramie wychodzi przeciw nam (nie na przywitanie ale do ślubu) żydowskie wesele. Najprzód żyd z tamburynem t.j. przetakiem z jednéj strony opiętym skurą tak jak bęben, a po bokach wkoło blaszki hałaśliwe i dzwonki. Jak huknie dłonią w bęben! jak puści palec po wyprężonéj skurze brzęcząc dzwonkami i blachami; drugi zaś żyd jak pocznie siekać drewnianemi pałeczkami druciane struny cymbałów, podczas kiedy basista zadudniał dodając taktu rozuzdanéj cieniutkiego smyczka skrzypkowego ochocie —trójka nasza wiatronoga mimo lat sędziwych, włogacizny i zestrychowanych pęcin takie drganie w łytkach poczuła, że nuż dęba stawiać, i na kieł brać i forkać i cudować, żeśmy ją ledwie przeledwie uspokoili! Pokazała się tedy próżność zapędów naszych: karczma bowiem tak dalece była zapełniona starozakonnymi weselnikami, iż ani myśleć o pomieszczeniu się. Radzi więc nieradzi uczyniliśmy odwrót ku drugiéj zajezdnéj sieni: Tam znowu niebyło izby osobnéj, a żydów rodzina liczna, a jakieś nie miłe oblicza; szukaliśmy więc daléj, a znalazłszy jedyną izdebkę gościnną w całych Bukaczowcach zajechaliśmy do obszernéj pustéj sieni.

Gościnna nasza komnata miała, jedno okno w ulicę, a troje drzwi. W oknie były wprawdzie zawiasy, przecież chybowało haczyka do zamykania u dołu i jednéj

szyby także u dołu, górny zaś haczyk na miłosierdziu boskiem wisiał. O okiennicy lub czemś podobnem ani mowy! Drzwi zaś w prawo przytykały do żydowskiego mieszkania, w lewo zaś do pustki, w któréj na rumowisku znać zwalonéj powały, próżne beczki solówki, okłoty słomy i różne gospodarskie rupiecie na kupie leżały. W górze, niezatrzymany wzrok widział przykopcony z wewnątrz dach i kury na bantach siedzące. Klamki ani zaszczepki do drzwi tych niebyło.

Pan Ignacy skręcił nosem z wielkiego *nieukontentowania* i przebąknął o jaskiniach i tajemnicach Paryża; bo w saméj rzeczy cała ta pustka oglądana zwłaszcza przy świecy, wielce nieponętliwą nam się wydała. Ale cóż było robić? w całéj mieścinie nie znaleźć lepszego umieszczenia. — Żydzi nie mieli ani owsa, ani siana, ani nic zgoła, tylko wódkę, tytoń prosty i kilka jaj. Za parę groszy jednak, usłużyła nam młoda żydóweczka i zaprowadziła woźnicę do owsa i siana, a dla nas kupiła masła, mleka i *bajgele* t. j. obwarzanków. Krzątnął się tedy Wojciech koło wieczerzy, uwarzył mleka i wspaniałéj jajecznicy i popościelał łóżka t. j. rozesłał siano na starych starozakonnych łóżkach. Zapaliliśmy fajki i dalejże rada w radę. Najprzód tedy: okno — jakby go tu ubezpieczyć? — Ława za długa, stół za wielki, stolnicy nie było: Podsunięto więc stół pod okno, rozpięty deszczochron postawiliśmy na stole a stołek przystawiony utwierdzał go. W koło stołka rozstawione szklanki i flaszki; aby w razie poruszenia i popchnięcia deszczochronu, spadając łoskotem nas zé snu budziły jak excytarz. U drzwi zaś od pustki był tylko stary skubelek, więceśmy go sznurkiem do nogi łóżka przywiązali, aby przecie od biédy drzwi zawarować. Poczém zgasiwszy świécę wkopaliśmy torby nasze podróżne z pieniędzmi w siano pod siebie i opowiadając sobie różne gadki o złodziejach i rabusiach, usnęliśmy uzbrojeni

w rezygnacyą i lwowskie cybuchy z bursztynkami. Usypiając przypominałem sobie urywki z psalmu: *Kto się w opiekę poda Panu swemu*—i postanowiłem douczyć się całego; bo jadąc ubocznemi drogami bardzo ten psalm przydatny!

Po północku budzi nas jakiś turkot w sieni, i przytłumione żydowskie głosy. Zrywamy się: wyraźne szepty tuż pod naszemi drzwiami.—Co to jest?—Pan Ignacy siada na łóżku i patrzy to na drzwi to w okno, ja wstaję zapalam świecę i wychodzę do sieni uzbrojony w krótki wiśniowy cybuch lwowski. — Dwóch żydów zaprzęgają pięknego młodego konia do wózka. Nie bardzo przyjemnie popatrzyli się na mnie, otworzyli bramę i wyjechali w czarną ciemną noc. Niepodobało mi się to nocne wyjeżdżanie, ale kiedy pojechali, niechże sobie tam jadą. Zaglądam do koni; jedzą spokojnie; na wózek? Wojciech spi jak zabity, bo celował w téj cnocie, a woźnica sapi snać w gorączce po febrze. Zbudziłem ich więc, nagderałem i wracam do izby do pana Ignacego, który mi już chciał iść na pomoc ale się bał znowu okna odstąpić.—Ledwie cośmy świece zgasili, aliżci znowu turkot. Znowu palę świécę, wychodzę: żydzi wrócili naładowawszy wózek pachnącą koniczyną, znać gdzieś na pokosach zdobytą. Na zapytanie moje, odmruknął jeden z nich: jako jeździli na swoje konicznisko obaczyć czy szkody niéma, po drodze zaś nabrali koniczu. Cała ta odmruknięta historya jeszcze mi się bardziéj nie podobała, bo to widocznie na zdobycz nocną zakrawało. Napomniałem więc ludzi naszych powtórnie do czujności i znowuśmy się pokładli chociaż nie bez trwogi: boć to nie bardzo miło z pieniędzmi u złodziei nocować. Pogadaliśmy jeszcze chwilę a w końcu i posnęli.

— Oj! że ja się też to nie znam z żadnym literatem! ale mój panie! opisz no ten nasz nocleg, a dodaj także: żeby każden podróżny który ma w Bukaczowcach noco-

wać; jeżeli nie okiennicę to przynajmniéj parę skubli i haczków z sobą przywieźć niezapomniał... Tak mnie pan Ignacy zagadywał nazajutrz rano, poczém ruszyliśmy daléj.

Z razu mieliśmy zamiar jechać do Kałusza gdzie słynne jarmarki na bydło bywają, z których jeden właśnie przypadał nazajutrz. Ale człek mierzy, Pan Bóg kule nosi! — wraz z jarmarkiem przypadły także i żydowskie święta: więc jarmark musiał żydom ustąpić i został odłożonym o cały tydzień. A już tego to i dla mnie za wiele było: postanowiłem przy pierwszéj sposobności wytknąć to panom astronomom galicyjskim którzy kalendarze piszą. Co mi to za astronomowie?! — Dawniéj sto lat naprzód zgadywali kiedy będzie dészcz a kiedy pogoda, a dziś o kilkadziesiąt mil jedź do Bukaczowiec chcąc się dowiedzieć na kiedy jarmark w Kałuszu odłożony! i jeszcze śmią bajać o postępie nauk! To podstęp moi panowie, a nie postęp.

Z wzburzoną tedy żółcią zdążaliśmy do stolicy czerwonéj Rusi: Halicza, a droga szła prześlicznemi dąbrowami, i pogoda była cudna. Mimo to siedział p. Ignacy markotny i zadąsany.

— Panie Ignacy! co pan taki mruk dzisiaj, czy się pan na tych żydów bukaczowskich gniewa, że nam spać nie dali?

— Ej! gdzie tam — ja przeczuwam że się nam kupno nie powiedzie.

— A to czemu?

— Ot! prawdę mówiąc szczerą — ja wierzę w zabobony, niech tam sobie gada co kto chce, ale ja to już wiem od siebie: Jeżeli mi się jaki *interes* ma powieść, to się zaraz z początku wiedzie, i ja sobie wesół i w dobrym sosie...

— A cóż to pana skwasiło, czy dzisiejszy nocleg?

— Mnie jeszcze ten Lwów kością w gardle siedzi!...

— Cóż tam znowu! czy Panie odpuść, jaka przygoda?...

— ...Ot! nie śmiéj się pan to opowiem...

— Nie będę, bom ciekawy! —

— Otoż przed wieczorem jak my się rozeszli... ja sobie tak! na *fantazyą!*... idę do jezuickiego ogrodu, przejść się. Chodzę, słucham: arfistki grają i śpiewają. Dobrze! myślę sobie, pójdę posłucham: Jeżeli co wesołego to mi dobrze kupno pójdzie, jeżeli smutne, to przeciwnie. Przychodzę bliżéj; a tam *marmuzela* jakaś tęga i pyzata zawracając oczy śpiewa:

Ach! ludzie ludzie, ludzie nieczuli!
Coście dwa serca — zawiścią ztruli! —...

Tfu! myślę sobie, szczeźnij licho, z takim *prognostykiem!* Zaraz mi się humor zkwasił; aż tu i żona moja kiedyśmy żartowali że pojedziemy malowniczemi okolicami, niepotrzebnie się wyrwała: żebyście tylko malowanych wołów nie przywieźli; — a ci żydzi, to mnie już dobili! —

— Tam do kata panie Ignacy kiedy pana pod Kuflewem na grobli nie dobili, to i tu panu nic nie zrobią.

— Mnie bo tam pod Kuflewem nie bili, ale mego brata jakiś Muzułmanin dzidą po krzyżach tak zokładał, że dwa tygodnie leżał. —

— A to jak było?

Tutaj pan Ignacy zaczął mi opowiadać długą historyję, którą choć wiele razy słyszałem z ust jego zawsze mię zajmowała — bo taki żywy pamiętnik zawsze bardziéj interesuje niż książka.

Tak tedy gawędząc dojeżdżamy do starego zamku Halicza przecudnie na wyniosłym brzegu Dniestru położonego. Przeprawiając się promem nie mogliśmy oka oderwać od tych lądów urwistych i wodami poszarpa-

nych, i od tych bateryj zamkowych prawidłowo sypanych i od szczątków i gruzów zamku, w którym się tyle dziejów przesnuło tyle krwi i smutku przelało! i od tego miasta rozścielonego na wybrzeżach Dniestru, z którego obecnie jeden przybytek Boga, dawna Metropolia ruska, kilka domków i kilkadziesiąt chałup doliczyć się można. Tylko zamczysko, góra i *horodyszcze* niestraciło uroku położenia, i zawsze panuje nad okolicą i szumnym Dniestrem i zawsze obudza podziw piękności i nasuwa pytanie: Jak można było opuścić tak piękne i dogodne miejsce, tę rzekę wspaniałą, tę ziemię bujną, to wzgórze obronne, aby się przenieść — nad Pełtew!

Przeprawiwszy się promem jedziemy ku miastu. — Brama otwarta z gankiem i piąterkiem stoi przed nami a bokiem wązka trzyłokciowa uliczka; na ganku jakaś dama w czarnéj jak się zdaje aksamitnéj wciętéj sukni oparła smętką główkę (a w cale nieszpetną główkę) na białéj dłoni i duma spoglądając na szumny Dniestr!

— Ach! patrz też pan jaka piękna Haliczanka! oj! do kata! gdzie też moja *lorynetka?* zerwał się Pan Ignacy!

Téj chwili migła się zielona wstęga i głowa *gitary* i pokazało się, że Haliczanka nie duma, ale nuci przy dźwięku lutni — Przyznam się, że i mnie serce żywiéj zatętniło; boć Dniestr, gród halicki, brama z krużgankiem i haliczanką nucącą przy lutni! to wiele złego na jednego!

— W bramę jechać, proszę pana? zapytał woźnica.

— Rozumie się! prosto w bramę!

Jedziemy więc do góry, co raz bliżéj, co raz bliżéj, już wietrzyk swawolny przyniósł pierwsze drżenie struny, już dźwięk głosu słowiczego trącił ucho nasze, ale jeszcze niedokładnie, jeszcze niepewno; — im bardziéj zbliżamy się, co raz rozkoszniéj brzmi śpiew i lutnia! — gdy w tem wyraźnie dolatują nas te słowa:

Ach! oczy oczy niebios błękicie
Wyście dziewicze zatruły życie!

— Panie Ignacy! słyszy Pan: Czy ona przypadkiem nie o naszych siwych oczach śpiewa.....

— Niech ją tam krocset milion tysięcy.... z jéj śpiewem, to djabli (Panie odpuść) tę pieśń głupią na moje udręczenie wymyślili!.... W jezuickiem ogrodzie śpiewają, tu znowu to samo śpiewają..... czy Bóg skarał czy co?..... Podczas tego wjeżdżamy bramą, ale nie do miasta tylko do karczmy, i okazało się, iż karczma miejska ma daleko okazalszą bramę od samego miasta Halicza, grodu starego udzielnych książąt. „*Sic transit gloria mundi*“ pomyśliłem; a ponieważ nam obiad aż za godzinę obiecano, chciałem obejrzeć górę zamkową. O widoku i okolicy niewspomnę, niechcąc się powtarzać; ale są cudne. Zamek już dawno w gruzach. Sterczące mury potężne, wskazują wielkość jego; z jednéj strony mur zamkowy właściwy, a w drugiéj malownicza ruina jakiejś niby wieży niby czegoś, ot! żebym rzekł: kurzéj stopki!— w sześcio czy ośmiokąt, na piątro, okna w łuk okrągły, a małe w głębokich miąższego muru framugach z widokiem na Dniestr i Bednarowskie historyczne lasy. Piąterko musiało być małe bo okna nizko jedno pod drugiem a wszystko obliczone na obronność nie zapominając wygody. Kiedy też obliczą pomalują i opiszą te *sto kilkadziesiąt* zamków i zamczysk Galicyi? Kiedy też Ruś zamiast hałasować po kątach i nieznanych pisemkach, zacznie odgrzebywać czcigodne swoje i krwią zmywane starożytne gruzy, horodyszcza i pobojowiska?— Smętne myśli snując obchodziłem zamczysko od strony lądu mniéj, bo tylko przekopami obronne. Niewytrzymał Halicz napadu hord mongolskich, ale oszklenie barwistych dachówek jego pokruszonych, przetrwało wieki; boć to dziś cała Halicza sława: pole-

wane halickie naczynie. Tak zadumany o kniaziach bojarach, Mongołach i garnkach, zchodzę z góry i idę do karczmy. Słół już nakryty, a rzutny gospodarz prosi mnie siadać, i zanim objad będzie, raczy mnie: *Zorzą halicką!* mówiąc: bo to Panie Dobrodzieju w Haliczu, to trzeba koniecznie: *Zorzę halicką* czytać.

— Ba! gdybym umiał?! ale to *kiryliką* drukowane, żeby choć *grażdańskiem* pismem tobym może co wymęczył, ale kiryliką ani rusz. Jednakowo: *kobyśte buły tak hriczny a pereczytały myni, to bym ja czuwał* — odrzekłem gospodarzowi. Ale on się poskrobał i odpowiedział: *koły ja sam ne znaju!* — więc czytanie skończone. — Wychodzę zatem oglądnąć się za moim Panem Ignacem, szukam, patrzę: Aż ona dama w czarnym manszestrowym staniku a białéj organtynowéj spodnicy obszernéj niby w półgali, stoi na ganku oparta o poręcz, a kto koło niéj? — Pan Ignacy, w bardzo poufnéj blizkości coś jéj do uszka szepcze! Obaczywszy mnie, niby zawstydzona uciekła do swego pokoiku nad bramą, a pan Ignacy na wezwanie moje zszedł i poszliśmy do obiadu. Płacąc gospodarzowi, pytamy się cóż to za jedna ta ładna Haliczanka? — a on (z przeproszeniem!) spłunął i rzekł tylko skrzywiwszy się: to ze Stanisławowa! — Kiedyśmy wsiadali na wózek żegnała nas chusteczką przesyłając pulchną rączką — całusy!!! „*kobieto! puchu marny!*“

Z Halicza mieliśmy drogę *kapitalną!* w dosłowném znaczeniu tego wyrazu, boć usłaną kamieniami wielkości głowy, a „głowa“ zowie się po łacinie *Caput!*: więc droga była kapitalna. Wózek nasz wyśmienicie niósł trzęsąc się od śmiechu: że na błaznów trafił, którym się po tak *kapitalnéj* drodze na niem siedzieć chciało; a skorośmy niemogąc dłużéj wytrwać zleźli, trząsł się jeszcze bardziéj jakoby nas wyśmiewał żeśmy się dali przezwyciężyć. Wyśmienity więc sobie był ten wózek

także w całem znacznniu słowa! — Tak tedy dowlekliśmy się do Stanisławowa, grodu Stanisława Potockiego. Podziwiając to miasto ogrodów, i dworków, bo każdy dom stoi w ogrodzie i każdy prawie posiada roślinarnią, co miastu widok niezwykły, niby urok wschodniego miasta nadaje; podziwialiśmy szczególniéj ratusz pomysłu *heraldycznego!* — Jest to bowiem ani mniéj ani więcéj tylko: Piława herb Potockich w postaci domu murowanego. Żeby zaś nikt wątpić nie mógł o znaczeniu, postawiono go nie *frontem do frontu* domów, ale w *dyagonali do frontu domów rynku*, tak, że ramiona krzyżowe w ulice narożne wglądają, co całemu rynkowi wiele niedorzeczności budowniczéj nadaje, chociaż z drugiéj strony *heraldyka* na tem zyskała; czego jednak żydzi mieszkańcy starego rynku wcale pojmować nie zdają się. W Stanisławowie rada w radę puściliśmy się na Chocimierz i starozakonny a historyczny Obertyn, a wprost ku granicznemu Sniatynowi. Przy sobocie zastaliśmy Obertyn cały szabasujący, roje żydów, którzy o dwóch tylko przedmiotach rozmyślali: o Jehowie i jarmaku w Sadogórze. Jako kupców przyjęli nas z braterską poufnością zapraszając na *rosolis* i *szabeskigel.* Między wszystkiemi odszczególniał się ogromny żyd brzuchaty, stary jak widać ćwik i obeznany z wszystkiemi tajemnicami Sadogóry. Na zapytanie nasze naiwne: czy też będzie jarmak dobry, i dużo wołów na nim? odrzekł z pewnością czerpniętą z głębokiego przekonania: Moi panowie! prędzéj w niebie aniołow nie stanie, niżeli wołów w Sadogórze! —

W Śniatynie już inny świat! Za miastem, a dawniej, granicą Polski już Wołosza Bukowina, kraj inny lud inny. Od południa w małéj odległości pasmo gór, w których łonie Czeremosz graniczny wytrysł i do Prutu dąży. Ostatnie to podnoże Beskidow o których górale Pokucia śpiewają: „*Bieskidu zełenyj — wtry riady stawlenyj*“,

(Beskidzie zielony, w trzy rzędy stojący)—pasmem najprzód od swego matecznika wzdłuż Czeremoszy ku północy prosto, a potem kabłąkiem na wschód się ciągnie, warując łożysko Prutu który pod Czerniowcami ociera się o same stopy gór. Porozpadane chropowate skały utworzyły prześliczne grupy kopców i wierzchów piętrzących się jedne nad drugie, a wygony ich ostateczne gdyby ramiona jakie ujęły niziny urocze zielone, których łagodny charakter mocno odbija od dziko romantycznych napiętrzonych gór i skał. Niziny te sięgają aż fal Prutu i tworzą równie urodzajną glebę przez którą gościeniec idzie środkiem, a po obu stronach łany kukurudzy i nie tylko kukurudzy! — Rzadko pomiędzy nią widać fasolę spinającą się po wysokich łodygach albo szeroki liść dyni żółtéj, a niekiedy ciemny liść konopi. Tak jedzie się aż do Czerniowiec ciągle bokiem gór onych prześlicznych i ciągle kukurudzą; a pięknych kilka wiosek które się pomija, świadczą o zamożności kraju i mieszkańców. Mieszkańcy to już Wołosza: chłopi w długich baranich czapkach u wierzchu zwężonych i stojących, mają znamiona twarzy wydatne ostre i niekoniecznie miłe. Noszą wąsy i włosy, których barwa czarna przy wydatnym zwykle nosie i niekoniecznie wesołem obliczu mimomolnie pochodzenie tego ludu przypomina. Ubiór ich zwykle biała sukmana krótka bez wcięcia w stanie niby nowomodny *burnus;* wzrost jeszcze nie wielki nie taki jak za Seretem; bo gdzie się nawinie jaki chłop rosły a cienki, już twarzą i ułożeniem rusina w nim poznać nie zbyt trudno. Mowa wołoska, większa jednak część po rusku od biedy rozumie. Kobiety przyjemniejsze, jak widać ruskiego pochodzenia, wysmukłe i zgrabne, szczególnie zwracają uwagę, wielką schludnością ubrania i ubiorem samym. Ubiór kobiet dość osobliwy: okolistych i fałdzistych spodnic nie noszą, tylko kiecki czyli jak zowią: *horbotki.* Jest to płat sukna

brunatnego albo tabaczkowego zwykle z szlakiem u spodu, czerwoną albo wiśniowéj barwy naumyślnie tkaną krajką opasany tak jak to murarze kiecki czyli zapaski swe opasywać zwykli. Bogatsze opasują dwa takie płaty, zawsze jednak z jednego lub drugiego boku jest niby rozpór, tak jak to malarze i rzeźbiarze helleńscy i rzymscy boginie swoje przyodziewać zwykli. W chodzie podkasują za pas jeden koniec i widać koszulę jednostajną do kostek, zawsze bieluteńką a z przodu w dwa pasy zwykle sarniéj lub żółtawéj barwy w odstępie mniéj więcéj piędzi od siebie haftowane, a spodem do koła koszuli idące: bez mała tak jak to panie czasami *szlafroczki* ranne z przodu zdobić zwykły. Rękawy koszul od ramion począwszy w poprzeczne pasy niby *w szewrony* wiśniowo i niebiesko wyszyte, między haft zaś przedzierzgnięta srebrna nić ślni się i błyszczy do słońca. Po wierzchu noszą krótką opończe, niby gurmankę sukienną białą, brunatno wyszywaną. Głowę obwijają w cieniuteńkie, w pasy (w dymkę) tkane, płucienne szale o haftowanych w zygzaki szlakach; zwykle haft ten brunatny czasem zaś srebrzysty i wiśniowy bywa. Szale te noszą zupełnie z turecka: najprzód nakrywają głowę zostawiając spory koniec na piersi wiszący, potem zgrabnie obwijają szyję dokoła, a drugi koniec zarzucają w tył na plecy. Jeżeli wiatr albo deszcz, wtedy przednim końcem zasłaniają twarz po oczy, albo po nos, zatykając rąbek jego krajny za fałdy policzek osłaniające: zupełnie jak turczynki od których nawet ten zwyczaj pozostał.

Taki tedy lud niedzielą przy każdéj prawie karczmie przydrożnéj licznie nagromadzony, przy tęsknéj wołoskiéj, żebym rzekł, dumce, tańczył ulubione swoje koło: trzymając się za ramiona para za parą, to znowu każda para z osobna w kole do siebie tańcując. Burnusy brunatne chłopów na białéj odzieży, a białe kobiece na

brunatnych horbotkach, powiewające szale migoczące haftem, swoboda i lekkość poruszeń i poskoków tańczącego grona; dokoła te łany kukurudzy i białe gdzie niegdzie chaty a w tle napiętrzone rzędy wierzchów gór i wołoskie cieplejsze niebo: wszystko to w powabną i uroczą całość się zlewało i tę drogę niewiemy sami jakeśmy przebyli.

Słońce już zapadło kiedyśmy wjeżdżali w wązką uliczkę Sadogury krok za krokiem, często stawając po dobréj chwili: bo gęste stada wołów tamowały przejazd i z trudnością nam przychodziło przedzierać się przez te rogate tłumy. Żydzi jak zwykle po jarmarkach obskoczyli nas, zachwalając każden z osobna kwaterę jarmarczną do któréj nas ciągnęli ten sobie, a ten sobie. Rozdzieliliśmy się tedy, ja poszedłem za jednym, pan Ignacy w drugą stronę. Mnie żyd prowadził pomiędzy domy miasta samego w niewielkiéj kupce stulone, i stanął przed niewielkim murowanym, mówiąc: Tu same porządne kupcy zajeżdżają, niech Wielmożny Pan obaczy, stancya bardzo bezpieczna i dobra! —

— Więc są i niebezpieczne! myślę w duchu i wchodzę do izby pustéj, wilgotnéj, zadusznéj z któréj drzwi małe do ciemnéj klitki niby alkierza prowadziły, zkąd za wnijściem przez nos wygłoszone pytanie doleciało mię:

— Panie Zacharyaszu! czy to Pan?

— Nie on.

— A któż taki?

— A ja!

— A co za ja?

— A ja sobie! chciałbym tu stancyę nająć —

— Niech pan da spokój! bo tu ormiańska kwatera, my tu sami swoi....

— To cóż z tego? to i ja sobie swój i możemy z panami mieszkać.

— Myby się pana bali, a pan nas — niech pan idzie do Wójta tam panowie Polacy zajeżdżają....

— *Kimen zy purec!* (choć pan!) tamten pan już do Wójta jedzie, tam dobra stancya osobna i stajnie i wszystko.... ktoby tu siedział między temi kapcanami — wołał żyd inny nadbiegający; ale sobie wcale nieuzyskał względów na ormiańskiéj kwaterze. Niezwłocznie bowiem usłyszeliśmy znowu przez nos mocniéj jeszcze jak pierwéj:

— Ty żydzie łotrze! ja cię tu nauczę przezywać!.... ja ci tu dam kapcana.... i t. d. Aleśmy odeszli a po drodze tłumaczył mi żyd że Ormianina niczem tak nieobrazi jak przezywając kapcanem.

Jechaliśmy więc do Wójta, którego domek schludny topolami obsadzony, naprzeciwko kościoła obrządku łacińskiego, a kilkanaście tylko kroków od targowicy wołów leży. Kiedy wózek stanął, pojawiła się na progu kobieta mała, tłusta, już niemłoda i wziąwszy się pod boki rękoma zakasanemi po łokcie stała *rezolutnie.*

— Czy tutaj pan Wójt mieszka?

— Tu!

— A można będzie dostać pomieszkania przez jarmark?

— Można! są pokoje osobne i bezpieczne, są i stajnie dobre i wozownia, proszę niech panowie dobrodzieje obaczą. — Podczas tego wyglądnęła z po za niéj blada okrągła twarzyczka z dużemi czarnemi oczami i o kruczym włosie: więc, prawdę rzekłszy jakoś nam się łatwiéj z wózka zsiadło. Pan Ignacy oglądał pokoiki i stajnie i targowal się, i wymawial sobie: żeby nam jeść gotowano w domu i t. p. i targując się oglądał córkę pani Wójtowéj właścicielkę owéj bladéj twarzy i dużych czarnych oczu; ja zaś oglądałem jedynie panią Wójtową samą. A było bo co oglądać! — Bo to panie! najprzód tusza zupełnie odpowiednia powadze Wójtowéj sadogurskiéj, wydatniejsza jeszcze przy małym wzroście! twarz niezmiernie wyrazista: oczy maleńkie pod bujną

szpakowatą brwią, nos, a raczéj nosek maleńki zadarty w orzeszek niepoślednio zakończony. Znak to silnego charakteru, a jaśniéj mówiąc uporu; noski takie na Rusi bardzo częste, zowią się: *perciopałcio* t. j. perkato czyli zadarto-pałeczkowate! (czytelnicy! jeżeli wam się kiedy nawinie podobny nos na twarzy czterograniastéj umieszczony; zaklinam was, na zdrowie płuc waszych: nie dysputujcie z takimi ludźmi! raczéj idźcie gdzie i dmuchajcie na wiatrak, a prędzéj obrócicie tchēm swoim skrzydła jego niżeli przekonanie podobnego czterograniastego oblicza o krótkim w orzech zakończonym nosku!!!—)—Usta pani Wójtowéj były szeroko rozkrojone o cienkich wargach z których jednak wyżnia, godna lepszego losu: mierząc bowiem półtora cala przestrzeni od nosa do ust, gdyby była własnością mężczyzny jakiego, a do tego wąsem zawiesistym obrosłą; pierzchaliby wrogowie na widok jéj, boć by to był, bór wąsowy!—Niestety! będąc własnością płci pięknéj niemogła się ta wyżnia warga poszczycić, jacy jeno dwoma brodawkami z których gdyby białe brzozki na granicznym kopcu kilka grubych siwych włosów sterczało. Ścięgna podgardlane z wiekiem straciły sprężystość, więc podgardle wisiało w zmarszczkach jak zwykle u osób wiekowych, równie i twarz cała wiekiem zmarszczona, sędziwością głowę całą piętnowała. Najodpowiedniejszy zaś temu całemu był strój głowy, chustka wielka orzechowa w duże kwiaty i wiśniowe strzępki, gdyby połoz potężny owijała się kilkokrotnie koło wcale nie małéj głowy i tworzyła rodzaj zawoju, jaki wedle nadesłanych z pod Karsu rysunków, Baszybozukowie i Łazy turecko-kurdyjscy, dość często nosić zwykli. Zawoj ten poważny niedostatecznie pokrywał siwy gęsty włos, i zawsze stał jakto mówią: *na bakier*—na prawe albo na lewe ucho srebrnym kulczykiem ozdobne; albowiem przez zbytnie gorąco pod zawojem, pani Wójtowa chcąc gło-

wie ulżyć, co chwila ręką którą głowy sięgała, nie skrobiąc się jednak, jeno poruszając zawój swój, przez co zawsze był w którą stronę przechylony; mianowicie jeżeli w gniewie żywsza rękoma rozprawa. Tak wiernie opisana głowa spoczywała na krótkiéj szyi i bujnéj kibici, którą to kibić, w górze wielka chustka wełniana żółta, na piersi krzyżowana, a w tyle po pod ramiona związana, a niżéj szpangaletowa ciemna spodnica i zapaska jasna z kieszeniami suto okrywała. Z pod żółtéj chustki wyglądały jeszcze białe szerokie po łokieć zakasane rękawy koszuli i kątami czarny gorset, a z zapasa nad biodrem utkwiony ogromny pęk kluczy.

Z godną spokojnością dobijała targu, a po zawartych układach wtajemniczała nas w zwyczaje domowe: wskazała gdzie czego szukać, jak na służącą wołać aby wody podała, a jak psa ukomosić żeby nie kąsał. Słowem obchodziła się z nami jako z domowemi, uczciwie po gospodarsku, tytułując ichmościami; a wtajemniczywszy w wszystko co nam wiedzieć wypadało, odeszła do gospodarstwa, a w małą chwilę już my się ogrzewali gorącą kawą. Uprzejma gospodyni sama osobiście odwiedziła nas znowu pytając co chcemy na wieczerzę, a na wyznanie nasze prostoduszne jakomy nigdy jeszcze przechwalonéj owéj mamałygi niejedli, a zapoznać się z nią radzi — wypytała z czem wolimy: z bryndzą czy masłem, i niebawem przesiewała w kuchni świeżą żółciutenką mąkę kukurudzaną i odlała ukropu pół garnka i wsypała mąkę i zrobiła dziurę na wśkroś rękojeścią od czysto umytèj łyżki; potem odlała wszystko do innego naczynia w formie wazona i kopystką naumyślną wymieszała jak najdokładniéj, i z garnkiem postawiła na węglach. Niebawem pod ciepłą pokrywą mamałyga wyrosła gdyby pyza, a ponieważ garnek był górą szerszy jak dołem (niby forma na baby) — więc mamalyga dobrze wypieczona wyśliznęła się na krążek, aby skrajana

za pomocą nici, i przekładana serem owczym jeszcze raz była na maśle smażoną — albo bez téj przyprawy prosto na stół daną i z masłem topionem spożytą. Taki jest autentyczny wiarogodny sposób sporządzania mamałygi, która wszystkim pokoleniom południowo słowiańskim zamiast chleba powszedniego służy. Jako naoczny świadek—i przy samem źródle, bo od obywatelki Filipowiczowéj, Wójtowej sadogórskiéj nauczony, mam prawo zupełne *zadyktować* światu przepis téj sławnéj mamałygi, z któréj, dodawszy żółtka wyrobiwszy jak ciasto w placuszki kapustą niby kapuśniaczki okrywając i na listku lub blasze piekąc przecudnego smaku: *małaje!* pokucio-szlachecki przekąsek do herbaty utworzyć można. Proszę sobie spamiętać ten przepis, bo choćby wybredne języczki pięknych Nadwiślanek wymyślały na tę bardzo gospodarską strawę: toć przecie jeśliby nad Dunaj i Dniestr miała się wojna wschodnia przenieść, tedy Anglikom co nie tędzy kucharze, mógłby ten przepis przydać się na razie.

Podczas téj kuchennéj nauki wypytywaliśmy się jarmarczni fryce o ilość stad zwykle napędzanych, o średnie ceny bydła, o kupców i t. d. i t. d. i dawano nam na wszystko najpomyślniejszą wiadomość. Zadowolnieni w końcu mamałygą i jarmarcznym wstępem, poczęliśmy się jakto mówią: oglądać w koło siebie.

Szczery wielbiciel przyrody i świeżego powietrza wyszedłem przed dom gdzie mnie przykładnie z pończoszką na ławeczce siedząca Wojtowna czarnooka zagadała:

— Jegomość pierwszy raz u nas w Sadogórze?

— Pierwszy, ale pewno nieostatni! — odpaliłem bez zająknienia i śmiało po kawalersku usiadłem obok — przepraszając *etykietalnie.*

— A z dalekaż panowie czy z Galicyi?

— Alboż to tu nie Galicya?

— Nie panie! to już Bukowina!—A nie zna też pan przypadkiem pana Edmunda......?

— O znam! dobrze go znam! jary jeszcze, i zawsze wesoł, a w flegmatyka się lubi bawić.

— Ale! gdzież on flegmatykiem? jako żywo!—Żeby też jegomość wiedział, co on tu niedokazywał ze mną kiedy bywało, na jarmark przyjedzie! — To raz! żeby jegomość wiedział, to tu było tyle panów z Galicyi i chwatów, że to ha!—a on psiakość (*sic*) przychodzi do mojego ojca i gada mu: że się mi o rozwód postara i ożeni się ze mną.....

— Alboż to pani zamężna?

— O! odkąd! ja już mam drugiego męża—bo mnie bardzo młodo wydali,—ale niechże jegomość słucha!....

— Słucham!

— Co on niewyrabiał zemną żeby jegomość wiedział, to aż strach! to mi u modniarki w Czerniowcach kupił czepek z białemi wstążkami, i to mnie w niego ubrali i posadzili na środku izby, a potem pili moje zdrowie jako pani Edmundowéj, a on ukląknął przedemną nazwał mnie: Moja Królowa! i musiałam go pocałować. Tak panie tak! — A *prezentów* co mi nadawał i jakich ładnych!.... A pana X... jegomość zna? A pana Y...? a tego? a owego?

— Cóż tam pani widzę już połowę Galicyi bałamuciła?

— A widzi jegomość!...

Pan Ignacy tymczasem pokończył swoje gazdowanie koło wózka, koni i woźnicy i szedł za dźwiękiem głosów ludzkich prosto na ganek przed dom. Jako ułan doświadczony, zrekognoskował kogo ma przed sobą i nie myśląc długo przypuścił siarczysty attak komplementowy do mojéj na ławeczce sąsiadki, a potém przysiadłszy się z drugiéj strony, jako dobry wojak nic nie pytał tylko do Wójtowny zaczął smalić cholewki nie na

żarty. Było to wprawdzie już o szaréj godzinie, jednakowo mąż zazdrosny w nocy jak mówią lepiéj od sowy widzi; aby więc ułański honor na szwank nie wystawić napominałem:

— Panie Ignacy! ostrożnie z ogniem! tu by pana mogło bardzo łatwo spotkać jak Antoniego pod Kuflewem, bo mąż téj pani gorszy od kilku Dońców!

— Co mąż? zawołał przestraszony jak gdyby niebezpieczeństwo tuż tuż nad grzbietem wisiało, i odsunął się od Wójtowny tak nagle, że ta aż parsknęła śmiechem! — Doszedłszy zaś prawdy, poskromił wezbranie serca i z daleka tylko harcował. Od targowicy zaś dochodził gwar pomieszany, i ogniska koczujących hajdajów błyszczały w ciemności nocnéj. Chcieliśmy pójść oglądać co się tam dzieje, ale dészcz rzęsisty lunął jak z cebra więc się nie było po co puszczać. Poszliśmy spać, a uléwa szumiała przez całą noc.

Ciekawy to widok taki sadogurski jarmark na bydło! Na północ od miasteczka, ku Dniestrowi i Podolu ciągnie się obszerne błonie, którego przestrzeń nie wiem czybym przesadził, gdybym na setkę morgów policzył. Jest to sadogórská targowica na bydło. Tworzy czworobok: od zachodu angielskim gustem, z rośliniarnią przez cały południowy front, pałac dziedzica Sadogóry hr. Mostacki, i ogrody dworskie, drogą bitą i okopaną oddzielone od targowicy; na północ i wschód pola uprawne; a od południa zatyłki domów lub parkany ogrodów miejskich i plebanii łacińskiéj. Najmniejszy garbek, najmniejszy rowek nie marszczy téj równi, któréj powierzchnia gdyby zwierciadło wody stojącéj gładka i drobną tylko trawką porosła. Nic nie przerzyna téj równi, prócz że nad samą drogą naprzeciw dworu na płaskiéj mogiłce wznosi się męka Pańska między czterema młodemi topolkami, a od południowego wschodu nieopodal od domów miasta leży okopisko żydowskie oparkanione,

a jaskrawo malowane nagrobki kamienne ocienione krzewami i drzewiną zieloną wraz z niemi miejscami sterczą po nad niski drewniany parkan. W samym zaś środku targowicy stoi studnia o kamiennéj ciosanéj cębrzynie z kołem do wiadra.

Taką jest topografia targowicy. W czasie wolnym od jarmarków służy ona za pastwisko dla dość licznych owiec i kóz mieszkańców, mianowicie Wójta, ciągle bowiem koszarowane błonie w kilka dni trawą porasta. Podczas jarmarku zaś ożywia się całe to błonie tysiącami bydła i ludzi, ludzi i bydła.

Przededniem, skoro świt słychać było gwar przed domem Wójta na szerokiéj ulicy, niejako w przedsionku targowiska. Nieprzerwaném pasmem ciągną jarmarczni chłopi z głębi Bukowiny pędząc przed sobą parniki, to jest woły parami powiązane, albo maleńkie stadka od kilku do kilkunastu sztuk. Wszystkie te stadka drobne i parniki stają albo w ulicy saméj, albo na krawędzi targowicy koło parkanów i zatyłków domowli. Zawsze za kilkorgiem bydła wlecze się wózek krótki, bosy jak gospodarz jego, a na wózku słoma z kukurudzy albo siano wysoko naładowane i na poprzek przypasane tak, iż się cała fura garbatą wydaje. Gdzie kto miejsce znajdzie tam staje, wyprzęga woły, i wraz z przeznaczonemi na sprzedaż wiąże do wozu, rzuca im siana lub kukurudzianki i ogląda się koło siebie. A jest się na co patrzyć!

Równym szeregiem w niewielkiéj odległości od parkanów granicznych — ciągną się dwa rzędy szałasów, których budowla za nadto pojedynczą i starożytną aby ją milczeniem pominąć można. Cztéry słupy okrągłe po rogach, od przodu gdzie ma być wnijście miejsce zupełnie od ściany wolne, a obie boczne i tylna ściana jak Bóg dał: z kawałków płotu, z wrót starych i drzwiczek różnéj wielkości a w dodatku z desek przemyślnie

poskładane; dach w tył położysty, do połowy deskami a w mniejszéj części rozmaitemi szmatami płótna, płacht i koców przykryty: oto szałas jarmarczny sadogórski, malowniczy i przezroczysty jak tylko malarze życzyć sobie mogą; istny zaród pierwomysłu świątyni greckiéj wedle doryckiego stylu! — Niektóre cały dach z płótna mają i tworzą przechód do sąsiednich namiotów, uszytych z płótna różnego rodzaju najczęściéj w sine pręgi, w czém już turecki wpływ widoczny. Obszerne te szałasy i namioty zamieszkują starozakonne żydowskie rodziny, z wódką, piwem, chlebem i bułkami, na które zapraszając, w około stoły i ławki z tarcic poustawiali. Po przed temi gmachami zasiadły baby wołoszki i żydówki z jadłem rozmaitém: tu bryndza owcza tak ostrego smaku jak gdyby na *witryolu* zaprawioną była — obok chléb z kukurudzy pieczony, biały ale niesmaczny, obwarzanki jajkiem na żółto pomalowane, stosami leżą na nieckach; — ogórki przeżrałe żółte, nasienniki jak największe, na czostku i koprze dosadnie kiszone, sprzedają się w konwiach, a starozakonna przekupka, widelcem samorodnym o pięciu palcach, wydobywa je pojedynczo z konwi, i *częstuje* kupujących na drewnianym krążku. Tam druga córa Syonu kwartą kwaśne mléko mierzy a daléj sprzedają marchew i kwaśny winograd wołoski i arbuzów fury i wóz dyń żółtych za 19 dutków.

Część ta pomiędzy bazarem jadła i napojów a zatyłkami miasta, poświęcona wyłącznie ludowi wiejskiemu szczególnie zaś hajdajom tym flisakom lądowym, którzy gdyby zaklęci, gdyby przykuci do tych szałasów i namiotów, w koło nich i stoją i siedzą i krążą i niemając środków pokrzepienia żołądka łykiem gorzałki, przynajmniéj lotną jéj wonią bezpłatnie umysł i fantazyę krzepią. Tu ich siedziba, ich wyłączna dzielnica, tu *Korabelnaja* sadogórska. Kto potrzebuje hajdajów na skinienie setkami stręczą swe usługi.

Obok nich zawiązał się już walny targ.

— *Hej! moj na!* (hej człecze na!)

— *Ta szo?* albo *Czjo chocze?*

— *Czyi to byki?*

— *Boży, taj moi!*

— *A prodasz bat'ku!*

— *Prodam!*

— *A szo prawysz za toje byki?—ałe krajnym słowom!*

— *Za toje woły? ne budu bohato howoryw, tolko tak jak prawda: Ot! tamtoj czołowik daje myni dewiadjasiat' i try—wy myni daść wiśm!... taj!....*

— *Daj ti Boże! ałe ja ne dam!*

— *A szczoż pan dajut? szczoż pan skaże?*

— *A hospodże znaje szczo skazaty na toju hadku!*

— *Pretia??*

Chłop który wprzód targował napomina z boku: *Giorgio* (Dżiordżio) *łyszy!* (puść).

— *Ne łyszu!* — *Łyszy!* — *Ne łyszu!* — *Wozmyt!* — *Jo! non pozzo!* (nie mogę!)

— *Aj! szo tam! kto zdorow to może! woźmyt!*

— *Non pozzo!*

— *Wid czoho łyszyt?*

— *Łyszu dwa wid wiśmdesiat!*

— *Łyszy piat' i daj mohorycz!*

— *Ne mohu! hospod daść!*

— *Łyszyt!*

— *Ne mohu!*

Biją a biją ręka w rękę! aż w końcu:

— *Ej! to wozmyt z Bohom! naj wam daść szczastie!*— Przybił! obrócili się oba w koło uchwyciwszy po pod ramiona!

— *Teper mohorycz!*—*żeń byki.* — I poszli na litkup czyli *mohorycz.*

Nie tak szczerze idzie kupno przy drugim wozie! Tam widoczna zmowa, skoro się jaki kupiec zbliży poczynają

chłopi targować jeden u drugiego i niby się dobijać kilku o jednę parę. Wszystko to figle aby kupców do siebie zwabić. Dawniéj żydzi tylko takie *komedye* odgrywali, dziś chłopi umieją mało co gorzéj od swoich nauczycielów. Żydzi jako postępowi w kupiach, przyjęli wyższą oświatę, i wolą konie puszczać na wyższy grosz. Obstąpili szkapsko wołoskie chude i licytują zaczynając bardzo nisko od kilku złr. a nakładając powoli po kilka krajcarów. Jeżeli się im nie uda zwabić *fryca*, któryby się do kupna zapalił, to kupują sami, jeżeli kto nadaje to pędzą w górę.—

Zachmurzone niebo, obwiesiło się niżéj nad Sadogórą, a drobny deszczyk zaczął rzęsisto kropić. Chłopi powywracali kożuchy kudłami na wierzch, a gazdowie od Czerniowiec którzy w świątecznych wystąpili czapkach, chodzą z odkrytemi głowy, a czapka pod pachą: boć głowa wyschnie a czapce baraniéj mogłoby zaszkodzić. Inni powdziéwali i czapki na wywrot; że zaś niedobieranemi kawałkami kożucha podszyte, więc niektóre białe; inne mają u wierzchu trzykończaty, w środku podłużny a miejscami czworoboczny płatek czarny barani obok prostowłosego koziego a zżółkłego starego baraniego kożucha, jak kuśnierzowi wypadło. Srokate takie wysoko stojące czapki, przy długich włosach i nosach a obwisłych wąsach, dzikości surowéj piętno nadają chłopom i tak rosłym w kudłatych nieforemnych kożuchach także często pstrokatych. Kilku pookręcali czapki powrósłem siana tworząc niby pokrowiec, co jeszcze dziwniéj wygląda. Od Seretu gazdowie, którzy białe słowackie *czuhy* t. j. płaszcze z czterograniastym kawałkiem o rzadkich długich strzępkach miasto *peleryny* z tyłu, noszą — powiązali te kaptury strzępkami samemi, a często powrósełkiem słomy, zwykle nie w środku ale w jeden z boków, i porobili tym sposobem kaptury ogromne z ukosa w górę stérczące rzadziéj prosto ku niebu. Tak samo

poczynili wołoscy górale od Siedmiogrodu z czarnemi swemi *czuhami* pospinawszy kaptury w róg albo prosto w górę. Baby tożsamo poszły za ich przykładem, pokapturzyły się i wysoko podkasały kiecki swoje z obu stron. Większa część chłopów i bab chodzi boso, niektórzy tylko w kurpielach czyli chodakach. Dla malarzy, osobliwie dla tych co to lubują sobie w zakapturzonych pustelnikach albo w pogańskich boginiach wielkie to tam pole, boć tam wtedy co chłop to eremita a co baba to bogini olimpu! — Nawet o turczynkach i wschodnich niewiastach można nabrać wyobrażenia, bo niektóre baby, aby im dészcz i wiatr nie dokuczał zatknęły przedni koniec szala za przeguby drugiego policzka, zakrywając dolną część twarzy, tak, że im tylko nos stérczy i czarne oczy błyszczą. Malowniczo to może jest! jednakowo mogę zaręczyć sumiennie: iż nie jest tak piękném, żeby aż głowa od podziwu bolała! — Hajdaje cisną się tłumnie ku szałasom i namiotom! ścisk ogromny a złodziejom łówka. — Cygan bowiem obdarty rzępoli na skrzypcach przechodząc co raz to w inny ton, to górskie skoczne kołomejki, to smętne podolskie dumki, to znowu żałosne multanki — a drugi cyganek na bębenku takt wybija. Jaki taki zagapi się, a złodzieje mieszek wyciągają: tam ich téż najwięcéj bo tam ich żniwo! — Ale i w inny sposób umieją tam ludzie korzystać. Tak np. żydek kupił coś u chłopa od Sniatyna, i płacił banknotami. Między niemi był cesarsko-węgierski dwureńskowy, srebrzysty z jednéj a czerwony z drugiéj strony: więc żyd płacąc pokazuje jednę stronę i mówi: tu masz 2 złr., potém odwrotną: a tu masz drugie 2 złr. — rozumijesz? — „Rozumiju!“ — i okpił chłopa. Szukali go chłopi ale nie wiem czy znaleźli, bom poszedł pomiędzy stada. —

Na targu głównym, pomiędzy stadami, tam inny wyższy świat! —

Kilkanaście tysięcy bydła stało na targowicy, stadami po kilkaset, każde stado z osobna ale dość blisko jedno od drugiego, ale hajdajów taka wprawa w doglądaniu, iż dwóch lub trzech podoła upilnować stado aby się z drugiemi nie zmięszało. Zresztą woły w stadzie spokojnie stoją i byle ich o swoim czasie nakarmić i napoić leżą sobie gromadkami i zwiękę pasą czyli odżuwają. Nawet z napawaniem mniéj korowodów jakby się wydawało. Pomiędzy stadami albowiem są wolne przejścia pozostawiane, które aczkolwiek dość wązkie, jednakowo na zawołanie się rozszerzają, bo hajdaje z własnego interesu każden swoje stado do kupy zgania aby pędzonemu stadu przechód ułatwić. Poją zaś bydło w potoczku niedalekim i wykopanéj błotnistéj sadzaweczce. Wtedy tylko biéda i strach na kupców i hajdajów, jeżeli zimne słoty kilka dni i nocy cięgiem trwają, że wołom już cierpliwości nie stanie, albo się wody wezbranéj przelękną: wonczas za przykładem jednego wszystkie się stada z rykiem okropnym zrywają i zadzierając w górę łby i ogony pędzą na oślep ku najbliższym lasom szukając schronienia po pod drzewiną i ryczą od strachu i zimna. Podobnie stało się niepomnę w którym roku w Ułaszkowcach, gdzie się kilkanaście tysięcy wołów w kupę zbiło i w lasy uszło. Wiele potonęło w wezbranéj rzece, wiele poginęło z głodu lub złamania nóg; ogółem przeszło trzysta sztuk wołów nie doliczyli się kupcy, a odzyskane nim napowrót w stada rozdzielili co to swaru, co kłótni było! łatwo odgadnąć. Był to czysty jarmarczny sądny dzień.

Nie tak strasznie działo się obecnie. Stada stały spokojnie bessarabskie i podolskie. Wołoskie czyli bessarabskie wielkie z potężnemi rogami, co do rasy prawie jedne i te same z węgierskiemi. Okazałe to bydło, którego ojczyzną cała prawie południowa Europa; szczególną jego zaletą prócz pięknéj budowy i dobrego mięsa

jest: pojętność daleko bystrzejsza niżeli u innych rass; ztąd do robót gospodarskich wielka przydatność. Taki wół poganiacza nie potrzebuje, byle młodo zaprzęgany wyuczy się swéj służby na podziw. Czy z miejsca ruszyć czy stanąć, czy w prawo iść czy w lewo, do skiby czy do roli, czy wreszcie nawrócić: do tego wszystkiego nie potrzeba mu tylko słowa. Ale co słowo, mowę ludzką i głos dzwonka albo fujary to lubi: dla tego téż trzeba do niego gadać, rozmawiać i łagodnie się z nim obchodzić. Na Węgrach można się to téj rasie napatrzyć z rozkoszą prawdziwą. Madżjar siedzi sobie na wozie opasany długim kańczukiem; sześć wołów ogromnych, z półsążnistemi rogami, założone do wozu idą sobie para za parą, od Debreczyna i Rakomoza przez wielki most na Cisie w Tokaju, bez lejca, bez pojętaka, tylko za słowem. Na końcu mostu Madżiar woła: *ha ho!* a woły stają; płaci rogatkę nie ruszając się z wozu, i woła: *ho! ha-ho!* a woły ruszyły; — *czha! czha! czha!* a woły skręcają w jedyną wązką ulicę Tokaju, gdzie ciągle tam i sam bryki jadą lub przed składami stoją. Sześć wołów uprzężonych idzie wolno miernym krokiem patrząc ciekawie na ludzi i domy, a młoda para przewodząca za pierwszém zawołaniem *czha!* albo *hout!* zbacza w lewo lub prawo, mija wozy, obchodzi narożne domy, przeszkody uliczne, bez lejca, bez bata, bo kańczuk: to ostateczność! — Czy taka, bydlęcia roboczego cnota, która przy sporszéj robocie — bo chód mają o $^1/_3$ kroka sporszy — codzienny wydatek na poganiacza oszczędza, i leniwości jego nie posiada; czyż ona nie warta niczego? W górach znamy to bydło pod nazwą *Sejki* i cenimy go; mianowicie cenią i umieją go ruskie osady górskie użyć, nawet innych nie radzi kupują: polska zaś nasza czeladź nie lubi gadać do wołów przy robocie, woli powrozem rogi kaléczyć a batem nawracać, bo do gadania trzeba im jadła i wygodnego siedzenia.

Bessarabskie *sejki* jako na stepie chowane, nie mają téj łagodności co węgierskie robocze między ludźmi wychowane; zawsze jednak pojętność i chyżość w porównaniu z inném bydłem wielka.

Podolskie stada nieznawca nawet natychmiast odróżni. Wołki na nizkich nogach okrągłe i długie gdyby krety lub baryłki; podgardla wiszące a rogi małe okrągłe, maść także siwa. Podolskie bydło mniéj pojętne od *Sejkow* jednakowo bardzo łatwe do utuczenia, i wiele łoju sadzi, zresztą wytrwałe i niewybredne w paszy. Ostatnia szczególnie okoliczność wielkiéj wagi bo nic bardziéj naprzykrzonego w gospodarstwie jak bydle niechcące paszy przyjąć, z którem wyjątki czynić i z osobna kosztowne wygódki obmyślać trzeba. *Sejki* za młodu także się wnet przyzwyczają, póżniéj trudniéj.

Prócz stad wołów, stały także prześliczne stada jałówek bessarabskich tabunowych.

Wszystkie stada strzeżone są od hajdajów, którzy z pałami w około chodzą; każde też stado ma swój osobny skład paszy w kopach, wedle których hajdaje ognie rozniecili i jadło gotują. Przy każdym stadzie stoi *liczbon* w białéj bundzie zwykle z kapturem na głowie a węzłowatym złożonym harapem w ręku na koniu, albo tylko sam koń jego okulbaczony derką w pasy, na niéj terlicą drewnianą z rzemiennym po środku łękiem, i poduszką skórzaną, na przodzie wiszą płócienne przybrudzone sakwy; wszystko razem od deszczu przykryte własną bundą liczbona. Miejscami wózek kupiecki lub bryczka, czasem nawet koczobryk staroświecki bojara jakiego wołoskiego albo multańskiego— w każdéj z tych powózek konie przy dyszlu lub wózku żujące siano; u niektórych z tyłu wózka szeroko po bokach sterczący obroczny wór żłobu miejsce zastępuje.

Żydzi faktorzy popodkasywali się malowniczo ze czterech stron zakładając za pas krawędzie żupana swego,

albo szlafroka, brodzą w błocie po kostki: większa część w pończochach i trzewikach, które w bagnie wiązgną, tak, że noga siląc się wydobyć, rada nie rada dziurawe pięty światu okazuje! ale że tam niema próżniaków brukowych więc to uchodzi bez obmowy. Za to każden żyd dźwiga deszczochron i laskę, a znajomy nasz Obertyński grubacha faktor z siwym swojem deszczochronem zdaleka widoczny, powoli ale wszędzie chodzi i jako człek stateczny i kupiec doświadczony wzgardził narodowemi pantoflami, a zawdział tęgie palone bóty. Niektórzy faktorowie konno się uwijają, cwałując na oklep, laskę gdyby buzdygan po staropolsku z tyłu zapas zatknąwszy. Jest w tem ich bieganiu i cwałowaniu pewien urok, rzekłbym poezya, jarmarczna poezya, któréj wieszczą duszą brzęk pieniędzy, rytmem cwał pieszy lub na oklep, a rymem, rozmaicie bryzgające błoto! — Aj! bo też to błoto! prawdziwe polskie jarmaczne, nad którego utworzeniem brzemienne obłoki i ludzkie plemie zapobiegliwe, i tysiące bezrozumnych stad, pracowały. Sielankowy to widok, te wołoszki czysto ubrane, walczące z rozmiészonėm błotem i wstydem niewieścim, który niestety niezawsze! w obec tak zawziętego wroga zwycięzko wychodzi! — i te chłopy zakapturzone, i te bydlątka niewinne, na targ i rzeź pędzone. Ach! sentymentalne (w tym względzie) hollenderskie serce krwią by zabiegło na taki widok jak np. krówka prześliczna po kolana w błocie brodzi, rada nierada postępując za nielitościwym gazdą, a cielątko prześliczne kilkotygniowe (nb. *delikatna* wypieszczona cieliczka) — bieduje za nią mozolnie brodząc powyżéj kolanek, i w niewinności swéj ssie z tyłu macierzyńskie wymie, ani marząc o marności życia swego! — Albo ta trzoda owieczek i baranków sadogórskich! przyzwyczajona pasać się po targowicy, prawdziwie jako błędna owca szuka znajoméj murawy która się zmieniła w morze

błotniste! a tu woły bodą, konie tratują, ludzie odpędzają a na długich strączkach wełny osiadło błoto grubą warstwą, tak, że nawet wstrząśnienie runem, okolicznych tylko obryzga, a owieczce nie wiele ulgi przyniesie!— Najnieszczęśliwsze zaś te prosiaczki miejskie krase, białoczarne: widząc błoto, ulubiony sobie żywioł, myślą że nieba dla nich ku rozrywce onego naczyniły, więc rozkoszują i pokładają się w niem i znów biegają gromadkami, i właśnie rozpoczęły żartobliwe swoje szermierstwo, bodą się naśladując rogaciznę, aż tu nadchodzi stadko koni po jarmarczemu na długich linkach stroczone po sześć po ośm razem; daremnie hajdaj tabunowy ostrzega wołając *hou! hou! a ksy! a czyy!!*— prosiątka niewidzą nie słyszą, tylko się bodą i kąsają, i tak się zajadły, że niezważają na konie, które nawet gdyby chciały nie mogą przekroczyć i tratują niemiłosiernie. Prosiątka biedne w kwik podobłoczny; a ja, jarmarczny filozof myślę w duszy: Héj! héj! i na świecie tak się dzieje! błoto: to polityka głęboka; owe niebożęta zajadłe w sobie nawzajem: to stronnictwa zajadłe! a to stado koni: to *coup d'etat*...— Westchnąłem smutno i poszedłem daléj ku domowi; boć żołądek mój tamtędy mnie wabił.

Po drodze zdybuję żebraków siedzących na kupce barłogu gdyby na gniazdku i mówiących pacierze wedle potrzeby: po wołosku, po rusku i po polsku! nawet na niemczyznę jeden z nich zakrawał!— héj! hej! myślę w duszy: ile to tu talentu marnieje w Sadogórze talentu *linguistycznego*, różnojęzycznego! nie lepiéj by to było poduczyć ich pisać i rozesłać na tłumaczów obcych gazet, po redakcyach: w Berlinie, Wrocławiu, Hamburgu i innych krajach Rzeszy niemieckiéj, którym tak bardzo zbywa na tem!!!— Wracam do domu! izdebka maleńka, po jarmarku jeszcze mi się mniejszą wydała! dwa tapczany z siennikami i kołdrami naszemi a na jednym

leży pan Ignacy w pozyturze żywego desperata! torbę z pieniądzmi podłożył pod głowę a ramieniem twarz zasłonił: — Co panu takiego że pan taki jakiś zgryziony?—

— Aj! mój panie! czy nie mam czego? ot! leżę na słomie za kratami w ciasnym kącie, i ciągle mi się zdaje: żem w kozie! — Oni sobie chwalą te małe izby i kraty w małych oknach, mówią że bezpiecznie! — ale mnie jakoś smutno; zdaje mi się, żem w więzieniu.— Tęsknota mnie porywa, dałbym kilkadziesiąt reńskich za to, żebym już raz był w domu, przy żonie i gospodarstwie, bo widzę, że *frycówkę* płacę!.....

— Tyr! tyr! tyr! panie Ignacy! kurka jajko niesie!— tyr! tyr! tyr!— a stado wołów na brahę, która na nie czeka!.....

— To nie dla nas jarmak! tu nawet kupców niema, przynajmniéj mało: jeden od Skola jeden od Biłki, ten tu sąsiad od Tłumacza, rzeźnicy z Czerniowiec, i my oba— z resztą sama arystokracya jarmarczna co stada kupuje dla Wiednia i Berna. Ci robią kupna: już kilka stad odeszło po 200 i 300 wołów 2—3 wradasz! to nie dla nas!

— Czyżby tu dla nas już niczego nie było?

-- Nic panie nic!

— A Wojtówna a Haliczanka!

— Ej! daj Wpan spokój! mnie już i żarty odeszły!

— Ułani zwyciężeni! albożto Sadogóra Kuflew?

— Aj bodaj pana! ja chcę sobie dumać a tobie żarty w głowie.

— A panu to nie?

— Ot! chodźmy chyba do izby może tam już obiad będzie!

— A może Wojtowna?

Poszliśmy!— Niemyślcie jednak żeby w zalecanki! nie moi panowie! Wszakże i Pasek w pamiętnikach swoich

pisze: jako się człeku w świecie przytrafia, że się niewiasty do ciebie a ty do niewiast poumizgasz! ale te umizgi to nie takie zalecanki jakto wy stółeczni panowie sobie wystawiacie! Kto w takich lubuje jedzie do stolic swoich, i zagranicznych; ale w Sadogórze nie ma niebezpieczeństwa! tam kupcy, gospodarze starzy, co gorzelnie pędzą, jeżeli żartują z córką gospodarską: to nie tak jak wy młodzi panicze, kiedy jedziecie kupować wierzchowce i grać w djabełka po jarmarkach końskich. W całéj Sadogórze niema ani kart ani zielonego stolika ani *puli* ani banku,— a z drugiéj strony ani kawiarni ani bladych rozmownych kawiareczek, ani lutnistek wdzięcznych, ani żadnéj podobnéj *romansowéj* istoty. Zaręczam, że i w Gdańsku to samo będzie, boć tam także poważniejsze kupiectwo i targi. Panicze lekkiéj próby i myśli, ani wołów kupują, ani pszenicy w Gdańsku przedają. Jeżeli łanów pszenicznych, jadąc do Paryża nie wypuścili w dzierżawę, toć wyjeżdżając na kupno wierzchowca, *faëtona*, *almanachów*, cygarniczek i t. p. sprzedają pszenicę na pniu! nb. żydom!—

Zatem tedy poszliśmy do izby gdzie społecznie gospodarstwo i wszyscy goście obiadować mieli. *Honny soit qui mal'y pense!*—Obiad jarmarczny nie tyle z jadła ciekawy ile z pogadanki, boć to różni ludzie zasiedli do stołu. Był bogaty ormianin z kołomejskiego dziedzic dóbr ziemskich, gospodarz zawołany i głośny z rzetelności— był szlachcic od ujścia Zbruczu, który z okna swego na Chocim i Żwaniec spogląda a wołmi w Sadogórze pieniądze robi; było dwóch wysłanników jednego z większych kluczów, aby stado na brachę kupili, byli i z Podola głębszego i od Biłki;—opowiadali różne przeróżne rzeczy o gospodarstwie i kupi, a daléj daléj o polityce i narodowościach, nawet o historyi: ale to wszystko było jakoś bez podstawy, bez związku, dorywczo—jeden tylko Wójt a gazda nasz 92 letni Filipowicz—tego mi-

mowolnie każdy słuchał kiedy zaczął opowiadać o tureckich jeszcze czasach i o wojnie cesarza Józefa i Rosyi z Turkami: —

Tureckie czasy ludzie sobie bardzo chwalą. Gwałtów za ich panowania żadnych nie było, handel znaczny. Co tydzień przyjeżdżało do Sadogóry 6 bryk tureckich, każda o trzech parach wołów lub bawołów, z towarami rozmaitemi. Oko cukru dostał za złotego; ryb suchych za maryasza (17 kr. m. k.) trzeba było w worek na plecy brać bo, bo na naręcze się nie zmieściło; limony, pomarańcze, figi, to wszystko za bezcen. Handel wołmi mocniejszy niżli teraz; słowem dobre życie, tanie a pieniędzy huk.

Objad się skończył, skończyła pogadanka a ja z mrokiem wyszedłem jeszcze na targowicę obaczyć co się tam dzieje. Ognie z kukurudzanki po pod wiatr rozniecone, a wkoło stoją lub siedzą hajdajów *grupy*, o podal kopy siana. U jednego stada drżący od zimna cygan wołoski, hajdaj obdarty; poowijał sobie powrósłami siana nogi, ręce i tułów cały i stoi cały w dymie, wyciąga ręce ku ognisku i grzeje się i ogląda się w koło, wyglądając zmiłowania bo biedny i zgłodniały. Inni hajdaje także powrósła kręcą i nogi obwijają, bo deszcz pada, schronienia niema ani odzienia niema. Wrzawa ucichła, ciżby chłopskiéj już niema ani żydów, tylko od namiotów i szałasów dochodzą dzikie wykrzyki i dźwięk skrzypków i puk bębenka. *Liczbony* powdziewali bundy szerokie i pokostki długie białe, z kapturami;—z harapem w dłoni przeliczają stada, potem owijają się w bundę i tulą pod kopę za wiatrem, by odpocząć po jarmarcznym trudzie. Gdzieniegdzie koń płaszczem nakryty, albo i bez nakrycia stoi skurczony uszy po sobie, łeb ku ziemi zwiesza, za uzdzienicę do kołka w ziemi przywiązany. Wojłok gruby w wąskie pasy pod terlicą i czarnożółte sakwy bukowińskie mokną wraz z biedną szkapą.

W nocy się wypogodziło, a targowica nazajutrz inną całkiem przybrała postać; bo słoneczko ogrzało obłoki, tak że się ciężka siwa chmur powała rozpadła w drobne srebrzystojasne jarzębiate chmurki które na niebie spokojnie stały, gdyby one stada białe, pod niemi na Sadogórskiéj targowicy. Nad górami tylko stoją mgły, ale się nie kurzą tumanem ku niebu tylko opadają ku dolinom i obsuwają się z obłoków. Hajdaje grzeją się do słońca i rozścielają przemokłe kożuchy i płaszcze susząc w upragnionych promieniach. Cygan przy wygasłem ognisku siedzi na ziemi w kuczki; poodwijał z siebie powrósła i z szczerbatéj glinianéj lulki bez cybucha, szyjkę w ustach trzymając kurzy, ukradkiem dym puszczając — pewno *bakoń* wołoski zakazany — już nie tak miłosiernie spogląda, już widać rad swéj biedzie kiedy się tylko miłego słoneczka doczekał.

Pan jego żółtowąsaty bojar z postrzyżoną brodą, w rosyjskim kaszkiecie na głowie, czerwonym szalem z angielska grubo szyję obwinął, chodzi z antypką o bursztynie koło wózka swego tam i sam, i nadrabia miną i czerwonym kobiercem którym wózek okrył i z tyłu obwiesił; jednakowo jeżeli jaki kupiec koło stada jego przejdzie, to staje, a jeżeli się o cenę zapyta, to się kłania nisko i mówi *otto deci cinque lew!* (85 fl.) a wołki nie wielkie i chude!

Lizbony się już także osuszyli i wraz z żydami przeliczają stada pędząc woły pojedynczo przy okrzykach: *hojd! hojd! hojd!* — *hod! hod!* — *hoheho! haho!* — *hojhoj! hojsa!* — *hojsa! hahoj!* — a na pojedynczego wołu który myśli zbiegać: *na na na! na na!* — *hahoj hahoj! hoissa!* —

Stado jałówek prześlicznych, stoi z boruczącym buhajem w pośrodku. — Héj moj na! — Cio choczy? (co chce?) — Czyje to jałówki? — Pana Zacharyasza — A co się cenią? — O to trzeba się pytać samego pana

Zacharyasza ale on gdzieś poszedł, a ja niewiem — A kędyż poszedł? — Pewno jeszcze na kwaterze, na ormiańskiéj. —

Wołoski pop przyjechał na jarmark ze swoją żoną dobrodziejką — na koźle bryczki djak z włosami po sam pas, żeby mu nie jedna panna młoda pozazdrościła na warkocz. Nawet widać dba o swoją ozdobę, bo całe plecy gurmanki wołoskiéj na pół cala grubo tłuszczem włosów powleczone; można by z nich oléj bić. Sam dobrodziéj brodaty i z włosami po ramiona bardzo ładny rosły i rumiany — jejmość nie taka ładna, ale za to widać Sadogórska elegantka: odwiązała chustkę z głowy, wydobyła z pudła kapelusz zielony kitajkowy, ubrała się, i wdziáwszy rękawiczki stoi z mężem i djakiem przy bryczce i patrzą się na jarmark i rozmawiają. Nie bardzo pilny interes! —

Zadudniało błonie! Pastuch stepowy pędzi tabun koni jadąc z tyłu z buławą w dłoni gdyby hetman jaki zaporozki; gdy się stadnina rozpędzi, wyprzedzają, zajeżdża, rzuca buławę, po przed konie, a świst w powietrzu zawraca tabun. Pastuch się schyla podnosi buławę za długą rękojeść i pędzi daléj. —

Faktorzy widać już po modlitwie i śniadaniu bo ich co raz więcéj przybywa. — Ogromny nasz obertyński znajomy, podkasany jeszcze jak wczora i z deszczochronem jak wczora, bo wczora mokł a dzisiaj na słońcu suszy — zdaleka nas wita! oblicze śmiejące, wargi grube, oczy siwe świecące; widać w nim zapalonego kupca:

— Jegomość! mam tu stadko wołów 120! jeden w drugiego, jak żołnierz jeden z drugim równy do ostatniego guzika, tak i te woły jeden jak drugi! — dalibóg! — dobre w mięsie, kość szeroka, żebro: ot! takie! na cztery palce! kapitalne:! *suttodaci cinque lew* para! —

— Pewno tego Wołocha?

— Ny! a zkąd pan wie?

— Wiem o nich, ale drogie! —

— Ej! jegomość bo ma dostateczny i doskonały rozum! dobre woły, i tanie woły! — ale kiedy się to jedno z drugiem niechce zgodzić! takich wołów niedo-stanie! ja to wiem, bo ja kupiec. Ja żyd kupiec od wołów; a żyd kupiec, a wół! to wszystko jedno, tak się oba znamy. Na przeszłorocznym jarmarku to mi Druker (kupiec z Wiednia) powiedział: kup mi te 350 wołów, dąj po 90 i 95! — i wetknął mi 500 fl. m. k.—a ja mu przecie kupił po kawalersku po 85! — widzi jegomość!

— Będziemy widzieć!

— Niema nic pilnego! niech się panowie przypatrzą dobrze, to my się tu obaczymy—ja tymczasem i z bojarem pogadam! —

— Panie Ignacy trzeba będzie brać to stado!

— Ej! kiedy drogie i małe!

— Małe? panie Ignacy, pańskie oczy zbałamucone, niewiem: Halicz czy Sadogóra winna. Jednak ja uważam że u nas w domu były mi woły po brodę, w Chodorowie po nos, te wołocha po oczy, a te wielkie bessarabskie większe odemnie! pan się sam przekonasz jak będziemy wracać! Idziemy do bojara. Kłania się z daleka ale ani szeląga niechce opuścić, a klnie się na Boga i duszę i piekło. Niewskóraliśmy tylko cygan wskórał bo dostał parę niedopalonych cygar i na cały głos wzywał dla nas błogosławieństwa boskiego.

Idziemy daléj!—Pana Zacharyasza piękne jałówki stoją ciągle ale jego ciągle nie ma ani się dopytać o niego.

Na okopisku wśród targowicy błyszczą do słońca żydowskie nagrobki malowane: żydówki nad niemi płaczą i jęczą wypominając w głos przywiązanie swoje i miłość i żałobę swoją, a żydzi stoją z brudnemi księgami, ki-

wają i modlą się. Chłopi zwożą siano garbatemi wózkami swemi i stają rzędami po kilkadziesiąt fur:—górskie kwieciste po 3 a szuwar z kukurudzianką po 2 lewy. Byki, któremi wózki uprzężone porzuconą kukurudziankę pyskiem ująwszy o ziemię łamią i nogą przytrzymują a słodkie kaczany aż im się w pysku pienią; konie także sobie tak radzą łamiąc kaczany pyskiem i kopytem. Strawa to posilna i smaczna; małem narączkiem pokarmi się para bydląt.

Hajdaje gromadami siedzą i leżą na ziemi; jedzą, piją, gwarzą i czekają najmu. Tarnowiacy w płaszczach sukiennych granatowych, od Bochni w siwych, Sanoczanie w białych; Wołosza w szerokich hajdawerach i brunatnych płaszczach niżéj kolan, a górale w białych krótkich gurmankach i wąskich nogawkach. Kapelusze zwykle szląskie białe lub czarne. Chłopy wielkie, twarze ogorzałe, dzikie, obrosłe szczególnie Wołosza chłop w chłopa jak dąb zwalisty, nierzadki silny, kościsty starzec. Wszystkim jedna rozmowy treść: Wódka i jadło, *horywka i chlib*—stada wołów i zapłata. Wieczorem niebezpieczno kupcom z pieniądzmi kręcić się koło nich, gotowi i zabić! nawet dość często rabują domy w Sadogórze saméj.

W szałasie wielkim grają cyganie: jeden młody w żółtym spencerze, drugi stary w kożuchu, rzępolą na skrzypkach skocznego krakowiaka, paląc tytoń w takt z krótkiéj czarnéj glinianki, a trzeci wybija takt w przetak opięty skórą i dzwonkami, a smukły hajdaj od Bochni podskakuje i wyśpiewuje: hej! od Krakowa jadę—hen! za górą wojna!....—a młoda rumiana wołoszka trzyma go po za ramiona i hula krakowiaka jak gdyby w Wiśle kąpana. W drugim szałasie na lirze wygrywa dziad dumki kołomejki i mazurki, co kto każe, a tańczy co kto chce z inną wołoszką. Niewiele tanecznic mieli bo tylko 3, ale te tańcowały co kto chciał; krakowiak, ma-

zur, walc, kołomejka i wołoskie koło, wszystko z równą lekkością i upodobaniem. Boć tu *kosmopolityzm*, obywatele całego świata.

Faktor gruby: Co? ten Wołoch się droży? Niech się droży! pan się nie bój nic; jedź pan; śpij pan zdrów, graj pan w karty! bo to wszystko na jego konto!—Jego diabli wezmą, a musi przedać za co my zechcemy, bo co zrobi? do domu nie wróci, a w drogę także niepojedzie bo to charty jasnokościste!—Do zobaczenia; może jutro na targu w Czerniowcach!

Żebrak: Gazduniu myłyj! bat'ku myj kochany! pomyłuj żebraka temnoho! nezarybnoho! (niezarobnego).

Czerniowce—na grzbiecie wzgórza położone z daleka bardzo malowniczo wyglądają. Przez bystry i głęboki Prut wiedzie most długi w kolano stawiany, a daléj główna ulica na poprzek góry. Katedra wołoska piękna, ruch w mieście i handel znaczny. Po sklepach towary angielskie, tureckie, rosyjskie. Konsulowie zagraniczni handlowi. Cywilizacya, inteligencya, literatura niepopłaca, ale woły, wełny, jedwabie, tytonie i stambułki tureckie, to ale!

Chłopi w krótkich kożuchach bez rękawów, złożywszy burnusy siedząc na murawie, jedzą śliwki z białym chlebem kukurudzianym. Baby szalami głowy udrapowały czasami prześlicznie; niektóra gdyby włoska Madonna! a jak one się to umieją wdzięczyć temi szalami! A każda podkasana, a każde nosi, chłop czy baba, brunatno-żółtą w pasy torbę z jadłem na lewem ramieniu na sznurku wełnianym. Mnóstwo bab sprzedaje żółciutką kukurudzaną mąkę.

Multanki z księstwa i wołoszki, inaczéj chodzą zupełnie; jaskrawa zwykle czerwona spodnica, szeroki pas turecki zielony, chustka żółta na głowie, a końce na plecy i ramiona spadają. Kaftan turecki z szerokiemi rękawy, nie-

zapięty, albo delia otwarta, lisem lub tchórzem podbita, kieszenie *bramowane* futrem:—zielona, orzechowa, czasami zaś w pasy. U mężczyzn kaftan miodowy, hajdawery niebieskie, pas skórzany szeroki.

Wracając ledwieśmy się przepchali przez tłumy żydów towarzyszących rabinowi na przechadzce.

Na targowicy bojar wołoski się trzyma, a żydzi go dręczą. On żąda 112 fl. (bo coraz więcéj), a oni jeden po drugim dają 50—55. Gniewa się, klnie a oni gadają: *A szczoż to myni nie wolno dawati kilko choczu? wy choczete sto dwanajcit, a ja mohu daść sorok!*.... chce bić żydów cybuchem!

Faktor gruby: Dus ist a hind! (to pies) co Wołoch to!.. ze skóry go trzeba zedrzeć! nieżałować!—bo on jak nas wręce dostanie, to także odrze ze skóry! — On gada że pożenie do domu a ja wiem że nie; bo co on będzie z niemi robił? już trzeci jarmark tu stoi; jemu trzeba pieniędzy!—on je da za 80, bo stoi 3 dni a kupca nie ma.

Koniec jarmarku. Żydzi z końmi dokazują, bo jakiś turecki oficer kupił kilka najtyczanek i kupuje konie. Stado koni tabunowych wołoskich nagnano na stado wołów. Konie uciekają, hajdaj zawraca, woły się mieszają; konie wypadają inną stroną: hajdaj zarzucił arkan i powalił gniadą klaczkę, przyskoczyli żydzi, przywalili, hajdaj założył uzdzienicę i przywiązał do szyi konia oswojonego, poczem wszyscy odskoczyli. Koń się zerwał i stanął zgłupiały, podczas kiedy szlachta i kobiety do wozów uciekają. Złowiony koń, targał się cudował, ale rad nie rad musiał iść za swym towarzyszem. Dalejże drugiego! powalili, zauździli i żyd go dosiadł. Stado wołów kupionych piętnują. Żyd macza piętno w mazi z czerepa z którym drugi żyd chodzi; przyskakuje do wołu i cechuje. A tu dziki koń z jeźdcem swoim wpada w pośrodek i poczyna tańcować i rozpędzać stado!—woły w bok!—żydzi i hajdaje klną! szla-

chcic którego woły, niemniéj!—w końcu skoczyli żydzi porwali za uzdę i wyprowadzili tabuna dęba stawiającego. Woły wypiętnowali, szlachcic siadł na bryczkę, z swym pomocnikiem i odjechali!—

Faktorzy się kłucą o faktorne, chłopi o mohorycz, a żydzi się cieszą, że okpili jakiegoś pana od Gródka, który z bryczki nie zsiadłszy kupił pareset wołów i pareset złr. dał więcéj, jakby był dał zsiadłszy z bryczki. *Faktor stary:* Nie wtedy się traci kiedy się sprzedaje, ale kiedy się kupuje! W Ołomuńcu stracił—nieprawda! on już w Sadogórze stracił przy kupnie!

Drugi żyd:—Ny! szoń fartig mit der keszenie? (Już gotów z kieszenią?)

— *Szoń! du sztajt szon zane bahajme!* (Już! tu stoi jego bydło!)

— *Blajbt gesind!* (bądź zdrów!)

Pytajcie no! jakiego żyda: czy słyszał co o rabinie w Sadogórze?—każden wam odpowie: a słyszał pan co o swojem papieżu? *Sadogorier, Belzer, Mikołajewer ruf!* (sadogóski, bełski i mikołajewski rabin) to trzy izraelskie pochodnie na całą Polskę!

Reb' Isruel Fleminger, rabin Sadogórski—(obecnie już zmarły) liczy 60 kilka lat. Był rodem z rosyjskiego Podola. O przyczynach spiesznéj jego ucieczki za Zbrucz i Dniestr, różni różnie gadali. Najprawdziwszą zdaje się pogłoska iż miał być oddanym pod śledztwo surowe, względem jakiegoś żywcem spalonego żyda, o którym żydzi twierdzili, iż przypadkowo w cegielni czy maziarni w ogień wpadł, z drugiéj strony zaś zaskarżenie było na hussytów: jakoby go z umysłu w płomień rzucili, ponieważ się był odgrażał przyjąć chrześciańską wiarę! Że zaś to spalenie z porady gorliwego rabina stać się miało, więc mając iść pod śledztwo wolał ujść z kraju,

poczem żydzi tameczni całéj sprawie (jak mówią) gardło zapchali.

Fanatyczni i przebiegli hussyci którzy go jako „kahał“ niby kościelna rada przyboczna otaczają, całkiem co innego twierdzą. Według ich opowiadania, rabin, usłyszawszy iż na żydów zaczyna się w Rossyi prześladowanie, że ich mają oddalić od pogranicza i przemytnictwa na 10 wiorst w głąb kraju, że muszą golić brody i zarzucać stary ubiór, tudzież że nakazano brać chłopców do szkół wojskowych i okrętowych, a starszych zmuszać do pracy: posłyszawszy to wszystko rabin; wyklął w bożnicy publicznie te ukazy i nakazał modły i posty na ich zagładę. Dodają do tego, iż aby sprawdzić słowa psalmisty: Podrzuć nieprzyjaciół moich pod nogi moje, aby deptały po nich stopy moje —; kazał rabin pokój swój bawialny rublami wyłożyć, aby chodząc po pokoju deptał po nich. Zwierzchność dowiedziawszy się o tém, kazała go na Sybir taszczyć; ale hussyci uprzedzili i wywieźli za granicę Rabina. Opowiadanie to znamionujące żydów naszych zupełnie; niezmierny na nich wywiera urok. Rabin bogobojny, święty, który mógł srebrem podłogę wysłać i po najstarszym Goimie deptać: to wielki, wielki, człowiek!

Dwóch gorliwych hussytów ciągle mu asystują, meldując osoby żądające posłuchania, nauczając jak go witać, jak co mówić, a wedle zdania lub okoliczności uwalniając go od natrętnych odwiedzin. Kilkuset żydów w szabasowych czapkach staropolskich *(szabesdekel)* i w świątecznym żupanie, t. j. w stroju jaki tylko Bogu w dnie świąteczne *(jątef)* przywdziać wolno; otacza dom jego podczas jarmarków mianowicie. Żaden żyd bowiem bez porady i błogosławieństwa jego nie rozpocznie targu ani kupna, a każden płaci wstępnego najmniéj 2—3 rubli srebrem za tę sztukę. Uzyskawszy posłuchanie, na które czasem tydzień i miesiąc cały przed domem jego

czeka; kładzie pieniądze na stół, poczém się modli z nim, opowiada swoją sprawę i odbiéra błogosławieństwo albo dobrą radę. Od biédnych często nic nie przyjmuje. Porady jego są czasami bardzo skuteczne. Tak np. radził się go biédny żyd, nie mający sposobu do życia, co ma począć aby wyżyć? — rabin przyjął od niego 2 ruble położone na stół, popatrzył się mu w oczy, otworzył księgę i pomodliwszy się wraz z nim, wydobył czterdziestówkę srebrną przedziurawioną, pobłogosławił i dał żydowi, mówiąc: ten srebrny piéniądz powieś sobie na szyi, módl się do Boga 5 razy na dzień trzymając piéniądz w ręku, a odbierzesz natchnienie i znajdziesz sposób do życia. Jeżeli ci się będzie dobrze powodzić, to nie przychodź do mnie przed rokiem, jeżeli źle, to przyjdziesz znowu na modlitwę; teraz idź z Bogiem! — Wyszedłszy od rabina skoro piéniądz ukazał, mnóstwo żydów chciało go odkupić dając rubla i dwa nawet, ale on nie odprzedał tylko zawiesił sobie na szyi, i modlił się pięć razy na dzień. Przyszło mu natchnienie: idzie do bogatego kupca i pożycza 5 fl. m. k. dając w zastaw swój piéniądz. Dostaje 5 fl. bez lichwy i do tygodnia zarabia 1 fl., do drugiego 2, a za miesiąc 5 fl. m. k. Miał swoich 5 i pożyczonych 5, kupuje skórki, szczeć, woskowiny, daléj i inny towar i zyskał do półrocza kilkadziesiąt złr. Historya ta zupełnie prawdziwa, sam mi ją opowiadał błogosławiąc rabinowi, a wszyscy żydzi potwierdzają.

Biédna żydówka doprosiwszy się posłuchania, błagała wsparcia. — Czekaj! jutro dam ci febrę, — odrzekł jéj. Żydówczysko się zafrasowało tą obietnicą, ale cóż miała robić? czekała. Nazajutrz przyjeżdża z Kijowa ogromnie bogata żydówka żaląc się rabinowi: iżby była zupełnie szczęśliwą, gdyby nie febra, która ją ogromnie męczy przeszło pół roku. Prosi więc aby jéj co poradził.

— Dobrze, poradzę! będziesz wolną od febry; ale dasz zausznice które nosisz.

Natychmiast odpięła żydówka bogate złote kulczyki z brylantami i doręczyła mu. Rabin posłał natychmiast po biédną żydówkę i dając jéj kulczyki rzekł: Oto masz febrę! — idź i chwal Boga że cię wysłuchał! — Choréj modlitwą odżegnał febrę i wszelką niemoc, a żydzi sławią cud okazany. —

Baron Mostaci, dziedzic Sadogóry, (wedle zapewnienia żydów) miał syna śmiertelną niemocą złożonego, którego lekarze już odstąpili. Faktor barona ciągle nalegał aby rabina zawezwać, a w końcu proszony czy nieproszony poszedł do rabina wzywając go o pomoc. Rabin napisawszy modlitwę, kazał dziecku choremu w rękę włożyć karteczkę aby trzymało: a obaczy się. Synek wyzdrowiał, żydzi twierdzą na zabój: że rabin cudu dokazał! —

Dla téj cudownéj sławy wielbią go żydzi nad miary i nad wyobrażenie. — Kiedy wjeżdżał do Sadogóry, całe miasto przepełnione żydami, jerychońskim okrzykiem witało poszostne karety które jego osobę i rodzinę wiozły. Gdy jedzie na przechadzkę, cała ludność starozakonna wysypuje się z miasta, i wózkami, konno, pieszo biegnie w tę stronę na złamanie karku. Najbogatsi otwierają mu drzwiczki i spuszczają stopień a naj*maremorajniejsi (mare-morajnes*, pan z panów) wysadzają jeżeli raczy wysiąść i prowadzą po pod ramiona jeżeli raczy przechadzać się, inni gromadnie otaczają i kłaniają się głęboko. Jeździ sobie porządnie, prześlicznemi czwórkami jakich może nie wiele w Galicyi i karetami wiedeńskiemi wykwintnemi. Powozi go zwoszczyk z polska po żydowsku ubrany.

Żyje sobie bogato. Pali na wieczór trzy oka woskowych świéc. Na szabes pieką mu po czterech korcach marymonckiéj mąki, a we czwartek już wszyscy pieka-

rze miasteczka wyłącznie dla rabina piéc zaczynają. Szafarze jego sprzedają stadami gęsi, indyki, kury, boć wozami żydzi drób dla niego zewsząd zwożą. Kiedy córkę wydawał, wszystkich urzędników wyższych z Czerniowiec sprosił i gościł u siebie, także i dziedzica swego i szlachtę okoliczną. Biédniejsi goście bawili się w kilkunastu sąsiednich domach.

Ma drugą żonę dwudziestokilkoletnią. Ślicznéj urody kobiéta! mieszka ona w osobnym domku naprzeciwko; odwiédzają się wzajemnie i bardzo dobrze żyją. Dzieci z nią nie ma. Z pierwszéj żony ma już córki zamężne, wnuki i prawnuki, a obiad każde z dzieci osobno dla siebie dysponuje i każdemu z osobna w osobnych garnuszkach kucharze w jednéj kuchni gotują.

Dochody jego ogromne. Rok w rok żydzi w całéj Rossyi składkę dla niego czynią i przywożą mu po kilkanaście tysięcy karbowańców. Prócz tego bogacze starozakonni składają mu od swéj osoby po 100 *peców* (półimperyałów) w darowiznie, a tego roku przywieźli mu w podarunku srebrny stolik!

Łatwo mu więc żyć wspaniale i kupić prócz tego gniazdo rodziny Potockich: Złoty Potok za 140,000 zł. m. k. gotówki! —

Taki to więc ten rabin w Sadogórze. Mimo swéj sławy i prawowierności jeździł z odwiedzinami do rabina w Mikołajowie. Ten był całkiem na inny sposób, bo prosty stary żyd bardzo świątobliwy i bardzo dobroczynny. Biédny, bo co miał to rozdał. Wybiérał się do Jerozolimy umiérać, ale go w Mikołajowie śmierć zaskoczyła. Umarł w szabas a w niedzielę rano zbiegli się żydzi z czterech okolicznych miasteczek i ponieśli zwłoki do Przemyślan o dwie mile.

Sruel z Sadogóry przyjechał do niego czwórką bogatą, ale nie bardzo miał być zadowolon z przyjęcia.

Tak tedy poznawszy słynną Sadogórę z targiem i rabinem, wracaliśmy do domu. Wołoski bojar już na wyjezdném zdybał nas, kłaniał się głęboko, za ręce ściskał, ale opuścić z ceny nie chciał nic, mówiąc: że się już zaklął na Boga i duszę i słowo honoru, iż nie opuści. Aby mu więc ulżyć nie żądaliśmy opuszczenia z ceny tylko parę wołów w *radasz!* chcąc już raz skończyć. Roześmiał się na ten wykręt i z najpoważniejszą miną dawał nam w radasz jednego wołu i cygana hajdaja, którego także przynajmniéj na 30 fl. cenił, zachwalając jako wćwiczonego hajdaja! Niedobiliśmy targu; a gruby faktor przechodzący plunął mu pod nogi mówiąc: Yhy! na tebe! geschwollen soll er werden (żeby spuchł).

Pan Ignacy za późno poznał że w saméj rzeczy wzrok się mu pobałamucił między wielkiemi wołmi; bo czém daléj tém mniejsze bydło się zdawało. Stało się! ale nie ma nic złego coby na dobre nie wyszło. Jeden z sąsiadów naszych z trzeciéj ręki kupił stadko idące w drogę, aby na przekorę nam sadogórskie bydło na braże postawić. Kupił dobrze, dziwiliśmy się, ale w kilka dni miał księgosusz u siebie. Bydło było przemycane z Podola.

Bartłomiej Harbuzowski.

PRZEGLĄD PISMIENNICTWA.

Wszystko podejmywać co wychodzi na widok publiczny, byłoby raczéj zadaniem bibliograficznéj kroniki; lecz zatrzymywać się od czasu do czasu nad płodami noszącemi pewne wybitniejsze cechy, będące symptomatem epoki, uważam za właściwszą do przeglądu materyę.

W téj to myśli krytyka drobiazgowa mniéj wchodzi w niniejsze zadanie; lubo niezaprzeczona jéj użyteczność, kiedy ma za towarzysza światło szerokiego poglądu — z temwszystkiem częstsze widzimy tego przykłady, że zbyt zajmując się anatomicznym rozbiorem, jeżli nie odejmie życia, to przynajmniéj wzgląd na życie pomija. Anatom ma tylko do czynienia z trupem; górnik zapuszczając się w głąb kopalni, niewidzi tego co się dzieje na bożym świecie. Krytyk częstokroć musi być jednym lub drugim.

Płody umysłowe powinny być sądzone i uważane nie z jednéj tylko strony sztuki pisarskiéj i książkowéj, ale ze stron wiążących je ze społeczeństwem, z myślą, jaką ogólny duch ludzkości w każdéj epoce wytwarza.

Czujność ta potrzebna, bo dziedzina wyobrażeń długo napastowaną bywa widmami chwil już przebrzmiałych, co przesunęły się po świecie jak gorączkowy paroxyzm, co niezdołały nic urzeczywistnić, a jednak mimo wyraźnych oznak swéj niepłodności, nieprzestają odzywać się choćby dla tego, aby dobrą fantazyą złą sprawę nadstawić.

Aczkolwiek w obecnym przeglądzie, jaki zamierzam zrobić, z poetycznych utworów jednéj z naszych autorek, nieznajdę się w położeniu wypowiadania jéj wojny za szerzenie doktryn lub wyobrażeń przeciwnych wyższym i nieprzemijającym zasadom, niezgodnych z potrzebami i organizmem społeczeństwa, bo jéj sfera cicha i niebojująca, uczuciowa a nierozkładowa — jednakże przymioty płodów jéj pióra nastręczają wiele uwag, tak co do zawodu pisarskiego u kobiet, jak o ich wpływach na literaturę i społeczeństwo, jak w reszcie nasuwają pytanie: jaki charakter mieć powinno piśmiennictwo kobiece, aby było rzeczywistą potrzebą, a nie wybrykiem mody, lub próżności owocem?

Dawniéj i dzisiaj, gdzieindziéj i u nas, poszło w zwyczaj, zapewne przez kawalerską uprzejmość, wliczać literaturę żeńską w poczet ogólny pisarzy. Takie zespolenie jednéj i drugiéj płci, niema w istocie nic przeciwnego naturze, tembardziéj że to jak świat stara praktyka; — ale ztąd niewypływa, aby to szło na korzyść autorek, które zaciągnione w jeden wielki rejestr datujący od Walmikich i Homerów, — uważają się za co innego jakby uważać się powinny, i usiłując niebyć samemi sobą, przestają władać temi siłami i przymiotami jakie tkwią w ich naturze. Jest to, jak mi się widzi, grzech pierworodny literatury żeńskiéj, uwodzący częstokroć prawdziwe między niemi talenta, które gdyby chciały siebie zrozumieć, płodziłyby swoje własne kwiaty, a nie żadne hybrydy.

Jeżeli wziąwszy jakie dzieło do rąk, przeczytasz i powiesz: tak napisać nigdy niepotrafi mężczyzna — oddasz tem samem największą pochwałę, o jakiéj tylko zamarzyć może pióro niewieście.

Listy pani de Sevigné są najwyższym szczytem w literaturze żeńskiéj, — to jéj jedyny Homer. Tego rodzaju sztuki pisania niepotrafi nikt naśladować; tak pisać mogą tylko kobiety.

Niepodlega najmniejszéj wątpliwości że są pewne rodzaje, w których uczuciowy umysł kobiecy mógłby wyłącznie trzymać berło; poznanie się na tych zdolnościach właściwych im, nierzucałoby je na te pola, gdzie je czeka dola kłosarek. Dzielni żniwiarze już przeszli tamtędy i świat pożywa ich owoce.

O pisaniu, żeby pisać — niemówię tutaj — przecież przy wolności handlowo-przemysłowéj, wchodzącéj teraz w życie, nie uchodzi być protekcyonistą.

Biorąc ten przedmiot może zbyt za seryo, kiedy odzywam się do kobiet i to jeszcze piszących, mogłbym podrażnić ich miłość własną, która o wiele drażliwszą u téj płci, niż u drugiéj połowy rodzaju ludzkiego. Jednakże, jeżeli ze spokojnym umysłem zastanowią się nad niektóremi argumentami, mniéj powinnyby potępić to odezwanie się, niezamykające bynajmniéj przed niemi autorskiego zawodu, a tylko pokazujące właściwe drogi, po którychby łatwiéj doszły do celu odpowiednego ich zdolnościom i siłom przyrodzonym.

Kiedym się zastanowił nad niepośledną liczbą kobiet chwytających u nas za pióro, kiedym zważył wartość wewnętrzną i wpływ ich robót, i zapytał o rezultaty—? pokazało się summa summarum, że prócz jednéj, a najwięcéj dwóch, reszta w niczem nieprzyczyniła się do wzbogacenia literatury czy to w jéj umiejętnościowym dziale, czy też w tworach wyobraźni i serca.

Niemógłbym tego sumiennie przypisać niedostatkom zdolności— bynajmniéj; są u nas bowiem piszące kobiety, co i wybornie władają językiem, i mają dostateczny zapas wiadomości i pewną bystrość w ogarnięciu przedmiotu, a nadto gorącość i delikatność uczuć téj płci właściwą.

Z kądżeż pochodzi że ich prace mijają się z celem? Kłopotliwa odpowiedź, z któréj mię chyba wybawi zdanie tak głęboko poważnego męża jak de Maistre, który powiada w swoim liście do córki: *la femme ne peut être superieure que comme femme; mais dès qu'elle veut émuler l'homme, ce n'est qu'un......*

Dokończyć niepodobna; co wolno było ojcu w poufałéj z córką rozmowie, niewolno mnie odzywającemu się do całéj rzeczpospolitéj autorek.

Calamata wyrytował sławną George Sand w surducie z chustką na szyi, i z długiemi włosami jak u niemieckiego bursza. Wizerunek ten przyjęto jak symbol, i piszące panie uwierzyły na prawdę, że mogą z mężczyznami ubiegać się o lepszc w pisarskim zawodzie, w jednych i tych samych rodzajach, i krojem męzkim.

Otóż to współzawodnictwo zbiło je z właściwego tropu.

Różnica rodzajów, szersze ma daleko granice niż je zakreśla gramatyka— bo jak styl tak i myśli, uczucia i wyobrażenia, mają płeć swoją. Że jeniuszu niewieściego nie jest udziałem oryginalność, ścisłość loiczna, siła, treściwość i śmiałość, to należy do pewników niepotrzebujących dowodzenia. Przebiegłszy długi szereg arcydzieł literatury świata, nigdzie się niespotkasz z kobietą, coby więcéj czém była jak wzmianką bibliograficzną. O wpływie ich, w tém znaczeniu wziętym co wpływy wielkich mistrzów słowa, milczą dzieje— a jeżeli był jaki, to zawsze więcéj szkodliwy niż użyteczny.

Bierna natura niewieścia nieda się niczem przerobić, nawet dziś, kiedy z niéj więzy opadły jakiemi ją mógł duch starych społeczeństw krępować, we wszystkiem, co tworzyć chce jak mężczyzna, staje się jego tylko odbiciem, za nim idzie krok w krok; początkowanie nie jest jéj udziałem. Zapewne są kobiety erudytki i wojażerki, lecz te policzyłbym do kategeryi tych co jak prości żołnierze odbywały kampanie. Ależ kobieta niepotrzebuje się wdzierać w tę sferę, do któréj, sądzi, że jéj emancypacya nadaje jakieś prawo. Jéj własna przecież wystarczyć by jéj powinna aż nadto, bez zazdroszczenia naszéj.

Zdaje mi się, że gdyby płeć żeńska, osobliwie piśmienna, chciała zbadać naturę swoich przymiotów, ubogaciłaby literaturę i wywarłaby rzeczywisty wpływ.

W ogóle uważałem to, iż dzisiejsze niewiasty niechcą tego zrozumieć jako cała ich siła tkwi w ich słabości, w wykwintnéj delikatności zmysłów, w chorobliwéj drażliwości nerwów: kobieta z czystym swoim organizmem, niezepsuta szkodliwemi wyobrażeniami, ma, że się tak wyrażę, wszystkie cudowne dary jasnowidztwa, wszystkie fenomena instynktowości. Pomimo woli, jakby w śnie magnetycznym umie ona czytać w myślach otaczających ją osób; umie, jak orzeł zakryty obłokiem przeczuć, zdobycz swoją w przestworach powietrza; jak koń któremu *jeździec swój rozum powierza* omijać przepaście, w najczarniejszéj nocy—słowem, kobieta umie wszystko, byleś ją niechciał wszystkiego uczyć. Każda z nich przychodząc na świat przynosi z sobą cząstkę daru wieszczki pityjskiéj—i najgorzéj wychodzi na tém że tłumi w sobie głos Boga obwieszczający jéj prawdę, ażeby natomiast słuchać co jéj prawią pedanty, którzy w zamian wyższéj intuicyi w tajemnice natury i ducha, uczą ją pustych frazesów niepożytecznéj nauki.

Dla tego jak powiadam, wpływ kobiet wielki jest i zbawienny tylko w tych rzeczach na których najmniéj się rozumieją. W sprawach życia kiedy mąż doświadczony opuszcza ręce, szczęśliwe nieraz prowadzi je natchnienie. Instytnkt ich niezwichniony mędrkostwem, kieruje niemi w cudowny sposób; ileż to nie przeczuły wypadków wiszących w powietrzu!.... A też tajemnicze przestrogi i niezwyciężone wstręty ostrzegające kobietę o zdradzie, nim jeszcze zdrajca uknuł swoje plany? Czyliż w codzienném życiu niepowtarzają się tysiącami podobne przykłady? Przeciwnie, w rzeczach do których sądzą się być zdolne, a które wymagają obszernych studyów i doświadczeń, szczególniéj w głębszem pojmowaniu literatury i sztuki, wpływ kobiet prawie zawsze bywa szkodliwy. Ich niedouczoność pędzi je w obłęd; biorąc żywcem zdania swoje z książek przeczytanych, opierają się na nich, i tym sposobem tracą to, coby miało rzeczywistą wartość trafnego sądu, bo własne ich świeże, szczere i proste wrażenie.

W ogóle kobiety wyższego wychowania i tonu, mają fałszywe poczucie w literaturze i sztukach. Poeci i romansiści! kochajcie je, opiewajcie, ale się nieradzicie nigdy. Natchnienia od nich wolno wam zawsze żądać, o radę prosić broń Boże! O ile często natraficie między niemi na dobroczynną Muzę, o tyle rzadziéj spotkacie się z światłym sędzią i znawcą. Przebiegając dzieje tak dawniejszych, jak nowszych literatur ilekroć spotykamy jaką potworną modę, lub śmieszną przesadę w pewnych okresach piśmiennictwa, można na ślepo obwiniać o to współczesny świat kobiecy. Cała poezya trubadurów nie dość że niemogła zdobyć się na prawdziwą epos, ale sama stała się tak nieznośnie zmanierowaną, dla tego tylko, że śpiewano gwoli pięknych pań, którym przedewszystkiém trzeba się było podobać. A czyż powaga hotelu Rambouillet nieobdarła języka francuskiego z naj-

poetyczniejszych wyrażeń, i z tych dźwięków co znamionowały męską siłę? U nas widzieliśmy to samo za Stanisława Augusta i za późniejszych czasów Księstwa Warszawskiego kiedy utwory muzy oddawane pod sąd salonów zatraciły ten język co brzmiał po sejmach i wsenacie, wktórym słychać było chrzęst zbroi, aby natomiast powlec go jednostajnością bielidła i różu.

A dzisiaj-że czy nie kobiety wywołały we Francyi tę literaturę ropasaną, co lubowała się we wszystkich potwornościach zbrodni, w opisach miejsc rozpusty, co bohaterów robiła z galerników? Taki Eug. Sue, taki Soulié, póki pisali tkliwe wiersze, lub sielankowe obrazki, nikt ich nieczytał; owoż poznawszy że na ten sposób niema zarobku wzięli się malować szkarady najjaskrawszemi farbami—i zdobyli wziętość i pieniądze. To pewna że nie świat męski napędził im tych zysków, bo wkraju przemysłowym i praktycznym jak Francya niéma na to dość czasu; przeciwnie kobiety przywykłszy tam gonić za wrażeniami, nic dziwnego, gdy żądają coraz mocniejszych. Pragnienie nadzwyczajności wrodzone jest kobiecie; kiedy mężczyzna sobie wystarczy, ona bierna istota szuka zewnętrznych potrąceń. Niedawno przecież pisały gazety iż przy otwarciu jakiejś skandalicznéj sprawy wtrybunale francuskim, prezes kazał na ustęp wszyskim *uczciwym* kobietom—na to wezwanie żadna, ile ich tam było, ani powstała z miejsca — co widząc prezes ruszył dowcipem i rzekł: kiedy się *uczciwe* kobiety już wyniosły, woźni! wyprowadźcie *nieuczciwe!*

To samo tłumaczy nam dla czego przy wszystkich krwawych egzekucyach najwięcéj spotkasz kobiet? Delikatność nerwów i uczuć całkiem w tę grę niewchodzi.

Dawniéj kiedy berło gustu trzymały wielkie panie bardzo syntymentalne i wypieszczone, pod wpływem ich i literatura stała się słodko-ckliwą i wypieszczoną—dziś zdemokraciałe kobiety lubią energię i naturalność; aby

im dogodzić postarano się o energiczne efekta i najobnażeńszą naturę.

Czy w takich, czy w innych warunkach, zawsze wpływ niewieści na płody wyobraźni, szpeci je przesadą i manierą. Co więcéj, jabym niewyjaśnioną dotąd przyczynę skażenia naszego piśmiennictwa w epoce panegiryków, ich wpływowi przypisał, a nie umyślnemu jakiemuś zamachowi Jezuitów do ociemnienia narodu, jak to powtarzają wszyscy aż do przesytu.... Rozumni członkowie tego zakonu chcąc przy sobie utrzymać powagę nad wichrzącem różnowierstwem i wkradającym się filozofizmem musieli działać na niewiastę, wyobrażającą zawsze duchowną stronę rodziny, a w zamian stósować się i do jéj smaku, który w ówczas był zupełnie taki jak się w ich stroju objawił: — olbrzymie peruki, rógówki jak balony, robrony ogoniaste, prezentacya monarsza — zgoła widmo fałszywéj wielkości, śród rzeczywistego upadku rzeczypospolitéj. Te sążniste, pusto brzmiące deklamacye nastrzępione niepotrzebną erudycyą, to sadzenie się na nienaturalność, te ciągłe porównania ludzi ledwo znanych w swoim powiecie z wielkiemi Greki lub Rzymiany, musiały znachodzić wielki aplauz u pań co zasłyszały od Francuzek i Francuzów kręcących się przy dworze Maryi Kazimiry o wspaniałościach wersalskich i o tém bożyszczu około którego jak koło słońca obracało się wszystko.....

Ale już dość o tych wpływach. Czytelniczki gotoweby mię pomówić, że wpadłszy na tę materyą szukałem dowodów nawet i tam, gdzie ich niéma, a chcąc gwałtem znaleść winę zwaliłem wszystko na nie, jak na owego koguta w bajce:

On źle poradził,
On grad sprowadził,
On czas rozziębił,
On zasiew zgnębił,

On zepsuł pole,
On zniszczył role.

Tymczasem nie jest to chęć uwłaczania ich właściwym przymiotom, broń Boże! ale wyświecenie pewnych stanowisk, które bałamutnie pojmowane psują wszelki zdrowy organizm. Żebym więc był zrozumialszym, powtórzę powszechnie przyjęty pewnik: panowanie mody w rzeczach literatury i sztuki, zawsze przypada na ich niekorzyść—a któż modę tworzy?—kobieta!—

Jeżeli zasługi naszych literatek, dla piśmiennictwa ojczystego w niedługim dałyby się zamknąć ustępie, niemniéj przeto ważny i niedający się pominąć, stanowią w dziejach literatury epizod.

Działanie ich aczkolwiek niesięga wyższych sfer umysłowych i duchowych, zato w sferze życia, szczególniéj w zakresie utylitarnym, odbyło się prawie w oczach naszych, a to w sposób dowodzący prawdziwéj wyższości i serca i umysłu, i tego poświęcenia się, które u kobiet bywa z wszelkiemi ich pomysłami nierozdzielne.

Imie autorki: *Pamiątki po dobréj matce* świeci na obszarze żeńskiego piśmiennictwa jak gwiazda pierwszego rzędu, któréj nawet i zuchwalsze podloty idących po niéj autorek przyćmić niezdołały. Kto wié czém było dawniejsze u nas wychowanie kobiet modelujących się na moralizująco-romansowych książkach pani de Genlis składających cały kodeks edukacyjny, ten zostaje uderzony tą wielką reformą wychowania, jaką umiała przeprowadzić ś. p. z Tańskich Hofmanowa. Jéj też podziękować mamy wykształcenie dzisiejszych matek; ona im wpoiła uczucie powinności, religijne poświęcenie się, miłość do tego co nasze. Środki jéj były proste; niewdając się w żadne poglądy estetyczno-metafizyczne patrzała w serce, dopomagała rozwijać się uczuciom, uczyła życia chrześciańskiego i obywatelskiego, stawiając piękne wzory cnót religijnych i moralnych w żywotach świętych, a

cnót obywatelskich w żywotach historycznych. Umiejąc się stósować do każdego wieku, brała kobietę od dzieciństwa i prowadziła ją do ołtarza na małżonkę i matkę. Miłość przyrody wiejskiéj, pracy gospodarskiéj, zajęcie się ludem, przechodziło z jéj pism w umysły i serca tych niewiast których czekało to powołanie.

Utwory Tańskiéj pod względem literackim wyżéj stoją o całe niebo od późniejszych, zarozumialszych i dumniejszych usiłowań współzawodniczek jéj w piórze. Przebija w nich dusza kobiety, z całą delikatnością odcieni uczuć, dostrzeganych i chwytanych w sposób tak prawdziwy i prosty, tak nienaśladowany od nikogo, że dla czytających ją mężczyzn zawsze będzie nowością pełną uroku, a dla kobiet zawsze niewyczerpanym skarbcem ich rojeń i uczuć, prawideł i wskazówek życia.

Gdybyśmy przyjmowali postęp za konieczność bezwarunkową jako dalszy ciąg tego co się już dokonało, powinnibyśmy zapytać się dzisiejszych literatek co więcéj od niéj zrobiły? gdzie ich postępu ślady?

Tymczasem oddając im słuszność, że niejedna błysnęła pięknym talentem pisarskim, niejedna sięgnęła po wyższą umiejętność, nie jedna rzuciła się na pole filozoficznych zacieków, lub socyalnych rospraw — możemy podziwiać talent i bystrość pojęcia, ale dla tego zasługi Tańskiéj zostaną jedyne, bo wydały owoc pożytku nie próżności, wychowały pokolenie, kiedy po niéj idący autorek poczet, może go nawet niebawi.

Jak powiedziałem wyżéj — zminęły się autorki nasze z właściwym sobie żywiołem; zbyt je znęciła sława autorska, a osobliwie sława jednéj kobiety, która we Francyi postawiła się na równi z całym areopagiem pisarskim — bez jéj wyjątkowego talentu i wyjątkowego życia, usiłowania naśladowczyń nieprzestaną nosić cechy poronczych płodów.

Zdaje się jednak, że i u nas na dobre ostygać zaczyna entuzyazm dla Lelii; w ostatnich latach dostrzedz można pewien zwrot korzystny w utworach autorek naszych. Szczególniéj w rymotworstwie pojawiło się kilka talentów.

Jeżeli jest sztuka jaka przypadająca w sam raz dla kobiet, to niezawodnie sztuka rymotworcza. Gwiazda i przepaska, są jakby umyślnie dla ich pięknego czoła stworzone. Farby i oléj palety brudzą ręce—dłuto za ciężkie, a marmur za twardy—za to delikatne paluszki mogą bez trudu muskać po strunach lutni. Poezya, to jakby przyrodzony język kobiety. W każdym wieku znajdziesz niewiasty co się poświęcały téj sztuce. Mimo tego, zastanowiwszy się nad charakterem ich utworów poetycznych w powszechności, znajdziemy wszędzie niewielką rozmaitość, mało siły i szczupłe rozmiary: są to jak owe pasterskie fletnie trochę za monotonne w wyrażeniu swych rozkoszy i boleści; wszakże i ta monotonia ma pewien wdzięk, jak rozleganie się fujarki wykręconéj z wierzbiny w ciepły wieczór majowy—wdzięk, jak jednostajna bladość kielicha lilii. Jeden z poetów greckich w antologii odgadł ten symbol poezyi kobiecéj, kiedy żąda od każdego poety innego kwiatu: róż od Anakreonta, lauru od Pindara, a przeciwnie od pięknéj poetki Anyty lilii, od Myry lilii, od Nossis także lilii — jakby symbol jeniuszu poetycznego u kobiet, w téj jedynéj przedstawiał się mu postaci.

Zdanie to starożytnego poety możnaby bez grzechu zastósować do wszystkich niemal najlepszych utworów poezyi niewieściéj, zwłaszcza w tych rodzajach, gdzie się puszczają torem wskazanym przez męzką lirę. Przeciwnie, mam to przekonanie, że poetka któraby umiała wyśpiewać tajemne drżenia swego serca, wszystkie najprzelotniéjsze odcienia dziewiczych myśli, wszystkie ka-

prysy fantazyi igrającéj jak motylek i barwnéj jak jego skrzydełka potrząśnione złocistemi pyłkami, któraby nam odkryła światek czarownych swych marzeń, odgadywany tylko ale nieodgadnięty,—opowiedziała te dzieje rodzących się i konającch uczuć, te łzy radości i smutku które niewilżą oka bo niemi serce w cichości zachodzi— taka poetka — byłaby tem, czemby mogła być kobieta najwyżéj w tym zawodzie — taką musiała być Safona lezbijska w swoich lirykach, co choć nas doszły w okruchach, pozwalają się domyślać, że w nich była tajemnica duszy namiętnéj wyśpiewana z całą prostotą i gorącem prawdy. Dziś piszące autorki zazwyczaj trzymają się wzorów mających odgłos w narodzie. Przy wydoskonalonym naszym języku, przy wybornych utworach poetycznych i one wiele zyskały.—Najznakomitszą w obecnéj chwili rymotworczynią u nas jest niezawodnie pani Seweryna Pruszakowa. W upłynionym roku wyszło pięć jéj poematów, a każdy jeśli nie większy, to równy Maryi Malczewskiego. Za przedmiot dla swéj gęśli obrała ona żywot domowy upłynionego wieku — jest to jeszcze ten sam prąd Soplicowski, wzbogacony barwami poetycznemi, zidealizowany do wysokości cnót religijnych, domowych, publicznych. Dążność czysta i chwalebna: budzić miłość do cnót i prostoty prababek, do domowéj strzechy, do tego patryarchalnego świata co z dniem każdym nas opuszczać się zdaje. Szlachetne przedsięwzięcie autorki możnaby zamknąć w tym jéj własnym ustępie:

O! ja im powiem, gdzie mają ołtarze
Zakładać Panu, w dowód kornéj cześci,—
Ja iskrę w piersi rozniecę niewieściéj;
Barki jéj w skrzydła przybiorę łabędzie,
Że znów Aniołem cichéj strzechy będzie,
Że próg domowy zasieje znów w kwiaty,

Jak jéj prababki czyniły przed laty.—
Ja to uczynię! bo słowa potęga
W skryte serc ludzkich tajniki dosięga!
Ale o Panie! daj mi słowo wieszcze!
Bo czuję z bólem że niezdołam jeszcze
Przyoblec myśli w promienistą szatę,
Czuję, że źródło natchnienia bogate,
Darmo przedemną roztacza swe czary....
Daj mi o Panie! daj mi promień wiary!....

Niemożna tego zaprzeczyć aby pani S. Pruszakowa nieposiadała rzadkiego rymotworczego talentu, ale własności jego są więcéj liryczne niż epickie. W pięciu poematach któreśmy czytali, znajdziesz obfite sceny i motywa, oddane wierszem potoczystym, dźwięcznym, ale natomiast nieznajdziesz ani jednéj postaci narysowanéj, ani jednego charakteru ściśle zakreślonego—osoby jéj są to cienie przesuwające się, które zupełny mają pozór żyjących znanych osób, ale przeto nieżyją.... To pokazuje dla czego mimo tak uroczych wierszy, mimo myśli najszczęśliwiéj nieraz oddanych, mimo łatwości dykcyi do pozazdroszczenia, czytelnik prędkie uczuwa znużenie, interes w nim się nieobudza. Jeżeli malowidło jakie na pierwszy rzut oka wyrazem swoim uderzy cię, a im się dłużéj weń wpatrujesz zaczyna cię ziębić jakimś niedostatkiem prawdy—natenczas śmiało można twierdzić, że malarz malował go bez ścisłych studiów — czyli nieszukał prawdy, tylko efektu. To samo dałoby się i o tych poematach powiedzieć—jest rutyna, ale studiów niema; jest wdzięk, ale jest i maniera. Niewątpię, że tak piękny i tak niepośledni dar rymotworczy jakim obdarzona pani Pruszakowa, odkryje jéj inny świat w którym pokaże się bardziéj sama sobą; karabele, sumiaste wąsy, stentorowskie głosy panów sejmikowych, to

za ciężki przybór—a nadawać im lekkość dekoracyi teatralnéj—to znowu szkoda. Lilia biała i wonna, ten symbol odkryty przez greckiego poetę—niebyłby anachronizmem nawet i dzisiaj, gdyby poetki nasze chciały przestać na téj ozdobie.....

L. Siemieński.

RÓWNOWAGA EUROPEJSKA
i
RĘKOJMIE POKOJU.

W dzisiejszym składzie Europy, polityka opierająca się wyłącznie na traktatach i interesach, w pewnéj tylko równowadze szukać może rękojmij pokoju. Pokój zerwany został, albowiem Zachód osądził, że roszczenia Rosyi na Wschodzie zagrażały równowadze europejskiéj. Francya i Anglia wystąpiły zbrojno w obronie téj równowagi. Rok temu przystąpiono do konferencyj, podano warunki które równowagę przywrócić miały, zawsze bez naruszenia *status quo* europejskiego. Konferencye się rozbiły, bo to co Rosya uczynić przyrzekała, nie wystarczało jeszcze na zabezpieczenie równowagi; a bez tego bezpieczeństwa na przyszłość, pokój nie byłby istotnie pokojem, ale tylko zawieszeniem broni. Równowaga nie byłaby przywrócona; o zwinięciu wójsk na stopie wojennéj zostających, aniby myśleć można było — a to stanowi dopiero cechę pokoju. Inaczéj stan anormalny: pokój i wojna.

Prowadzono więc wojnę rok drugi. W bieżącym miesiącu przystąpiono znowu do negocyacyj, na podstawie podpisanych powtórnie przez Rosyę warunków, które jéj przedstawiono jako mające zabezpieczyć równowagę, a zatem jako konieczne dla przywrócenia pokoju.

Zawierająż te warunki rękojmię pokoju i jak dalece ją zawierają?

Niema podobno nikogo coby sądził, że skoro Księstwa Naddunajskie otrzymają nową granicę i nową organizacyę bez protektoratu rosyjskiego ale zawsze z poddaństwem tureckiém; skoro wolność żeglugi na Dunaju będzie zapewnioną; Morze Czarne zneutralizowane, otwarte dla handlu całego świata, bez flot wojennych i arsenałów morskich; skoro rajasy używać będą równych praw i swobód co wyznawcy Proroka, że skoro to wszystko się stanie, a wiele z tego jest jeszcze problematycznem, natedy już równowaga będzie stanowczo zabezpieczoną, a wojna niebędzie mogła więcéj zagrażać Europie. W przypuszczeniu nawet najskrupulatniejszego wykonania warunków, dokonania trudnych niesłychanie zadań i spełnienia faktów, których następstwa obrachować się nie dadzą, twierdzić tylko można, że jeżeli państwo Ottomańskie nie rozpadnie się w tem przeobrażeniu, Rosya będzie o tyle w potędze swojéj od Bałkanu i Bosforu ograniczoną, iż z téj strony uderzyć na Turcyę nie zdoła. Lecz wnosić ztąd jeszcze niepodobna, aby już dla tego samego Turcya od strony Azyi była zasłonioną, a tem mniéj jeszcze, aby już nie mogło przyjść do wojny między naprzykład Rosyą a Niemcami, lub między Francyą i Anglią, i tym podobnie.

Równowaga bowiem polityczna nie zależy i zależyć nie może na tem, aby państwa były równe sobie w sile, co jest niepodobieństwem; ani też, aby jedno nie było za mocne a drugie za słabe w stosunku do siebie, bo koalicye zawsze są mocniejsze; ale zależy na tem wła-

śnie, aby jedno państwo nie było za mocne w stósunku do ogólnego zbioru państw, to jest aby koalicye były nie potrzebne, nawet niemożebne, bo dowodzą one zawsze braku równowagi. W przypuszczaniu więc dalszem, że do warunków powyższych dodane zostaną wszystkie inne jeszcze, jakie tylko pojawiły się w publicystyce od chwili podpisania przez Rosyę *ultimatum;* w przypuszczeniu, że Rosya nie będzie fortyfikować na nowo Bomarsundu, że wyspy Alandzkie będą całkiem neutralnemi, że wolno będzie zaprowadzać konsulaty we wszystkich portach morza Czarnego, że nawet arsenału w Mikołajewie ani na morzu Azowskiem nie będzie, że Rosya zezwoli na wytknięcie swych granic azyatyckich — w przypuszczeniu dopięcia wszystkich tych wymagań, jakież otrzymują się rezultaty ogólne dla równowagi? Oto, Szwecyę nieco mocniejszą w obec Rosyi, Rosyę nieco słabszą w obec Szwecyi i Turcyi, ale nigdy nie otrzyma się téj pewności, aby Rosya połączywszy się naprzykład z Francyą nie mogła zagrażać Anglii, aby nie było podobnych kombinacyj których wojna prostém następstwem.

Widoczna przeto, że równowaga o którą w dzisiejszéj idzie polityce, nie polega na owych pojedynczych i materyalnych warunkach, ale na układzie państw. Wszystkie te rękojmie czyli warunki są tylko przygotowawcze i pomocnicze, aby się państwa, i to państwa pierwszego rzędu, w równowagę ułożyć mogły. Równowaga polityczna musi mieć jakąkolwiek moralną stronę: warunki zaś te usuwają tylko materyalne trudności uwzględniając interesa, ale nie zdołają dostarczyć tego zaufania w bezpieczeństwo, jakiego wymaga równowaga, aby się stała rękojmią pokoju. Są to dopiéro żywioły — ale ogół ich nie tworzy jeszcze systematu politycznego, na którymby widoki pokoju jakbądź trwałego oprzéć się dało.

Najlepszym tego dowodem sprawa obecna i jéj obrot

od chwili wynikłego sporu turecko-rossyjskiego. Skoro tylko Rossya missyą księcia Menszykowa zagroziła faktycznie mniemanéj równowadze europejskiéj, Francya wchodzi w przymierze z Anglią. Lecz przymierze to dopiéro *równoważy* Rossyę. Otrzymać nic od niéj nie może, nawet ustąpienia z Księstw Naddunajskich. Dopiéro gdy Austrya żąda tego i zagraża *przewagą* na rzecz przymierza, Rossya się cofa. Wojna daléj prowadzona bez Austryi, pomimo wygranych nad Almą i pod Inkermanem nie otrzymuje żadnych przeważnych rezultatów. Konferencye wiedeńskie nie dopinają celu: bo dla czegóżby Rossya ustąpić miała? Przewaga jeżeli jest jaka po stronie Zachodu (wojującego wspólnie z Turcyą), to bardzo wątpliwa. I znów rok wojny — którą przerywa zima. Nie mówi się tu coby się daléj stało — biorą się fakta tylko jakie są dzisiaj. Z jednéj strony zdobyty Sebastopol — z drugiéj wzięty Kars. Pomimo przystąpienia Sardynii do przymierza, pomimo zniszczenia floty rossyjskiéj, panowania sprzymierzonych na morzu Czarném i Azowskiém, sparaliżowania Mikołajewa osadą kimburnską, wysadzenia w powietrze Bomarsundu i zbombardowania Sweaborga, pomimo dopięcia zatém owych warunków jakie dziś w *ultimatum* postawione, siły wojujące równoważą się tylko, wypadek ciągle wątpliwy, stan Europy ciągle anormalny, nieznośny, bo z warunkami równowagi czyli pokoju łączą się usiłowania zdobycia przewagi, czyli wojna. Żeby takowy stan rzeczy ustał, mocarstwa zachodnie muszą być poparte jakowąś nową siłą i wywołać ją jakimbądź sposobem. Polityka ich zwracała się bezprzestannie ku Austryi. Austrya téż stawia *ultimatum* — a Rossya je przyjmuje, ustępując jak sama mówi przed koalicyą która jéj zagraża, uznając tém postępowaniem, że wtedy dopiéro powstałaby koalicya któréj zrównoważyć nie jest w stanie. We wszystkich tych kolejach zaledwo dotkniętych, bo histo-

rya lat ubiegłych dokładnie znajoma, za każdym krokiem spotykają się dowody, że Anglia w przymierzu z Francyą, *równoważą* dopiero Rossyą, ale jéj *przeważyć* stanowczo nie potrafią.

I nie dopiéro od sprawy wschodniéj przekonać się o tém można, bo nie dopiéro od r. 1853 Rossya zagraża równowadze europejskiéj. Dawał to nieraz poznać od r. 1815 Nestor dyplomatów książę Metternich, zalecając Francyi wzięcie czynnego udziału w sprawach wschodnich. Czuł to dobrze Ludwik Filip, gdy się ciągle o dobre z Anglią ubiegał stósunki, gdy usiłował zawrzéć poczwórne przymierze, gdy w r. 1840 koalicyą przeciw sobie w sprawie Egipskiéj wywołał. Nie idzie tu o to aby wykazywać na czém potęga Rossyi polega, ale to pewna, że jest ona mocniejszą od każdego państwa pojedynczo wziętego. Żadna nawet koalicya nie zmusiła jéj dotąd do ustąpienia jednéj piędzi ziemi, do zrzeczenia się jednéj choćby najmniejszéj cząstki polityki, którą swemi prawami mianuje. Nie godzi się zapominać 1812 r. Od Piotra W. po raz piérwszy Rossya podpisała takie *ultimatum* jak styczniowe: bo po raz piérwszy zrównoważyło ją przymierze francuzko-angielskie, a groźba Austryi przeważyła.

Ztąd atoli, że Rossya jest tak silną, nie wynika bynajmniéj, aby równowaga ułożoną być nie mogła. W dzisiejszym składzie politycznym Europy równowaga leży w ręku Austryi, czyli Niemiec, bo wdawać się tutaj w rozróżnienia frankfurckie nie ma potrzeby. Lecz aby tak było rzeczywiście, aby Austrya utrzymać równowagę potrafiła, potrzeba by po jednéj stronie była Rossya, a po drugiéj nie Francya i Anglia, ale Francya z Anglią — w przymierzu. Inaczéj pomimo wszelkich punktów i warunków, wyraźnych czy domniemanych, nie ma zupełnéj równowagi. Dla tego właśnie że tak nie było od traktatu wiedeńskiego, który miał zadanie także sy-

stemat ten zabezpieczyć, Rossya ciągle równowadze zagrażała. Ciążyła na Europie, Niemcy ulegały jéj parciu, nie mogąc się zachować na punkcie środka ciężkości. Dla tego wojska ogromne stały zawsze na stopie wojennéj jakby w pogotowiu. Czekały tylko zdarzenia, któreby dowiodło że równowaga zapisana tylko w traktacie, nie istnieje w istocie. Tym faktem, spór turecko-rossyjski.

Skoro zatém orzeczoném zostało, że zasadą polityki europejskiéj ma być równowaga, że ona ma być rękojmią pokoju, przeto w podstawach na których ma się opiérać, w warunkach rozpoczętych negocyacyj upatrywać wypada przedewszystkiém rękojmi téj równowagi. Takową jest przymierze francuzko-angielskie. Z przymierzem silném Francyi z Anglią, najmniejsze prawdopodobieństwo wojny w przyszłości. Mogą być spory, nawet starcia między dwoma państwami, ale bez następstw europejskich. Tylko wtedy Europa zagrożoną być może zerwaniem ogólnego pokoju, gdy państwa składające jéj równowagę tego dopuszczą, lub same wojnę rozpoczną. Na tém właśnie ma zależyć owa równowaga pokojowa, aby wojny koalicyjne były niemożebne, czyli aby przed groźbą koalicyi, ustąpiła zawsze jedna strona. Austrya, czyli środkowa Europa, przechyleniem się bądź na Zachód bądź na Północ przywraca równowagę.

Lecz zdawać się może, że całe to rozumowanie jest jakby łamaną sztuką, że podobna polityka to teorya drążka mechanicznego....

W rzeczy saméj, prawidła statyki mają i tu pewne zastósowanie, bo każda na świecie siła ulegać im musi. Potęga zaś państwa w sferze politycznéj, odpowiada pod wielu względami sile w sferze materyalnéj. Cóż jest wyrazem téj potęgi? oto, czy państwo jest pierwszego rzędu lub drugiego. Siła rostrzyga o téj kwestyi. Prusy

nie były państwem pierwszego rzędu dopóki nie były silne, to jest dopóki Fryderyk W. nie zmusił do uznania ich za takowe. Czyż niém być przestaną, choćby do negocyacyj obecnych wezwane nie były? Bynajmniéj, jeżeli tylko będą się mogły z dostateczną wykazać siłą że są w mocy naruszenia systematu równowagi. Wtedy można być pewnym, że pokój ostatecznie zawrzéć się bez nich nie da. — Czyż Sardynia dla tego że weszła w przymierze francuzko-angielskie zajęła już miejsce między państwami pierwszego rzędu? Jakiekolwiek jéj stanowisko w negocyacyach, pozostanie ona w drugim rzędzie państw. Siła tylko dowiedziona lub domniemana, na pierwsze miejsce posunąć by ją mogła.—Turcya zawezwana do rodziny mocarstw europejskich jako koniecznie potrzebna do ułożenia równowagi, na wszystko przystać musi dla tego że jest słabą. Nie jest i nie będzie państwem pierwszego rzędu — a o takich tylko mowa w systemacie równowagi. W rachubę wchodzi tylko siła.

Cecha ta nieco akrobatyczna polityki przebija się już od dawna. Czyliż naciąganie bezprzestanne i wytężanie stron dyplomatycznych, czyliż demonstracye i interwencye, zbrojne i pokojowe, nie dawały się czuć tylokrotnie w ciągu czterdziestoletniego pokoju? Czyliż zwracanie głównéj uwagi rządów na utrzymanie w zewnętrznéj polityce równowagi, któréj brakowało rzeczywistéj z jednéj strony wagi, nie pochłonęło mnóstwa zasobów i usiłowań ze szkodą interessów wewnętrznych, krajowych, społecznych?.....

Z resztą bez pewnéj równowagi, moralnéj lub fizycznéj, Europa nigdy obejść się nie mogła. Równowaga moralna była dawniéj w Rzymie: od czasów Reformy zapisano fizyczną w traktatach. Była dawniéj w uczuciu prawa: dziś jest w poczuciu siły. Cóż prawo bez obyczajów, pytano dawniéj; cóż po prawie bez siły, powta-

rza dziś Europa. Przesądzać nie można jak długo społeczność europejska na systemacie takiéj równowagi opiérać się będzie. Lecz dopókąd same tylko traktaty czyli ułożone w nich warunki, będą ostatnią literą i duchem prawa publicznego, a same tylko interesa materyalne najwyższą dążnością społeczną, życzyć należy, aby równowaga była jak tylko można najdoskonaléj obrachowaną, już dla tego samego, żeby utrzymanie jéj jak najmniéj absorbowało usiłowań rządu, jak najmniéj wymagało ofiar, nie od narodów, bo narodów nie ma w systemacie dzisiejszym równowagi, ale od indywiduów, z których się państwa składają.

W chwili więc obecnéj, gdzie zdaje się że zasadnicza ta kwestya polityki na nowo ma być określoną, trudno gdzieindziéj upatrywać głównéj rękojmii równowagi, a zatém i pokoju, jak tylko w przymierzu Francyi z Anglią. Ponieważ zaś na trwałość przymierza nie masz pewnéj rękojmii, negocyacye o tyle tylko mogą pokój zapewnić, o ile wypadły z nich rezultat zabezpieczy trwanie przymierza; warunki zaś, które konferencyom służą za podstawę, o tyle są rękojmiami rzeczywistemi pokoju, o ile usuwają przeszkody a zaspakajają interesa, mogące wzmocnić spójnią tego przymierza i przyczynić się do jego trwałości.

W polityce wszakże nie tak jak w statyce: siły nie dadzą się dokładnie obrachować, punkt podpory niepodobna matematycznie oznaczyć, ani téż równowagę bezwzględnie zaprowadzić. Gra sił w równowadze politycznéj będzie zawsze niepewną, punkt oparcia nieco chwiejny. Więcéj może niż kiedy chwiejną będzie podstawa, na jakiéj zbudować się ma obecnie równowaga europejska. Systemat każdy zawisł od podstawy: trwać może jak długo się ta nie zmieni. Za podstawę dzisiejszéj równowadze służyć ma Turcya: nie Turcya jednak Mahometa, lecz Państwo Ottomańskie przeobrażone

w zetknięciu zgliszczów gasnącego Koranu z zimnem przemysłowéj cywilizacyi. Jaką drogą pójdzie to przeobrażenie?.. *Fata invenient viam*, jedyną dotąd odpowiedzią.

Maurycy Mann.

KRONIKA.

Kraków w lutym.

Skończyły się zapusty, kiedy się zaledwie luty poczynał. Przewietrzono salony, wytrzepano meble z kurzu i osłonięto je pokrowcami, zmięte suknie balowe powieszono na kołku, przetarto zaspane oczy, a na wpół przerwane oświadczenia zachowano na czas wycieczek kąpielowych za granicę, z zastrzeżeniem zmiany adressu wedle okoliczności — i znów Kraków wrócił w karby powszedniego życia, kiedy niekiedy tylko przykładając ucho do ziemi, czy go niedoleci z Paryża głuche echo wiwatów obwołujących zgodę królów, lub nie zajęknie na Wschodzie pierwszy wystrzał zwiastujący nową i zaciętą walkę. Gdzie w tem usposobieniu umysłu szukać w głowie porządnych notatek karnawałowych! a przecież został po nich jakiś posmak, nie powiem, że niemiły, bo ten tylko z przesytu się wyradza, a my tak skromnie zabaw używali! zostało jakieś wspomnienie mgliste, jakby po sennem marzeniu, z którego nagle ocuci zimne dotknięcie rzeczywistości. Nadaremnie trę czoło, żeby zmusić myśl do przywołania w pomoc pamięci, przechadzam się wielkiemi krokami po pokoju, wydobywam wreszcie z pomiędzy rupieci na zagładę przeznaczonych jedyne pamiątki karnawału: kilka par zbrudzonych rękawiczek i krawatów, lakierowane trzewiki z wytartemi nosami i stary cudzy kapelusz, który

mi „przez omyłkę“ w miejsce mego nowego zostawiono — ach! bo innych pamiątek ja nieuniosłem — ale wszystko napróżno. Czemuż niejestem Cuvierem! zawołałem. Oto z tych resztek przedpotopowych złożyłbym całą zaginioną przeszłość. Ten kapelusz, rękawiczki i buty, trzy główne cechy rodzajowe naszego plemienia, wystarczą dla prawdziwego badacza, aby z nich ułożyć rysy typowe całego pokolenia. I rzeczywiście, te trzy tylko rzeczy tworzą człowieka w pełni jego rozwinięcia towarzyszkiego; właściwa odzież nic tu prawie nieznaczy, to jest: niedaje się na nią baczenia, chybaby grzeszyła jakim widocznym niedostatkiem; bielizna zastępowaną bywa niekiedy podkładkami, a nawet w Niemczech zaczynają już nosić blaszane na biało lakierowane kołnierzyki, lecz ten strój pancerny nie wszedł jeszcze u nas w użycie! Rycerz salonu z błyszczącym butem, świéżą rękawiczką i kapeluszem, którego podszewka bez zarzutu, jest rzeczywiście rycerzem *sans peur et sans reproche.* Któż zapyta jaką ten kapelusz pokrywa głowę, czy ta połyskująca noga nigdy fałszywego nie zrobiła kroku, czy ręka osłonięta żółtą rękawiczką jest tak czysta jak jéj pokrowiec? W czasach dżumy dotykano się wszystkiego przez rękawiczkę; dżuma znikła, ale rękawiczka została jako dowód nieufności.

Przeznaczonemu być historyografem *lutego* w obrębie rogatek krakowskich, trzeba mi szukać źródeł. Godzina południowa, wychodzę na miasto. Rynek krakowski jest ogniskiem, w którem się skupiają wszystkie promienie wiedzy w zakresie kronikarskim. W chwili skupienia się tych promieni powstaje ciepło, i dla tego czas ten zowie się w języku rynkowym, południem. Południe krakowskie niezgadza się z południem astronomicznem; kiedy bowiem to ostatnie przypada zawsze na godzinę dwunastą, tamto zmienia się wedle pory roku i wstania z łóżka. W lutym przypada południe między godziną 12tą a 2gą, w miesiącach letnich wcześniéj. Soczewką zaś tego ogniska jest cukiernia Redolfiego. Wyszedłem więc na Rynek, żeby w tem ognisku szukać światła i próbowałem zawiązywać to z tym to z owym rozmowę, ale mi jakoś nie szły pytania i obawiałem się popaść w śmieszność, pytając w połowie postu o karnawał. Często też niedano mi przyjść do przedmiotu, obrzucając mię na-

wzajem pytaniami, i to najcięższego kalibru, jak np. co myśli cesarz Napoleon? czy Rosya naprawdę chce pokoju? jaki będzie koniec konferencyj paryzkich? Inni znów niechcąc zadawać sobie pracy z czytaniem gazet, żądali, żeby im w kilku opowiedzieć słowach treść tego wszystkiego, na co się składa codziennie mozolna praca dyplomatów, parlamentów i dziennikarzy. Zniecierpliwiony temi pytaniami uciekam się do ostatniego przybytku— do cukierni Redolfiego. Przeciskam się ostrożnie żeby mię znów jaki „politicus" nie zagabał. I na prawdę, omałom się niedostał z deszczu pod rynnę. U samych drzwi, dwóch obywateli galicyjskich rozprawia nad ważnością klęski cesarza Suluka i wpływem jéj na kurs obligacyj indemnizacyjnych, a to w tem loicznem następstwie: iż sprawa Suluka niejest obojętną Stanom Zjednoczonym, a przez elewacyą Anglii, więc tem samem musi wpłynąć na załatwienie sprawy Wschodniéj, a sprawa Wschodnia stanowi jak wiadomo o kursie papierów publicznych, zatem i obligacyj indemnizacyjnych. Daléj w połowie sklepu cukierniczego żwawa toczy się rozprawa, jakim sposobem można wpaść sześć razy na „bez *a tout*"; w głębi zaś..... zaledwie uszom moim dowierzać mogę, dobrane grono młodzieży wraz ze smażonemi kasztanami, przeżuwa wspomnienia karnawału. Minęły czasy kiedy kochana młodzież z takim zapałem opowiadała o obrotach mazura, jak jéj przodkowie powróciwszy do domu dla wytchnięcia po tatarskim tańcu opowiadali, w jakich to nieraz bywali obrotach.

Stanąwszy opodal, przysłuchiwałem się pilnie rozmowie tego kółka, ale się żadną miarą nie mogłem połapać, żeby z tego ułożyć porządny spis balów, wieczorów, wieczorków i tańcujących herbat. Trudność ztąd głównie pochodziła, że młodzież ta mówiąc o kim, zwała go tylko po imieniu, a to zarówno mężczyzn jak i kobiety, co mię tém więcej dziwiło, iż przysłuchując się dłużéj, poznałem, że ani jeden z tych panów nie był krewnym osób, o których tak poufale się wyrażał. Przyjacielem ich również być niemógł, wyszedłszy zaledwie z wieku chłopięcego, gdy tymczasem osoby o których rozmawiano, dając wieczory u siebie, mają jeśli nie inną, to przynajmniéj tę powagę, że prowadzą dom własny. Mówić o osobie zamężnej: „pani Marya", „pani Ju-

lia“ lub „pani Zofia“ powinnoby uchodzić za oznakę wielkiej poufałości, do jakiej tylko przyjaźń daje prawo; o przyjaźni zaś nie może być mowy, gdzie nie-ma równości płci, wieku i towarzyskiego położenia. Jest to więc w oczach moich zawsze dowodem tylko śmiesznego naśladownictwa lub próżności ze strony mówiącego.

Miesiąc temu, pod koniec stycznia, zaledwie natrąciłem był coś o zabawach karnawałowych, bo też zaczęły się one z upływem dopiero zeszłego miesiąca; kiedy się bowiem spostrzeżono, iż karnawał się kończy, przypomniano sobie, że się bawić trzeba. W karnawale nie zawsze też dla tego się bawią, iż ochota, ale że zwyczaj nakazuje dać wieczór. Najtrudniejszy początek, zwłaszcza, że każdy ogląda się na drugich, czy to przez skromność, niechcąc być pierwszym, czy że się chowa ku ostatkom, żeby najdłużéj żyć w potomności. Trudność tę rozpoczynania zabaw rozstrzygał dawniejszemi czasy w Krakowie Prezes Senatu oficyalnym balem w sam dzień Nowego Roku; bywało to więc zagajeniem karnawału, po którém nikt się wymawiać nie mógł, że mu pierwszym być nie wypada. W tym roku kwestyę pierwszeństwa rozstrzygnęły *dziady*. Mieliśmy bowiem tylko bale na dochód ubogich. Wieczorów prywatnych balami nazywać nie można, a i tych liczba bardzo szczupła. Z pierwszych należy się szczególnie wspomnieć bal w ustąpionych na ten cel salonach hr. Morsztyna, gdzie wszystko aż do biufetów było ofiarą w dobroczynnym zniesioną celu. Bal u JE. Prezydenta kraju hr. Mercandina, jakkolwiek nader świetny, wszelako jako bal reprezentacyjny wychodzi z rzędu zabaw zwyczajnych lub prywatnych.

Na wieczorach tylko, w dobranem gronie przyjacielskiem bawić się można prawdziwie; na publicznych balach zachowywać powagę przechodzącą w nieruchomość, należy do dobrego tonu. Sala balowa przedstawia wtedy zwykle miejsce przechadzki; czemużby więc téj przechadzki nie ożywić przynajmniéj i nie wprowadzić w ład uroczystą nutą poloneza, który tak przystoi powadze, iż go królewskim tańcem nazwano. W Berlinie też bale publiczne rozpoczynał w tym roku sam król, a za nim cały dwór suwał polskiego. — W Krakowie zastępuje poloneza *tremblante*, prawdziwa febra trzęsąca.

Na redutach więcej już nieco ruchu, hałasu, ale o dowcip nie pytaj. Jeżeli ci jaka maska szepnęła tajemnicze słówko z najskrytszych tajemnic domowych, mogłeś się założyć, że to pokojówka twéj żony. Z masek najliczniejsze krakowiaki, a strój ten prawie tylko na redutach spostrzegać się już teraz daje.

Kończąc tę pobieżną o karnawale wzmiankę, nie należałoby zamilczeć o zawartych w ciągu jego ślubach małżeńskich; gdy wszakże krócej a wymowniej zwykł to czynić wykaz urzędowy drukowany w *Czasie*, więc nie chcę tu popełniać plagiatu. Nie podobna wszakże pominąć, że w ostatnią niedzielę odbyło się w kościele P. Maryi wieczorem kilka ślubów, a ostatni z nich aż do natłoku zapełnił kościół ciekawemi. Był to ślub starszej córki jednego ze znanych obywateli tutejszych. Gdybym miał potemu dar i specyalną znajomość przedmiotu, jakiéj w téj chwili zazdroszczę gwoli czytelniczek, sprawozdawcy balowemu w *Kuryerze Warszawskim*, możebym się skusił opisać, nazwać i ocenić znaczenie, wartość i piękność każdej części stroju, począwszy od upięcia głowy, aż do koniuszka atłasowego trzewiczka. W braku zaś tego niepowszedniego talentu, znajduję tu bardzo wygodną wymówkę: kiedym wchodził do kościoła, stara żebraczka rzekła do jakiejś dziewczyny: „Panienko, panienko, nie należy tak chwalić, żeby nie urzec!“ i odczyniając zaraz urok, splunęła.

Śliczną znalazłbym tu sposobność powiedzenia coś o urokach, co je urocze zadają oczy, a których stare baby odczynić nie zdołają, o młodych czarownicach, które rzucają czary na śmiertelnika i tak go długo w zakreślonem przez siebie trzymają kole, dopóki sam w moc tych czarów wierzy — lecz mi te moje spostrzeżenia przerwał znajomy mój, który pomimo wielu zalet serca, nudził mię niemiłosiernie swojemi rozprawami o sztukach pięknych. Zaledwie drzwi otworzywszy, wyrzucił z ust potok słów, których myśl mi już uleciała, i nie mogę z pewnością twierdzić, czyli w nich rzeczywiście myśl jaka była. Pamiętam tylko, że najczęściej latały mi koło uszu wyrazy: sztuka, artystyczność, pogląd, koloryt, światło i t. p.; pamiętam, że recytował mi katalogi wszystkich europejskich galeryj. tych które widział i których nie widział; znawcy jednak, co mieli już sposo-

bność słyszeć to ćwiczenie pamięciowe, upewniali mię, że to tylko zbiór nazwisk mylnie zestawionych, gdzie pomieszano obrazy, artystów, szkoły i galerye.

— Nie widziałem cię dotąd na wystawie — rzekł mój znajomy — to się zaprawdę nie godzi, wiem, że piszesz kronikę do *Dodatku*, musisz przeto szczegółowo zdać sprawę z wystawy tutejszej. Pozwolisz, że ci będę *ciceronem*. Znam wszystkie obrazy, studyowałem każdy z nich nie tylko odkąd wystawę otwarto, ale nawet ja pierwszy widziałem je przy odpakowaniu. Wprawdzie wydałyby się one lepiéj, żeby chciano usłuchać mojéj rady przy rozwieszaniu, ale darmo mój drogi, zazdroszczą mi i.... boją się. Nie mam pretensyi być znawcą, jestem tylko miłośnikiem sztuki, ale mam o niej daleko wyższe niż oni pojęcie. Gdzieindziej poznano się na mnie i uczczono mię, pokażę ci album. Wziąłem sobie za zasadę wyszukiwać nowe talenta, zachęcać, żywić w nich natchnienie. Wiesz co, ja ci spiszę wszystko co masz powiedzieć o wystawie, wolno ci użyć lub nie, no przystajesz?

— Z największą chęcią! — zawołałem uradowany, gdyż pomimo dziwactw mojego gościa, byłem przekonany, że na dnie tego wszystkiego leżeć musi prawdziwe uczucie, że oddając się wyłącznie oglądaniu obrazów, musiał sobie wyrobić pewien sąd o nich.

Weszliśmy do galeryi.

Sale były napełnione ciekawemi dzielącemi się na grupy. W każdej grupie znalazł się jeden powołany czy niepowołany objaśniacz, który za wszystkich głośno myślał i zdanie swoje wręcz objawiał z tą pewnością, jaką tylko daje istotna znajomość przedmiotu. Jedni z na wpół otwartemi ustami słuchali tej wyroczni, drudzy z cierpliwością zazdrości godną wzruszali ramionami, udając że słuchają, inni wreszcie wątpili jak się zdaje, czy jest na świecie ustalone zdanie o sztuce, skoro jeden i ten sam mówca, codzień inaczéj wyrok swój obwieszcza. Interlokutor mój wpadł jak kamień z procy rzucony między dwóch spierających się, do jakiej szkoły policzyć można obraz, w którym albo żadnej albo wszystkie szkoły były połączone. Stanął w pośrodku nich, wysunął naprzód nogę, zwinął dłoń w trąbkę, odsunął zawadzające mu osoby i zawołał głośno: „boskie! prze-

cudne! patrzcie państwo co za perspektywa, co za życie, jaki ruch! koloryt ślicznie przeprowadzony, światłocień obrachowany, natura żywcem przeniesiona na płótno w jednej z tych chwil natchnienia, które w oka mgnieniu stwarzają artystę! Muszę napisać do artysty, powinszować mu. Wiecie panowie, że mam w album jego akwarellę. Sam siebie przewyższył. Bosko, bosko zaprawdę!

Na tak głośną przemowę oczy wszystkich zwróciły się w tę stronę sali. Interlokutor mój spojrzał z dumą na słuchaczy i przenosił się dalej ciągnąc za sobą tłum. Zbliżył się ku innemuu obrazowi, potem się cofnął nagle, zachodził mu to z prawej to z lewej strony, nareszcie znalazł dogodny punkt widzenia i mniej więcej temi co dawniej wyrazy, innym tylko porządkiem przymioty jego zdumionym głosił słuchaczom. Wtem ciągnie mię ktoś z tyłu.

— Proszę pana, co to za babranina! — rzekł wskazując na obraz dopiero co przez poprzedniego mówcę chwalony. Szast, prast pędzlem i już obraz. Ani to wyrobienia, ani wykończenia! jak te figury poustawiane! koloryt mdły, niewyraźny! Ale się podoba, bo nie tutejsze. Albo naprzykład ta szkica! co to znaczy, żeby szkicę dawać na wystawę. Tu same skończone obrazy przyjmować powinni.

— Wszakże i szkica jako taka jest skończoną — rzekłem nieśmiało.

Pessymista zabierał się jak uważałem do długiej ze mną rozmowy, bo mię parę razy za klapę od surduta chwytał, a potem spuszczał zwolna rękę do guzika żeby mię na dobre przytrzymać. W tej stanowczej chwili wyśliznąłem się z rąk jego, zawoławszy:

— Zaraz panu służę — i rzuciłem się we drzwi drugiej sali, gdzie inny głos dał się słyszeć. Był to jeden z członków towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych oprowadzający damy.

— Oto bitwa pod Abukir przez Langlois.

— A gdzież okręty? — zapytała jedna z dam.

— Okrętów nie widać za tumanami kurzu — odrzekł niezmieszany cicerone.

— Tysiąc pięćset franków za jedno drzewo i kawałek wody! — zawołał z tyłu mnie jakiś głos gruby.

— Możnaby za te pieniądze kupić kawałek lasu— odpowiedziałem. Słowa te wyśliznęły mi się z ust niechcący i właśnie zabierałem się w żart je obrócić, ale gruby głos nie obraziwszy się tem wcale, rzekł:

— Oho! nie tak to teraz łatwo! drzewo mój panie popłaca. W Krakowie dziś siąga dwadzieścia reńskich. Miałem ja panie chłopca, co mi się rwał żeby malarzem zostać. „Wymalujesz las— rzekłem mu — a nie będziesz miał czem w piecu palić.“ Nie pozwoliłem, a teraz żałuję. Tysiąc pięćset franków panie, to nie żarty!

— A jakiemuż zawodowi syn się pański poświęcił? zapytałem.

— Obróciłem go do urzędu i żałuję teraz. Tysiąc pięćset franków za jedno drzewo!

— A wieleż pański syn ma pensyi rocznie?

— Jeszcze nic nie bierze, ale spodziewa się, że zostanie dyurnistą.

Rozgadałem się z ojcem przyszłego dyurnisty i anim spostrzegł, że sale zwolna się wypróżniły. Przyszedłem oglądać obrazy, a oglądałem ludzi. No mniejsza o to, mój amator przyniesie mi gotowe sprawozdanie. Czekam kilka dni, posyłam i pytam, amator mi odpowiada, że zbiera jeszcze spostrzeżenia, gdyż chce wygotować „krytyczny pogląd na ruch artystyczny w kraju naszym, którego wyrazem będzie wystawa sztuk pięknych w Krakowie.“ Przytaczam dosłownie jego własne wyrażenie. Tymczasem z drukarni wołają o rękopis, bo *Dodatek* spóźnić się nie może.

Posyłam więc co mam, przyrzekając uzupełnić ten „pogląd“ na wystawę „poglądem krytycznym“, jeśli mi mój amator dopisze.

Lwów w lutym.

Ktoś z poważnych bardzo osób powiedział mi raz na zabawie: najlepsi są przecież ludzie wtedy, kiedy się bawią. Nie wiem dla czego ta uwaga psychologicza przylgnęła do méj pamięci, i zawsze rad słyszałem, że tu lub tam bawiono się. Przebaczcie więc, że jeszcze wam

nieco powiem o karnawale lwowskim, lubo ten już za górami. Uległ on także czasowym potrzebom, czyli jak mówią: zreorganizowano go. Recepcye z tańcami, w najnowszém i najgustowniejszém wydaniu, zastąpiły po większéj części owe dawne sędziwe bale. Recepcye te są—muszę użyć porównania—niby adjutanci naczelnego wodza: każdy z nich więcéj elegancki i wesół, niżeli naczelny wódz, chociaż bez jego wagi; i z niemi to sprawa łatwiejsza, niż z wodzem. Dziś arytmetyka i ekonomia wzrosły w ogromne nauki, trzymają berło materyalnego świata, a więc i zabaw towarzyskich. Mimo to wszystko piękne, gustowne i przyjemne, świadczy nawet o przewadze dobrego smaku nad workami krezusowemi. Recepcyj z tańcami było u J. Exc. hr. Namiestnika trzy; u państwa Turkułów trzy; balów podczas całego karnawału trzy: u państwa Zawadzkich jeden, u hr. Komorowskiego Jgn. Aleks. drugi, u państwa Brzozowskich trzeci. Był też i bal dobroczynności, którego imie już z dawnych czasów tradycyonalne, a tą razą rzeczywiście zasłużone, albowiem wypadek dla biednych arcykorzystny. Niemogę pominąć wzmianki o strojach, która powszechnie głośniejsza w tym roku, niż kiedykolwiek, i ma wszelką słuszność za sobą. Podróże na wystawę paryzką przyniosły wiele owoców, nawet dla toalety; dodajmy do tego owe polkom wrodzone uczucie dobrego gustu i trafność zastósowania stroju do osoby. Jakieś suknie à disposition z wrabianym aksamitem, jakieś ubrania głowy srebrem, złotem i kwiatami ozdobne, materye ciężkie nieznanych imion, i piętrzące się na nich niby chmurki lekkie koronki, krój sukni pełen wdzięku, harmonia w stroju tak pełna smaku, iż mimowolnie nasuwa się myśl, że modniarki paryzkie niepospolity mają talent do estetyki. Że te stroje wszystkie z Paryża, ani wątpić; tyle piękności i dobrego gustu niepodobna oddać pod zimne wyroki arytmetyki. Najpowszechniéj chwalą białą suknię J. Exc. hr. Namiestnikowéj, także suknie pani Turkułowéj i obu córek, hrabiny Pauliny Łosiowéj, hrabiny Rusockiéj i panny Olgi Zawadzkiéj. Tak więc karnawał u nas, jakby goniec z czarownéj snów krainy, przyleciał, pokazał co piękne, najnowsze i w dobrym tonie, i odleciał.—I dzieciom, niby gościńca z podróży, przyniósł dwa baliki, jeden u baronowéj Oechsnerowéj,

drugi u hrabiego Badeniego. Na te baliki wasz korespondent ze Lwowa, jakiś *„censor castigatorque minorum“* podnosi głos karcący, i woła przejęty zgrozą: *„nie tak dawniéj było!“*—Za prawdę, trzeba być bardzo w złym humorze, aby się gniewać, gdy dzieci dziewięcio-lub dwunasto letnie tańcują; a trzeba mieć bardzo wiele splinu w przyrodzie własnéj, aby dzieciom takim podsuwać myśli i chęci nieprzyzwoite, lub rodzicom chęć zaszczepiania w nich złego! Wszakże to w tym wieku tańcują jedynie dla tańca. W téjto splinowéj chwili zapomniał ów korespondent wasz o tém, co wiekowi, co rodzinnym stosunkom i co zdrowemu rozsądkowi ludzkiemu należy. Odwołujemy się do innéj korespondenta chwili, choćby tylko w interesie niewinnych dziatek; jesteśmy pewni, że wyrok jego inaczéj wypadnie. Apelacya korespondenta do dawnych czasów niewiem jakby się udała; to pewna, że przodkowie nasi tańcowali, i wątpimy, by który z nich zaczynał uczyć się tańcować w dwudziestym czwartym roku życia. Po karnawale zajęły miejsce recepcye i zabawy pokarnawałowe (rozumie się bez tańców). Otwierają im salony znane z uprzejmości najznakomitsze domy, jako to: J. Exc. hr. Namiestnika, hr. Aleksandra Fredry, państwa Turkułów, baronowéj Oechsnerowéj. Gdzie niegdzie zjawiają się także muzykalne wieczory; nawet i koncert w teatrze p. Łapczyńskiego 18letniego fortepianisty, którego gra już dziś sięga sławy znakomitych artystów i rokuje wielkie imie ziomkowi naszemu w muzykalnym świecie. Oddawna też teatr nie był tak zapełniony jak w czasie koncertu tego. My Lwowianie już tylko przy nadzwyczajnych zdarzeniach, uroczystościach, koncertach lub dla celów dobroczynnych w teatrze bywamy; przypomnienia dawnéj sceny są w rażącéj sprzeczności z teraźniejszą; niema więc czego śpieszyć się do teatru. Był także koncert u nas na cześć Mozarta. Idziemy, jak widzicie, w ślad ucywilizowanéj Europy i składamy hołd mężowi nieśmiertelnéj chwały w muzykalnym świecie. Wielki mistrz przysłuchując się z dziedziny wieczności koncertowi, pomyślił zapewne, jeżli po łacinie umie: et voluisse sat est. Nasze towarzystwo muzyczne, mimo wszelkie krzątania się koło niego, jest dopiero w zaczątku; brakuje wcale niemało: dostatecznych funduszów i dyrektora szko-

ły muzycznéj. Tymczasem wyręczamy się zaimprowizowanym dyrektorem, organistą tutejszego kościoła protestanckiego. Są zdania, że celem towarzystwa najbliższym powinno być wykształcenie dobrych organistów. Są inne liczniejsze, że rzecz muzyki nie na samych tylko organistach stoi, że obudzenie smaku, zamiłowania i upowszechnienia téj sztuki, wykształcenie kilku lub kilkunastu talentów znakomitych, z którychby i świątynie pańskie i teatr i publiczność miały pożytek, mogłoby bardziéj zachęcić kraj do wspierania towarzystwa muzycznego składkami pieniężnemi, a postawienie odrazu na czele szkoły człowieka mającego imie w muzykalnym świecie niepowszednie, przyniosłoby prędzéj wzrost towarzystwu i sztuce. Nie orzekamy nic; rzecz zdaje się z siebie jasna. Lękamy się tylko, byśmy rzecz muzyki nieoddali na experymenta, bo w tych zwykle niema rękojmi pewności.

Z *Gazety lwowskiéj* wiecie już o posiedzeniach towarzystwa agronomicznego, na których z upłynionego półrocza złożono sprawozdanie i przystąpiono do 1go wylosowania akcyj dwunastu ze złożonych przy zawiązaniu się towarzystwa; w tymto czasie zawarowane było akcyonaryuszom prawo wylosowania akcyj i wypłacenia tychże bez procentu. Dodam tu jeszcze, że na posiedzeniach tychże, członek komitetu p. Kraiński odczytał rozprawę o sposobach wyrabiania cegieł, i uczynił wniosek, aby sprowadzić z Belgii strycharza któryby nauczył wyrabiać i wypalać cegłę kamiennym węglem na sposób tameczny. Wyrabianie to daleko jest tańsze niżeli u nas. Kiedy bowiem w Belgii tysiąc cegieł kosztuje 8 do 9 franków czyli 3 fl. 12 kr. do 3 fl. 36 kr. m. k., u nas tysiąc cegieł kosztuje 14 fl. do 18 fl. m. k.. Na sprowadzenie strycharza towarzystwo wotowało koszta. W krótce nadejdzie także maszyna zamówiona przez tow: agronom., służąca do ułatwienia wyrobu cegieł przez użycie siły cisnącéj, tak do uformowania cegły, jakoteż do wyciśnienia z niéj wilgoci. Nowa ta metoda okazuje zysk na czasie, potrzebnym do wysuszenia i wypalenia cegły, na siłach do wyrobienia tejże użytych i na kosztach łożonych na wypalenie cegły, stawianie pieców i cegielni. Jak wiadomo, według dawnéj naszéj metody kopanie gliny, rozmiękczanie jéj wodą, tratowanie i wy-

rabianie, wymaga pracy kilkunastudniowéj, a na samo suszenie cegły 8 do 12 dni; za pomocą zaś maszyny cisnącéj, w którą kładzie się świeżo dobyta glina, bez wszelkiego przerabiania tejże wprzód, cegła od razu przybiera formę zwykłą i uwalnia się od wilgoci do tego stopnia, iż tylko dzień jeden lub dwa potrzebuje, by wyschnąć zupełnie. Wypalenie węglem odbywa się nie w piecach stawianych, lecz przez ułożenie samych cegieł w pewien sposób, dogodny zupełnemu wypaleniu; podobnież suszenie jéj nie wymaga osobnych budynków cegielnianych. Łatwo ztąd pojąć taniość cegły belgijskiéj, porównawszy czas, koszta i siły łożone obustronnie.

Kwestya oświetlania miasta gazem, częściéj u nas wznawiana, przyszła nareszcie do skutecznego rozwiązania. Miasto Lwów zawarło kontrakt z panem Unruh pełnomocnikiem towarzystwa trudniącego się tego rodzaju przedsiebiorstwami, a nazywającego się: *Dessauer-deutsche-Continental-Gas-Beleuchtungs-Gesellschaft*. Punkta główne kontraktu są: 1. towarzystwo obowięzuje się oświetlać miasto właściwe a na przedmieściach ulice otaczające miasto (halicka od kręconych słupów, plac Ferdynanda, ulica wyższa i niższa Karola Ludwika, szeroka, sykstuska, majerowska, frenelowska, jezuicka, grodecka aż do św. Anny, i daléj od kościoła N. P. Maryi śnieżnéj, plac targowicy drzewnéj, wały, ulica pańska, aż do kręconych słupów). 2. Kontrakt zawarty jest na lat 25; potem miastu służy prawo *a*) albo zostawić przywiléj wyłączny temuż towarzystwu na dalsze lat 15; wtedy po upływie tychże wszelkie towarzystwa budynki i przyrządy do oświetlenia potrzebne stają się własnością miasta — *b*) albo miasto po 25 latach może kontrakt rozwiązać, a przyrządy oświetlenia i budynki kupić, płacąc towarzystwu kapitał równy czystemu dochodowi z ostatnich lat dziesięciu, pomnożonemu przez 16.—*c*) albo nareszcie po 25 latach wolno będzie towarzystwu oświetlania wyrabiać gaz i sprzedawać prywatnym, przyczem jednak inne towarzystwa będą przypuszczone do konkurencyi. 3. Miasto płaci za każdy tysiąc stóp sześciennych gazu przy oświetleniu publicznem 5 fl., co wypada przy jednym płomyku zużywającym pięć stóp sześciennych 1 ½ krajcara m. k. na godzinę. Dla

prywatnych wyżéj nad sześć reńskich m. k. towarzystwo niemoże przedawać gazu z obowiązku przyjętego w kontrakcie.

Odpowiedziałem wam na stereotypowe dla listów moich zapytania, jak się bawiemy i co czynimy; pozostaje mi jeszcze kiedy się sposobność zdarza powiedzieć, o czem mówimy i co myślimy. Nader miłe wrażenie w publiczności zrobiła rzecz o emeryturze teatralnéj, ogłoszona w Dodatku do *Gazety lwowskiéj*. Oddawna już dawał się czuć jakiś tajemny głos słuszności w każdéj piersi: że godziłoby się też pomyśleć o przykrem położeniu w późnym wieku tych, którzy służąc sztuce myśleli przez całe życie o tém, by nam na scenie sprawić chwile przyjemne. Odgadł tę, że tak powiem, potrzebę serc naszych Wydział Stanowy starając się usilnie o przyprowadzenie raz do skuku emerytury dla artystów scenicznych, i wdzięczni mu za to nieskończenie jesteśmy. Jeżeli emerytura teatralna jest rzeczywiście nagrodą, którą prócz zwykłego chleba powszedniego, co z kontraktu wynikał, wdzięczny kraj daje za położone zasługi; wtedy ani wątpimy, że nasi dawni artyści takową otrzymają. Warunek, by przy scenie zostali byłby czemś po za zakres nagrody sięgającem; mimo to że pragniemy najmocniéj widzieć na scenie dawnych artystów naszych, i przekonani jesteśmy, że z nich każdy zostałby przy scenie i sztuce, póki mu siły dozwolą, byle tylko stosunek ich do zarządu artystycznego był możliwym. Ale stosunek ten obopólny zawisł od chęci i dokładnego znawstwa sztuki i obowiązków swoich z obu stron. Z któréj zaś strony, brak jest tych warunków, opinia publiczna już dawno rozstrzygnęła. Nie mogę tu pominąć zdania ustalającego się coraz bardziéj, że póki naczelny zarząd artystyczny, któryby stał wyżéj nad dyrekcyą, niebędzie oddany, jak w Wiedniu i w innych stolicach, osobie jednéj lub więcéj z obywateli krajowych, któraby z swego niezawisłego stanowiska pojmując teatr, nie jako folwark do wyzyskiwania na wzór dyrekcyi, lecz jako instytucyę mającą cele i względy wyższe, instytucyę będącą w stosunku pewnym do państwa, do publiczności swojéj, do czasu, jeżeli nie będzie oddany osobie któraby z tego wielostronnego poglądu nadawała ruch kierownictwu sceny, któraby interes dy-

rekcyi i interes artystów, sztuki i instytucyi w państwie zróżnoważyć umiała, któréj imie mogłoby być rekojmią, że wszystko się dla sceny i na scenie czyni, co w dawnych warunkach uczynić można—póki naczelny zarząd teatru nie będzie powierzony takiéj osobie, niepodobna, aby scena mogła pójść lepszą drogą i wszechstronnie zadowolnić. Tak mówią i podobno słusznie mówią.

Wiedeń w lutym.

W przeciągu miesiąca od ostatniego listu, jak wielka w świecie tutejszym zmiana. Koniec karnawału i początek postu, ostatnie tchnienia zimy i pierwsze promyki wiosennego słońca, wspomnienie stóletnie na cześć Mozarta i pełne uniesienia przyjęcie sławnej w dramatycznym zawodzie pani Ristori, oto główne tej zmiany zarysy. Dodajcie do nich coraz żywszy i bardziej zajmujący ruch po ulicach, po sklepach, po przechadzkach publicznych, oraz większy napływ osób przybywających tak z prowincyi jak z zagranicy, i coraz wybitniejsze i rozleglejsze pod natchnieniem ożywiającej nadziei pokoju, życia publicznego w rozmaitych kierunkach rozmiary, a zgodzicie się ze mną, że Wiedeń w tej chwili przedstawia ciekawy i godny widoku obraz. Żałuję, że nie mam malarskiego talentu. Może kiedyś udoskonalony dagerotyp zastąpi pismo, byłby to wynalazek wyborny. Tymczasem poprzestańcie na tych kilku polotnych rysach.

Chcąc zrobić rozkład i ocenienie towarzystwa wiedeńskiego, trzeba je widzieć w rozmaitych porach roku a mianowicie latem i zimą. W zimie a szczególniej podczas karnawału żywioł arystokratyczny panuje wyłącznie na tej widowni. Cały tak nazwany wysoki świat do którego liczą się dyplomaci, znakomici cudzoziemcy, spisany jest na jednej liście i krąży w jedném i tém samém kole zabaw. Tłem czyli gruntem tego towarzystwa, jest kilkanaście pierwszych rodzin cesarstwa, a polem zebrania i popisu, kilka wspaniałych salonów. Dwór stoi na czele. Lecz z tradycyi i z potrzeby ma podwójne do zetknięcia się ze światem zewnę-

trznym wrota. Na balach pokojowych (Kammerbal) których tego karnawału było dwa w prywatnych salonach NN. Państwa, znajdowały się i znajdować tylko mogły najpierwsze zwłaszcza co do dam, imiona. Na balach dworskich (Hofbal) a taki mieliśmy jeden, widzieć zwykle można wszystko to, co do Dworu należy i z Dworem się łączy, lub co w świecie urzędowym odpowiednie temu zaszczytowi zajmuje miejsce. Na pierwszych balach bywa tylko dyplomacya tańcująca. Tej zimy znajdowali się na nich pan Manteuffel, jako gość polityczny i bar. Lerchenfeld poseł bawarski, jako reprezentant familijny. Na balach dworskich występują wszystkie zagraniczne poselstwa, i każdy z członków ma zaszczyt osobistego NN. Państwu przedstawienia się. O tańcu na tych ostatnich balach mało być może mowy, gdyż ścisk jest zwykle ogromny. Przeciwnie, bale pokojowe są pełne życia, blasku i prawdziwej swobody. N. Pani nie tańczyła na nich z powodu błogiego stanu, w którym się znajduje. Cesarz i Arcyksiążęta byli w ciągłym ruchu. Kto widział jeden z tych balów, ten znalazł następnie to samo towarzystwo we wszystkich pierwszych czyli arystokratycznych salonach. Karnawał wysokiego świata w Wiedniu, jest to więc że tak powiem monopol złożony w ręku kilkunastu spokrewnionych z sobą, majątkiem i nazwiskiem uprzywilejowanych rodzin. Śmierć lub choroba jednego z członków tej świetnej drużyny, wystarcza, jak mieliśmy tego dowód z zgonem Landgrafa Fürstenberga, do pokrycia familijną żałobą dwudziestu najpierwszych domów i do sprowadzenia w najdalsze tego świata zakątki, ponurej, grobowéj ciszy.

Prawdziwy więc karnawał, to jest karnawał arystokratycznego świata, skończył się tego roku smutno. Żałoba pochłonąwszy już zapowiedziane bale u księstwa Lichtenstein, u margrab. Pallavicini, u księstwa Trautmannsdorf i t. d., rozciągnęła swe czarne skrzydła aż do teatrów i do Prateru. W łożach należących do tych rodzin i w powozach, odbija się ona tak pilnie, iż jest prawie niezaprzeczoną oznaką w tym przynajmniej zakresie, przewagi żywiołu arystokratycznego w Wiedniu.

Stany mieszczański i rzemieślniczy, które zimą kryją się z musu po domowych zaciszach lub ukazują się tylko na publicznych i za mały pieniądz przystępnych

zabawach, miały mniejszy w ruchu teraźniejszego karnawału udział, niż w ostatnich latach. Przyczyną tego była niesłychana i uporczywa drożyzna. Wszakże bal dany przez miasto w sali redutowej i tak nazwane bale piknikowe, były dość liczne i świetne pod względem strojów. Na jednym z nich brylanty panny Elsler wywołały powszechne podziwienie. Urok Straussa gromadził tej zimy dość liczne zastępy tancerzy i tancerek w rozmaitych salach publicznych w mieście i po przedmieściach. Strauss odziedziczył po ojcu swym talent i miłość wiedeńskiego ludu. Jest to skrzypek, artysta i kompozytor prawdziwie narodowy. Gdziekolwiek gra, może być pewnym tłumu słuchaczy i rzęsistych oklasków. Do tańca jest porywającym. Jak zwykle wspaniała sala w *Sophien-Bad*, była i tego roku głównem polem tryumfów Straussa. Ostatni odgłos jego zachwycających tonów, słyszeliśmy z ostatniem tchnieniem karnawału na balu maskowym w sali redutowéj. Od tej chwili, Wiedeń głuchy, żyje postem, skruchą i pokutą. Możem powiedział za wiele. W wielkich miastach życie wewnętrzne, domowe, ukryte, jest najtrudniejszem do ocenienia. Słyszę wieczorami tu i owdzie dźwięk muzyki i nawet pląsy tancerne — lecz ze szczegółów nie można sądzić o ogóle. Wszakże zdaje mi się, że duch religijny mniej tu jest demonstracyjnym jak np. w Paryżu. Wyjąwszy dni świąteczne, kościoły tu są mniej uczęszczane. Nie wiem coby było, gdyby się zjawił jaki Ravignan lub jaki Lacordaire! W Paryżu *le Carême* ma swoją historyę. Tutaj żyje z dnia na dzień, i są dni: w których nie znać wcale postu.

Ale za to męczy się ludność wiedeńska, rozmaitego rodzaju passyami muzykalnemi. Koncertów co nie miara: a na każdym muzyki klassycznej, głębokiej, usypiającej, bez końca. Artyści i artystki, wszystko co gra, śpiewa, słucha i poziewa, żyje przez te kilka tygodni symfoniami, kantatami, andantami, scherzami, sonatami Beethowena, Webera, Haydna, Mozarta! Wspaniały orszak, wyborna muzyka. Ale na chléb powszedni za ciężka. Wszakże na wielkie święta, jak np. obchód stóletni na cześć tego ostatniego mistrza, jedyna, nieporównana, i jakby na to tylko stworzona! Wprawdzie miał tego dnia Mozart w Liszcie godnego siebie tłumacza. Orkie-

stra pod sterem tego sławnego artysty, szła wybornie. Było to dla Mozarta prawdziwe, przynajmniej w Wiedniu zmartwychwstanie. Lecz pomimo tego, nikt dotąd nie wie z pewnością, na jakim cmentarzu spoczywają zwłoki tego nieśmiertelnego mistrza.

Od muzyki do tragedyi i od Mozarta do Ristori przejście proste i naturalne. Sławna ta artystka czaruje i zachwyca w téj chwili nasze serca i uszy. Język Alfiego ma w jéj ustach niewyczerpane wdzięku i słodyczy skarby. Tragedya znalazła w jéj grze odcisk pełen siły, życia i prawdy. Ristori jest artystką dramatyczną w całéj rozciągłości tego wyrazu. Postawa szlachetna i wspaniała, twarz regularna prawie piękna, wzrok czarujący magnetycznym pociągiem, organ głosu dźwięczny, giętki, muzykalny, i wszystkie te przymioty połączone w jedną artystyczną całość wrodzonym i starannie wykształconym talentem. Nieporównywam jéj z Rachel, gdyż porównanie to zaprowadziłoby mię za daleko. Lecz obie godne są siebie. Przyjęcie Ristori w pierwszéj tragedyi *Mirra* było elektryczne. Oklaski zmuszały ją nieraz do przerywania swéj roli i na końcu ukazać się musiała trzy czy cztery razy przed zdumioną i zachwyconą publicznością. Cała rodzina cesarska znajdowała się na tem przedstawieniu. Sąd głębszy o tym nadzwyczajnym talencie zostawiam na później.

W *Burgu*, który liczyć się może do najpierwszych scen dramatycznych w Europie, nowo opracowana tragedya „Hrabia Essex" zajmuje liczną publiczność. Jest to praca dyrektora, znanego z swych dzieł dawniejszych poety i pisarza p. Laube, któremu teatr ten winien istotnie swe artystyczne odrodzenie.

Inne teatra jako to: *Carltheater*, *Wieden* i *Josephstadttheater*, żyją małemi i nie wiele ważącemi krotochwilami. Dramat i komedya prawdziwie ludowe jeszcze oczekują w Austryi swych twórców!

Kończę ten krótki przegląd doniesieniem, że znakomity pisarz i bibliotekarz w ministerium spraw wewnętrznych P. de Wurzbach, wydał nowe statystyczne dzieło o płodach literackich z przeszłego roku w Austryi, w którem między innemi, mówi z wielkiemi pochwałami o *Podróży na Wschód* naszego zasłużonego współpracownika M. Manna.

Poznań w lutym.

Trudno mi w tym roku zwiastować ztąd co wesołego, a nawet zaczynać od czego innego jak od biedy, bo za każdym krokiem o nią naprzód potrącić trzeba. Dość pocieszającą w tym względzie rzeczą, iż w ciągu tych czterech ubiegłych tygodni od zeszłego listu mego kronikarskiego, nie gorzéj szło jak poprzednio, a to nazwę już postępem. Spadek cen żywności, łagodna zima, a przedewszystkiem dobroczynne usiłowania tamują wzrost nędzy i niedozwalają upadać na duchu, co wielką bywa pomocą w panowaniu nad sobą i fizyczne nawet siły podtrzymuje.

Ale dobroczynność i inne ma u nas zasługi, bo się przyczyniła do ożywienia karnawału. Gdyby nie ona, nie wiedzianoby w mieście naszem o zabawach, a to pomimo dość licznego zjazdu obywatelstwa wiejskiego. Z łaski jéj mieliśmy cztery bale publiczne w Bazarze, na których się ograniczyły niemal wszystkie zabawy tegoroczne. Bale takie nieprzykładają się wszakże bynajmniéj do ożywienia towarzyskiego ruchu, bo pomijając tę dobrą ich stronę, że się jaki taki zbierze z nich dochód dla ubogich, cóż przyczynić się może do ożywienia społeczeństwa, że gdzie się zbiorą ludzie nie znający się z sobą, lub znający się z widzenia? co może obudzić wesołość, że ten i ów poskacze, kiedy prawdziwéj ochoty nie znajdzie nigdzie, a tem mniéj w tych na kilka godzin zwołanych zebraniach. Młodzież nie znalazłszy zaspokojenia w tym machinalnym obrocie wprowadzonym w ruch muzyką jakby siłą pary, szuka dla siebie innych zajęć. Brak zebrań wieczornych po domach przyjacielskich, każe jéj spędzać wieczory tam gdzie umysłu ani serca nie zagrzeje, ale tylko namiętność brudną roznieca, i zkąd z czczem sercem a próżną wraca kieszenią.

Dwa razy tylko w ciągu tego czasu była sposobność zebrania się licznie i w celach poważniejszych, zkąd milsze uniosły się wspomnienia. Pierwszem był obrzęd żałobny za duszę Mickiewicza, w którym całe miasto i po części kraj cały w najzacniejszych swych członkach reprezentowany, tudzież miejscowe duchowieństwo z arcypasterzem na czele udział miało. Ksiądz Prusinowski wymownemi słowy przemówił do słuchaczy, i niezmier-

nie ich wzruszył. Niebył to głos surowéj prawdy i nauki jakiéj się niektórzy przy tym wielkim grobie spodziewali, ale raczéj jęk boleści, jeremiaszowa skarga, tak rozdzierająca jakby w niéj się skupiały wszystkie uczucia milionów. Ani powtórzyć téj mowy, ani nawet głównych jéj ustępów podać tu niepodobna, wszystko cokolwiekbym tu z niéj przytoczył, byłoby tylko mdłym odblaskiem téj płomienistéj wymowy, która niezatarte na umysłach wszystkich obecnych sprawić powinna była wrażenie — i sprawić zapewne musiała, inaczéj bowiem, smutny byłby to dla obojętnych horoskop. Mowa ta pogrzebowa drukiem ogłoszoną będzie.

Drugie zebranie całkiem od poprzedniego różne, wielce zadowolniło poważniejsze w kraju umysły. Było to zebranie towarzystwa agronomicznego w Gostyniu, na które liczne zjechało obywatelstwo. Rozprawy i dyskussye prowadzone były z taką gruntownością, sumiennością i prawdziwem zamiłowaniem przedmiotu, iż zapowiada to pomyślne dla rolnictwa krajowego owoce, gdzie z taką rozwagą i pilnością przemyśliwa się nad poprawą téj największéj gałęzi gospodarstwa krajowego.

Ruch literacki zwykle bardzo u nas słaby, oprócz znanych wam czasopism i sumiennego wydania p. Rymarkiewicza „Pism Kaspra Miaskowskiego" wyszłych jeszcze przed końcem roku upłynionego, ogranicza się na wydawnictwie hr. Działyńskiego. Któż w kraju nie wie jak bogate skarby dawnéj literatury naszéj z niezmordowaną pracą i szczodrą ręką udziela narodowi zasłużony ten mecenas?

Składka na dzieci Mickiewicza rośnie wciąż lubo powoli, a grosz wdowi zebrany w Księstwie słabym wprawdzie jest tłumaczem uczuć naszych dla wielkiego męża, które choćby dzieciom jego odpłacić należało.

Berlin w lutym.

„Ile czasu potrzeba, aby poznać Berlin? Ale poznać z gruntu, z duszą i z ciałem, od stóp do głów, żywy i martwy, świetny i zwyczajny, uczony, literacki, artystyczny, przemysłowy, kupiecki, wojskowy, cywilny, pra-

cujący, próżnujący, jedzący, pijący, spacerujący, bawiący się“? Takiém pytaniem, jednym tchem wyrzeczoném, zagadł mię zeszłego lata pewien z gorąco kąpanych rodaków, który spieszył na wystawę paryzką, a mając do domu inną wracać drogą, pragnął korzystać z przejazdu swego przez stolicę pruską, i nie wysiadając prawie z wagonu, *à la Kohl*, poznać ją od razu na wylot. „Dwadzieścia cztéry godzin“, odpowiedziałem, „jeżeli chcesz poznać wszystko o czém wspominasz; dziesięć razy tyle, jeśli chcesz poznać tylko cząstkę tego“. — „Wszystko, wszystko“, odrzekł tłumacząc się. „Bo to widzisz, człowiek teraz, gdy wybierze się w podróż, jest jak bomba, która silnym nabojem wyrzucona z moździerza zdąża wprost do celu, szumem tylko w powietrzu znacząc przestrzeń, którą przebiega. Albo, jeśli ci się porównanie to nie podoba, jest jak bocian, który w wiosennéj wędrówce swojéj do północnych krajów, dla żeru tylko to tu, to tam się zatrzymuje, i dopiero u celu jéj na dobre się rozgaszcza“. Tłumaczenie sprzeczne było z życzeniem, ale z obu wypływał wniosek, że podróżny rodak znał wartość pary i wiedział, że w jednym miesiącu można zwiedzić połowę Europy. Czy poznać? to rzecz inna, o to mu nie chodziło, równie jak stu innym; źle się tylko wyraził, co także nic dziwnego, bo dzisiaj słowa: widzieć i znać, biorą się za jednoznaczne. Wchodząc zatém w myśl jego: Masz zupełną racyą — rzekłem — tak dziś cały świat podróżuje. Dwadzieścia cztéry godzin wystarczy więcéj niż potrzeba, abyś poznał stolicę pruską, czy to jak bomba zechcesz w niéj poszumieć, czy jak bocian żeru poszukać. Możesz nawet połączyć jedno z drugiém. Berlin jest podczas lata miastem tak cichém, tak jednostajném, tak pustém, że chcąc zwrócić na siebie oczy, potrzeba ci tylko w rozmowie podnieść głos o jeden ton wyżéj; wypić w cukierni przed obiadem kieliszek absyntu albo genièvre, to jest po naszemu piołunówki albo jałówcówki, duszkiem; zmęczyć przy stole w dwóch dwie lub trzy butelki szampana; wybrać się na przechadzkę w innym trochę jak drudzy ubiorze; wyciągnąć w doróżce nogi na tylne siedzenie; zatrzymać na głowie kapelusz w cukierni, kawiarni lub restauracyi; wołać na głos kelnerów lub łająć za złą usługę lub przyniesione rzeczy;

dawać im za to sowite tryngielty, rzucając z pańską miną pieniądz na stół; częstować szampanem w publicznych ogrodach orkiestrę za każdą dobrze odegraną sztuczkę, jak to lata jednego z wielkiém gapiącéj się publiczności podziwieniem czynił w czasie pobytu swego jakiś rossyjski oryginał czy entuzyasta; rozmawiać z sąsiadem lub nucić sobie pod nosem w czasie przedstawienia scenicznego lub wykonania koncertu, i t.d., i t.d. Wszystko to sprawi efekt, wszystko to da powód do dowiadywania się, ktoś ty taki? Możesz być pewnym, że za chwilę wiedzieć będą, że jesteś „*ein polnischer Graf*“, albo „*ein russischer Fuerst*“. Znaczy to zwykle tyle, co „*ein halber Barbar*“; ale ty się tém nie frasuj, rób co ci przyjdzie do głowy, cywilizacya czapkować będzie przed tobą, możesz ją nawet policzkować—byleś tylko płacił, tak jak na grafa lub księcia przystało.

Taką wziąwszy przestrogę, puść się śmiało na zbadanie fizyologii Berlina; a że do tego 24 godzin wystarczy, oto rozkład czasu i spis przedmiotów, które cię zajmować będą, w porządku, w jakim ci je wyliczam. Mieszkasz przy ulicy „pod Lipámi“. Tam i na kilku przybocznych placach i ulicach, znajdziesz wszystko co Berlin ma osobliwego i co go charakteryzuje. Powozu więc nie potrzebujesz; będziesz chodził pieszo jak bocian gdy szuka żeru. *Principium a Jove.* Od 7—7$^1/_2$ msza w kościele katolickim. Kościół budowany w stylu Panteonu, za panowania Fryderyka II, na wstawienie się Krasickiego ówczas biskupa warmińskiego, nosi imię kościoła ś. Jadwigi, liczy się do najpiękniejszych w Berlinie. Obecnie stawia się drugi kościół katolicki kosztem gminy, dobroczynnością ludzi prywatnych a przedewszystkiém N. Pana, za którego rządów stanęło około 15 nowych kościołów w Berlinie. Od 7$^1/_2$—8 *Gensdarmenmarkt.* Jest to największy i najpiękniejszy rynek w Berlinie; na nim dwa kościoły, w stylu kościołów na *Piazza del Popolo*, ale tylko wieże, bo kościoły same to budy lub szopy, bez żadnego stylu i smaku, bez najmniejszéj z wieżami harmonii, późniejsze przystawki, wieże zaś przez Fryderyka II wybudowane. Pomiędzy niemi wspaniały gmach *Schauspielhaus*, w nim prześliczna w architektonicznym względzie sala koncertowa. Od 8—8$^1/_2$ *Werderscher Markt.* Na nim *Werdersche Kirche* w stylu

gotyckim, z wielką pretensyą a małym efektem, jak wiara naszego wieku, głośna słowy a drobna uczynkami. Z drugiéj strony rynku Mennica, z płaskorzeźbami Szadowa. Naprzeciwko wielki i pyszny Bazar mód i strojów braci Gersonów. Kilkanaście kroków daléj Akademia budownictwa, wystawiona za przeszłego króla według planu sławnego architekta Schinkla, niemasz w niéj gwoździa, coby nie był wbity na model; efekt zewnętrzny: ogromny czworoboczny trzypiętrowy magazyn lub spichlerz, zwłaszcza że stoi nad wodą. Na dole piękne sklepy. Od $8^1/_2$—9 *Schlossplatz*. Pyszne sklepy z dwóch stron, po trzeciéj Zamek królewski, po czwartéj rzeka Sprewa, na niéj most, przez który idzie się do starego miasta, pierwotnéj rezydencyi kurfirstów brandenburskich; tam jest magistrat, sąd miejski, policya, poczta, tam środek handlu i ruch największy; główna ulica *Königsstrasse*, poczynająca się od mostu na którym stoi najpiękniejszy w całym Berlinie bronzowy konny posąg Wielkiego Kurfirsta, dzieło Schluetera z r. 1703. Posągowi temu nic nie braknie, tylko większego piedestału historycznego; wtedy i czteréj skowani w łańcuchy olbrzymi, siedzący u stóp posągu z ponurém, surowém, męskiém, smutném wejrzeniem, mieliby odpowiedniejsze znaczenie. Od 9—10 *Königliches Schloss*, królewski Zamek. Budowa jego ciągnęła się od 1442 do 1716 r. Gmach nadzwyczajnéj wspaniałości, z dwoma ogromnemi dziedzińcami, o trzech piętrach. Teraźniejszy król wzniósł ponad głównym wjazdem olbrzymią kopułę, która nadwerężyła pierwotną tak wspaniałą i symetryczną prostotę stylu. Wewnątrz najciekawszemi są do widzenia: sala z galeryą wyborowych obrazów, sala biała, w któréj się zagajają sejmy, odprawiają wielkie uroczystości, festyny i bale, oraz nowa, w bizantyńskim stylu wybudowana i przepysznie dekorowana kaplica w pomienionéj kopule. Przed środkową bramą zamku od strony placu *Lustgarten* stoją na granitowych piedestałach dwie kolosalne bronzowe grupy, przedstawiające dzikie konie prowadzone i wstrzymywane przez równie dzikich ujeżdżaczy — dzieło Clota, dar Cesarza Mikołaja. Dowcip berliński upatrzył, że wyobrażony jest w nich „*der gehemmte Fortschritt und der beförderte Rückschritt*“.

Od 10—$10^1/_2$. Chwila odpoczynku w cukierni Jostego

na *Schlossplatz*. Tam najlepszy w całém mieście bulion i pasztety, wyborne ciasta i karmelki, dzienniki z wszystkich stron świata, publiczność bankierska i wojskowa, kawalerska i damska.

Od 10½—11½. Plac *Lustgarten*, otoczony z jednéj strony zamkiem, z drugiéj katedrą protestancką, z trzeciéj muzeum, z czwartéj kanałem Sprewy z mostem zamkowym. Plac drzewkami i trawnikami upiękniony, w środku wodotrysk pędzony siłą pary, przed muzeum kolosalna 1500 centnarów ważąca granitowa waza z jednéj sztuki. Z placu widok majestatyczny ku „Lipom“ przez całą długość ich aż ku Bramie brandenburskiéj, nad którą, jakby w powietrzu unosi się Wiktorya. Katedra, w któréj groby królów, bez architektonicznéj wartości; około niéj początki budowli nowéj, przerwanéj dla braku funduszów w 1848 r. Plan do niéj ogromny, z dołączeniem *Campo santo*, do którego Cornelius robi kartony fresków. Muzeum stare, zbudowane za przeszłego króla, dzieło Schinkla, styl grecki, z kolonadą w całéj szerokości od frontu, na którym freski przedstawiające mitologiczne stworzenie nieba i ziemi. Dowcip berliński mówi, że to policya wypędza kobiety publiczne z miasta. Wewnątrz mieszczą się pomniki starożytnéj rzeźby i galerya obrazów; w suterenach zbiór waz etruskich, medalów i numizmatów. Od 11½—12 parada wojskowa przed głównym odwachem. Od 12—1 Muzeum nowe, połączone portykiem prowadzącym przez ulicę ze starém, wystawione za teraźniejszego króla z wielkim przepychem, wewnątrz jeszcze niezupełnie urządzone. W nim cała historya sztuki w pomnikach. Na dole muzeum egipskie i pogańskie europejskie, na pierwszém piętrze odlewy gipsowe arcydzieł sztuki rzeźbiarskiéj greckiéj, rzymskiéj, chrześciańskiéj, na drugiém zbiory sztuki rytowniczéj, snycerskiéj, złotniczéj i t. d., oraz różne osobliwości etnograficzne; wszystkie ściany pełne fresków, najpiękniejsze Kaulbacha na obu ścianach wielkich środkowych schodów, przedstawiające sześć wielkich epok historycznych: rozproszenie narodów, świetność Grecyi, zburzenie Jerozolimy przez Tytusa, walka Hunnów, wojny krzyżowe, reformacya.

Powracając z muzeum przechodzić będziesz około giełdy, tuż przy muzeum położonéj: budynek nędzny,

niegodny stołecznego miasta. Giełda właśnie o godzinie 1éj zebrana, tłum wielki zobaczysz przed budynkiem, na dziedzińczyku obwiedzionym łańcuchem. Będzieszli chciał poznać jéj fizyonomią, zbliż się nieco i krzyknij: „Wolf!“ a obróci się trzecia część graczów giełdowych; krzykniesz znowu: „Hirsch!“ obróci się połowa; krzykniesz po raz trzeci: „Meyer!“ obróci się reszta, i nie będzie nikogo, któregobyś fizyonomii nie zobaczył. — Od 1—2½ będziesz oglądał wszystko co się znajduje na placach *Opernhausplatz* i *Friedrichsplatz:* arsenał, jeden z najpiękniejszych budynków w Berlinie, wystawiony za pierwszego króla pruskiego 1706 r., dzieło architekta Jean de Rodt; komendanturę, przed niemi most zamkowy, zbudowany za przeszłego króla, na nim na granitowych i marmurowych piedestałach sześć grup alegorycznych z kararyjskiego marmuru, wyobrażających różne chwile wojenne w osobach Minerwy, Wiktoryi i młodych wojowników. Zbytnia nagość postaci dała powód dowcipowi berlińskiemu do nazywania każdego trochę nieprzyzwoitego ubrania „*Schlossbrücken-Costüm*“. Daléj idąc zobaczysz pałac zmarłego króla, naprzeciwko niego główny odwach, po obu jego stronach posągi marmurowe generałów Scharnhorsta i Buelowa, pamiętnych bitwami pod Grossbeeren i Denewitz, naprzeciwko posągi bronzowe generałów wsławionych w francuzkiéj wojnie, Bluechera, Yorka i Gneisenaua, wszystkie wykonania Raucha; daléj po jednéj stronie uniwersytet z muzeami zoologicznem, mineralogicznem, anatomicznem, w tyle z ogródkiem botanicznym do podręcznego profesorów użycia; z boku akademia śpiewu i ministeryum finansów; naprzeciw uniwersytetu dom opery w stylu greckim z pysznemi salami i ogromną sceną; w głębi kościół katolicki, w przekątnią biblioteka królewska z napisem: *nutrimentum spiritus,* danym przez Fryderyka W. Gdy mu zwrócono uwagę, że to nie po łacinie: „To mię nie obchodzi, *so will ich's haben*“. Biblioteka ma kształt pałąkowatéj staroświeckiéj komody, z któréj ku stronie uniwersytetu wysuwa się jak szufladka, więcéj gustowny niż wspaniały, bo głównie w podwórze wbudowany, wewnątrz prześlicznie urządzony, pałac Księcia Pruskiego. Przed nim wystawiony przez teraźniejszego króla kolosalny bronzowy, na ogromnym a zbyt wysokim, także

bronzowym piedestale, podniesiony za nadto od ziemi posąg Fryderyka W. z wielu grupami i wypukło- i płaskorzeźbami, dzieło Raucha. Z całego posągu najlepiéj widać brzuch konia. Trzeba się znacznie oddalić, aby dobrze zobaczyć siedzącą na ogromnym koniu w znaném historyczném ubraniu i kapeluszu osobę i twarz króla. Figury Leibnitza i Kanta umieszczone pod ogonem konia. Odtąd zaczyna się ulica „Pod Lipami“, 1600 kroków długa, 72 szeroka, czterema rzędami lip wysadzona, główna promenada Berlińczyków, miejsce ruchu świata eleganckiego, mianowicie w godzinie przedobiadowéj, w ktoréj się właśnie i ty znajdujesz. Na przecięciu *Friedriechs-strasse* najdłuższéj w Berlinie, bo 10,200 stóp długiéj, znajduje się cukiernia Kranzlera, sławna z wyśmienitych lodów. Tam spocznij na estradzie otaczającéj dom i przypatrz się pieszo, konno, w powozie promenującéj publiczności. To zrobiwszy, możesz pójść na obiad, albo do restauracyi któréj, chcąc jeść *à la carte*, albo do hotelu, jeżeli wolisz jeść *table d'hôte*. Pierwszego rzędu jedne i drugie znajdziesz pod Lipami, wszędzie mniéj więcéj za tę samą cenę, stosunkowo do innych stolic tanio a dobrze. Jada się najczęściéj *table d' hôte*, a ten najlepszy w hotelu Murchardta, w którym stoisz, kosztuje bez wina 4 złp. Inne hotele pierwszego rzędu, wszystkie pod Lipami są: *Du Nord*, *Rôme*, *St. Petersbourg*, *Arnima*, *British-Hôtel*, *Hôtel Royal*, *Hôtel de Russie* przy moście zamkowym. Obiad *à la carte* najlepszy u Tretza w domu Kranzlera cukierni. Godzina obiadowa zwyczajna od 3—5. Przy obiedzie poznać możesz różne ciekawe osób egzemplarze, jedząc w towarzystwie z jakim znajomym miasta rodakiem. Kawę wypijesz przy stole, dymiąc cygaro kupione w sklepie Gerolda pod Lipami, a jako obcy pójdziesz lepiéj do któréj z cukierni, np. do cukierni Spargnapagniego, bo tam kawa najlepsza. Spargnapagni był dawniéj we Lwowie, przeniósł się przed kilkunastu laty do Berlina. Napis polski na drzwiach „Cukiernia“ przywabił najprzód Polaków, za Polakami Francuzów, za Francuzami Szwajcarów i Włochów, za Włochami Greków i Rosyan, na ostatku i Niemców. Dzienniki całego świata krążą z rąk do rąk. Jest między niemi i drobny bibułowy *Kuryer Warszawski*, i polskiemi czcionkami drukowana *Gazeta W. Ks.*

Poznańskiego, i dumnie pomiędzy *Timesem* i *Debatami* rozpościerający się krakowski *Czas*. U Spargnapagniego jest, prócz polskiéj kawy, wyborny poncz, przedziwne kwaskowe karmelki, pulchne ponczki, i na zaostrzenie apetytu przed obiadem doskonała wódka, która się zowie „kontuszówka."

Wyszedłszy od Spargnapagniego o godzinie 5téj, udasz się, idąc pod Lipami ku bramie brandenburskiéj. Po drodze ujrzysz pyszny pałac poselstwa rosyjskiego, jedynego, które zamieszkało stale na własnym gruncie pod Lipami; ujrzysz ministeryum spraw wewnętrznych i policyi, ministeryum oświecenia, szkołę artyleryi; rzucisz okiem w przyboczną Wilhelmowską ulicę, gdzie są gmachy innych ministeryów, pałace książąt, hotele poselstw zagranicznych; jest to ulica czysto arystokratyczna, na któréj niema żadnych sklepów, gdy przeciwnie pod Lipami namnożyło ich się od niewielu lat bez liku. Staniesz nareszcie na placu paryzkim, zamkniętym bramą Brandenburską, zbudowaną w stylu propyleów ateńskich, z kolosalną Wiktoryą na szczycie, jadącą na tryumfalnym czworokonnym wozie— bogini, wóz i konie z bronzu. Dawniéj Wiktorya wyjeżdżała z miasta, obrócona twarzą ku zachodowi. Francuzi zrozumieli znaczenie to, ułatwili jéj podróż i zaprowadzili do Paryża. Na nieszczęście wszystkie Wiktorye francuzkie opuściły ulubieńca swego Napoleona I, Wiktorya pruska nudziła się bez towarzystwa, zabrała się i powróciła na swoję brandenburską bramę, odtąd na niéj stoi, ale obrócona ku wschodowi. Ciekawy jestem, jak się postawi, gdyby zaprowadzona przypadkiem do Moskwy, znowu ztamtąd wróciła do Berlina?

Za bramą znajduje się tuż przy murach miasta park, zwany zwierzyńcem, *Thiergarten*, chociaż zwierzyny dziś w nim nie ma; samorodny, stary, gęsty las rożnego drzewa, sztuką ślicznie upiększony przez królewskiego ogrodnika Lenée, i bardzo troskliwie utrzymywany. Podobnéj promenady nie ma podobno żadna inna stolica. Na południowéj stronie znajduje się mnóstwo najgustowniejszych will, weźmiesz przy bramie dorożkę i każesz się obwieść około nich. Mógłbyś nawet dojechać do ogrodu zoologicznego, leżącego w głębi zachodniéj strony parku, ale czasby ci nie wystarczył na zobaczenie

rzeczy ciekawszych. Uspakajam cię w tym punkcie następującą anegdotą. Żydek z prowincyi przyjechał do Berlina i spieszył ulicą pod Lipami w samę południową godzinę ku bramie brandenburskiéj. Spotkał go znajomy rodak berliński, i zatrzymawszy zapytał: „Dokąd to tak spieszysz Mośku?—“ „Do zoologicznego ogrodu, odpowiedział, jakżeby nie widzieć zoologicznego ogrodu, przybywszy do Berlina?“ Na co pierwszy: „Głupiś, pójdź zemną lepiéj na giełdę, co ci po zoologicznym ogrodzie? *Wolf Hirsch heisste, Floehe Laeuse haste, Schweinhund biste, da haste den ganzen zoologischen Garten*, i pociągnął Mośka za sobą na giełdę. Zamiast do zoologicznego ogrodu, każesz się więc powieść do *Wintergarten* Krolla. Ujrzysz gmach nader wspaniały, z trzema ogromnemi salami, masą pokojów i tunelem. Usłyszysz wyborny koncert, popatrzysz na farsy letniego teatru, zobaczysz piękności berlińskie, dowiesz się siadłszy na fotelu, ile funtów więcéj ważysz po obiedzie, popróbujesz sił swoich dźwigając ciężary lub uderzając maczugą w siłomiar, nastrzelasz się z wiatrówek lub z łuków do celu, do synów Tella, do asów, do serca Pepity, i t. d. wyciągniesz los na loteryą, a z których każdy wygrywa, pograsz w bilard lub ruletę w tunelu, napijesz się w końcu *weissbieru* lub *bawara*, i w miłem odurzeniu wrócisz dorożką do hotelu.

Godzina 6¼. Zabierzesz lornetkę i pójdziesz na operę do *Opernhausu*. Będziesz przechodził koło akademii sztuk pięknych i umiejętności. Tam nad bramą zobaczysz zegar astronomiczny, widomy nawet nocą. Według niego regulują się wszystkie zegary w Berlinie. Nastaw i ty swój, abyś się jutro na koléj nie spóźnił. Opera zaczyna się o 6½. Zobaczysz przepyszną salę i scenę, usłyszysz majestatyczną głosem i osobą pannę Wagner, a obok niéj z pogruchotanym organem i zwiędłemi rysami śpiewaków i śpiewaczki angażowane podobnie jak baletniczki, na całe życie. Za to orkiestrą ucieszysz się na długie czasy.— Po teatrze pójdziesz, jeżliś lubownikiem czokolady, do cukierni d'Heureuse pod Lipami, jeżliś zaś lubownikiem herbaty, do cukierni Fuchsa, tamże. Zastaniesz towarzystwo wszystkich narodów, mianowicie Polaków, których poznasz po nieco głośniejszém mówieniu. Będzie godzina 11. A więc koniec piel-

grzymki. Pozostaje dość czasu na spoczynek. *A propos*, czy jesteś żonaty?—A to czemu?— Bo stósownie do tego pójdziesz albo na spoczynek, albo tam, gdzie kwitnie drzewo wiadomości dobrego i złego. Bywaj zdrów! szczęśliwéj drogi!— Kto mi nazajutrz przyszedł powiedzieć dzień dobry? Szanowny rodak mój, któremu bociani żywot tak zasmakował w Berlinie, że zamiast 24 godzin, trzy razy tak długo zabawił.

Drezno w lutym.

Powiadają, że pomiędzy ranionymi francuzami przy szturmie do Sebastopolu, znajdował się jeden żołnierz, z professyi skrzypek, któremu karabinowa kula strzaskała kolano. Lekarz pułkowy wziął się zaraz do amputacyi i podług zwyczaju zaczął rozwijać rzemienie — „Co wacpan myślisz robić?“ krzyknął na niego kaleka. — „Chcę cię związać, żebyś leżał spokojnie“ — „Związać? ani mi się waż; prędzej mi wydrzerz serce z piersi, niż tego dokażesz. Podaj mi skrzypce i rżnij!“— Operacya trwała pół godziny, a przez cały ten czas chory grał na skrzypcach nie zmyliwszy ani jednej nóty. Oto mi bohater nieustraszony w nieszczęściu! Któż kiedy pokazał dobitniej, co to jest: *faire bonne mine à mauvais jeu?* Podobno i ja potrzebuję jego rezygnacyi, żeby w obec usposobień, jakie w nas obudza dziwny obrót dzisiejszych wypadków na świecie, znaleść humor i otuchę do pisania wam z zagranicy samych fraszek. Po przeczytaniu waszej pierwszej *kroniki* w styczniowym *Dodatku*, wziął mnie inny jeszcze skrupuł. W jakże to ja świetnym znalazłem się orszaku! rozumiałem, że moi koledzy pisać wam będą podobne moim tartynki, a tu widzę raporta *ex professo* o obecnym stanie obyczajów, sztuk, literatury, w najciekawszych stolicach Europy, kreślone z całą powagą stylu, dowcipu i krytyki. Czyż to nie wstyd dla mnie? czyż nieprzypominam owego nieprzezornego gościa, który wybrawszy się w surducie na przyjacielską wizytę, zastaje niespodzianie raut i massę najwyszukańszych toalet. Miałem już zamiar prosić was o dymissyą, ale mi przyszła na myśl jedna

uwaga. Czyżbyście wyrzekli: *dignus, dignus est intrare in nostro docto corpore*, gdyby rodzaj mego pierwszego listu zdawał się wam niewłaściwy? oczywiście że nie. A zatem porzuciłem skrupuł, i ciągnę dalej moje ramoty.

Podobno rozpocząłem materyą o tutejszym teatrze! Drezno ma tylko jeden teatr i to dworski (*Hoftheater*). Datuje on od Augusta II. Nie rozdają już wprawdzie biletów bezpłatnie, nie zastawiają stolików z kolacyą w lożach pierwszego piętra, jak bywało za błogich czasów owego hojnego i wspaniałego monarchy, ale artyści dramatyczni zachowują dotychczas charakter sług dworu. I kto wie czy nie lepiej na tém wychodzą. Dyrekcya nie płaci im sum bajecznych jak w Paryżu i Londynie, ale też nie targuje się z nimi w widokach zysku, traktuje ich po ojcowsku, zabezpiecza im chleb na dłuższe łata, przysądza emerytury, pamięta o wdowach i sierotach, i nieraz się trafia, że ten lub ów wysłużony aktor, obchodzi pięćdziesiątletni jubileusz swego dramatycznego zawodu. Każda jednak rzecz na świecie ma swoją złą i dobrą stronę. Że posady teatralne są niejako urzędami, wiele jest między niemi synekur, w których rozdawaniu nepotyzm gra wielką rolę. Dyrekcya utrzymuje częstokroć żonę dla męża, matkę dla córki, siostrę dla brata, i są aktorowie, którzy nie występują na scenę jak raz w pół roku, widocznie tylko dla dania znaku życia. Ztąd to personale teatralne tworzy korpusik niepospolity, zawiera ni mniej ni więcej jak 350 osób, od dyrektora do stróża. Co tu gąbek do żywienia! Mówią, że teatr potrzebuje codziennie 600 talarów na pokrycie wszystkich wydatków, nielicząc 40,000 talarów, które dokłada corocznie lista cywilna króla. Monarcha ustępuje tym sposobem scenie narodowéj dwunasty grosz ze swoich dochodów; jest to uszczerbek znaczny, ale dobrze użyty, bo nietylko udziela szlachetnej zachęty sztuce, ale wynagradza się sowicie innemi korzyściami stolicy.

Najcelniejszą częścią teatru jest orkiestra zachowująca dotąd swoje patryarchalne nazwisko *kapeli*. Mieści w swém łonie z chórami blisko 150 osób, którym przodkuje sławny nasz skrzypek, koncertmistrz Lipiński. Trudno lepszej i w Paryżu. Jak ci utnie symfonią, to jest co posłuchać, rzekłbyś, że same professory i zgadłbyś.

Każda uwertura może służyć za koncert, a osobno się nie płaci.

Operę reprezentują dwie znakomitości wokalne, których zazdroszczą Dreznu wszystkie teatra niemieckie: pan Tichaczek i panna Ney. Pan Tichaczek niepospolity tenor, chociaż aktor żaden, stoi najwyżej na budżecie teatralnym i słusznie, bo tenory należą do rzadkich feniksów, fraszka barytony i basy (muzyczne). Jeśli mam wierzyć memu lohndinerowi, pobiera na rok 6000 talarów i stósowny fundusz na garderobę, gardzi bowiem garderobą inwentarską. Ludzie złośliwi obwiniają go o jedną wadę, że częstym ulega katarom. Jest to z reśztą epidemia, która szeroko grasuje w całym świecie dramatycznym, a przeciw któréj nie ma żadnej assekuracyi. Można się assekurować przeciwko śmierci, przeciwko pożarom, przeciwko gradobiciu, przeciwko przypadkom na drodze żelaznej; assekuracyi przeciwko katarom jeszcze nikt nie wymyślił, choć wyrządzają wielkie psoty i publiczności i kassie teatralnej. Bywają bowiem przypadki, że napadają artystę na parę godzin przed reprezentacyą sztuki, a w ówczas zgadnijcie, kto jest najgodniejszy litości? Kassyer, choć to ściśle mówiąc, nie jego interes. Serce się kraje patrząc z jaką rozpaczą zwraca publiczności pieniądze, które już poczytywał za swoje, częstując ją w zamian jaką oklepaną sztuką, któréj nikt nie chce. — Panna Ney ma już imie europejskie; ona to bawiła Londyn swym śpiewem w czasie wystawy przemysłowej przed dwoma laty. Panna Ney niesiedziałaby na tutejszym partykularzu, gdyby miała równie szczęśliwą powierzchowność jak talent. Nie można mówić że jest szpetną, ma nawet pewne części ciała, które przyczepione do innej całości, stanowiłyby powab bardzo niebezpieczny, ale nikt nie powie, że ładna. Wszystko to niknie przed doskonałością gry i śpiewu. Jeden z naszych rodaków tak się raz o niej wyraził: „co mi „tam do tego czy piękna czy brzydka, ja kiedy ją słyszę, tracę wszystkie zmysły, wyjąwszy tylko słuch.“ Kto ma podobnych entuzyastów, może być spokojny o tryumfy. Muszę jeszcze wspomnieć o ważnej zmianie, jaka niedawno zaszła w jéj losie. Dowiedziałem się o tem przy stole. W hotelu, w którym mieszkam, stoi długi stół, do którego siada codziennie ze trzydzieści osób.

Trzy czwarte części tego zgromadzenia, składają komiwojażery: jeden *robi* winem, drugi cygarami, trzeci kapeluszami, inny piórami stalowemi itp. Komiwojażery, jest to rasa najgadatliwsza w świecie, zna wszystkie miasta na palcach, wie o wszystkiem i o niczém nie wątpi. A że całą ich rozrywką są teatra i kawiarnie, nie masz tajemnicy w życiu aktorek i kawiarek, któraby uszła sokolego ich wzroku. Otóż ci panowie powiadali mi, że kiedy o rękę panny Cruvelli zaczęli się starać hrabiowie i książęta, panna Ney postanowiła także położyć koniec swemu sieroctwu, z tą tylko różnicą, iż nie posuwając swej ambicyi tak wysoko, wolała uszczęśliwić niższego, niż wyższego od siebie. Na ten koniec upatrzyła sobie w kulisie aktora niemającego jeszcze pretensyi do oklasków publiczności, ale młodego, przystojnego i posiadającego wszelkie przymioty, odpowiednie jéj poświęceniu. Katary są wielką klęską dla teatru, ale większą podobno małżeństwa. Stany interesujące aktorek, nie interesują bynajmniej finansów administracyi. Łatwo zatém pojąć trwogę dyrektora, kiedy mu panna Ney oznajmiła swój wybór, dołączając żądanie powiększenia pensyi, pod zagrożeniem opuszczenia sceny. Gniewał się, błagał, perswadował, konferował, mobilizował, nic nie pomogło, musiał podpisać na ultimatum i artystkę *zatrzymać*; bo też to *mać za-trzy*, powiedziałby pan Cześnik Parnawski. Wedle nowego układu panna Ney pobiera teraz 4000 tal. stałej pensyi i 20 tal. *kominkowego* (feux) za każde wystąpienie. Ten ostatni warunek służy dyrekcyi za pewien rodzaj assekuracyi przeciwko katarom, i rodzi dobre skutki, bo kiedy pan Tichaczek nie występuje jak dwa lub trzy razy na miesiąc, panna Ney, a raczéj pani Bürde-Ney, występuje dwa lub trzy razy na tydzień.

Dramat i komedyą, reprezentują trzy illustracye niemieckie: pani Beyer-Brük, pan Emil Devrient i pan Dawison. Pani Beyer-Brük doskonałej artystce, nie pozostaje nic więcej, jak błagać czas, aby się dla niéj zatrzymał; ale okrutnik nie chce się czuć do téj łaski i ścina nielitościwie wdzięk po wdzięku. Wszakże publiczność woli ją taką jaką jest, niż młodsze jéj zastępczynie, z których niestety! żadna nie wróży scenie narodowéj pomyślnéj przyszłości. Szczęśliwszym od niéj

w tym względzie jest pan Devrient, znany z talentu całemu dramatycznemu światu. Ma wnuki a jeszcze gra role trzpiotów i kochanków. Natura stworzyła go na aktora, obdarzając go tak klasycznemi rysy, tak szlachetnem ułożeniem, że kto go nie zna, nie postrzega niestósownego wieku. — Pan Dawison, niedawno zaangażowany do ról charakterystycznych, przedstawia innego rodzaju fenomen. Gra z równą biegłością w trzech językach: po niemiecku, po francuzku i po polsku. Wilno i Lwów były podobno pierwszą jego szkołą. Zjawienie się pana Davisona, wznieciło tu burzę, która więcej zapaliła umysłów w Rzeszy Niemieckiéj, niżli kwestya wschodnia. Trzeba wiedzieć, że pan Devrient jest zepsutém dzieckiem Drezna i od lat 25ciu literalnie spoczywa na laurach. Wszystkie kobiety Drezna służą mu za kapłanki, gotowe spalić na stosie każdego, któryby mu należnej czci ubliżył. Ale jak w politycznym tak w zwyczajnym świecie, znajdują się zawsze ludzie, którym się przykrzą zbyt zadawnione reputacye. Czyż pan Guizot nie upadł najwięcéj dla tego, że za długo był ministrem? Otóż tedy, skoro się zjawił na scenie tutejszéj pan Dawison, pewna część publiczności uradowana, że ów nowy meteor przetnie monotonność palonych samemu panu Devrientowi kadzideł, puściła parę artykulików do gazet, zamykających nieśmiałe życzenie, ażeby niektóre piękne role, np. Hamleta, Makbeta itp. oddane były panu Dawisonowi. Na to bluźnierstwo wstrzęsła się ze złości większa połowa Drezna, nastąpiły ostre repliki, potem dupliki, a pan Devrient przypisując całe to zamięszanie intrygom swego rywala, ogłosił przez gazety: że nigdy nie pozwoli wydrzeć sobie ról, do których ma prawo, a jeżeli się uprzykrzył publiczności, to ją wkrótce pocieszy, ustępując ze sceny. Oświadczenie to napisane oczewiście *ab irato*, wywołało odpowiedź pana Dawisona pełną przyzwoitości i taktu. Ostrzegł naprzód publiczność, iż nigdy nie myśli zabierać panu Devrientowi ról, do których tenże ma prawo, a potem uczynił lekki wyrzut swoim obrońcom, iż mu nie robią usługi, kłócąc go z kolegą, dla którego wyznaje zawsze jak najwyższy szacunek. Tym sposobem skończyła się wojna, która poruszyła całą prasę niemiecką, dała powód do wielu żartów i karykatur, a któréj sens moralny jest

ten, iż jeśli aktorowie wyrządzają czasem psoty publiczności, to i publiczność wyrządza je czasem aktorom. Dodać jeszcze muszę, bo to się stało za mego tu pobytu: że w parę tygodni później, jakiś żartowniś chciał wzbudzić bój jeszcze krwawszy, kłócąc między sobą nie mężczyzn, ale kobiety. Napisał do gazet, że panna ta a ta powinnaby ustąpić roli pannie téj a téj. Atoli odgrzewany koncept nie udał się. Zaczepiona aktorka zapowiedziała mu publicznie, że jeżeli nie zaprzestanie swoich żartów, odkryje jego nazwisko. Tym sposobem zamknęła mu usta.

Czém się nie może poszczycić teatr drezdeński, to baletem. Orszak Terpsychory zamyka tu do 40 nymf, ale żadnej prawie tancerki. Są to same *smażone rybki* (Backfische), zwane u francuzów *szczurami*. Dopóki młode, ojciec lub matka odprowadza je zawsze na próby i reprezentacye, ostrożność sprawiedliwa, bo są *wśród ku-lisy* (przepraszam za kalambur), ale skoro tylko czas rozwinie ich wdzięki, każda piękniejsza obrzydza sobie scenę i rzuca się w inny zawód. Proszę mnie nie posądzać o złośliwe myśli, *honni soit qui mal y pense*, są inne przyczyny tych ucieczek. Dyrekcya dba o moralność (o ile może), nieszczędzi nakładów, utrzymuje baletmistrza francuza, a nie może się dochować żadnego znakomitszego talentu! Znawcy choreografii przypisują to ociężałości rassy i klimatowi: ich zdaniem, taniec wznieść się może do wysokości sztuki w tych tylko narodach, które nie piją piwa. Cóż dopiero mówić o męskiéj części baletu! nie ma jéj prawie wcale. Wyrostek niemiecki woli iść na kelnera, kupczyka, bieguna do roznoszenia gazet i prospektów, niżeli na skoczka. Dla tego też prócz dwóch lub trzech prawdziwych mężczyzn, role męzkie baletu zastępują tu smażone rybki *emerytki*, których obojętne formy, zasłonione szatą męską, nie zdradzają tak dalece różnicy płci.

Kiedy mówię że Drezno ma tylko jeden teatr, trzeba mi i wierzyć i niewierzyć. Przed rokiem zjawił się tu dość ciekawy artysta dramatyczny: zwinny, czupurny niewielkiego wzrostu, z ogromną na głowie fryzurą zdolną do przybierania rozmaitych kształtów, pełen fantazyi, śmiałości i ognia. Wystąpił jako gość na wielkim teatrze, ale nie znalazł sympatyi; przyznano mu znakomitą

pamięć i wprawę, ale zarzucano cokolwiek gminne ułożenie. Krytyka doszła do jego uszu, przyznał jéj słuszność i przypomniawszy sobie wiersz francuzkiego poety:

„*Tel brille au second rang qui s'eclipse au premier*“

zrobił rozbrat z arystokracyą dramatyczną i postanowił założyć teatr dla gminu. Ale jak tu zakładać teatr bez pieniędzy, bez aktorów, bez kostiumów, bez sali teatralnéj? Nasz antreprener stworzył to wszystko we cztéry tygodnie, ale w jakim gatunku, Boże zmiłuj się! Aktorów połapał na gościńcach, kostiumy ponajmował u tandeciarzy, a co za sala teatralna! wystawcie sobie pudło w kształcie piórnika, tak niskie, że dotkniesz ręką pułapu, a tak wązkie i długie, że chyba przez teleskop dojrzysz widzów siedzących na drugim końcu. Nie zrażały go żadne trudności, na wiele rzeczy sam sobie wystarczał. Nie tylko sam grał główne role, ale sam tłómaczył sztuki, sam układał śpiewki, sam dyrygował orkiestrą, sam pisał pochwały do gazet, sam sprzedawał bilety, mówią nawet, że sam malował dekoracye, przypominając owego ubogiego plebana, który sam zadzwoni, sam mszę odprawi, sam świece pogasi, sam kościół zamknie, i klucz do kieszeni schowa. Każda nowość zła czy dobra sprowadza ciekawych, ale to pospolicie na raz sztuka. Tak się i tu stało. Nie jeden poszedł, ale więcéj nie wrócił. Czy rozumiecie, że to zniechęciło przedsiębiorcę? bynajmniéj. Tyle robił hałasu z swym teatrem, tak się uwijał po wszystkich dziennikach, że nareszcie kilku zamożnych obywateli miasta zwróciło uwagę nie tyle na jego teatr, ile na jego osobistość. Ulitowani tak bezprzykładną wytrwałością, objawili mu pomoc do założenia czegoś porządniejszego. Tego też tylko czekał. Jak Rozyna w „Cyruliku Sewilskim“, wyjął natychmiast z kieszeni plik papierów i wykrzyknął *eccolo qui*, pokazując swym dobrodziejom i plan budowy nowego teatru i kosztorys potrzebnych wydatków i listę zamówionych aktorów z rozmaitych stolic niemieckich i prospekt do assocyacyi. Zebrali się akcyonaryusze, nasz dyrektor wyciął im mowę poruszającą do łez, i podpisano zaraz na 17,000 talarów, to

jest na większą połowę całéj summy. Jest więc nadzieja, że najdaléj za rok Drezno posiadać będzie drugi teatr, godniejszy tego nazwiska. Mój Lohndiner utrzymuje, że ten człowiek byleby zachował statek, zrobi fortunę, bo Drezno liczące już teraz przeszło 108,000 mieszkańców, wygląda z upragnieniem drugiéj sceny. Ma już w kieszeni przywiléj, zabezpieczający go od konkurencyi w którym jeden tylko położono mu warunek, żeby tytuł *teatru dla ludu* (Volkstheater) zamienił na *drugi teatr*.

Paryż w lutym.

O czemże mówić w chwili kiedy stolica francuzka w brew zwyczajowi rozprawia tylko o polityce zadając sobie ustawicznie jedno pytanie: będzie pokój czy wojna? Nie jestto przecież dla niéj hamletowska kwestya „być albo nie być“ — ot po prostu mania czy choroba epidemiczna na którą choruje tu każdy bez wyjątku, nawet Loretki które teraz drogi swój czas marnują na dyskusyach o czterech punktach i na domysłach co może zawierać piąty?

Każdy od samego rana puszcza się na połów nowin politycznych—każdy prócz miejscowych bajek, ma swoje wiadomości, które poczta przynosi mu z Londynu, Wiednia, Berlina i wszystkich innych miast kuli ziemskiéj, wyjąwszy Petersburga który chociaż dosyć interesowany w rozpoczętych układach, milczy uparcie. Listy z rosyjskiéj stolicy bywają otwierane z mocnem wzruszeniem.... Czytelnik dowiaduje się że teatr francuzki w Petersburgu przedstawił *Histoire d'un sou* i *Les cinq cent diables*— rzadko bardzo śmiałek jaki dodaje nadto, że Newa zamarzła i termometr Réaumura pokazuje 30 stopni niżéj zera.

O czémże mówić, powtarzam, w tak posępnéj godzinie w któréj każdy oddech tamując podsłuchuje szepty gabinetowe? Co robić w poście jeżeli nie przypo-

minać karnawałowe wypadki. Każdy uzbierał ich znaczny zapas na głodne lata, mianowicie też w Paryżu, gdzie nie ma dość głębokiéj kryjówki w którą możnaby się schować przed polkującą powszechnością, o czem z własnego przekonałem się doświadczenia. Posłuchaj.

W ostatnią karnawałową sobotę około północy znajdowałem się w najszczęśliwszém położeniu do jakiego dojść może najszczęśliwszy śmiertelnik, to jest: miałem nogi w kominku, głowę w miękkim fotelu, w ustach hawańskie cygaro, a przed sobą filiżankę wybornéj herbaty—nadto, czytałem powieści fantastyczne Hofmana— w przestankach zaś winszowałem sobie, że mi się udało wymówić grzecznie księżnie C**. na któréj artystycznym wieczorze miałem figurować w chórach, admirować sto razy admirowane arye, podziwiać sto razy podziwiane obrazy — oraz, żem potrafił z niemniéjszym stoicyzmem oprzeć się naleganiom pani K***. która z méj dobrodusznéj miny wyczytawszy, że wyprowadzać będę w taniec wszystkie zapomniane piękności, koniecznie mnie chciała mieć u siebie.

Kiedy tak cieszyłem się z ominięcia Scylli i Charybdy i zabierałem się zasnąć snem sprawiedliwego, drzwi się otwierają nagle i wchodzi.... kto? zgadnij! Szukaj w gronie żywych i umarłych.... ale nie, nie zgadłbyś nigdy — powiem więc bez dalszych wstępów, wchodzi *Komandor* ubrany w marmurową zbroję, w jakiéj przychodzi na ucztę do Don Juana śpiewając po włosku ogromnym basem ową sławną pieśń grobową: „Don Juanie zaprosiłeś!“

Rozmarzonemu Hofmanowskiemi dziwadły, taka wizyta o północy, musiała sprawić pewne wrażenie.... przetarłem oczy żeby się przekonać czy nie śpię, poczem widząc iż rzecz dzieje się na jawie i nie mając sobie żadnéj uwiedzionéj Elwiry do wyrzucenia, zapytałem dość śmiało marmurowego gościa, czemu zawdzięczam tak niespodziane odwiedziny.

— Musisz iść zemną na bal opery, zawołał *Komandor* chwytając mnie za rękę.

Dotknięcie téj ciepłéj dłoni i to prozaiczne żądanie, zniszczyło odrazu cały urok nadzwyczajności; poznałem naszego przyjaciela Giovanniego, któremu musiał się przyśnić karnawał rzymski z przeszłego życia, i jako

Włoch nie znający obyczaju paryzkich modnisiów, przebrał się, mniemając dobrodusznie, że na bal opery idzie się dla zabawy.

Z razu odpowiedziałem mu nie inaczéj, jak by był odpowiedział na mojem miejscu każdy mieszkaniec małego miasta usłyszawszy podobną propozycyę po dziesiątéj: daj mi pokój, idę spać! Ale skoro przyrzekł zakryć białą zbroję czarném dominem, nadto powiedział że na balu będzie panna Fix i Grisi, dwie pary najpiękniejszych czarnych oczu z całego Paryża, jakoś nieznacznie ubierać się zacząłem mrucząc pod nosem piosneczkę Leporella w złym humorze: „*Notte e giorno faticar*“ bo nadzieję oglądania tych oczu psuły mi wspomnienia nieodłącznych od balu opery niesmaków. Wszelkie uczty i zabawy ludowe byłyby nader przyjemne, gdyby je można oglądać z balonu, a przynajmniéj z balkonu — ale admirować je z dołu, być deptanym, szturchanym, popychanym, miętym i duszonym, wydawało mi się zawsze przyjemnością mizerną, któréj unikałem jak mogłem. Dla tego nie wesoły udałem się za moim kamiennym przewodnikiem, który jako człowiek nie z ciała, szedł śmiało między „marmurowe“ dziewice.

Gmach opery z daleka palił się jak pochodnia. Głowę mając oświeconą girlandami gazu a ogon gdzieś gubiąc w ciemnościach nocy, wyglądał jak smok łykający nieskończony szereg masek, które podskakując za taktem dalekiéj orkiestry, niknęły w rozwartéj paszczy potworu.

Przecisnąwsy się przez czarne stada policyantów, tłok powozów i koni, weszliśmy i my za innemi.

— Bilety panowie! kto chce biletów! panie baronie bilety tańsze niż w biórze! Bilety z okazyi, mości ambasadorze! loża, mości książe! może ochędożyć buciki panu hrabiemu?!

Jeżeli na ten grad pytań spadających na cię w progu odpowiesz aby jedno słowo lub uśmiechniesz się mimowolnie, przepadłeś. Ośmielona zgraja rzuca się zaraz na ciebie — jeden ciągnie za połę, drugi bilet do kieszeni pakuje, trzeci chwyta za nogę i szuwaksuje choćbyś miał buty z różowego atłasu.

Wyszedłszy cało z téj pierwszéj napaści, przeszedłszy długie przedsionki i schody, przedarłszy się przez zaro-

śla fałszywych kamelij okrytych zakurzonemi kwiatami, potrącani, zaczepiani przez pierrotów i pierrety, nasłuchawszy się wiele słów dwuznacznych i niedwuznacznych, znaleźliśmy się nareszcie w loży, zkąd był widok na salę która téj nocy podobną była do rozhukanego morza albo zbożowego łanu szamotanego burzliwym wichrem. Scena, orkiestra, parter zniwelowane jedną podłogą, stanowiły jeden salon ogromny, oświecony dwudziestu pięciu kandelabrami każdy o tysiącu świec gazowych, nie rachując oświecenia ścian bocznych. Pod blaskiem tych 25,000 świec, jak mrowisko roił się tłum ubrany w stroje mieszkańców całego świata przed i po potopowych— skaczący, tańcujący, wrzeszczący, śpiewający—tłum chcący przekrzyczéć orkiestrę Straussa głośniejszą od trąby archanioła co umarłych na sąd ostateczny budzić będzie. Tysiąc par porwanych muzyką *piekielnej* polki granéj przez *trzystu* muzykantów, szalało, przybijając takt tysiącami obcasów z trzaskiem od którego trzęsła się sala, dzwoniły kryształowe żyrandole, opadał gips z sufitu, pękały ściany i uszy.... Wszystkie ubiory jakie nadał ludziom klimat, lub zrodził przepych ożeniony z kokieteryą, uwiązane w jedną girlandę drgającą konwulsyjnie jak wąż pocięty na sztuki, sunęły szybko podobne do bezładnéj wizyi pokoleń, symbolów i figur historycznych całego świata. Tu Grek w parze z upudrowaną Marquizą wybija hołupce, Hiszpan z Francuzką, Turek z kapłanką Druidów —Indianin z Markietanką, Żyd z Westalką — Eskimos z panią Pompadour, Mollière z Lady Tartuffe, Diogenes z Aspazyą, Zuaw z Północną gwiazdą.

„I wszystko było zmięszane w odmęcie:
Na liniowym kto widział okręcie
Ogromny kocioł w którym robią kaszę
Kiedy weń woda z pompy jako z rzeczki
Bucha, a w wodę sypie majtkow rzesza
Za jednym razem krup ze cztery beczki,
Potém dziesiątkiem wioseł w kotle miesza —
Kto zna francuzką Izbę deputatów
Większą i stokroć burzliwszą od kotła“;

ten tylko potrafi wyobrazić sobie bal opery burzliwszy od Izby deputatów, bal monstrualny, najszaleńszy i najwrzaskliwszy z wszystkich, bal który opisywać się nie podejmuję . . . .

Widok téj orgii najweselszego z narodów, nie wesołe nasunął mi myśli—myślałem że maskarada ma w sobie coś dziwnie posępnego. Nie jest że to smutny wymysł wskrzeszać minione wieki dla zabawy żyjących? Te ubiory dawne wyobrażające wygasłe pokolenia, nie sąż w pośród szalonéj zabawy ustawicznem przypomnieniem krótkości naszego żywota? Gdzież są namiętne głowy, które paliły się niegdyś pod temi beretami o powiewnych piórach? gdzie płomienne serca co biły pod temi kaftanami z jedwabiu lub stanikami ze złota i pereł? Gdzie są kobiety dumne i piękne co się drapowały w te ciężkie materye, stroiły głowę w te starożytne klejnoty? Wszyscy przeszli nie troszcząc się ani o tych co byli ani o tych co będą, tylko o to, jak ułożyć się najwygodniéj czekając na grób i zapomnienie....

— Widzisz ją? zawołał nagle *komandor* uderzając mnie po ramieniu.

— Kogo?

— Ernestę — ot tam! w niebieskiem dominie, pod tą kariatydą co trzyma pochodnię. Pójdź, pójdź prędko, zastąpimy jéj drogę.

Zanim rozpoznaliśmy się w tłoku, znikło niebieskie domino i owe czarne oczy cel naszego przybycia. Giovanni pobiegł szukać innéj gwiazdy, a ja zostałem sam rozmyślając nad niestałością ciał niebieskich, których obrotów najbieglejszy astronom z teleskopem w ręku często obrachować nie może.

Pchany, szturchany, deptany, dostałem się wreszcie do sali odpoczynku, zwanéj *Foyer*, gdzie był daleko większy ścisk i upał niż w sali balowéj. Do *Foyer* ciśnie się każdy kto chce zaczepiać lub być zaczepiany, kto szuka rozmowy, schadzki, towarzystwa do wesołéj kolacyi, odpoczynku, dowcipu—wszystko tu znajdzie prócz dwóch ostatnich rzeczy, których ja przynajmniéj szukałem napróżno. Niepodobna przetłómaczyć tych rozmów prowadzonych we właściwym dyalekcie stolicy, najprzód dla tego że u nas niema słów na rzeczy o których tam mowa, powtóre że rumieniec musiałby okryć lice..... treść najniewinniejszych mniéj więcéj taka:

Czarne domino. — Jakto już nie jesteś w *Gaîté?*

Różowe. — Wypędzili mnie.

Czarne. — Jaka szkoda! Tak ślicznie figurowałaś w *Siedmiu diabelskich pałacach.* Czemuż cię wypędzili?

Różowe. — Bom grając Córę Nieba w apoteozie jadła placki. Wszystkiemu winna ta głupia Cecylia: założyła się, że nie zjem za sześć sous placka zanim dojdę do nieba.

Maska. — Psyt! Palmiro pożycz mi franka.

Maska. — Idź daléj—o to samo prosić cię chciałam.

Białe domino. — Jak się masz Ludwisiu! a gdzieżeś podziała Karola?

— Nie mów mi o nim, ożenił się.

— Jakto? niemając ani grosza?

— Właśnie. Dali mu stół i stancyą.

— Tém lepiéj — biedak chudł widocznie.

— I teraz bodaj utyje.

— A czemu?

— Bo go na śniadanie i obiad szczawiem pasą.

Maska. — Cóż robi Marysia?

— Zawsze skromna. Usłuchała rad mamy, elle a pris un *Guide.*

Maska. — Niepotrzebnieś tu przyszedł Jasiu.

— Oj prawda! Już spotkałem stryja.

Stary jegomość do maski. — Znalazłem cię przecie aniele mój!

Maska. — Daj mi dziesięć sous.

Głosy kobiece. — Kup mi pomarańczę!

— Wykup mi szal z garderoby!

— Kup mi bukiet!

— Daj mi na fiakra!

— Wykup mi kalosze!

Głos męzki. — Pójdziesz na kolacyą?

Maska. Gdzie?

— Do mnie.

— Proś innych, ja tylko w kawiarni angielskiéj jadam. Pożycz mi pięć sous.

Bawi cię to? bo mnie nie.

Im bliżéj rana, tem rozmowa wyłączniéj o pieniądzach i jadle się toczy. Około trzeciéj tłum się przerzedza i nadchodzi solenna chwila opery: kolacya. „Powiedz mi co jadasz, to ci powiem kto jesteś“. Oto po czém się tutaj ludzie poznają. Kto z opery nie idzie na kolacyę, tak dobrze jakby nie był na balu—jakby wy-

szedł z teatru w połowie sztuki—jakby wstał od obiadu po zupie. Ostatni, najciekawszy akt odbywa się w Maison Dorée albo u Vachetta. Tam to dopiero otwiera się szerokie pole do zbierania szkiców obyczajowych — ale dla kogóż już dziś tajemnicą te obyczaje?

Kolacyjni goście dzielą się na dwie kategorie: *zwyciężonych* i *niezwyciężonych*. Kategorya niezwyciężonych zakończa bal opery w lasku Bulońskim. Wybledli, rozczochrani, bezecni jak rozpusta w dzień biały, zaczepiając przechodniów po drodze, jadą oglądać wschód słońca za Paryżem, twierdząc że wcale nie zmęczeni; w lasku jedzą zupę z cebuli i powracają do domu około drugiéj z południa — ci wyczerpali zabawę do dna. — *Zwyciężeni*, z kolacyi rozchodzą się rano. Czując dokuczliwe pustki w głowie, pustki w sercu, a mianowicie pustki w kieszeni, przeklinają na czem świat stoi i zarzekają się, że ich noga więcéj tam nie postanie!

— Byłeś wczoraj na balu opery, spyta go kto nazajutrz.

— Byłem.

— Bawiłeś się?

— Gdzie tam! znudziłem się najokropniéj — przyjść do siebie nie mogę! Głowa mnie boli, kości, jestem jak z krzyża zdjęty.

— Ja też!

— Będziesz w przyszłą sobotę?

— Będę. A ty?

— Ja też.

— To do zobaczenia!

I wiecznie toż samo. Paryżanin lubi swój bal opery jak nałogowy pijak trunki. Cały dzień gotów perorować przeciw niemu—ale skoro skończy, woła jak tamten w satyrze Krasickiego: „Napijmy się wódki!“

W teatrach tutejszych pojawiło się nowych sztuk wiele, ale nic prawie o czemby wspomnieć warto, wyjąwszy *Korsarza*, trzech-aktowego baletu pana Saint-Gorges, i *Zemsty Lauzana*, cztero-aktowéj komedyi Musseta. Balet pozyskał rzeczywiście nadzwyczajne powodzenie w operze wielkiéj — komedya zjednała sobie aprobacyę modnego świata, pewnie dla tego że autor doń należy.

Korsarz, do którego Adam dorobił muzykę, jest mię-

szaniną ustępów z byronowego Korsarza i Don-Juana, zlepioną dowolnie, oddaną na scenie po mistrzowsku i zakończoną arcydziełem sztuki dekoracyjnéj. Intryga (jeżeliś ciekawy baletowéj intrygi) zasadza się na współzawodnictwie Konrada ze starym paszą który mu porywa Medorę. Po wielu trudach korsarz wykrada z haremu paszy kochankę, i płynie z nią do swéj wyspy— ale w drodze powstaje okropna burza na morzu i odsłania najpiękniejszy obraz jaki kiedy przedstawiono w teatrze: rozbicie okrętu.

Najprzód widać okręt korsarza kołysany szmaragdową falą oceanu, a na nim tańcujących piratów którzy z brankami obchodzą wesele młodéj pary. We środku pokładu, o wielki maszt oparty, wyniosły jak topola Epiru, stoi Konrad, trzymając na ręku swoją Medorę, która w lubym uścisku z ramion kochanka spływa jak biała draperya otulając go płaszczem kruczych, pachnących włosów....

Drzemiący okręt posuwa się z wolna niepełnym żaglem biorąc wiatru pieszczoty—księżyc srebrzy morze i tańcujące grupy—a z szumem fali dolatuje czasem pieśń którą słowik napełnia nadbrzeżne ogrody i zapach róż co nad brzegiem rosną....

Z wolna pogodę téj cudnéj nocy poczynają mroczyć coraz to częściéj przechodzące przez księżyc chmury— powietrze coraz cięższe prują błyskawice i słychać grzmot daleki..... Nareszcie ściemnia się zupełnie — wzburzone wały coraz wyżéj liżąc okręt wskakują aż na pokład— i zaczyna się dzieło zniszczenia nieznanéj dotąd na teatrze grozy. Statek co przed chwilą jak śpiewający łabędź miłosny igrał na fali, odarty z żagli, pełen jęku rozpaczy, jak skielet rysuje się na płowém niebie prutém piorunową wstęgą... szarpany huraganem znika powoli, kruszy się z trzaskiem, w końcu przepada w otchłani wraz z gronem ludzi załamujących ręce....

I znowu noc spokojna. Burza jak zły duch nasycony ofiarą przelatuje na czarnych skrzydłach i odsłania twarz księżyca, przy któréj blasku gdzieś daleko widać dopływających do swéj wyspy na okrętowym maszcie Konrada i Medorę.

Co by powiedział Lord Byron widząc tańcujące na scenie swoje krwawe poemata—owe przepyszne czary

w które zamykał na przemiany łzy, tęsknotę, śmiech i wzgardę, cztery nieodstępne towarzyszki swojej wielkiéj zbolałéj duszy. Gdyby to był przewidział dumny lord, wołałby pewnie zrobić autodafé z dzieci swoich, niż dozwolić, żeby skakały dla zabawy nawet Francuzów, *cette perle des nations*, jak ich nazywał. Jednak wnosić się godzi, że widok téj księżycowéj nocy na oceanie, téj burzy oddanéj w całym fatalnym blasku, przebłagałyby cienie poety do tyla, iżby nie żałował rzuconych ludziom tych strof kilku z których podobne nauczyli się składać obrazy.—

Zemsta Lauzana dostarczyła Pawłowi de Musset przedmiotu na cztero-aktową komedyę przedstawianą teraz w Odeonie.—Książe Lauzan, pan wielki i dumny, upokorzony przez Ludwika XIV za to że śmiał podnieść oczy na królewnę, póprzysiągł że mu odda wet za wet—i dotrzymał słowa chociaż już nie za życia króla. Treść sztuki w kilku słowach opowiedzieć można:

Po śmierci Ludwika XIV, za rozpustnéj regencyi księcia Orleańskiego pod którą wykluwało się i rosło zepsucie następnego panowania—księżna Berry córka regenta, zakochała się w młodzieńcu nie posiadającym nic prócz szabli i herbu naddziadów. Miłość więc tych dwojga kochanków z powodu niedoboru rangi byłaby się skończyła jak tyle innych podobnych miłości, *bez konsekwencyi*—ale na nieszczęście czy szczęście swoje, młodzieniec był synowcem księcia Lauzun.

Przez tyle lat oczekiwana okazya nadeszła nareszcie. Lauzan chwyta ją w lot, tem skwapliwiej że przy jednym ogniu może upiec dwie pieczenie: uszczęśliwić synowca i zemścić się.— Mimo ojcowskie czuwanie ułatwia schadzki zakochanéj parze—odbija w drodze prowadzonego do Bastylii młodzieńca i żeni go po kryjomu z księżniczką— w końcu uzyskuje przebaczenie ojca, i na tém koniec.

Komedya ta bardzo modna, nieco za zimna i za wesoła, odznacza się pięknością stylu. Rozwiązanie nadto nagłe nie dosyć wystawia na próbę zdolności intrygančkie Lauzana— ale że prędzéj czy późniéj trzeba pobłogosławić małżonków, nie słuszną byłoby rzeczą naganiać autora za to, że się pospieszył z wypuszczeniem ostatniéj racy. Z resztą oczywista ztąd dla niego ko-

rzyść; sceny, których brakuje, nie są nigdy wygwizdane, a któż ręczy czyby się udały te, któreby dodać można?

Sztuka ta zyskała wielkie powodzenie: pielgrzymki pięknego Paryża w Paryż łaciński są nieustanne — studenci tylko psują powszechne zadowolenie, głośno odmawiając Lauzanowi swojéj aprobacyi. Cóżkolwiek bądź, gdybym był autorem, wolałbym sto razy tę gwarliwą klaszczącą czy świstającą publiczność, niż tych śpiących automatów, którzy po innych teatrach reprezentują najdowcipniejszy naród na świecie. Dzisiaj i wygwizdanym być trudno w Paryżu. Każda pierwsza reprezentacya jest tryumfem — bankructwo późniéj dopiero wydaje się powoli. Każdy ma przyjaciół, co przychodzą pierwszego wieczora sypać oklaski autorowi. Ale ci ludzie podobni są do psotników, co zamiast pieniędzy rzucają ślepemu kamyki do skarbonki: ślepy kłania się i dziękuje — dopiero robiąc obrachunek dowiaduje się że był oszukany. —

Jeżeliś ciekawy dowiedzieć się co o tutejszej literaturze, przeczytaj *Messager de la Charité* z 19 stycznia 1856 r., co mówi Jules Janin o piśmiennictwie francuzkiem. Nie wiedząc atoli, czy ten tygodnik pojawia się w waszych stronach, wypisuję ci koniec artykułu Janina:

. . . . „Cóż za książki! Cóż za autorowie! Cóż za mordercy dobrego smaku, dobrych obyczajów, cywilizacyi i języka — tego prześlicznego języka francuzkiego, który więcej niż oręż Napoleona dopomógł nam do zawojowania Europy. — Powtarzam co powiedziałem: cała literatura bieżąca jest czczym dymem mogącym tylko zakopcić umysły uczciwe. Cała ta bazgranina (écrivasserie), która może się wydawać czemś z daleka, jeśli docieczesz smutnych jéj tajemnic, uderzy ci na mózg i serce. Wszystko to same przechwałki, nędza i kłamstwo wierutne: po przeczytaniu tych niezmiernych stosów nic nie zostaje prócz niesmaku, bolesnej nudy i wielkiéj pogardy dla siebie i drugich.

„Strzeż się więc téj otchłani czytelniku! Nie czytaj ani *mnie* ani innych — nie znam *dwóch* dzieł nowych zasługujących na uwagę zacnego młodzieńca, który zachował wiarę i niewinność swoich lat ośmnastu.“

Trochę przesadził, ale nie bardzo. —

Zły humor monarchy felietonistów o taką mnie rozpacz przyprawił, że o małom niezapomniał posłać ci słów kilku o atłasach, gazach, aksamitach, koronkach, słowem o ubiorach tych *morderców dobrego smaku*, na których tak piorunuje Janin. Czy Paryżanie piszą lepiéj od innych, nie wiem — ale to wiem, że ubierają się niezawodnie najlepiéj ze wszystkich — co wreszcie nie nowina.

Kopalnią przemysłów nowych do toalety, czyli *Idein magazin*, są dla Paryżanek teatra, a mianowicie wielka Opera, gdzie każde przedstawienie nowéj sztuki jest galeryą ubiorów z największém staraniem wyszukiwanych i kopiowanych dokładnie ze starych obrazów olejnych, sztychów, litografij, a nawet posągów należących do téj samej epoki co sztuka. — Tylko jeszcze na scenie można napotkać tę rozmaitość kolorów i krojów, z któréj gust dobry potrafi porwać jaki szczęśliwy pomysł, lub wprowadzić jakąś choć nieznaczną ozdobę w czarnych i szarych workach pokutniczych, w które jak gąsienica zaszyło się nasze poważne pokolenie.

Takim szczęśliwym pomysłem ukradzionym ze sceny a zastósowanym do ulicy, są tej zimy szubki zwane *Manteau Ristori*. Mówię *szubki*, bo pod tą nazwą ten sam krój od wieków znany jest u nas, a jeśli się nie mylę, mączniczki krakowskie do dziś dnia z małą różnicą występują na wielkie uroczystości w takim płaszczyku, w jakim w Sale Ventadure występowała sławna Ristori w roli *Maryi Stuardy*.

Szubka Ristori dochodząca do pół kolan, nieco wcięta w pasie, aksamitna, biała, obszywana puchem łabędzim i perłami, przy świetle wydawała się jak boul de neige — znasz ten kwiatek? Zaledwie Paryż obejrzał w tym stroju wspaniałą włoszkę — jużci nazajutrz zaraz prawie wszystkie elegantki wystąpiły w takich, z tą różnicą, że czarnych. Przyznać potrzeba, że taki płaszczyk z rękawami *à la pagode*, oszyty szeroko do koła sobolami lub tumakami, jest co się zowie piękny. Średnia jego cena jest 3000 franków — co nie przeszkadza, że każda kobieta mająca choć trochę pretensyi do elegancyi, nosi taki w Paryżu.

W *Magazynie Luwru* najobszerniejszym i najmodniejszym teraz, ubierały się tego karnawału wszystkie piękne damy, tając to przed sobą wzajemnie z obawy, żeby jedna drugiéj nie ubiegła. Każda, wybrawszy jaką niezwykłą godzinę, przybywa tam cichaczem, wyszukać jakiejś sukni nieznanéj, niewidzianéj, niesłychanéj, niepojętéj.... którąby na wieczornéj zabawie zgasiła od razu wszystkie inne.

Kupująca dama raz przestąpiwszy kryształowe podwoje sklepu, rozpoczynała podróż po wszystkich miastach Francyi: wedle żądanego gatunku sukni odsyłaną była do Lyonu, Alençon, Chantilli, Malines, czasem aż do Brukselli udać się musiała — szczęście, że bez paszportu — i tak z piętra na piętro przenoszona w eleganckim fotelu urządzonym jak dźwignia w kopalni Wielickiéj, napatrzywszy się przepysznych materyj lyońskich, alençońskich koronek, po kilkatysięcy franków metr — tumanów powiewnéj gazy, co jak mgła unosi się tam nad łąkami z aksamitów oświeconych słonecznym blaskiem, indyjskich szali ze złota, dobrawszy się aż do dna tej studni Al-Kazema i rozwiązawszy z pomocą zbiorowego gustu całej Francyi ważny problemat wieczornéj toalety, paryżanka unosi swą zdobycz zupełnie uszczęśliwiona, mianowicie, jeżeli udało jéj się nie napotkać ani jednej przyjaciołki.

Tutto il mondo é fatto come la nostra famiglia. Im dłużéj żyję, tém się więcéj przekonywam o prawdzie tego włoskiego przysłowia.

Londyn w lutym.

Dochodzą nas zewsząd opisy hucznych i wesołych zabaw karnawałowych. Z Paryża słyszymy o przeprowadzaniu tucznych wołów *(boeuf gras)* po ulicach pod historycznemi nazwaniami Sebastopol, Małachów i innemi znanemi z téj wojny. Z Wiednia czytamy opisanie świetnéj maskarady u dworu, na któréj młodzież pierwszych rodzin figurowała. Nawet we Lwowie, jak nam *Czas* donosi, nie źle się na balach bawiono, lubo korespondent lwowski jeden rodzaj bąlow a to dziecinnych

jako szkodliwą nowość potępia. Z opisu jego widzimy wszystko złe i równie z nim potębialibyśmy je, gdyby z takich balów istotnie złe wyrastać miało; lecz kiedy starzy się bawią, trzebaż pomyśleć także o zabawach dla młodzieży, nieskazywać jéj już przed zapustami na pokutę. Takie bale dziecinne nie są nigdzie nowością, dają się nawet w Anglii, i najtroskliwsi rodzice niezabraniają ich dzieciom.

Miesiąc luty najmniéj tu się odznacza fetami; karnawału nieobserwują w Anglii, nawet możnaby powiedzieć, że fet żadnych w guście kontynentalnym niemasz, kościelnych procesyj najmniéj, bo oprócz głównych świąt, jako to: Bożego Narodzenia, Wielkiego piątku, Wielkiej-Nocy i Zielonych świątek, protestantyzm wszystkie inne z kalendarza swego powykreślał. Bale publiczne, choć czasem się dają, nie są w modzie, toż samo można powiedzieć o teatrach, z wyjątkiem wszakże opery i koncertów. Bale modne są prywatne— tych bywa najwięcéj — dawane są przez lordów i majętniejsze rodziny we własnych domach; ale to tylko dla znajomych lub ludzi równego stanu, a czasem i opinii, są one jedynie przystępne. Do takich towarzystw tylko przez zażyłość w kraju, lub przez szczególne rekomendacye można być przypuszczonym. Dla cudzoziemców i podróżnych niemających listów polecających, koła takich towarzystw są zupełnie zamknięte. Niedziw więc, że piszący podróże przez niewiadomość błędne dają o nich wyobrażenie i najczęściéj z ujmą dla towarzyskości angielskiéj. Lecz to przedmiot zbyt obszerny, i tylko przypadkiem weń się wplątałem. Przechodzę do rzeczy pobocznéj a niemniéj odznaczającéj charakter anglików. Chciałem tylko powiedzieć, że największe u nich uroczystości, fety i i obchody są narodowe i obywatelskie, wywoływane przez nastręczające się okoliczności, jako to: rocznice ważnych wypadków w dziejach narodu, pamięć zwycięztw odniesionych, pamiątki fundacyj publicznych lub zakładanie nowych, przyjmowanie sławnych ludzi, a jak teraz znakomitych dowódzców wracających z teatru wojny. Dzieje się to przez powitanie ich przez deputacye na miejscach wylądowania, i wyprawianie im wspaniałych uczt, obiadów, które odbywają się przy wymownych głosach na chwałę ich czynów i zasług dla kraju. To

tylko w Anglii dzieje się na tak wielką skalę i to właśnie najwięcéj odznacza naród angielski. Dość tu przytoczyć jedną pomniejszą uroczystość, któréj przeszłego tygodnia sam byłem świadkiem, aby dać wyobrażenie o innych większych i świetniejszych. Dyrektor teatru miasta Plymouth, p. Newcombe, oprócz znanéj usilności w teatralnym zawodzie o utrzymanie sceny publicznéj na wysokim stopniu udoskonalenia, słynął jeszcze z wielu czynów dobroczynnych. Aktorów dobrze wynagradzał, a jak który z nich z wieku lub słabości na zdrowiu podupadł, utrzymywał ich na tych samych pensyach, a które bywały niekiedy znaczne. Zdarzyło się w ostatnich czasach, że jedna wielce utalentowana aktorka z londyńskiego teatru przybyła do Plymouth i angażowała się do występowania na tamecznéj scenie; ale nieszczęście chciało, że jednego wieczora wychodząc z za kulis, suknia jéj zajęła się płomieniem i pomimo ratunku samego dyrektora i innych osób, biedna tak się strasznie poparzyła, że w największych cierpieniach w kilka dni życie zakończyła. Staranie dyrektora, jego małżonki i lekarzy, przez czas jéj choroby jak najtroskliwsze było, a że umierając życzyła sobie, żeby ją pochowano w jednym grobie z ojcem na cmentarzu londyńskim, p. Newcombe zwłoki jéj wyprawił, aby podług życzenia zmarłéj tam je złożono. Co więcéj, młoda ta aktorka miała owdowiałą matkę i młodszych braci, niemających innych środków do życia, oprócz dochodów z jéj talentu. Lecz i o tych p. Newcombe niezapomniał: ogłosił dla nich publiczną składkę, dyrektorowie drugich teatrów dali kilka wystaw na rzecz biednéj pozostałéj rodziny, i w ten sposób zebrał się znaczny fundusz na jéj utrzymanie. Szlachetne to postępowanie ze strony p. Newcombe nieuszło bez nagrody: obudziło powszechny zapał, osobliwie między bracią *Wolnych Mularzy*, do których on sam należał. Wielki mistrz hr. Fortescue i loże masońskie z trzech najbliższych hrabstw, zgodziły się na ofiarowanie mu upominku. Ofiara ta tym porządkiem się odbyła. Dano dwie reprezentacye w teatrze na benefis dyrektora z podwyższonemi cenami; teatr był przepełniony Wolno-Mularzami i inną publicznością, zebrano dochodu 236 funtów. Druga reprezentacya była najciekawsza. Przedstawiono sławną dramę *Hunchback* (Gar-

baty) napisaną przez Sheridana Knowles, a po niéj odbyła się ceremonia ofiarowania upominku. Cały teatr był poobwieszany chorągwiami przysłanemi od lóż masońskich, a między niemi jedna z loży Druidów. W głębi teatru stało pyszne przezrocze promieniami setnych świateł tlejące, z „okiem Opatrzności“ we środku; po prawéj słońce, po lewéj księżyc z siedmią gwiazdami. Widok, za podniesieniem zasłony, był przecudowny i dla wielu widzów nowy: jakoż przyjęto go hucznemi oklaskami. Wystąpili potem Masoni różnych lóż i rang, w swych ubiorach, do siedmdziesięciu w liczbie, a na ich czele jeden z bractwa p. Soltau, który miał wręczyć ofiarowany upominek dyrektorowi teatru. Zwróciwszy naprzód głos do zgromadzonych widzów, wytłumaczył w pięknéj mowie pobudki, które ich skłoniły do ofiarowania panu Newcombe daru od bractwa, i to w obec tak świetnego zgromadzenia wojskowych, marynarzy i obywatelstwa i za ich aprobacyą. Po wyjaśnieniu tych pobudek, obrócił się do p. Newcombe i rzekł: „Bracie! wiernieś dopełnił cnót naszego zakonu — głównych trzech cnót jakie on na nas wkłada, a temi są: *Miłość braterska*, *Wsparcie* i *Prawda*. Łagodziłeś cierpienia nieszczęśliwéj córki, ocierałeś łzy bolejącéj matki“. Tu wziąwszy kiesę z stu funtami złota, przy stósownych wyrazach doręczył mu ją od bractwa w nagrodę, a w dodatku na pamiątkę kałamarz srebrny kosztowny ślicznéj roboty, z poleceniem aby przechodził dziedzictwem w jego rodzinie, i aby dzieci naśladowały wzorowe cnoty ojca. Ceremonia ta czyniąca wielkie wrażenie i obudzająca najszlachetniejsze uczucia, skończyła się mową dziękczynną za tak wielki zrobiony mu zaszczyt.

Kto odprawiał podróż przed niewielu laty po Anglii, zdarzało mu się pewnie widzieć misterną machinę, szerokości i wysokości budki strażniczéj, ruszającą się jakby o własnéj sile z ulicy na ulicę, z placu na plac, a gdzie się zatrzymała mnóstwo chłopców zbiegało się, wszędzie otwierano okna i dzieci na ręku nianiek lub matek wynoszono, aby patrzeć na to dziwowisko. Machina ta z tyłu miała zieloną kortynę, za nią był ukryty człowiek, który ją przenosił i kierował wszystkiemi jéj ruchami. Nazywał się on *Punch* (Poncz). U wierzchu miała teatrzyk, na nim różne figurki na-

kształt naszych jasełek: Judasza, Heroda i t. p. obnoszonych po kolędzie, w różnych ubiorach męzkich i żeńskich i różnego wieku i stanów występujące na scenę, a pomiędzy niemi głównym aktorem był drewniany automaton wyobrażający samego Poncza z wielkim nosem i błazeńską czapką (*fools cap*). Tam na tym małym teatrze można było widzieć co *Poncz* dokazywał i jak wielki sprawiał rejwach, jak wyprowadzał na scenę różne osoby i stany — jedne miłował, drugie szkalował, beształ — i to głosem na przemian tkliwym, hucznym lub chrapliwym ze złości, a zręcznie przez człowieka ukrytego pod kortyną udawanym. Raz on roztkliwiał widzów, drugi raz oburzał swem postępowaniem. Na ostatek z najlepszego człowieka, męża i ojca, wyszedł Poncz na urwisza — w domu się kłócił i skończył okropną katastrofą, że złością uniesiony zabił syna jedynaka i zamordował żonę. Zgroza! pobił policyą — wtrącony był do więzienia, a późniéj wyrokiem sądu królowéj i jednomyślnością tuzina przysięgłych uznany został za winnego (*guilty*) i na postrach dla dopuszczających się zbrodni skazany był na śmierć.

Wszelakoż *Punch* od téj ostatniéj kaźni potrafił jakoś się wywinąć; ale czyto ucieczką z więzienia, czyli przez ułaskawienie królowej, czyli może z stryczkiem koło szyi powierzgawszy na powietrzu, urwał się od szubienicy, wszystko to zostało pokryte tajemnicą; tyle tylko z pewnością wiadomo, że *Punch* używa wolności i żyje — żyje na przekorę wielu co jego śmierci pragnęło i pragnie. Sposób życia tylko obrał inny, bo zamiast noszenia teatrzyku swego na barkach, zamiast wałęsania się po ulicach i skupiania licznéj gawiedzi koło siebie, prawie wcale przestał się pokazywać — a przynajmniéj rzadko i to ukradkiem pokazuje się z swą budką dla dawnych swych przyjaciół i protektorów. Zamknął się gdzieś pod strychem i włożywszy szlafmicę, wziął się nie do spania ale do pióra. Od trzech lat macha piórem a ile umacha przez sześć dni tygodniowych, to na wszystkie strony co sobota rozsyła na rozweselenie dnia niedzielnego — któryto dzień w Anglii, jak wszystkim wiadomo, bardzo bywa smutny. Wydaje on swe pisma nie pod jakim zwyczajnym tytułem, bo żadenby się dla nich nie przydał, ale pod tytułem własnym, „Punch“.

Punch więc *redivivus* w wysokiéj błazeńskiéj czapce z długim kutasem, z wytrzeszczoném na bok okiem, z potężnie długim nosem który wszędzie wtyka, i śmieje się całą gębą aż do uszu rozwartą (jak to widać na okładce) pogląda na świat i notuje sobie. Nie ma teraz księgarskiego składu coby nie wystawiał *Puncha* w oknach— nie ma biblioteki ni czytelni publicznéj gdzieby go nie widziano na stole — nie ma ministra coby nim wyjdzie do Parlamentu pierwéj go nie przeczytał — nie ma żaka któryby na widok jego nie rzucił książki a nie chwytał za *Puncha* — nie ma dziecka coby się nie rwało do niego wyciągając rączęta aby się przypatrzyć dziwnym drzeworytom i figurom z jakich świat złożony, a z któremi, jakby przewidywało, kiedyś żyć mu przyjdzie. Owóż *Punch* jest najpopularniejszém pismem w Anglii, najwięcéj czytaném i nad wszelkie inne dzienniki większy ogrom nauki świata obejmującém. *Punch* jako bywalec na świecie wié wszystko czego inni nie wiedzą, zna siebie i ludzi, przenika nawet najskrytsze zamiary ludzi stanu i choć sam nie należy ani należał do tak zwanego *Corps diplomatique*, zna najtajniejsze skrytości poselstw i gabinetów. Choć nie był proszony na ostatnią radę wojenną w Paryżu, wiedział wszakże co się tam działo, wiedział nawet jakie wrażenie sprawiła nowina przyjęcia układów pokoju przez Rosyą na różnych celniejszych osobach tam i w Anglii. Na dowód, dość przeczytać to, co on nie czekając, ale wręcz tegoż tygodnia a może téj saméj godziny, bo tak się wydaje, napisał i ogłosił pod napisem: *Wykrzykniki.*

„Ja nie rozumiem tego“, wykrzyknął admirał Lyons, kiedy Cesarz przyniósł nowinę o pokoju.

„Jeśli pojąłem“, rzekł ks. Cambridge, „to nie ma tu co robić — wracam do Londynu“.

„Pokój!“ krzyknął Marklane (targ zbożowy) „Ah, to strasznie! Zboże spadnie, będzie za bezcen“.

„Pokój!“ spokojnie mówił kwaker Bright. „Dzięki Bogu! Nie będzie rozlewu krwi — nie będzie podwójnego podatku od dochodu — każdy będzie wygodnie siedział pod winném i figowém drzewem — a co nad to wszystko ważniejsze, ja nie będę pozbawiony przez Manchestran mego miejsca w Parlamencie“.

„Pokój z Rosyą!“ zawołał Cobden. Nie dziw — i nie

mogło być inaczéj. Wszakże ja to zawsze gadałem że ją na miazgę zbijemy (*crumple her up*)".

„Pokój!" krzyknął admirał Napier cały zaindyczony. „Wtedy już daremnie dopiekam byłemu ministrowi Graham za krzyżujące się instrukcye, jakie mi przysyłał z admiralicyi!"

„Pokój!" wykrzyknął z podskokiem Sir James Graham. „Otóż to najlepsza klapka na zatkanie gęby Napierowi".

„Pokój!" mówi Disraeli (torys). „To piekielny zawód dla mnie! Pisałem do Palmerstona że go chcę wspierać w zamiarach wojennych".

„Pokój!" zawołał Gladstone. „A może tedy i doczekam się orderu ś. Włodzimierza".

„Pokój!" westchnął admirał Dundas. „Po wszystkich teraz mych marzeniach! — Nadzieje moje budowałem jak zamki na lodzie. I tak nie złowię koronetu na Baltyku".

„Pokój" pomyślał Derby. „To szczęśliwie! Musimy się pozbyć Palmerstona. Niepotrafi on jak dotąd szerzyć krzyków po całym kraju; my go zagłuszym naszemi krzykami".

„Pokój!" rzekł lord John Russell. „To dobrze — będę mógł wprowadzić mój wniosek reformy; przywołany będę do ucałowania ręki królowéj w Windsor; a może być że mię na obiedzie w City już nie wygwizdają".

„Pokój!" mówił John Bull (nazwa uosobiająca naród angielski) wchodząc z kwaśną miną. „Pokój! A te rozmaite statki kanonierskie — ta ogromna flota co miała powiewać z banderą zwycięzką na Baltyku. — Kronsztad który miał być zgruchotany na pył — te podwoje z malachitu co po zburzeniu Petersburga miały, jak myślałem, przyozdobić mój dom — Cesarz którego miano tu przywieść w klatce, i —. Pokój!" Znowu *John Bull* mruknął, stęknął, z oczyma zaiskrzonemi gniewem, i jak młotem uderzywszy pięścią o machoniowy stół, wyrzekł: „Ja powiadam, że jeśli ma koniecznie być pokój, to ten syn niedźwiedzi powinien i musi zapłacić rachunek".

Pani Bulowa wyrzekła: „Pokój! I cóż — wszak to rozumie się, mój Jasieńku, że on zapłaci rachunek". Lecz pani Bulowa znana była zawsze jako dyskretna kobieta. Ona to mówiła tylko dla udobruchania kochanego Jasia; gdyż niedługo potém przyznała się przed sąsiadkami,

że „ani penny nie zwróci się im z opłaty podatku od dochodów, bo Rosyanie są wierutne łotry — śliskie jak węgorze, ona znała ich dobrze. Wyślizną się oni naszym, i niedostaniemy od nich ani farthinga".

Drugiém ważném pismem, także tygodniowo wychodzącém, są *Illustrated London News*. Styl ich różni się od stylu *Puncha;* tego sposób pisania jest dowcipny, humorystyczny, zakrawający na karykatury Hogartha; styl zaś *Nowin*, przeciwnie, jest ściśle historyczny. Same w nich drzeworyty są historyczne, autentyczne i ile być może wierne. Jeśli portrety, tylko z oryginałów są brane; jeśli krajorysy lub mapy, na miejscu wiernie kreślone. Bywa ich znaczna liczba w każdym numerze, i do nich dodawane są objaśniania historyczne, biograficzne, topograficzne. Wojna na Baltyku i w Krymie, przeglądy wojsk, fety i obchody publiczne w kraju i za granicą, zabytki starożytności i budowle, obfite do tych drzeworytów nastręczają przedmioty. Ztąd to pismo ważném jest, iż obeznaje naocznie publiczność z wszystkiém co się w tych czasach dzieje lub co szczególną zwraca uwagę. Obieg ma znaczny lecz nierównie mniejszy od *Puncha*, bo dla oświeceńszéj klasy jest pisany, i najczęściéj obok *Puncha* znajduje się na stołach. W numerach styczniowych znajdują się portrety jenerałów Williamsa, Campbella, Lady Morgan i Cesarzowéj Rossyjskiéj — rozdawanie medalów przez księcia Cambridge w Paryżu — wręczenie legii honorowéj Sułtanowi — procesya otwarcia parlamentu przez królowę — wnętrze domu poety Rogersa — wnętrze kościoła katedralnego i t. d.

W podobnym guście, tylko bez drzeworytów, ale w figurach najstaranniéj rytowanych na stali, wychodzi pismo czasowe snycerstwu, malarstwu i architekturze poświęcone. Tytuł jego jest „*Art-Journal*" i ogłaszane jest w zeszytach miesięcznych. W niém znajdują się różne wynalazki i odkrycia z wymienionemi sztukami związek mające. Jest to pismo nieoszacowane dla trudniących się sztukami wyzwolonemi z powołania i dla ich miłośników.

Podczas pobytu królowéj w Szkocyi, jeden z kaznodziei tamtejszych miał kazanie przed królową, które przez nią i przez księcia Alberta uznane było jako wzór kaznodziejskiego kazania dla ludu. Działo się to na wsi,

a kaznodzieja tak przemawiał, jakby nie był w obec królowéj, ale tylko w obec słuchaczy dla których zwykł kazać. Kazanie to na życzenie królowéj podane zostało do druku, i dotąd rozkupiono go 60,000 egzemplarzy. Księgarz ofiarował 700 funtów kaznodziei za rękopism, co tenże przyjął, ale całą tę kwotę ofiarował na instytut dla ubogich w swéj parafii. Siły dodał swym słowom tym chrześciańskim uczynkiem.

Rzym w lutym.

Evviva la gioja! Evviva il carnavale. Bo to cały Rzym szaleje w ostatnie dni zapust. Przez dziesięć dni odzywa się o w pół do drugiéj na Kapitolu stary dzwon, dający znak rozpoczęcia zabaw. Na ten głos przyjacielski sypią się wszyscy na *Corso.* Tam panuje taka równość, żeby lepszéj nie wymyślił i sam pan Cabet. Książe i ubogi, artysta i *pulcinella*, kupiec i *columbina*, wszystko sobie podaje bratnią rękę, rzuca kwiaty, *confetti*, cukierki i miłosne bileciki. Widziałem nawet, jak wiązano do bukietu białe gołębice, które rzucone w powietrze, miały właśnie tylko tyle siły, aby upaść u stóp téj, dla któréj były przeznaczone. Rzymianie i rzymianki mają prawdziwy talent w téj rozrywce. Nawet kiedy ciskają *confetti*, rodzaj małych cukierków z mąki i wapna, czynią to dla śmiechu, ale nigdy żeby komuś szkodzić. Wielka więc biéda, że na te kilkanaście dni przybywają do Rzymu całe kolonie Anglików. Uważałem, że ten naród posiada w sobie jakąś dzikość kiedy przychodzi mu się bawić, a finalnym rezultatem jego rozrywek jest zawsze widok krwi. I tak kiedy Anglik po Corso przejeżdża, sypie *confetti* całemi szuflami, co nie tylko że przeciwnikowi ból sprawia, ale odbiera nawet zabawie jéj typ pierwotny. Żeby się sami tylko Anglicy po Corso przechadzali, skończyłby się niezawodnie cały karnawał ogólném boksowaniem. To też nie zobaczysz, aby się kiedy piękna Rzymianka uśmiechnęła do powozu lub balkonu, napełnionego dziećmi Albionu. Tam żaden bukiet nie zawadzi. Czasami zobaczysz tylko, jak wzruszają ramionami mówiąc: „*Che barbari! Che villani!*“ —

Pogoda tego roku jak najśliczniéj sprzyjała, ciepło jak w maju z lazurowem lipcowem niebem. Co to za bogate żniwo dla romansopisarza, te kilka dni karnawału! Ileż to intryg, deklaracyj, zawodów! Ile to matek skłopotanych, mężów przerażonych i żon zapłakanych! Nie spisałbyś tego i na wołowéj skórze. Kwiatów wyrzucono za przeszło sto tysięcy franków. Często Rzymianin nie ma chleba w domu, ale się zawsze zabawi podczas karnawału. Zastawi cały swój majątek, zaprzeda prędzéj duszę djabłowi, jakby nie miał w dniu tak solennym obrzucić kwiatami kochankę swoją.

Po salonach arystokracyi rzymskiéj, równie wesołemi były ostatnie dwa tygodnie. Dla krótkości karnawału bawiono się dużo i prędko, bo jeżeli tutaj zapusty są huczne, to znowu nadchodzący post jest poważny i surowy, jak przystoi stolicy papieskiéj. Mieliśmy kilka świetnych balów. Pierwszy u książąt Rospigliosi-Zagarollo, gdzie zaproszono sam wybór arystokracyi rzymskiéj, jak Francuzi mówią, *la crême*, a jeden z moich przyjaciół, wyrażając się po polsku nazywa to: *sam kożuszek śmietankowy*. Gospodyni, z domu księżna Nompaire-Champagny, przyjmowała z uprzejmością wrodzoną niejako Francuzom. Drugi u książąt Doria Pamfili, najświetniejszy téj zimy, z wyśmienitą wieczerzą, żywiołem niezbędnym dla tańcujących. Niech mi tu będzie wolno wystąpić w obronie „złotéj“ młodzieży, któréj mają czasami za złe, że po kilkogodzinnéj pracy chce coś przekąsić i wypić kieliszek szampańskiego wina. Wy co uważacie, że to są zbytki, balów nie dawajcie. Ale gdy kto przez sześć lub ośm godzin wciąż pracował nogami, jakby nad tematem zadanym w zaprosinach gospodyni, nie może żadnym sposobem naczerpać sił ze szklanki lemonady lub orszady. U książąt Doriów było dużo cudzoziemców, a najwięcéj Anglików, bo sama księżna będąc córką Lorda Shrewsbury Talbot, otworzyła rodakom gościnne i bogate salony swoje. Balowaliśmy potém na korzyść ubogich w pałacu Braschi, gdzie był niesłychany natłok osób. Szczęśliwi ci nieszczęśliwi, co się zgłaszają nie do serca publiczności, ale do jéj nóg! Zrób składkę dla ubogich a zobaczysz co zbierzesz! Ogłoś bal a natychmiast złoto leci ze wszech stron! Czemuż więc filantropy, których się tyle spotyka na świecie, nie

uderzają częściéj w tę słabą stronę ludzkości, a najpraktyczniejszy sposób ukontentowania ogółu. Zakończyliśmy nareszcie karnawał balami u księcia Borghese i u francuzkiego jenerała de Montréal. Na tym ostatnim bawiono się do białego dnia. Widziałem tam w mundurze wielu oficerów francuzkich i angielskich wracających wprost za urlopem z pod Sebastopola. Na tych wszystkich zebraniach najładniejsze osoby zdaniem naszém były: Teresa z książąt Chigi, księżna Poli, która zachowała w sobie w całéj czystości typ ideału piękności rzymskiéj. Ma ona czarne wielkie oczy, pełne takiego ognia i wyrazu, że nie radzę nikomu często się z niemi spotykać. Płeć przejrzysta i przyciemna, jak marmur paryjski pozłocony od słońca, rysy kapitolińskiéj Agrypiny z cerą kreolki z pod równika. Po niéj, Margrabina Lavaggi z hr. Marescalchi, piękna pięknością nie jasnowłosych kobiet północy, ale południowych blondynek Tyciana. Gdy obie podały sobie ręce na balu, zbliżone ich głowy harmonijnie malowniczo odbijały od siebie, a szmer uwielbienia do koła się rozlegający, w jednym je wykrzykniku połączył. Nareszcie wymienić muszę księżne Massimi i Gallicano, panią Cholmeley angielkę, margrabiny Patrizi i Vitelleschi. Napróżno oddawna wyglądaliśmy w Rzymie pięknych rodaczek, któreby mogły potwierdzić słusznie ustaloną reputacyą naszych polek. Nareszcie tego roku, przywiozła nam z Poznańskiego pani De La Barre Bodenham z Morawskich, dwie siostrzenice swoje panny Chłapowskie, prawdziwe dwa pączki różane, które zapewne tu przybyły, aby rozkwitnąć pod południowem słońcem. Włochy nie mogąc wyjąkać tych północnych nazwisk, nazywają je „*le belle Pollacche!*“ — O polskich salonach cóż wam powiem? Oto nic, bo polskich salonów nie masz. Wprawdzie zejdą się czasami — ale co za nudy! Jak to słusznie zowią: święte nudy! W jednym z nich słyszałem jak przez trzy godzin rozmawiano o spowiednikach — w drugim przez tyleż o pokucie — w trzecim o czyszcu i piekle. Biedni kaznodzieje, cóż wam pozostanie na post? Uciekłem więc ze wstydem, nie godzien tak wygórowanéj doskonałości.... Jest wprawdzie jedyny wyjątek, ale jeszcze tylko na wpół polski dom. Chcę tu wspomnieć o hr. Malatesta, gdzie pani Dorota z książąt Jabłonowskich,

łączy w salonie swoim towarzystwo włoskie i nasze. Tam nietylko że można przyjemnie kilka godzin spędzić, ale nadto znajduje się prawdziwa rozmowa, rzecz która się co dzień więcéj zatraca.

Pamiętacie, jak kilka lat temu, dowcipny felietonista w *Indépendance Belge*, wspomniał o dwóch siostrach, paniach S. i P., które gdy pięknością swoją zabłysły na horyzoncie paryzkim, przezwał je *gwiazdami północnemi*. Pono jedna z tych gwiazd przesiaduje chwilowo w Neapolu. Za oficyalną wiadomość wam tego nie posyłam, ale wam powiem, że ten ideał piękności lubi..... kwaśne ogórki. Przywiozła więc ze sobą całą beczkę tego poetycznego pokarmu. Czy sobie wystawiacie ową boginię u stóp Wezuwiusza, na gruzach Pompei, lub na grobie Wirgiliusza, zajadającą smacznie narodowy ogórek. Naśmiano się tutaj niemało w naszém kole z téj ploteczki, a ja przeciwnie, powiadam że myśl nowa i oryginalna, bo pani ta pewnie jest pierwszą, któréj przyszło na myśl, wśród cytrynowych i pomarańczowych lasów pomyśleć o tym płodzie naszéj ziemi! —

Nie zawsze atoli wesołość idzie w ślad za naszą wędrującą kolonią; czasami smutek zasępi czoła które się wyjaśniły i wypogodziły pod włoskim błękitem, a bolesna strata uderzy jak dzwon pogrzebowy, jak *memento mori* wyrzucone z nienacka wśród wrzawy zapustnéj wszystkich czasów, co tutaj ducha naszego często unoszą za daleko od rzeczywistości. Młody nasz rodak Władysław Marylski, po krótkiéj ale bolesnéj chorobie zbudował znajomych przykładną swoją śmiercią. Na obchodzie pogrzebowym na cześć zmarłego, znakomity nasz mowca ksiądz Hieronim Kajsiewicz odezwał się nader pięknie do wiernych. Nieraz zapusty ze śmiercią sąsiadują, każdy to pamięta, kto czytał nieśmiertelną Maryę naszego Malczewskiego.

Posyłam wam spis bawiących rodaków téj zimy w Rzymie, albo takich co dopiéro z tąd wyjechali:

PP. Dar. Poniatowscy, Al. Orłowscy, hr. Ed. Łubieńscy, hr. Fr. Mycielscy, hr. Alf. Potoccy, Iżyccy, Hausner, Benisławscy, panie hr. Kry. Wielhorska i hr. Husarzewska z córkami, hr. Kon. Rzewuska, Gen. Pusłowska, Działowska. Panowie: J. hr. Dzieduszycki, hr. Wło. Miączyński, Mniewski, hr. Czacki, T. Lenartowicz, Wł. Kul-

życki, Ar. Kościelski, Szlubowski, Woj. Morawski, E. Pol, X. kanonik Skórkowski i X. Prusinowski.

Warszawa w lutym.

Ogłoszenie Dodatku literackiego przy *Czasie* ze wszech względów bardzo dobrą było dla nas nowiną. Potrzebujemy właśnie takiego pisma, brak nam go. Gazety nie mogą w żadnym razie zastąpić pism czysto literackich, a *Biblioteka Warszawska* nie zapełnia braku. Odkąd *Przegląd naukowy* przestał wychodzić, zginęła przeciwwaga *Biblioteki* i pismo to chociaż potrzebne i przysługiwało się nieraz skutecznie sprawie literatury, z biedą tylko utrzymać się może. Wydawcy *Biblioteki* każdego roku muszą coś dopłacać, i nie istniałaby ona już zapewnie, gdyby nie pomoc skuteczna dwóch bankierów warszawskich, która w samą porę przyszła. Z lwowskich pism zbiorowych nic nas nie dochodzi, poznańskich nigdy nie mieliśmy: koniec końców, *Dodatek do Czasu* jeżeli go Warszawa ujrzy, żadnego nie znajdzie współzawodnika, szranki dlań otwarte, niechże szermuje w imie Boże, a może sobie piękną przyszłość wywalczyć.

O Warszawie wielu już pisało do waszego *Czasu* i gdyby te wszystkie korespondencye połączyć a odczytać jedną po drugiéj, dziwna utworzyłaby się mięszanina, dziwniejsza sprzeczność zdań. — Ta też mieszanina i sprzeczność zdań powinna stanowić dla was najlepszy obraz Warszawy. — Tutaj zdawałoby się, jak gdyby społeczeństwo nasze było w ciągłem tworzeniu się, i trzeba bardzo długo przebywać w naszém mieście, żeby powziąść o niem jakiebądź wyobrażenie. Dla tego też jedni powiadają, iż Warszawa jest małym Paryżem, drudzy nudzą się w niéj na zabój; jedni wygadują na koterye i kółka, drudzy twierdzą z najsmutniejszém przekonaniem iż nie masz w całéj Europie miasta w którémby wszystkie klassy i stany łączyły się zgodniej jak w Warszawie; jedni przyznają jéj sterownictwo ruchu umysłowego całego kraju, drudzy znowu utrzymują, iż pomiędzy War-

szawianami bardzo mało ludzi z rzeczywistemi zdolnościami a jeszcze mniéj z prawdziwą nauką.

Wszystko to pochodzi z wyjątkowego położenia Warszawy. Więcéj niż które bądź może miasto polskie odbiegła ona od dawnego stanowiska, przerobiła się na manier europejski, a jednak najzupełniéj zachowała i uogólniła nawet język narodowy, bo w Warszawie wszystko polszczeje pod tym względem; nawet pierwiastek zachodni tak silny zachowawczo, a nie rzadko dający się tutaj napotkać, ulega téj koniecznéj zmianie. Przed pięćdziesięciu laty mnóstwo tu jeszcze słyszeć można było mieszkańców mówiących wyłącznie po niemiecku, obecnie zaś znam wiele obcego pochodzenia rodzin, których członkowie jedynie brzmieniem nazwiska różniąc się od tutejszo-krajowych, zapomnieli zupełnie języka swych ojców.

A pomimo tego nie masz może miasta, do któregoby wyobrażenia i obyczaje cudzoziemskie tak gwałtownie i przeważnie jak do Warszawy napłynęły. Już przy końcu XVIIIgo wieku Warszawa stanowiła pod tym względem wyjątek w całym kraju. I dziwna rzecz, mniéj brała ona z Niemiec chociaż bliższych sobie, a więcéj z Francyi. — Od Stanisława Augusta żywioł francuzki ze wszystkiemi swojemi wadami i przewrotami zaczął najzupełniej zastępować łaciński, w którym dawniej kształcili się Polacy. Widne to było w literaturze, w życiu społeczném, we wszystkiem. Dla tego to literatura ówczesna, a nawet późniejsza trochę, była tylko odbiciem Warszawy a nie całego kraju: dla tego kiedy naprzód poezya, a potem proza wpadły na tor prawdziwie narodowy, tak wielki zjawił się przewrot w literaturze, zdawało się że widzimy postacie i wydarzenia o kilka wieków od nas odległe, a jednak pół wieku zaledwie odgradzało nas od nich. —

Ale zmiana jakiej po części uległa literatura, nie została jeszcze w życie wprowadzoną. Byliśmy wiernem odbiciem Zachodu, przesadzaliśmy nawet jego błędy i zdrożności zwykle jak kopia w któréj wady oryginału muszą być więcéj rażącemi, i teraz jeszcześmy się z tego zupełnie nie wyleczyli, chociaż trzeba przyznać, iż ma się jakoś ku temu. A nie wyrzekam tu wyłącznie na ów francuzki język, panujący samowładnie po salo-

nach, bo niechaj już tam sobie mówią po francuzku, kiedy im dobrze z tem i koniecznie chcą tego, wszakżeż nie my sami ulegamy tej manii. Ale co gorsza, wyobrażenia które już dawno przebrzmiały na Zachodzie, pomysły, o których niepraktyczności a nawet szkodliwości stokroć się gdzieindziéj przekonano, znajdują u nas najurodzajniejszy grunt. W tej mierze jesteśmy daleko jeszcze cofnięci za wami, bo wy przynajmniej przebyliście szkołę doświadczenia. U nas znajdują się albo ludzie ciemni zupełnie, albo że tak powiem, niedokształceni, gotowi jąć się każdéj utopii, każdego błędnego mniemania, byleby to dogadzało tajemnym ich sympatyom. Niektóre najmylniejsze zdania i wyobrażenia krążą w naszém mieście jak zdawkowa moneta, i biada temu, kto nie potrafi brać ją i płacić nią w zamian. Ot naprzykład jakaś idea posłannictwa, która w poezyi bardzo piękna, stała się zgubną w zastósowaniu. Bardzo to wygodnie uwierzywszy w jakieś mistyczne proroctwa, opuścić ręce i powiedzieć sobie: „Jestem wybrańcem, mnie się cześć należy“ — ale gdzie zasługa, coś zrobił panie bracie? A jeżeli posłannictwo to łaską bożą nam udzielone, toż przynajmniéj pwinno objawiać się natchnieniem a nie przybieraniem dawno gdzieindziéj przebrzmiałych utopij. —

I co najgorsza, iż poznano tutaj jedną część tego zboczenia a nie pojęto drugiéj. Chcą się poprawiać z téj cudzoziemczyzny, ale jakimże sposobem? oto przesadzając pochwały wszystkiego co *nasze*. Jakto jedno z drugiem niezgodne! Kradniemy obcych i to nie koniecznie w dobrem, a nie przyznajemy się do tego, śpiewając bez przestanku pochwalne hymny do naszéj genialności — I wystawcie sobie, *Kuryer* poczciwy, niewinny *Kuryer* dał pierwszy popęd do tego, wszystko tu tak Kuryerem przesiąkło. Niechaj kto zgani jakiego *naszego* autora albo artystę, albo co nie bądź, to już podkopuje kraj, to już dybie na zgubę narodowości. Z tego powodu nie może tu być ani dobréj krytyki ani żadnego opisu, któryby obcym właściwe o nas mógł dać wyobrażenie. Bardzo to może chwalebne w zasadzie, ale do czegóż wiedzie? Kto na piędź ziemi odrośnie, ten już zasypia na laurach. Gdzie nie ma uznania prawdziwéj wartości, tam rzeczywistego postępu być nie może. —

Ale Warszawy pomimo tych wszystkich zboczeń nie można w zupełności winić. Skądże do niéj mogło przyjść potrzebne wykształcenie? Skądżeż ona miała nabrać prawdziwego wyobrażenia o świecie i o ludziach? Trudno żeby kto daleko zaszedł, tam gdzie się wszystko na szkolnem wykształceniu kończy. Więc ci którzy uznali potrzebę dalszego kształcenia się, połapali na oślep stąd i z owąd bez porządku, bez kierownictwa, bez zachęty. A jeżeli znajdują się ludzie prawdziwéj zasługi, to ta zasługa stokroć jest wyższą porównawczo tu, niż gdzieindziéj, bo kosztowała ona trudów i poświęcenia niemało; jeżeli rozwija się tu popęd artystyczny i literacki, jeżeli widna jakaś poprawa życia i obyczajów, to Warszawa podjęła w tém wszystkiem Herkulesowe prace, zwalczywszy oprócz mnóstwa innych przeszkód, własną opieszałość; więc nie winić jéj ale chwalić należy, iż stanęła na stopniu na jakim się obecnie znajduje. —

A teraz przystępuję do właściwego sprawozdania, bo wiem żeście chciwi faktów, chociaż w mieście w którém życie społeczeńskie krąży w pewnych oznaczonych już z góry granicach, nie tak łatwo o fakta, jakby się zdawać mogło. —

Nie wierzcie gazetom, a szczególniéj Kuryerowi, który donosił, iż karnawał był tu bardzo ożywionym. Bywały wprawdzie bale i wieczory i to rzadziéj niż w ubiegłych latach, ale na wszystkich tych zebraniach ciążyła jakaś monotonność i znudzenie, które niewiedzieć czemu przypisać. — Pomimo tak krótkiego karnawału domy, w których się najlepiéj przeszłych lat bawiono, leniwo występowały z zaproszeniami, i śmiało powiedzieć, że przed wszystkiemi prym trzymała resursa: jeszcze tam ruch był jaki taki. — Trzeba wam wiedzieć, iż resursa nasza zupełnie różną od dawniejszéj przybrała obecnie postać, a fakt to do zanotowania, bo przeważnie charakteryzuje zmianę w społecznem życiu Warszawian.

Od kilku lat widocznym był u nas jakiś ruch, nader chwalebny, ku zespoleniu klass, koteryj, odcieni. Niektóre zamożne i wysokie położenie w świecie zajmujące osoby pootwierały salony..... dla wszystkich. Jedni czynili to w bardzo pięknym celu zjednoczenia, inni przez proste naśladownictwo, inni nareszcie dla tego, iż w ścieśnionem kółku w którém żyli, zaczynało być za sucho,

za nudno, czuć się dawała potrzeba wprowadzenia nowych żywiołów, pomnożenia zestarzałéj już armii czynnéj młodymi i zdrowymi rekrutami, którzyby w niéj ducha odżywili. Wieczory poniedziałkowe pani Ł* które sprowadzały licznych a różnorodnych gości, stały się wkrótce miejscem schadzki, gdzie zabierano znajomości, zawiązywano stosunki. Świat literacki, artystyczny, bankierski, miejski nawet, zbliżył się do tak zwanego wielkiego świata, chociaż zbliżenie to nastąpiło tylko w pewnych danych warunkach! Hrabiny poczęły oddawać pierwsze wizyty żonom bankierów, książęta zapraszali do siebie artystów, miejskie damy w balowych toaletach znalazły się w salonach najwyższéj arystokracyi. Ale wszystko to działo się tylko na balach i wielkich przyjęciach, i kończyło się na kilku ceremonialnych wizytach oraz uroczystych festynach, rzadko kiedy wydarzających się, bo warunki zwykłego codziennego życia pozostały też same, zwłaszcza u płci pięknéj. I nie ma się czemu dziwić: kobieta to dom, co jéj tam do rzeczy publicznéj, ona czyni wybór z tego co jéj dogodném, do czego przywykła. Mężczyźni łączyli się więcéj jakoś i trzeba im oddać sprawiedliwość, iż oni to ten ruch spowodowali, aż nareszcie wypływem tego wszystkiego stało się przetworzenie staréj czyli wielkiéj resursy kupieckiéj. Resursa ta założona pierwotnie przez kupców, jak to jéj nazwa wskazuje, stała się po pewnym przeciągu lat czysto miejskiém zebraniem. Kupcy stanowili wprawdzie zawsze większość w komitecie, ale w ogólném gronie członków na kilku obywateli miejskich stanu niekupieckiego, jednego zaledwie kupca można było policzyć. Musiało się tak stać a nie inaczéj, zebranie bowiem resursowe trzymając się pierwszéj myśli założycieli, ścieśniłoby się w zbyt szczupłych granicach. Raz na rok w wigilię nowego roku resursa dawała wielki bal, rozsyłano zaproszenia, i wszystko co żyło w Warszawie począwszy od Księcia Namiestnika znajdowało się na tym balu. Zjawiał się tam wówczas wielki świat, i damy i mężowie ich i cała ich koterya, wszystko to jednak trzymało się na osobności, używając umiarkowanie zabawy, najczęściéj w oddzielnym salonie i nie mięszało się z ogółem. Oprócz tego wydawano tam kilka wieczorów w karnawał, na które się już tylko właściwe

resursowe towarzystwo zbierało; czasami miały miejsce koncerta, a codziennie do sal dolnych zgromadzało się grono zwykłych członków, składające się z obywateli miejskich, urzędników, kupców, którzy w większéj części zajmowali się bardzo umiarkowaną grą w karty a w drobnéj cząsteczce czytaniem i rozmową. Dawano także i obiady, na które wolno było członkom gości sprowadzać.

Kiedy ów ogólny przewrót, o którym wspomniałem, dał się uczuć w towarzystwie warszawskiem, zaczęto na gwałt szukać neutralnego pola, gdzieby można było do skutku przywieść ogólne zjednoczenie, o którém tyle głów marzyło. — Bardzo naturalnie zwrócono uwagę na Resursę. Było to jedyne miejsce, gdzie mogły się odbywać publiczne zebrania, bo u nas bez upoważnienia rządu nie wolno jest zawiązywać nowych towarzystw. Zaczęło się od owych powyżéj wspomnionych uroczystych obiadów, na które pod różnemi pozorami jęli uczęszczać panowie utytułowani i bratać się z miejskiemi. Nie brakło takoż literatów i artystów. — Powoli liczba członków zaczęła się zwiększać, a cały prawie przybytek stanowili książęta, hrabiowie i szlachta. Jedni przedstawiali drugich, wkrótce liczba członków Resursy pomnożyła się w dwójnasób, i wszystko co tylko zajmowało wysokie stanowisko w mieście naszem, przytem mnóstwo osób z prowincyj zachodnich Cesarstwa, zapisało się w grono członków resursy. Naturalnie, że żony, matki i siostry tych panów zaczęły częściéj niż dawniéj bywać na wieczorach resursowych i nie odosobniały się jak niegdyś. — Aż nagle wydarzył się niespodziany przewrót w komitecie: kupcy wykluczeni zostali jako malkontenci i reakcyoniści, a miejsce ich zajęli bankierowie w połączeniu z panami i postanowili natychmiast nadać zupełnie inny obrót działaniu resursy. Uświetniono wieczory, uwygodniono lokal, nadano uroczystszy pozór zwykłym zebraniom, na obiadach i wieczorach składkowych zaczęły się różne improwizacye i przemowy, zwiększono znacznie listę wydatków, słowem nieszczędzono niczego, ażeby wpływ resursy uogólnić i uczynić z niéj miejsce zebrania wszystkich. Znalazła się opozycya, ale musiała ustąpić. — Napełniły się salony,

skutek usprawiedliwił usiłowania, i nowy komitet zanucił hymn zwycięztwa. —

Ale dla czegóż w każdéj chociażby najlepszéj sprawie ujemna strona znaleść się musi? Nowy komitet urządził apartamenta na górze, w których zaprowadził wszelkie dogodności, jakie tylko towarzyszyć winny dobrze uorganizowanemu klubowi. Ogłoszono czwartkowe obiady i sobotnie wieczory ze składkową wieczerzą i powoli, jak się domyślać można, koterya dolna posarkawszy i pomruczawszy trochę pociągnęła na pierwsze piętro, gdzie daleko więcéj mogła znaleść dla siebie wygód. — Wszystko to bardzo pięknie, ale zgadnijcie proszę co stanowi cień téj świetnej całości?.... otóż karty. Wieczory sobotnie przemieniły się w codzienne zebrania, a umiarkowana gra dawniejsza, przeszła do cen głównie bardzo wysokich. — O którymkolwiek czasie w godzinach poobiednich przyjdzie się do resursy, można tam zastać z wyłączeniem innych zajęć i zabaw mnóstwo stolików od kart rozłożonych, a wszystkie obsadzone graczami, a różnice na tysiące się liczą. Prawda iż za granicą w oddzielnych klubach grają i w większą grę nawet, aleć resursa to jedyne nasze publiczne zebranie, to odblask i koncentracya miejskiego życia, a jeżeli u nas, gdzie tyle brak jeszcze, wszystko ma się jednoczyć jedynie na zielonym stoliku od kart, to co nam po takiem zjednoczeniu?

Obecnie komitet otworzył gościnne podwoje resursy dla czwartków archeologicznych, które dotąd były koczującemi, a stanowiły punkt zebrania dla miłośników archeologii u nas, gdzie mówiono o literaturze i sztuce, przynoszono rzadkości i kommunikowano sobie nowe odkrycia. — Dwa takie czwartki odbyły się już i zakrawają na coś bardzo użytecznego. — W dalszych korespondencyach będę wam ogółowo zdawał sprawę z tych bardzo dla nas pożądanych zebrań. —

Powracając do karnawału, nie wiele z niego można wycisnąć. W przeszłym to roku było co pisać, kiedy mieszkały jeszcze w Warszawie owe niezrównane piękności, które świat modny sławił i dotychczas sławi jeszcze. Więc cały ich tutaj tryumf, to *bagatela* dla nich. A jednak w koło nich był dwór taki liczny, że wszelkie zdania, wszelkie odcienia, wszelkie opinie jednoczyły

się na tym gruncie więcéj niż w resursie, więcéj niż gdziekolwiek. Wdarłszy się do najwyższych sfer towarzystwa, utworzyły one w tych sferach świat zupełnie nowy, a ponętny, a wesoły, a wolny, bo w obliczu wdzięków wszystko tam było równe. One jak *słońce* świeciły dla wszystkich i gromadziły w około siebie mnóstwo planet obojéj płci i *Marsów* i *Merkurych* i *Wenery* i *Jowiszów* nawet, tylko *Westy* tam nie było. Teraz ich nie ma, świat słoneczny się rozpierzchł, odetchnęły żony, a mężowie...... rachują się wzdychając za stratą.

A powiadam wam, że tak Bogiem a prawdą w Warszawie zajęć nie wiele, więc nie dziwota, że lada co hałas robi. Bo i czemże ma się tam zajmować owe kilka tysięcy ludzi, którzy mają czas na to żeby szukać zajęć. To téż niech się tylko ukaże co wychodzące ze zwykłych karbów, wnet całe miasto o tém gada. I najmniejszy wypadek z codziennego życia przybiera olbrzymie rozmiary i na cały tydzień starczy do plotek. Niechaj wyproszą grzecznie z resursy kupieckiéj jakie damy co tam przez kontrawencyę weszły, niechaj nowozamężna przy obrzędzie weselnym poróżni się z nowożeńcem i wychyli kielich szampana na cześć rozwodu, niechaj kilku pijanych niedorostków poswarzy się gdzie na przyjacielskim baliku, to kiedy wyjdziesz z rana na miasto, każden kogo spotkasz będzie ci rozpowiadał o tych dziwnych przygodach. Lada rzecz robi wrażenie. Przecież przez cały rok jeden, kto tylko mógł z Warszawian biegł przysłuchiwać się improwizacyom wierszem. A teraz mamy improwizacye prozą; wy sami nawet w felietonie „Czasu“ drukowaliście parę tych improwizacyj. Poczciwy Molier, jak on to przewidział w swoim *Bourgeois gentilhomme*, który nie może wyjść z zadziwienia, że od urodzenia tak dobrze prozą mówić potrafi.

A że potrzebujemy jakiegoś zajęcia, to bije w oczy. Gdzie tylko kilkunastu ludzi zebrać się może, tam zawsze pełno począwszy od restauracyi a skończywszy na balikach. Lada koncert, lada przedstawienie magiczne, lada sztuki łamane udać się tu muszą koniecznie. — W teatrach na wszelkie pierwsze przedstawienia prawdziwa bójka odbywa się przy kasach. I zaprawdę, trzeba takiéj poczciwéj publiczności jak warszawska żeby teatra nasze tak zawsze przepełnione były. — Bo czemże

też one żywią tę publiczność? Wystawcie sobie, wznawiają takie sztuki jak naprzykład: „Trzydzieści lat życia szulera“ jak gdyby już nie było co dobrego do tłómaczenia, kiedy o oryginalne tak trudno się doprosić. Wiele to o tych naszych teatrach jest do pomówienia, i da Bóg, dłużej wam się kiedyś rozpiszę w tym przedmiocie, teraz zaś skreślę tylko parę ogólnych uwag. Wy nie możecie mieć nawet wyobrażenia o tém co tu się dzieje, bo sprawozdania teatralne oprócz zwyczajnej cenzury oddawane jeszcze bywają do Dyrekcyi Teatrów, która kreśli z nich co chce a jeżeli jéj się artykuł jaki niepodoba usuwa go w zupełności. Więc same tylko pochwały wychodzić mogą na świat, a publiczność nie doczyta się żadnego szczerego zdania o sztuce i artystach — ci ostatni zresztą nie wiele dbają o łaski publiczności, mając wyznaczoną sobie stałą pensyę roczną i emeryturę po wysłużeniu pewnego przeciągu lat, zabezpieczeni opieką rozporządzeń porządkowych od sykania i znaków niezadowolenia, nie lękając się recenzentów, grają co chcą i jak chcą, i każą się wywoływać po kilkadziesiąt razy podczas przedstawienia przez krewnych, znajomych i przyjaciół. — Pomiędzy tymi artystami pierwsze miejsce zajmuje balet, członkowie jego najwięcéj płatni, najkrócéj potrzebują służyć dla uzyskania emerytury. — To też trzeba wiedzieć, że to nie lada persona baletnik albo baletnica u nas. — Te ostatnie zwłaszcza w kronice naszego miasta przeważne zajmują miejsce. — Są pomiędzy niemi panienki które uzbierały sobie z różnych oszczędności po pół miliona złotych majątku, inne znów zostały żonami panów utytułowanych i opływają mlekiem i miodem, do tego stopnia, iż rodzice pragnący tutaj los zapewnić córce swojéj, powinniby ją do baletu oddać — a korporacya ta liczy z *corps de ballet* przeszło 200 indywiduów. — Piękna rzecz! Ile to pieniędzy na same nogi wychodzi w Warszawie!

Opera znów jest to jakieś salmigondis w którém żaden dyrektor ładu dojść nie potrafi. — I to także prawda, że kiedy jaki dyrektor zechce się ostro a porządnie wziąść do rzeczy, to nie długo zagrzeje miejsca, że przytoczę za dowód Dobrzyńskiego. — Mamy Polaków, mamy Włochów, mamy Niemców, jakie chcecie narodowości, i były już opery dawane u nas w czterech czy pięciu języ-

kach. A porządnéj całości nikt nie zleje, bo niepodobna. Brak nam primadonny, a czyż nie mieliśmy talentów rodzimych. Leśniewska robi furore w Wenecyi, Płodowska (Pfeiffer) okrywana poklaskami w Medyolanie, Rywacka tuła się tu i owdzie; gdzie spojrzysz na jaką gazetę zobaczysz nazwisko polskiéj artystki i artykuł pochwalny. A wszystko to z Warszawy; wyjechały ztąd bo trzeba im było na rok aż po kilka tysięcy złotych polskich płacić, nawet kiedy która z nich zjawi się w naszem mieście, nie wolno jéj dać koncertu dla rozradowania ziomków. — My zaś płaciliśmy jakiejś pannie Ortholani a raczéj impressariowi który ją przysłał, kilkadziesiąt tysięcy na rok, a panna Ortholani ma wprawdzie głos bardzo mały i piskliwy, ale za to nie umie śpiewać. Jak się zjawi jaki baryton, każemy mu śpiewać tenorem, bo tenor potrzebniejszy i straci głos w pół roku. Kiedy już fałszuje, za posłuszeństwo dostaje miejsce w administracyi. Artystę który ogłuchł posyłamy żeby nam wybrał śpiewakow we Włoszech, bo się najlepiéj pozna na nich, a takiego który już nie ma wcale głosu, używamy do ról pierwszych kochanków — bo umie gesta robić a w szczególności gest uchylania karku. — Na dyrektora orkiestry pójdzie pierwszy lepszy, byleby umiał pałką dobrze wywijać — bo w tém główna zasada. O biedny Elsnerze! biedny Kurpiński! do czegośmy zeszli?!.

To też dajemy tego rodzaju opery, np. „*Carlo il temerario* Rossyniego, poprzedzi uwertura z *Wilhelma Tela*“.

Dramat i komedya, chociaż najmniéj na nie łożą i pozwalają im iść jakkolwiek aby szły, ów upośledzony dramat i komedya najhojniéj jednakże wypłacają się dyrekcyi. W kasie Teatru Rozmaitości ciągła superata dochodów nad wydatkami, i nie dziwić się temu, bo wydatki prawie żadne a widzów zawsze pełno. Bo i zkądże mają być te wydatki. Dobry artysta dramatyczny nigdy nie dostanie pensyi równéj jakiemu *premier sujet* z baletu albo lada Włochowi który przyjeżdża nas raczyć resztkami przekrzyczanego głosu. Honorarium zaś za sztuki tak bywa płatne: od komedyi albo dramatu tłumaczonego 50 złp. za akt jeżeli prozą, 100 złp. za akt jeżeli wierszem. Od komedyi albo dramatu oryginalnego sto złotych za akt jeżeli prozą i toż samo jeżeli wierszem. W oryginalnych więc pomiędzy mową

wiązaną a nie wiązaną nie ma różnicy. Toże np. jeżeli Fredro albo Korzeniowski napiszą najcudniejszą komedyę w jednym akcie, która ogromny dochód teatrowi przyniesie, dostaną za swoją pracę zaledwie dziesiątą część honorarium tego które otrzymał jakiś tłumacz za to, że nędzną ramotę francuzką *Żyda wiecznego tułacza* przerobił na użytek sceny naszéj w 10ciu obrazach. Jak to zachęcające! A teraz liczcie, że biedny autor który już z największemi trudnościami przeprowadził sztukę swoją przez cenzurę i przez dyrekcyę, musi się jeszcze pokornie prosić panów artystów, żeby ją raczyli przedstawić i przyjąć w niéj rolę, a temu niepodoba się to, temu owo, a każdemu się zdaje iż zna się na sztuce jak przynajmniéj Szlegel, każden sądzi bez apellacyi. Oniby poprawiali Moliera albo Szekspira, żeby Moliera albo Szekspira umiał kto u nas przedstawić.

Jasiński Jan jest dyrektorem teatrów, najpoczciwszy człowiek w świecie, wydał kilkanaście tomów różnych dzieł dramatycznych tłumaczonych i oryginalnych, sam był artystą i miał nawet niektóre wcale dobre role. Ale przy tem wszystkiem jest on bardzo słabego charakteru, lęka się własnego cienia i daje sobą rządzić, każdy z nim zrobi co zechce. Oprócz tego, dotychczas jeszcze lubi tłumaczyć sztuki i przygotowywać do wystąpienia uczniów; a nie zawsze tak jedno jak drugie udaje mu się. Zresztą Jasiński jest bardzo słabego zdrowia i zdaje się że wkrótce albo sam się usunie od dyrekcyi, albo okoliczności zmuszą go do tego. Królikowski Jan reżyser, znany wam jest dobrze, bo przecież w waszém mieście nabrał pierwszego rozgłosu jako artysta dramatyczny. Jest to człowiek rozumny, zręczny, skryty, z talentem niezaprzeczonym, umiejący zastanawiać się nad rolami, do których odegrania jest powołanym — i wyciągać z nich co można. Brak jednak Królikowskiemu dostatecznych wiadomości do reżyserstwa, układ bowiem dramatyczny w Europie także obecnie poczynił postępy, to i reżyser powinien być człowiekiem nie żartem wykształconym, powinien znać i historyę i literatury obce i starożytności, a to wszystko studiami się tylko zdobywa, i artysta dramatyczny choćby znał najgłębsze tajniki sztuki, nie posiędzie tych wiadomości, jeżeli nie odbył porządnéj szkoły. Prawda i to, że w Warszawie

można się bez tego wszystkiego obyć. — Bo czyż układ *Pafnucego i Narcyza*, *Icka zapieczętowanego* albo *Lokaja za pana*, wymaga jakich głębszych historycznych lub literackich wiadomości? Królikowskiemu trzeba oddać sprawiedliwość, iż robi co może i co mu pozwolą robić. W tem go jedynie winujemy, że mając władzę rozdawania ról, często zabiera bezwzględnie dla siebie nawet te, które nie są w charakterze jego talentu. Tak się stało z rolą Figara w *Weselu Figara* wznowioném tu w styczniu. Królikowski źle pojął tę rolę, grał ją ociężale, bez należytego wyrazu, jednem słowem źle, i chociaż nie wiemy, ktoby tutaj tę rolę lepiéj od niego odegrać potrafił, to zdaje nam się, że właśnie dla tego, nie ma po co wznawiać komedyi, w któréj najważniejsza rola nie może być dobrze obsadzoną.

Żółkowski góruje talentem nad wszystkiemi, chociaż ma także swoje *ale*. Zepsuty jest przez publiczność, lubi nie w porę czasem robić dodatki wzorem swojego ojca, i nie każdą rolę dość studiuje. Dobrze to jest spuszczać się na talent, na natchnienie, a Żółkowski ma je niewątpliwie, ale trzeba coś i pracy, a pierwszy nasz komik często nawet roli nie umie, spuszczając się na suflera. W każdym jednak razie Żółkowski siłą swego talentu, najmierniejszą nawet sztukę utrzymać potrafii i byleby tylko na afiszu widniało jego nazwisko, już publiczność roi się i tłumnie zbiera. Do ministeryalnych spraw w teatrze mało on się mięsza, zostawiając innym zarząd, byleby miłość publiczności została przy nim.

Rychter jest to malkontent, lewa strona, wiecznie w sprzeczce z wszystkiemi, skarży się że nie ma ról, i pod tym względem ma słuszność — starców i polonusów gra wybornie, zresztą jak się uda.

A cóż wam powiem o Komorowskim? Poczciwy i uczuciowy jak ów król prowancki, co stracił trzy królestwa, ale zdaje mu się wiecznie, że jest niepojętym i to go właśnie gubi. Jak się dowiedział o tryumfach Dawisona, zaczął się na gwałt uczyć po niemiecku, i już się wybierał do Wiednia przyćmić tam wszystkich, kiedy na szczęście, okoliczności zatrzymały go w Warszawie. Na scenie przesadny, cedzi wyrazy, stąpa jak śpiewak włoski i prowincyonalnego teatru, ale nie masz go co winić, takim samym można go widzieć i w życiu codzien-

nem. Wiecznie jest bohaterem. Ale ukształcenia ma więcéj niż inni, i chęci dobrych w nim nie brak. Za to sądu żadnego, a jednak ze zdaniem narzucać się lubi. Rzecz to przecież pewna, że gdyby nie Komorowski, nie potrafilibyśmy tu wystawić żadnéj wyższéj komedyi ani dramatu, on jeden rolę pierwszych kochanków znośnie oddać umie, i dotychczas nie ma zastępcy. Parę ról nawet udało mu się najzupełniéj, jak naprzykład w arcydziele scenicznem: „Śluby panieńskie.“ I trzeba także wejść w nieszczęśliwe położenie artysty przedstawiającego rolę pierwszych kochanków, musi on w końcu zrobić się trochę podobnym do Komorowskiego, chociaż temu ostatniemu natura wiele dopomogła do przesady i bohateryzowania.

O reszcie artystów mężkich nie wiele do powiedzenia, zresztą poznacie ich późniéj przy szczegółowych sprawozdaniach.

Takie są główne filary sztuki dramatycznéj u nas. Nie myślcie żeby scharakteryzowanie moje surowem było. Każdy z tych panów tak jest zarozumiały i napuszony miłością własną, iż najdrobniejsza plamka uważana w słońcu jego talentu, do wściekłości go przywodzi. Trzeba choć raz w krakowskiem piśmie ozwać się szczerze o nich, kiedy nasi recenzenci pod ostrą cenzurą dyrekcyi, muszą na ich młyn wodę ciągnąć. Kiedy ich obraża nawet pochwała, która nie jest bezwzględnem uwielbieniem, niechże usłyszą prawdę, może się ona upożyteczni dla nich.

Co do artystek, inna rzecz — tych prawie nie mamy. Jednookie królowe w kraju ślepych, Ciemska i Palińska, zakłócają swoją rywalizacyą i ciągłemi walkami błogie dni spokojności zakulisowéj.

Bardzo ciekawą jest historya téj babiéj wojny, ale wartałoby rzecz całą z góry rozpocząć. Wystawcież sobie.......

Otóż macie, ja się tu wdaję w nową historyę, a zakres jaki sobie naznaczyłem na moją korespondencyę, dawno już przekroczony. A tu trzebaby żeby utworzyć jaką taką całość, wspomnieć jeszcze o literaturze i sztukach pięknych. Na szczęście sztuki piękne nasze pojechały do was na wystawę, sami więc będziecie mogli zdać sobie z nich sprawę, a o literaturze nie ma wiele

do mówienia, w karnawał wysypia się. Zanotuję tylko jeden fakt. Czytelnia niedzielna pani Petrow ma już 3000 prenumeratorów, wyborna wróżba dla pism literackich, których ogromna potrzeba czuć się daje. A teraz do widzenia, i żałuję że dla braku miejsca musiałem różne ciekawe rzeczy odłożyć do przyszłego miesięcznego listu, który już będzie właściwém sprawozdaniem, bo ten jest tylko podstawą, na któréj wspierać się będzie budynek korespondencyj całorocznych.

Antoni Kłobukowski Redaktor odpowiedz. Antoni Czapliński Rząd. Druk.